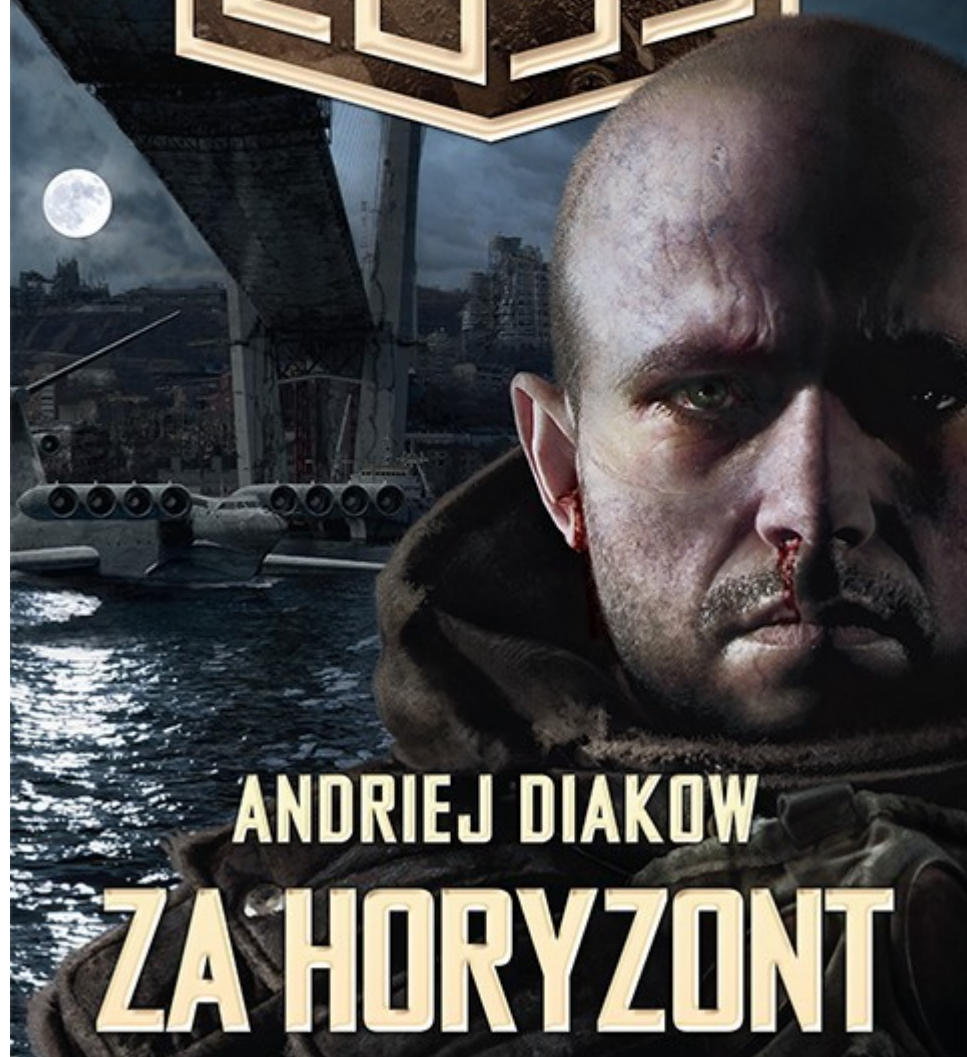


PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum
METRO
2033



ANDRIEJ DIAKOW

ZA HORYZONT



ANDRIEJ DIAKOW
ZA HORYZONT

Przekład Paweł Podmiotko

 **Insignis**

PROLOG

Szmer...

Ledwie słyszalny na tle usypiającego kapania kropel z topniejącego śniegu, jednak na tyle wyraźny, by wyrwać z drzemki. Cisza, niespokojna i lepka, ponownie zapanowała w swoim królestwie, ale... Znow ten sam dźwięk, tym razem lepiej słyszalny, ostatecznie rozproszył resztki snu.

Bestia drgnęła, gwałtownie chrapnęła i potrząsnęła gruzłowatą głową, przyglądając się pokrytym sadzą ścianom obszernej nory. Dźwięk, natrętny i niepokojąco obcy, nie chciał ucichnąć. Próbując uciec przed źródłem irytacji, mutant wygiął w pałąk metrowej długości szyję i ukrył nieproporcjonalnie wydłużony pysk w fałdach skóry pod brzuchem.

Grudki ziemi, kamienie i kawałki betonu toczące się po rumowisku zapadniętych skał zdradzały miejsce, w którym nieproszony i przesadnie pewny siebie przybysz bezceremonialnie torował sobie drogę do wydrążonej przez człowieka jaskini.

Smuga boleśnie kłującego światła sprawiła, że z gardła jakby rażonego prądem mutant wydarł się gniewny ryk. Głośno sapiąc i rozchlapując błoto krótkimi łapami, właściciel nory podniósł się niezgrabnie z pokrytego mchem legowiska, rozciągnął całe swoje długie cielsko, wyginając grzbiet w postawie bojowej i popatrzył wyzywająco w półmrok przed sobą.

Czworo złowrogich, rażących białym blaskiem oczu baczenie wpatrywało się w niego z ciemności, zbijając z tropu, oślepiając, nie pozwalając dojrzeć tajemniczego przeciwnika. Mutant zasyczał ostrzegawczo, przypadł do ziemi, przygotował się do ataku, zamierzając przepędzić obcego ze swojego terenu. Seria ogłuszających trasków i błysków płomieni zmusiła jednak bestię do cofnięcia się.

W ślad za hukiem przyszedł nieznośny ból wywołany przetaczającymi się po całym ciele błyskawicznymi użądleniami.

Mutant skręcał się w konwulsjach, na przemian zwijając w kłębek i wyciągając jak struna, kłapał zębami i ryczał, ale niekończący się ognisty deszcz wciąż bezlitośnie walił w parujące ciało, zamieniając grubą skórę w rzeszoto, wzbijając fontanny szkarłatnej krwi... Aż kolejny rozpalony kawałek ołowiu przeszył głowę bestii. Właściciel nory chrapnął po raz ostatni, padł na brzuch i umilkł na zawsze.

- Wstrzymać ogień!

Łoskot karabinowych serii ucichł. Kiedy rozbrzmiewające pod sklepieniem echo

wystrzałów wreszcie zanikło, z lekkim sykiem zaczęła dymić domowej roboty flara.

Podziemie rozbłysło migotliwym światłem, powyginane cienie zatańczyły na betonowych stropach.

Posłuszny gestowi dowódcy, od grupy odłączył się samotny cień. Stąpając uważnie po usłanej warstwą popiołu podłodze, stalker zbliżył się do powalonego mutanta i ostrożnie kopnął znieruchomiałe cielsko czubkiem buta.

- Chyba zdechł...

- No i świetnie. - Barczysty osiłek z bandaną na głowie westchnął z ulgą i opuścił kałacha. - Nie śpimy, panienki. Wiecie, czego szukać.

Komandosi rozeszli się po sali, omiatając wszystkie kąty światłem latarek i rozgrzebując resztki zwęglonych mebli. Starali się jak najszybciej wykonać polecenie dowódcy, tym niemniej co rusz zerkali na truchło dziwacznej bestii, która zdążyła zamieszkać w piwnicy Obserwatorium w Pułkowie po śmierci jej poprzedniego gospodarza, Czarnego Sanitariusza1.

Całkiem niedawno szalał tu poważny pożar. Osmalony sufit, zakopcone metalowe wraki regałów, unoszące się w powietrzu drobinki popiołu... Paskudna okolica do zamieszkania. Rozszalała przyroda nowego świata dostała się jednak i tutaj. Podłogę pokryły podobne do plam trądu skrawki rudego mchu, rozłożyły się swobodnie na płatach zgniętego od wilgoci tynku na ścianach, a gdzieś przelazły nawet na porowaty beton sufitu. Być może to właśnie ta zaimprovizowana podściółka na tyle spodobała się mutantowi, że postanowił urządzić sobie norę w miejscu, gdzie unosiła się jeszcze woń śmierci i czuło się niedawną obecność znieawidzonych dwunogów.

- Dowódco, to chyba tutaj!

Stalkerzy przerwali poszukiwania i zebrali się wokół fartownego towarzysza.

Osiłek odsunął podwładnych i kucnął przy poczerńiałej od sadzy jednostce centralnej komputera. Monitor walał się kawałek dalej, za rozbitym w drobny mak ekranem wiły się stonogi.

- To właśnie jest komputer Pachoma? Mogiła - stwierdził autorytatywnie najmłodszy żołnierz, podciągając ciężką kamizelkę. - Możemy się zwijać.

Dowódca rzucił młodemu zabójcze spojrzenie, od którego stalker zmieszał się i cofnął w cień.

- Musimy się upewnić. Nikt rozkazu Terentiewa nie odwoływał - nośnik danych musi zostać skonfiskowany. - W dłoni potężnego stalkera, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawił się nóż desantowy.

Dowódca podważył ostrzem krawędź obudowy i nacisnął. Płytką odskoczyła z żalosnym brzękiem, płyty zgorzeliny posypały się do wnętrza komputera.

Komandos niezdarnie chwycił twardy dysk w dwa palce i ostrożnie pociągnął prostokątny napęd, ale ten się nie poddał.

- A to ci wraża technologia! Od wieków nie dotykałem kompa...

Pomagając sobie ordynarnymi przekleństwami, osiłek naprężył się, chrząknął i gwałtownie pociągnął. Twardy dysk ze zgrzytem wyskoczył z przerdzewiałego mocowania, strzępki taśmy uderzyły go po palcach.

- To wszystko, chłopaki. Robota wykonana. Wracamy do kanału przewodowego.

Stalker wcisnął zdobycz w kieszeń kamizelki, podniósł z ziemi automat i poszedł w stronę majaczących za hałdami ziemi schodów. Komandosi ruszyli za nim, formując romb i nie zapominając o rozglądaniu się na boki. Nie mogli się doczekać, by wrócić do metra i pograć się w swojskiej krzątaninie stacji targowych.

1 O tych wydarzeniach opowiada Andriej Diakow w powieściach *Do światła* i *W mrok*.

Część

ZA LINIĄ POGRANICZA

Rozdział 1

HUCZNE POŻEGNANIE

Dopiero nad ranem udało mu się zapaść w niespokojny sen. Wciąż nie mógł przestać myśleć o nocnej rozmowie i Taranie, zaniepokojonym sytuacją w metrze.

Jasne, że petersburżanie nie mieli łątwo, każdy głupi to wiedział. Skąpe racje żywnościowe, katastrofa sanitarna, drapieżniki z powierzchni... Wydawałoby się, że najwyższy czas zjednoczyć się w walce ze wspólnym nieszczęściem i razem rozwiązywać problemy. Lecz mieszkańcy podziemi, rozbici na kolonie i niezawisłe

„państwa”, pogrążyli się w sporach, grabieżach i wojnach, znacznie tym samym przybliżając tragiczny koniec.

„Stacje pustoszeją na naszych oczach. Wyradzamy się...” Tak to chyba ujął ojciec?

Jego słowa tylko potwierdzały to, o czym sam nieraz miał okazję się przekonać, gdy podróżował po metrze podczas niedawnej historii z Czarnym Sanitariuszem.

Wśród ponurych myśli, leniwie płynących przez zawieszoną między snem a jawą świadomość, pojawiło się nagle niejasne poczucie paniki. Silne i nakazujące natychmiastowe działanie. Gleb wahał się jeszcze przez chwilę, potem otworzył oczy, bezszelestnie wydobył się z ciepłego, przytulnego łóżka i wybiegł na korytarz.

W ciemności nie od razu zauważył nieruchomą wysoką postać i solidnie się wystraszył, dosłownie wpadając na niespodziewaną przeszkodę. Rozpoznał jednak znajomą sylwetkę i uspokoił się. Taran stał w bezruchu przed hermetycznymi wrotami i niczym gończy pies, który złapał trop, przysłuchiwał się czemuś, co na razie nie docierało do uszu chłopca. Napotyając wzrok stalkera, Gleb wyczytał w nim taki sam niepokój, jaki i on przed chwilą odczuł.

Chłopiec już chciał zadać pytanie, które przez cały ten czas miał na końcu języka, ale zawiesił głos, dostrzegając w półmroku ostrzegawczy gest ojca. Ten nakazał mu milczenie, wciąż próbując zidentyfikować źródło nadciągającego zagrożenia.

Przeciągły trzel wiszącego na ścianie telefonu gwałtownie przeciął ciszę, sprawiając, że obaj aż się wzdrygnęli. Kosztowne połączenie schronu Tarana ze stacjami centralnymi technicy zainstalowali dopiero niedawno, pod naciskiem naczelnika Siennej, Wiktora Terentiewa. Po rozwikłaniu sprawy wybuchu na wyspie Moszczny Wyga zapalał szczególną sympatią do najemnika, który zdołał zapobiec konfliktowi z marynarzami z Babla, wziął więc

na siebie koszty przeciągnięcia wydzielonej linii telefonicznej, aby w razie czego mieć możliwość kontaktu operacyjnego z pożytecznym znajomym.

Jak się zdawało, dzwonił teraz właśnie on, jeden z najbardziej rzutkich liderów Miasta Targowego. Gleb mógł się jedynie domyślać, o czym mówił Terentiew i dlaczego się kontaktował. Z miejsca, w którym stał, chłopak słyszał tylko nieustające nawet na sekundę trajkotanie przetykane częstymi wykrzyknieniami.

Sądząc z reakcji Tarana, ściskającego słuchawkę tak, że aż zbiełały mu palce, nowiny nie były dobre.

- Tak, Witia, rozumiem. To jest szansa. Mniejsza lub większa, ale jednak... - Stalker uczeplił się słuchawki obiema rękami. - Współrzędne! Potrzebuję dokładnych współrzędnych! Nie ma? Cokolwiek! Chociaż jakiś punkt zaczepienia?!

Zdenerwowanie Tarana udzieliło się chłopcu. Skubiąc nerwowo skraj podkoszulka, Gleb ze wszystkich sił wyęczał słuch i z przejęciem śledził zmiany w mimice ojca. Ze wszystkich sił pragnął tylko jednej rzeczy - dowiedzieć się, o czym z takim napięciem rozmawiają dorośli. Lecz w odpowiedzi na nieme pytanie syna stalker tylko na moment oderwał się od słuchawki i bez wyjaśnień rzucił krótko:

- Natychmiast obudź resztę. Wyjeżdżamy bez zwłoki.

Dawno już się nie zdarzyło, żeby Taran był tak silnie wzburzony, dlatego chłopak odłożył pytania na później i na złamanie karku rzucił się wypełnić polecenie.

Gleb wpadł do pomieszczenia zastawionego piętrowymi łózkami i pełniącego funkcję sypialni, nie zatrzymując się ściągnął z Aurory kołdrę, przeskoczył przez szafkę do sąsiedniego rzędu legowisk i z rozpędu wbił się w przeogromne zielone plecy giganta Giennadija, zwinętego w pozycji embrionalnej na uginającej się pod jego ciężarem koi.

- Pobudka! Alarm!

Pomimo silnego szturchnięcia Dym nawet się nie poruszył, wciąż słodko posapując przez sen, natomiast Indianin, reagując na krzyk, zerwał się jak oparzony i solidnie przyłożył cieniem o ramę górnego łóżka, starając się naprędce zebrać nieposłuszne kudły w coś przypominającego koński ogon. Mimo podeszłego wieku, stary maszynista Migalycz żwawo zeskoczył ze swojego posłania, po omacku szukając automatu. Bezbożnik, trąc powieki i oczyszczając zachrypnięte gardło, marudził i kłął półgłosem. Aurora, kuląc się z zimna, obserwowała miotającego się Gleba, nic nie rozumiejąc.

Zamieszanie trwało krótko. Kiedy tylko obudzono śpiocha Giennadija, częstując siłacza czerpakiem lodowatej wody - samo wygasło. Nikt nie próbował już poznać przyczyny tak wczesnej pobudki, wystarczyło zerknąć na najemnika, który dosłownie przyrósł do

telefonu.

Pograżona w ciężkim milczeniu drużyna gorączkowo przygotowywała ekwipunek, szcękając zamkami karabinów, naciągając maski przeciwgazowe i sprawdzając puszkę filtrów. Na szczęście prowiant, amunicję oraz plecaki marszowe z ciepłymi ubraniami i innymi niezbędnymi w czasie ekspedycji drobiazgami załadowano na ciężarówkę jeszcze wieczorem, dlatego przygotowania nie zajęły dużo czasu.

Gdy do pomieszczenia wkroczył Taran, który nie wiadomo kiedy zdążył przywdziać swój charakterystyczny wzmocniony skafander, pięć par oczu skupiło baczne, nieruchome spojrzenie na dowódcy. Powietrze zgęstniało od napięcia, przecucie niewidzialnego zagrożenia targało nerwy nie mniej niż adrenalina.

- Weganie rozpoczęli działania wojenne. Zaatakowano jedną z najdalej wysuniętych placówek Aliansu Primorskiego. U mazutów i w Mieście Targowym na razie spokój, ale, jak sądzę, nie na długo.

Kilka sekund potrzebnych, by do wszystkich dotarła szokująca nowina, upłynęło w grobowej ciszy. Nie było tajemnicą, że przez ostatnie lata zieloni wytrwale zbierali siły, lecz każdy mieszkaniec metra głęboko skrywał nadzieję, że imperium nigdy nie zdecyduje się na otwartą konfrontację.

Cóż...

Kolejny raz można było się przekonać, że próżna nadzieja w tym przeklętym świecie była uczuciem głupim i niebezpiecznym.

Podczas gdy pozostali dochodzili do siebie, Migalycz pierwszy przerwał milczenie.

- A więc jednak... wojna? - staruszek głośno zadał pytanie, o którym myśleli wszyscy.

Stalker, zakładając kamizelkę, ponuro skinął głową w odpowiedzi.

- A my? - Gleb pochylił się do przodu, starając się złowić spojrzenie ojca.

- Co „my”? - spytał rozdrażniony Taran.

- Stajemy z boku? Dezerterujemy?!

Teraz na odpowiedź lidera czekali już wszyscy, w tym w mgnieniu oka spochmurniały Migalycz i przycichła Aurora.

Ale stalker z jakiegoś powodu zwlekał z odpowiedzią, a może wcale nie zamierzał reagować na niewygodne pytania przybranego syna.

- Przecież to potwory! Nie zatrzymają się na Aliansie! - wybuchnął Gleb. - W pierwszej kolejności ucierpią słabe peryferyjne stacje, niezależne kolonie!

Musimy...

- Dosyć! - przerwał ostro stalker, obrzucając chłopaka otrzeźwiająco surowym

spojrzeniem spode łba. - Nikomu nic nie jesteśmy winni. To nie nasza wojna. Alians to zresztą też nie anioły! Już od dawna ostrzą sobie zęby na wegan...

Dym, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie, przeciągnął się, aż zachrząściło mu w kościach, i pokręcił głową. Mięśnie czworoboczne na potężnym karku mutanta wyraźnie nabrzmiały.

- Nie widzę powodów, żeby pomagać tym czyścioszkom - zadudnił basem. - W Aliansie zawsze stronili od obcych. Z taką polityką głupio liczyć na pomoc z zewnątrz. Więc niech teraz sami sobie radzą!

Gleb ze zdziwieniem zerknął na Giennadija, ale przypomniał sobie, jak primorscy obeszli się z mutantem, wydalając go za granicę swojego terytorium, a do tego ignorując jego zasługi przy pokonaniu Czarnego Sanitariusza, i zrozumiał, że siłacz w żadnym wypadku nie stanie po stronie swych niedawnych prześladowców.

No dobra, Dyma można jeszcze jakoś zrozumieć. Ale Taran? Nie będzie ingerować? Co to? Tchórzostwo? Nie może być! Czy ktoś widział, żeby ten doświadczony stalker czegokolwiek się przestraszył?!

„W tym życiu trzeba być idiotą, żeby się nie bać” - wychynęły z pamięci słowa opiekuna.

A więc jednak... stchórzył?

Jak szalenie dziwnie było zdać sobie sprawę, że twój idol, ideał i istny wzór postępowania też może nie być wolny od słabości, a zachwyty i uwielbienie, które weszły już w nawyk, naraz blakną i nikną na tle nieprzyjemnego uczucia, które ledwie wykiełkowało, a już zapuściło korzenie... W tym momencie chłopiec nie czuł niczego poza rozczarowaniem.

Taran wyczytał widocznie w oczach syna coś, co sprawiło, że zwolnił obroty i złagodniał.

- To nie czas i miejsce na wyjaśnienia, Gleb. Później to przedyskutujemy.

Teraz pora wychodzić.

Ostatnie zdanie ewidentnie było już skierowane do wszystkich. Słyszac polecenie, oddział zaczął się zbierać, kończąc przygotowania. Kiedy Taran zdecydowanym krokiem skierował się do przedsiionka przy wyjściu, chłopiec wyłowił cichy głos Migalycza, który rzucił w ślad za nim:

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, stalkerze.

Wypowiedziane ni to z wyrzutem, ni to jako ostrzeżenie słowa staruszka uruchomiły lawinę błyskawicznie następujących po sobie wydarzeń. Czas nagle zerwał się do biegu, a rozmyślenia i rozmowy trzeba było odłożyć na potem, bo ułamek sekundy później wszystkie

dźwięki utonęły w ogłuszającym ryku eksplozji.

Stalowe wrota, wyrwane z zawiasów przez falę uderzeniową, z hukiem i zgrzytem runęły na ziemię. Kawałki betonu niczym szrapnele smagnęły po skafandrach ochronnych, wejście natychmiast zasnuło się białą mgłą. Taranem, który znajdował się najbliżej schodów, rzuciło o ziemię i przeszorowało dobre kilka metrów. Pozostali, rażeni falą uderzeniową, przewracali się gdzie popadło, zaskoczone dzieci wziął na ręce Giennadij i osłonił swoimi potężnymi plecami.

Przekleństwa, krzyki, świst kul, stukot podwieszanych granatników - wszystko zmieszało się w dzikiej kakofonii. Kątem oka Gleb dostrzegł, jak w obręb światła lampy wturlał się mały walec z matowego metalu. Dzięki Bogu granat okazał się gazowy! Niczym wytrawny bramkarz, Taran odbił dymiący „gwóźdz”¹ z powrotem w ciemność za progiem i schodząc z linii ognia, żywo rzucił się pod osłonę najbliższego filara.

- Gaz! Maski włoż! Wycofujemy się, do cholery!

Uciekinierzy strząsnęli z siebie odrętwienie i odgryzając się pojedynczym ogniem, popędzili w głąb schronu. Tyły kryli stalker i mutant, szczerze zasypując wejście seriami z automatów. Kimkolwiek byli dzisiejsi nieproszeni „goście”, wyraźnie nie spieszyli się ze szturmem. Strzelali raczej na postrach, nie celując, czekając widocznie, aż granaty gazowe zaczną działać z pełną mocą. I dopiero kiedy dym wypełnił większą część przedsionka, zza mlecznej zasłony jedna za drugą zaczęły wyłaniać się sylwetki szturmowców. Aparaty oddechowe, hełmy, kamizelki kuloodporne, noktowizory - tylko jedna struktura w całym metrze mogła sobie pozwolić na podobnej klasy sprzęt...

Imperium wegan. Jeśli do ostatniej chwili można było mieć wątpliwości co do udziału zielonych w ataku na szpitalny schron, to firmowa szpicruta, która mignęła przy pasku jednego z napastników, szybko je rozwiąła. Może to właśnie przed tym chciał ich ostrzec Wyga? Ale dlaczego krwiożerczy mieszkańcy południowych stacji zielonej linii nagle pofatygowali się, by napaść na ubogi w łupy bunkier samotnego najemnika? Chcą zemścić się za zabicie intryganta Satura?

Asekurując potykającą się Aurorę, Gleb został nieco w tyle i po raz kolejny obejrzał się z niepokojem za siebie. Tam, gdzie rozbłyski karabinowego ognia rozbijały ciemność na tysiące odłamków, gdzie stalkery zdobywali dla uciekinierów drogocenne sekundy.

Bezbożnik zaczął już grzebać przy zamknięciu wjazdu, kiedy zza pleców przyskoczył do niego Migalycz i bezceremonialnie odciągnął go do tyłu.

- Stój, durniu! A jak tutaj też wybuchnie?!

Chirurg ponieważświe odeskoczył od pokrytej plamami rdzy pokrywy, gotowej w

każdej chwili wylecieć w powietrze. Było całkiem prawdopodobne, że weganie dowiedzieli się o tylnym wyjściu z siedziby najemnika, które poprzez sieć szybów technicznych prowadziło prosto do tunelu między Moskiewską a Papą2. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby zaminowali stojącą im na drodze barierę. Jednak zamiast oczekiwanego wybuchu dało się słyszeć głucho, lecz wyraźne uderzenie w dno pokrywy. W ślad za nim, po chwili przerwy, kolejne. A potem jeszcze jedno...

- Makówek im nie żal, że tak nimi łupią? - odezwał się z zakłopotaniem Indianin. - Tak to się będą wozić do końca świata. Czy może podkładają jakiś trotyl?

- Nie będą wysadzać - wywnioskował starszek po chwili zastanowienia. - Boją się, że szyb się zawali. Tyle że nas to nie urządzi. Tą drogą nie uciekniemy!

- Niby dlaczego nie? - włączył się do rozmowy chirurg. - Wykurzimy ich granatem i po robocie!

- Granatem, powiadasz? - Migąłycz nieprzyjemnie wyszczerzył zęby. - A pewien jesteś, że z tamtej strony jest człowiek?

Na potwierdzenie jego słów rytmiczne uderzenia ucichły i na chwilę zapadła straszna cisza, którą przeciął głucho, basowy ryk nieznanego stwora.

- Co to? - pisała dziewczynka z przestraszeniem.

- Wegańscy „zaklinacze” wezwali posiłki z bagien - wyjaśnił Gleb. - Obawiam się, że długo ta blaszka nie wytrzyma.

Pokrywa dygotała od bezlitosnych uderzeń, z zawiasów sypał się rdzawy pył, mocowania trzęsły się niczym galareta. Aurora rozpaczliwie wczepiła się w rękę chłopca, wciąż, jak zahipnotyzowana, spoglądając na drgający właz.

- Któż tu do mnie dzisiaj puka, z wielką torbą w drzwiczki stuka... - wymamrotał poblady nagle Migąłycz. - Oto on, oto on, Leningradzki Pocztylion...3

Chłopiec wzdygnął się, starannie kryjąc zmieszanie. Miał już okazję słyszeć opowieść o Leningradzkim Pocztylionie. I to nieraz. We wszystkich tych historiach ów twardogłowy (dosłownie) i krwiożerczy stwór niezmiennie dopadał swoje ofiary, przebijając się przez każdą przeszkodę i umocnienie. Rzeczywiście, według legendy pancerny potwór najpierw stukał delikatnie, jakby spodziewając się, że gościnni gospodarze otworzą z własnej woli. I dopiero potem wpadał w szal i rozwaliał w drzazgi wszystko, co stało mu na drodze. Jednak w żadnej z licznych opowieści nie było mowy o tym, że weganie znaleźli sposób na sterowanie tym brutalnym drapieżnikiem...

I znów wraz z pojawieniem się Tarana niezdecydowanie ulotniło się, ustępując miejsca bojowej krzątaninie. Kiedy do pomieszczenia, schylając głowę, wcisnął się zdyszany

Dym, najemnik nacisnął niepozorny, wmontowany wprost w ścianę przycisk. Z nadproża ze zgrzytem opadła krata, byle jak zespawana z grubych prętów zbrojeniowych, odcinając uciekinierów od szturmujących wegan.

- Wycofamy się przez piwnicę szpitala. Gleb, wiesz, gdzie to jest. I nie otwierać beze mnie zapory! - Po wydaniu poleceń stalker spojrzął zaskoczony na podrygujący właz i przyskoczył do rury wodociągowej. - Giena, pomóż no!

Mutant bez zbędnych słów złapał wielkimi łapami zardzewiały i pokryty zaciekami walec, bez widocznego wysiłku wyrwał rurę z betonowego cokołu i postawił ją na pokrywie luku. Wysła z tego całkiem solidna rozpórka.

- Niech sobie teraz bestia poszaleje.

Stalkerzy ruszyli za resztą drużyny, w biegu przeładowując automaty.

Migałycz i Bezbożnik zajęli już pozycje wokół hermetycznych wrót, a Indianin, z uchem przyciśniętym do metalowej powierzchni, próbował stwierdzić obecność ewentualnej zasadzki. Taran przelotnie spojrzął na dzieci. Syn nie okazywał oznak strachu, zdecydowanie ściskając w dłoniach krótkiego bizona⁴. Natomiast biednej Aurorze, nieprzywykłej jeszcze do bogatego w wydarzenia życia w metrze, z trudem udawało się zachować panowanie nad sobą. Dziewczynka nie opuszczała Gleba na krok, dla pewności ściskając w piąstce skraj jego kamizelki.

- Mamy minutę... najwyżej dwie - podsumował najemnik, przysłuchując się odgłosom pogoni. - Wygląda na to, że weganie nie wiedzą o wejściu przez podziemia szpitala. Inaczej dawno by już byli w środku. A więc mamy szansę dotrzeć do Maleństwa. I trzeba to zrobić przed zielonymi.

Członkowie oddziału słuchali i nerwowo przestępowali z nogi na nogę, gotując się do czekającej ich walki. Bezbożnikiem wręcz trzęsło, czy to przez buzującą w jego żyłach adrenalinę, czy to w wyniku monstrualnych rozmiarów pożegnalnej libacji, którą po kryjomu urządził niedawno z okazji rozstania ze starymi przyjaciółmi - białymi myszkami. Nawet były wódz ogryzków, z powodu smagłej twarzy i wydatnego nosa obdarzony przez Tarana przezwiskiem Indianin, pobladł tak, że w słabym świetle lampy bardziej przypominał trupa niż tryskającego zdrowiem dwudziestoletniego chłopaka.

- Ja i Dym wychodzimy pierwsi. Jak dam znak, wy dwaj pójdziecie za nami. - Najemnik skinął na Bezbożnika i Migałycza. - Potem Gleb z Aurorą. Indianin, ty idziesz w ariergardzie. I bez bohaterstwa! Gleb, to się w pierwszej kolejności tyczy ciebie! Najważniejsze to załadować się do ciężarówki. Jeśli nam się poszczęści, wydostaniemy się bez zbędnego hałasu.

Żałosny brzęk wysadzonej w powietrze kraty posłużył za sygnał do pośpiechu.

Pościg deptał im po piętach, nie dając czasu na opamiętanie. Trzeba było się spieszyć. Giennadij zakręcił kołem zasuwy, schylił się i zniknął w ciemności korytarza w ślad za Taranem. Oddział ruszył gęsiego przez mrok wąskiego przejścia.

Zakręt, potem prosto, dalej - amfilada zimnych piwnic... Światła latarek obmacują przestrzeń, wydzierając z egipskich ciemności wraki połamanych stojaków na kroplówki, sterty splątanych w nieprzebyte zasieki metalowych łóżek, obficie pokryte rdzą wsporniki lamp operacyjnych... Z oddali dobiega łoskot rozbijanych w drzazgi mebli - napastnicy buszują po schronie w poszukiwaniu ofiar.

Szybciej... Szybciej!

Za nimi słychać tupot buciorów - żołnierze imperium znaleźli już zapasowe wyjście z bunkra.

- Nie spać! - pogania Taran.

W uszach huczy własny wytężony oddech, przez porysowane szkła maski przeciwgazowej w gęstych ciemnościach ni cholery nie widać.

Gdzieś za nimi, z głośnym „bum!”, uruchamia się pozostawiona przez sprytnego Indianina niespodzianka - zamontowana w korytarzu mina pułapka.

Przeszywający krzyk rannego urywa się wraz z hukem pistoletowego wystrzału.

Widocznie został dobity. Potwory, nie oszczędzają ani obcych, ani swoich...

Bliskość prześladowców przynagła, sprawia, że i tak napięte nerwy zaczynają dźwięczeć niczym szarpane struny. Gleb silniej ściska dłoń Aurory, czując przez gumową rękawicę jej ciepło. Dodaje to pewności obojgu.

Tymczasem w głowie roją się niezliczone pytania, mnożąc się w postępie geometrycznym.

„Dlaczego weganie? Czemu właśnie teraz? Chcą zdobyć ich przebudowany na pojazd pancerny transporter rakiet? Czy to banalna zemsta? I dlaczego Taran uchylił się od walki? Nie chce wziąć udziału w wojnie przeciwko znenawidzonym zielonym? Dlaczego ucieka jak szczur z tonącego okrętu? Musi chyba być jakiś ważki powód takiej... obojętności?”

Półmrok przed nimi rozpraszają nieśmiałe promienie światła dziennego.

Wlewa się do piwnicy przez dziury w zbutwiałych drzwiach, ściekając jak gęsty budyń po stopniach przekrzywionych schodów. Frędzle pajęczyn owijają poczerniałą od wilgoci framugę niczym dekoracyjny bluszcz, zwisając aż do ziemi w niechlujnych strąkach. Pod nogami woda ze stopniałego szronu, który pokrywał drzwi.

Uciekinierzy zebrali się na ciasnej platformie u szczytu schodów, starając się złapać

oddech po krótkim biegu. Zator, który się tu utworzył, zniknął, gdy Taran z przewieszonym przez ramię kałachem popędził przez wymieszane ze śniegiem błoto chłodnego grudniowego poranka. Najemnik spieszył się, intuicyjnie wyczuwając, że wyprzedza zdradzieckiego wroga zaledwie o krok, a gra w kotka i myszkę błyskawicznie zbliża się do finału.

Powierzchnia...

I znów gwałtownie i bezlitośnie, jak niegdyś, za pierwszym razem, Gleba ogarnęło nieporównywalne z niczym, przerażające, a jednocześnie napawające niewytłumaczalnym zachwytem poczucie bezgranicznego, bezdenne nieba, otwierającego mu się nad głową. Czy może pod nogami? Nie da się do tego przyzwyczaić. Gleb przełknął ślinę, walcząc z krótkotrwałymi zawrotami głowy, i widząc kątem oka migające przed nim buty, wbił wzrok w przygarbioną sylwetkę Bezbożnika. Mdłości ustąpiły. Starając się nie spuszczać chirurga z oczu, chłopak o mało nie zapomniał o naukach ojca - mieć oczy dookoła głowy, wyłapywać wszystkie nietypowe dla spokojnego pejzażu szczegóły. Ślady na szarym jak popiół śniegu, podejrzane cienie w wyłomach okien, każdy, choćby najmniejszy ruch - wszystko wokół może kryć niebezpieczeństwo, czy to zwierzę, czy człowiek.

A jednak to Giennadij okazał się tym, który pierwszy dostrzegł sylwetkę weganina w strzępku mroku pod przysadzistym budynkiem kostnicy. W wielkich łapach mutanta głośno i równomiernie zaterkotał automat. Huk wystrzałów rozlał się po podobnym do studni dziedzińcu szpitala i, wielokrotnie wzmocniony, uderzył w bębunki ogłuszającą kanonadą. Dopiero po kilku długich, męczących sekundach, wypełnionych oszalałą strzelaniną i niezrozumiałymi okrzykami, chłopak pojął, że to nie tylko echo. Oddział był pod ostrzałem. Rozbłyski ognia z tłumików w karabinach wegan migotały od strony sąsiedniego dwupiętrowego bloku. Jeśli Gleb dobrze pamiętał, to obok niego, na terenie zachwaszczonego szpitalnego podwórka, znajdowało się główne wejście do schronu Tarana.

Chłopiec rzucił się za oponę od ZIŁ-a, która akurat się napatoczyła, i pociągnął za sobą Aurorę. Dziewczynka zwinęła się w kłębek, zatkała uszy przez maskę przeciwgazową i piszcziała z przerażeniem za każdym razem, gdy słyszała świst śmiercionośnego ołowiu. Nie było czasu, by uspokajać przyjaciółkę. Trudno, jeszcze przywyknie. Gleb przycisnął do ramienia kolbę ciężkiego dla chłopca bizona i niemal bez celowania puścił krótką serię w kierunku pojawiających się na granicy widzialności sylwetek. Z braku przyzwyczajenia nieposłuszna lufa uciekła gdzieś w bok i do góry. W panującym wokół chaosie nie można było ocenić, czy udało się w kogokolwiek trafić. Za to z przyprószonego śniegiem asfaltu jakieś parę metrów przed nim nagle wzbily się fontanny kamiennych okruchów, a w powietrzu zaświstały kule.

Chłopak zarył twarzą w śnieg, lewą ręką przyciskając do ziemi głowę piszczącej obok niego Aurory.

- Tylko się nie wychylaj! Leż spokojnie!

Gdzieś po lewej rozległ się ostry trzask granatnika podwieszzonego pod kałacha. Bardzo niebezpieczny dźwięk - słysząc go, Gleb zawsze mimowolnie chował głowę w ramiona. Ułamek sekundy później od stanowiska żołnierzy imperium dobiegł huk eksplozji i krzyki poharatanych odłamkami ludzi. Świst kul naraz ucichł.

Nieznana siła poderwała jego ciało do góry. Chłopiec nie zdążył się zorientować, kiedy już stał i dopiero teraz zauważył Giennadija.

- No, dzieciaki, żywo do pojazdu! Później będziemy odpoczywać! - Mutant z lekkością zarzucił sobie drobną Aurorę na ramię i popchnął Gleba w stronę majaczącej nieopodal wielkiej bryły transportera.

Przypominając sobie poniewczasie o ojcu, chłopak ze zdenerwowaniem omiótł wzrokiem teren szpitalnego dziedzińca. Bliski jego sercu widok wzmocnionego skafandra mignął przy przewróconej na bok karetki GAZ Gazela. Stalker przylgnął do kolby AKM i metodycznie grzmocił pojedynczymi pociskami, osłaniając odwrót grupy.

W miarę jak zbliżali się do ośmiusetkowego wojskowego pojazdu, panika ustępowała, a niebezpieczeństwo wpadnięcia w łapy zielonych nie wydawało się już tak realne. Opancerzony, obwieszony cekaemami i chroniącymi przed pociskami z granatników metalowymi kratownicami gigant, który w poprzednim życiu służył jako samobieżna wyrzutnia międzykontynentalnych rakiet balistycznych Topol-M, budził wiarę w szczęśliwy finał wydarzeń. Po tym jak marynarze z Babla przekształcili transporter w niedostępną fortecę na kołach, za grubym pancerzem pojazdu nie strach spotkać nawet Leningradzkiego Pocztyliona! A co dopiero mówić o weganach... Na boku groźnej maszyny, wprost nad ogromnymi, wysokości dorosłego człowieka kołami, widniały starannie, z pomocą szablonu wymalowane litery: „MALEŃSTWO”.

Co by nie mówić, adekwatna nazwa. Ironię marynarzy Gleb docenił jeszcze poprzednim razem, podczas przeprawy przez Południowe Bagna. Wtedy to wielotonowy transporter, nie zauważywszy nawet przeszkody, rozjechał na miazgę wielką „modliszkę”.

Zatrzymawszy się obok wjazdu do przedziału pasażerskiego, chłopiec spostrzegł pod nogami plamy krwi na udeptanym śniegu. Nieco dalej, za osłoną ze złamanego wpół słupa latarni, ukazał się trup weganina z nienaturalnie odchyłoną głową. Kolejny zielony, już zimny, leżał bliżej tylnego zderzaka Maleństwa, wciąż jeszcze ściskając w rękach łom. Zgodny ogień Indianina i Migalycza zaskoczył pechowych włamywaczy, kiedy próbowali

dostać się do kabiny kierowcy. Teraz zaś stary mechanik badał pedantycznie wyszczerbienia, które pozostały na wzmocnionych pancerną blachą drzwiczkach, i nie mógł się nachwalić przezornych techników z Babla.

- Łebskie szelmy! Solidna robota. A temu wegańskiemu lalusiowi nawet nie przyszło do głowy, żeby odsunąć przesłonkę zamka! Proszę bardzo, przecież dźwignię zamka miałyby pod samym nosem!

Z godną pozazdrosczenia jak na swój wiek zręcznością Migałycz wdrapał się na fotel kierowcy i zamknął drzwi. Zatrask szczęknął, oddzielając staruszkę od świata zewnętrznego. Chwilę później zaryczał dwunastocylindrowy silnik z turbodoładowaniem, rury wydechowe rażno buchnęły czarnymi oparami spalonego oleju napędowego i rozbudzony stalowy potwór niespiesznie ruszył z miejsca.

Kiedy Bezbożnik pomagał dzieciom dostać się do części dla pasażerów - wykonanego w całości z metalu hermetycznego kontenera z okienkami z kuloodpornego szkła, przyspawanego do środkowej części wydłużonego, szesnastokołowego podwozia - Indianin i Dym krzatali się już na okratowanej otwartej platformie transportera, zdejmując pokrowce z cekaemów.

Jednak wsparcie ogniowe nie było potrzebne. Taran, pochylając się, żwawym truchtem przeciął otwartą przestrzeń i nie zatrzymując się, wskoczył do środka.

Nabierając prędkości, maszyna skierowała się w stronę przejazdu między blokami szpitala. Miażdżąc po drodze rdzewiejący pod otwartym niebem kontener na śmieci, wygięła okazały fragment ogrodzenia, bezceremonialnie zepchnęła na pobocze zaparkowanego tu jeszcze przed wojną land cruisera i niezgrabnie wyjechała na Awiacjonną.

Rzadkie odgłosy wystrzałów pozostały za nimi. Bezsilni prześladowcy wysypali się z piwnicy i rozpoczęli chaotyczną kanonadę w kierunku uciekinierów, ale nie miało to sensu... Dla pancerza Maleństwa kaliber broni automatycznej to jak śrut dla słonia.

Z głośników interkomu dobiegł brzęczący głos staruszkę. Upewniwszy się, że wszyscy są na pokładzie, Migałycz w ferworze walki zapomniał jednak wyłączyć nadawanie i teraz, fałszując straszliwie, wyśpiewywał dziarską pieśń o tajemniczym

„czerwonym dowódcy” o nazwisku Szczors5. „A może to przezwisko? To pewnie jakiś komunista ze Zwiozdnej... - uznał w duchu Gleb. - Przy okazji trzeba się będzie wywiedzieć, co to za stalker, o którym aż piszą piosenki”.

Teraz chłopaka pochłaniało jednak coś zupełnie innego - a mianowicie, co takiego Terentiew powiedział Taranowi, że tak mu śpieszno wyjechać z miasta?

Pojazd nagle szarpnął i zatrzymał się. Chłopiec ledwo zdążył chwycić za krawędź

przykręconego do podłogi metalowego stolika, ale nieporadny Bezbożnik spadł z ławki, boleśnie uderzając czołem o bok szafki na broń.

Indianin przyłgął do okienka, usiłując dojrzeć przez zaparowane szkło nieoczekiwaną przeszkodę. Aurora zajęła miejsce przy sąsiednim iluminatorze, ale, podobnie jak w przypadku dzikusa, jej obserwacja nie przyniosła specjalnych efektów.

- Chodźmy! - Gleb pociągnął dziewczynkę za rękaw i skierował się przez łącznik do kabiny nawigacyjnej.

Chłopiec opadł na wygnieciony fotel i pokręcił dźwigienką przed przednią szybą. Ochronne rolety obróciły się, odkrywając przed ich wzrokiem odcinek przyprószonej śniegiem drogi... i dziesięciu roślących stalkerów w maskujących skafandrach stojących w poprzek ulicy w rzadkim szeregu. Każdy z nich trzymał automat, wszyscy jak jeden mąż celowali w zbliżający się pojazd.

- Weganie? W takim razie dlaczego nie strzelają? - dobiegło z tyłu.

Ulokowana za oparciem fotela Aurora spoglądała z obawą na obcych.

- Zieloni mają znacznie bogatszy ekwipunek, do tego prawie każdy ma hełm - zaoponował Gleb. - A ci mają same maski przeciwgazowe... Coś mi się wydaje, że to primorscy się do nas pofatygowali.

- Po co?

- Gdybym ja to wiedział... Zobaczymy.

Dzieci zamilkły, obserwując, jak naprzód wystąpił dowódca oddziału, zwalisty osiłek z owiniętym w maskującą siatkę SWD6 na plecach. Taranowi z jakiegoś powodu nie spieszyło się, by opuścić Maleństwo. Po chwili męczącego oczekiwania, niespodziewanie zachrypiał zewnętrzny megafon zamontowany na dachu pojazdu.

Zerknąwszy w lewo, Gleb zauważył najemnika w sąsiedniej kabinie kierowcy. Taran chwycił podany mu przez Migalycza mikrofon radiostacji i powiedział:

- To ty, Szugaj?

Rosły żołnierz skinął głową.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę? - W głosie najemnika dało się słyszeć irytację. - Znów macie jakieś porachunki z Miastem Targowym?

Stalker Aliansu zwlekał z odpowiedzią. Może po prostu nie było go słychać zza pancerza? Jednak nie, zewnętrzne mikrofony sprawnie wychwytywały monotonne wycie wiatru, a nawet trzaski stygnącego silnika. Chłopcu wydało się przez chwilę, że dowódca nowo przybyłej grupy patrzy nie na ciężarówkę, ale gdzieś obok... Chociaż przez maskę niespecjalnie da się to rozpoznać...

- Nie rżnij głupa, stalkerze - dobiegł wreszcie przytłumiony przez maskę głos.

- Wiesz, po co tu jesteście.

Chłopiec wstrzymał oddech, bojąc się uronić choć jedno słowo.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - uciął chłodno Taran. - Rozejdźcie się, żołnierze. Bo jeszcze niechcący kogoś zgnieciemy...

Dowódca primorskich podniósł rękę w ostrzegawczym geście, pokazując całym sobą, że rozmowa jeszcze nie jest skończona.

- Słyszałeś, że weganie rozpętali wojnę?

Nie czekając na odpowiedź, żołnierz zaczął mówić głośniej:

- Do tego ci zwyrodnialcy rozpoczęli polowanie na ciebie. Boją się, że rozpaplasz ich tajemnice.

- Dzięki, już się domyśliłem. Bardziej konkretnie, Szugaj.

- Alians potrzebuje twojej pomocy, Taran. Albo twoich usług... Sam zdecydujesz.

Poprzez zakłócenia radiowe dobiegło ledwie słyszalne, ciężkie westchnienie.

Słowa przychodziły najemnikowi z trudem.

- Wybacz, przyjacielu. Nie przyjmuję teraz zleceń. Mam aż nadto własnych kłopotów.

- Tylko ty bywałeś po obu stronach! - nie poddawał się dowódca. - Widziałeś obronę wegan, stanowiska ogniowe, składy amunicji... Koniec końców znasz rozkład sił! Po prostu musisz przekazać Aliansowi wszystko, co wiesz!

- Wracaj do siebie, Szugaj. Mam ważniejszą sprawę. I ani chwili do stracenia.

- Ważniejszą niż wojna?

- Słyszałeś.

- W takim razie jestem zmuszony was aresztować i skonfiskować pojazd!

Otwierajcie włącz i wychodźcie jeden po drugim, inaczej...

- Inaczej co? - nie dał mu dokończyć Taran. - Rzucisz się pod koła? Nie wygłupiaj się, primorski. Zabieraj swoich żołnierzyków i spadaj do domu. Dziś nie jest twój dzień.

Tamten jednak jakby wrósł w ziemię, nie ruszając się ani na krok.

- Nie dajesz mi wyboru, najemniku! Mam rozkaz dostarczyć cię żywego lub martwego. A więc wybieraj - albo Alians, albo weganie!

- Trochę mało możliwości... Ale ja wybieram trzecią.

Taran widocznie uznał dalszą dyskusję za bezprzedmiotową, bo silnik znów zaryczał i transporter drgnął, ruszając powoli w stronę okrążających go żołnierzy.

Primorscy cofnęli się, wciąż celując w pojazd, ale nie otwierali ognia.

- Za dużo wiesz, żeby pozostawać z boku! - Szugaj przekrzykiwał warkot silnika. - I

gdybym nawet musiał użyć siły, imperium nie dowie się niczego o Aliansie!

Gleb przesunął się do przodu i nie spuszczał wzroku z dowódcy oddziału.

Teraz nie miał już wątpliwości - osiłek zadarł głowę i patrzył gdzieś w górę. Potem nagle wydał krótki rozkaz i razem z żołnierzami rzucił się w stronę ruin najbliższego domu.

Chłopak nie wytrzymał. Otwarcie włazu w suficie i wdrapanie się do wieżyczki sprzężonych cekaemów nie zajęło wiele czasu. Kilka sekund później mrużył już oczy, oślepiiony zbyt jasnym dla mieszkańca podziemi światłem, wpatrując się pomimo bólu w widoczne przez pręty klatki ołowiane niebo.

Poszarpane krawędzie oblodzonych dachów zachodziły jedna na drugą, dwoiły się i kołysały, lecz uchwycił jednak wzrokiem samotną postać w oknie na przedostatnim piętrze. Człowiek z długą rurą na ramieniu zastygł niczym kamienny posąg i tylko opaska z godłem Aliansu Primorskiego zdradzała ukrytego żołnierza.

Gleb nie widział, jak na stanowisku wukaemu nad kabiną kierowcy pojawił się Taran. Jak poszły w ruch, odszukując ofiarę, lufy sprzężonych kordów...

Od strony szpitala dał się słyszeć głuchy, potwornie wściekły ryk. Coś ogromnego, poruszającego się na sześciu segmentowanych odnóżach, taki przerośnięty karaluch w pokrytym wypustkami pancerzu szybko zbliżał się do transportera, z łatwością wyginając po drodze latarnie uliczne. W ślad za osobliwym mutantem biegło aż dwóch wegańskich zaklinaczy w przypominających chałaty wiatrówkach z wielkimi kapturami.

W innej sytuacji nikt by się raczej nie ucieszył z widoku zielonych, ale teraz to właśnie ich przybycie uratowało uciekinierów przed trafieniem w transporter przez kumulacyjny granat przeciwpancerny, gotowy w każdej chwili zerwać się z wyrzutni do błyskawicznego i śmiertelnie niebezpiecznego lotu.

Słyszając okrzyk bojowy wezwanego na polowanie drapieżnika, żołnierz z granatnikiem drgnął, ale szybko opanował emocje i znów nakierował muchę na opancerzony cel.

Chłopiec był do samego końca przekonany, że wystrzał nie nastąpi. „Przecież mamy wspólnego wroga - imperium wegan! Po co sojusznicy mieliby się nawzajem zabijać?! Czy oni wszyscy powariowali?! Tak nie można!”

Jednak dorośli uważali inaczej. Kilka sekund zwłoki wystarczyło, by Taran wycelował i nacisnął języki spustowe.

Nadwątlona przez wiatry ściana budynku zagotowała się od licznych trafień.

Nagły huragan ołowiu chlasnął po oknach niedbałym maźnięciem, zmiotł strzelca z granatnikiem jak szmacianą kukłę, pokrył sufit pomieszczenia fajerwerkiem czerwonych bryzgów i równie gwałtownie ucichł.

Wszystko, co się działo, przypominało niekończący się, straszny sen, nocny koszmar, z którego w żaden sposób nie dało się obudzić. Beładnie zaterkotały automaty primorskich, wzbijając z pancerza snopy iskier. W odpowiedzi zadudniły w rytmicznych konwulsjach ciężkie kordy. Oto wzdłuż ściany pobiegł dowódca primorskich. Koziółkując, rzucił się na ziemię, podniósł granatnik, który wypadł z okna, odwrócił się...

Pociski, wzbijając z asfaltu dwa równe rządki pióropuszy, dosięgły Szugaja, błyskawicznie przecinając komandosa na pół.

- Nie! - krzyknął spóźniony Gleb, zsuwając się z drabinki do kabiny. - Nie!!!

Teraz najbardziej na świecie chciał spojrzeć przybranemu ojcu w oczy.

Spojrzeć i zapytać, jak to jest - pozbawiać życia niewinnych ludzi? Ludzi, z którymi może jeszcze tydzień temu wymieniał wiadomości, będąc w odwiedzinach na stacji Aliansu? Tak po prostu zastrzelić człowieka tylko za to, że poprosił o pomoc?!

Transporter coraz bardziej się rozpędzał, zostawiając za sobą kłęby dymu, zdeorientowanych żołnierzy Aliansu i miejsce przerażającej tragedii, która w jednej chwili stała się dla wędrowców punktem bez powrotu. Przez jedną decyzję Tarana stali się banitami.

1 Nabój kalibru 40 mm do granatnika podlufowego GP-25 z granatem obezwładniającym (przyp. aut.).

2 Stacja metra Park Pobiedy (przyp. tłum.).

3 Wiersz Samuela Marszaka *Poczta wojennaja* (przyp. aut.).

4 Pistolet maszynowy PP-19 (przyp. aut.).

5 Mykoła Szczors - słynny dowódca bolszewicki pochodzenia ukraińskiego poległy w 1919 roku. W czasach ZSRR postać otaczana kultem (powstały liczne muzea i pomniki jego imienia) (przyp. tłum.).

6 Snajperskaja Wintowka Dragunowa (Karabin Wyborowy Dragunowa)

(przyp. aut.).

7 Ręczny granatnik przeciwpancerny RPG-18 (przyp. aut.).

Rozdział 2

ALFEJOS

Nie tak wyobrażał sobie Gleb długo wyczekiwana podróż. Nie o dusznym stalowym wnętrzu przedziału dla pasażerów, przypominającym raczej obszerną, wygodną trumnę, marzył przez te wszystkie dni. Wyobrażenia rysowała przed nim przesuujące się za oknem bezgraniczne przestrzory zewnętrznego świata, fotel kierowcy i kierownicę... W najgorszym razie gniazdo cekaemu na zewnętrznym, nieosłoniętym nadwoziu transportera albo mapnik nonszalancko rozłożony na torpedzie w kabinie nawigacyjnej... Zamiast tego strasznie ponury Taran, nie dając dojść do słowa, zbeształ go za samowolne wyjście do wieżyczki strzeleckiej, posadził przy stoliku, surowo zabraniając opuszczania mesy, i znów skrył się za przepierzeniem - poszedł pomagać Migalyczowi w wytyczeniu trasy wyjazdu z miasta.

Nie pozostało nic innego, jak siedzieć i czekać, majstrując przy obitym blachą blacie stołu. Metal pod dłońmi przyjemnie chłodził mu skórę, lecz nie mógł ostudzić pożerającego go od środka żaru emocji. Jak to? Starczyło tylko się przywiązać, całym sercem przylgnąć do tego stroniącego od ludzi samotnika, żeby ten jakby przestraszył się rodzącego się uczucia i odgrodził od przybranego syna grubym murem obojętności i udawanej szorstkości.

„Przybranego”... Co za słowo... Niewygodne i dojmująco zimne, nawet wypowiedane w myślach kłuło w uszy, każąc wracać do prawdziwego świata. Świata pełnego bólu i samotności. Świata, w którym straciwszy rodzinę, można ją odzyskać tylko na niby. Zbudować sobie domek dla lalek, zasiedlić go wymyślonymi mieszkańcami, pobawić się i rzucić w kąt, kiedy się znudzi...

Gleb podniósł wzrok. Naprzeciw niego siedziała Aurora. Od razu pochwyciła jego spojrzenie, popatrzyła na niego życzliwie i ledwie dostrzegalnie uśmiechnęła się kącikami pobladłych ust. Musiała zmarznąć... Ale boi się powiedzieć. Znosi to.

Dlatego że też jest sama. I też ma tylko „rodzinę na niby”...

Chłopiec zerwał się z ogrzanej własnym ciałem ławki, przyskoczył do skrzyni z ubraniami, spośród sterty szmat wyciągnął całkiem dobrze zachowany wełniany pled i otulił nim kruche ramiona dziewczynki. Aurora skinęła głową z wdzięcznością, a nieśmiały uśmiech na bladej twarzy zrobił się szerszy.

- Nie przejmuj się - szepnęła, kiedy Gleb usadowił się obok. - Wszystko się ułoży.

Zobaczysz.

Z pewnością należało coś na to odpowiedzieć, choćby z grzeczności, ale jego nastrój błyskawicznie się pogarszał i jak na złość nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. A potem minął czas na przyjacielskie rozmowy. Transporter zatrzymał się po raz kolejny tego dnia, w głośniku interkomu zabrzmiała zaś znajoma paplanina Migałycza:

- Koniec, braciszku! Postój. Kiszki tak mi marsza grają, że chyba cała zwierzyna puciekała! Jest prośba do dyżurnego kucharza, żeby się pospieszył!

Zza przepierzenia w rogu wychylił się na moment Giennadij z chochlą w rękę i z zagadkowym uśmiechem wrócił do przygotowywania obiadu. Nie poszło z tym jednak tak gładko, jak marzył stary maszynista. Kiedy członkowie załogi wychynęli ze wszystkich zakamarków ogromnego pojazdu, w mesie nagle zrobiło się ciasno i duszno. Ciężki wzrok najemnika nie poprawiał komfortu. Jedzenie trzeba było odłożyć.

- Macie pewnie dużo pytań - zaczął Taran bez wstępów. - To chyba najlepszy moment, żeby je zadać.

Nie podnosił wzroku, ale i bez tego było jasne, do kogo w pierwszej kolejności adresowane były te słowa. Ale Gleb, zaszepiwszy się, milczał. Czy to popadł w apatię, czy może żal i rozczarowanie pokonały ciekawość...

Zdawało się, że zmieszanie chłopca udzieliło się pozostałym. Nikt nie decydował się rozmawiać z dowódcą otwarcie. W końcu jednak poruszył się Bezbożnik. Podrapał się w zadumie w podbródek, przeczyścił gardło i siarczyście splunął pod nogi.

- Rozumiem, że droga powrotna do metra jest teraz dla nas zamknięta?

- A to dlaczego? Weganom jest obojętne, kim jesteście i skąd. Primorscy też jak na razie nie nauczyli się przenikać wzrokiem przez blachę. Widzieli tylko transporter i mnie. No i, zdaje się, jeszcze Gleba... - dodał najemnik po przerwie. - Do pozostałych, jak sądzę, nie będę mieli pretensji.

- Dlaczego? - nie wytrzymał chłopak. - Dlaczego ich zabiłeś?

Oczy pały mu ogniem.

Taran drgnął, jakby dostał policzek, i już chciał podnieść głowę, ale równie szybko opanował emocje i znów zabrał się za świdrowanie wzrokiem blatu stołu.

- Wszystko widziałeś, Gleb. Albo my ich, albo oni nas - w głosie najemnika dało się wyczuć starannie skrywane rozgoryczenie. - Do samego końca sądziłem, że Szugaj nas przepuści...

- Dlatego jak zwykle poszedłeś przebojem.

- Miał rozkaz. Negocjacje prawie na pewno by nie pomogły.

- Powiedziałeś „prawie”? - dopytał chłopiec. - Czyli była jednak szansa, żeby załatwić sprawę pokojowo?

- Albo w ogóle odłożyć ekspedycję na lepsze czasy - poparł go niespodziewanie Bezbożnik. - Dzieciak z sensem gada.

Przyszła kolej na milczenie Tarana. Sekundy płynęły wartkim strumieniem, nieubłaganie wyciekając przez sito czasu, a tajemniczy dowódca wciąż zwlekał z odpowiedzią.

- Ale o czym rozmawiałeś z Wygą? - włączył się Indianin. - Przecież to przez niego tak szybko daliśmy dyla z miasta?

- Przez niego - pospieszył zmienić temat najemnik. - Historia jest mętna... ale jeśli to wypali...

Wszystko, co potem usłyszeli, tylko z trudem można było przyjąć do wiadomości. Nowiny okazały się zupełnie niewiarygodne.

- Od chwili śmierci Pachoma wiele się zmieniło. - Z każdym słowem Taran coraz bardziej pochmurniał. - W ciągu paru tygodni komuniści uprzątnęli osuwisko na Czerwonym Szlaku. To, które zablokowało dostęp do kanału przewodowego i Obserwatorium w Pułkowie.

- I oczywiście ktoś od razu polazł do kryjówki Czarnego Sanitariusza, tak? - Indianin nie mógł się powstrzymać od komentarza. - Tylko po co? Mówiłeś przecież, że wszystko się tam spaliło?

- Niby tak, ale nie do końca... jak się okazało. Wyga wysłał swoich ludzi, żeby oczyścili obserwatorium, a ci wykopali coś ciekawego.

- Terentiew? Z Miasta Targowego? A jaki on ma w tym interes?

- Cwaniaczek zwąchał się w końcu z władzami Edenu - wtrącił się Giennadij.

- Po cichu organizuje handel, lipny biznesmen... I coś mi się zdaje, że to oni urobili Wygę w kwestii obserwatorium. Zacierają ślady, żeby nie było dowodów.

Najemnik skinął głową.

- Właśnie. Zadanie grupy poszukiwawczej polegało na tym, żeby usunąć z obiektu wszelkie wzmianki o Edenie. W efekcie eksploratorzy podziemnego kompleksu weszli w posiadanie twardego dysku z komputera Pachoma.

A w ocalałych klasterach znaleźli logi z transmisji danych między komputerem a mikrosatelitą szpiegowskim. Tym samym, o którym opowiadał Pachom zanim... zanim...

Taran zaciął się i spojrzał ostrożnie na Aurorę. Dziewczynka zareagowała jednak spokojnie na wzmiankę o śmierci ojca, ledwie zauważalnym skinieniem głowy dając znać

opowiadającemu, by kontynuował.

- Do jednej z przechwyconych przez aparaturę wiadomości dołączony był raport jakiegoś uczonego o przebiegu prac nad projektem o intrygującej nazwie Alfejos. Wyga nie zdążył przekazać mi szczegółów, ale badania, jakkolwiek fantastycznie to brzmi, dotyczyły w istocie... - najemnik obrzucił wzrokiem siedzących, zbierając się na odwagę - poszukiwania sposobu neutralizacji promieniowania.

Chirurg chrząknął, podrapał porośnięty szczecina podbródek. Na jego twarzy odbiło się skrajne niedowierzanie.

- Oczywiście nie jestem fizykiem, ale najprawdopodobniej mówimy o jakimś nowym sorbencie w rodzaju tych, które wykorzystuje się przy dezaktywacji gruntu - przypuścił Bezbożnik po długiej pauzie. - Tyle że, moi drodzy, to jest długa i kłopotliwa sprawa. Nie na jeden rok, nawet nie na dziesięć. A potem, kiedy radionuklidy zostaną związane w roztworze, i tak trzeba dokądś wywieźć skażony grunt... Potrzebny jest sprzęt. Dużo sprzętu. Buldożery, koparki, ciężarówki...

W skali całego miasta to jest mrzonka.

- A co, jeśli ten Alfejos rzeczywiście netra... neutra... no, likwiduje promieniowanie? - Glebowi ze zdenerwowania słowa plątały się w głowie i uparcie odmawiały łączenia w zrozumiałe frazy. - Jakiś przyrząd albo urządzenie...

Pamiętasz, Aurora, opowiadałaś mi przecież o podobnym wihajstrze? Nazywało się to „odkurzacz”!

Dziewczynka parsknęła śmiechem, ale widząc, jak zmieszał się jej rówieśnik, szybko się opanowała.

- Nawet odkurzacz nie likwiduje brudu, tylko go zbiera. A co do neutralizatora promieniowania, to taki... „wihajster” nie może istnieć w przyrodzie - wyjaśniła, specjalnie starając się mówić powoli i zrozumiale. - Okres rozpadu jąder radioaktywnych pierwiastków jest wielkością stałą i przyspieszenie tego procesu jest niemożliwe. Istnieje nawet takie pojęcie, jak okres połowicznego rozpadu, który na przykład dla cezu-137 wynosi...

- Nie komplikuj, córeczko - wtrącił Bezbożnik. - I tak wszystko jasne. Później oświecisz tych, którzy nie są zorientowani. Sądzę, że teraz ciekawsze są szczegóły rozmowy z Terentiewem. Mówił coś jeszcze o tym precudnym Alfejosie?

Chirurg spojrział na Tarana pytająco, ale ten tylko potrząsnął głową przecząco.

- I gotów jesteś wszystko rzucić i pędzić nie wiadomo dokąd dla jakiejś na wpół legendarnej technologii przypominającej bajkę?

W ciszy, która nastąpiła, słychać było monotony szmer drobinek lodu, które niesione

porywami wichru chrobotwały i stukały o pancerz transportera niczym żywe stworzenia. Dostrajając się do szalejących w mesie emocji, na zewnątrz rozpętała się straszna zamieć.

- Po co? - naciskał dalej Bezbożnik, gdy nie doczekał się odpowiedzi. - Dla kaprysu jajogłowych z rajskiego bunkra? Musimy się tak płaszczyć przed tymi kretami?

- Z Edenem to akurat wszystko jasne - zadudnił w zamyśleniu Giennadij, bawiąc się chochłą. - Nadchodzący konflikt jest dla nich niekorzystny, nie potrzebują ofiar. Boją się stracić bufor ochronny między kompleksem a powierzchnią. Jeśli założyć, że Alfejos to realnie istniejąca technologia, a do tego na tyle skuteczna, że jest w stanie oczyścić choćby kawałek miasta, weganie zrealizują swoje najskrytsze marzenie - przeniosą się na powierzchnię. Wojna o przestrzeń życiową skończy się sama.

- A więc im szybciej wyruszymy na poszukiwania, tym większa szansa, że po powrocie do metra zastaniemy kogokolwiek przy życiu... - podsumował Indianin. - Przy okazji, daleko trzeba drałować?

- Tu właśnie kryje się kolejny problem. Wiadomość nie zawierała dokładnej lokalizacji laboratorium. Ale dzięki pośrednim informacjom, po przeczesaniu raportu, analitycy Edenu określili przybliżony rejon poszukiwań. Wyga nie chciał o nim mówić przez telefon, przestraszył się podsłuchu. Ale podał bardzo wyraźną wskazówkę... - Taran znów napotkał wzrok syna. - Gleb, on powiedział, że wiesz, gdzie szukać.

- Ja? - tyle zdołał wyartykułować chłopiec, w mgnieniu oka zapominając o tym, że się gniewa. - Ale...

Zdumione spojrzenia pozostałych sprawiły, że ostatecznie się zaplątał i tylko otwierał i zamykał usta jak wyrzucona na brzeg ryba.

- Przypomnij sobie, kiedy ostatni raz widziałeś Terentiewa? Opowiadał o czymś w tym rodzaju? Może wymieniał jakieś miejscowości, współrzędne, cyfry?

Gleb wzruszył ramionami z zakłopotaniem, rozpaczliwie starając się odkopać w pamięci szczegóły nieszczęsnego spotkania na Siennej.

„Wujek Witia nie wspominał o żadnym laboratorium. Chociaż, kiedy to było?

Na pewno po tym, jak tułaliśmy się po piwnicach dziedzińca Apraksina, czyli znacznie wcześniej niż Wyga skontaktował się ze służbami Edenu! W takim razie co miał na myśli, mówiąc, że wiem, gdzie szukać?”

Gorączkowe rozmyślania chłopca przerwały przymilne, a zarazem trzeźwiąco surowe słowa ojca:

- No dawaj, Gleb! Wiesz przecież, o czym mowa.

- Niby skąd? O niczym takim nie rozmawialiśmy! Naprawdę nie rozumiem...

Chłopak nadział się na ciężkie, badawcze spojrzenie i nagle umilkł.

- Albo po prostu nie wierzysz w historię z Alfejosem. - Teraz w głosie Tarana czał się lód. - Myślisz, że zawrócimy? Mówiłem to już i powtórzę jeszcze raz - to nie nasza wojna.

- Nic nie ukrywam! Wujek Witia coś pokręcił i...

- Dlaczego nie możesz zrozumieć, że czymś znacznie lepszym jest zapobiec przelewowi krwi, niż w nim uczestniczyć?!

- Kto by pomyślał... - burknął Gleb, pochmurniejąc. - Z Szugajem specjalnie się nie cackałeś...

Sytuacja stała się napięta do granic możliwości. Taran, nienawykły do konieczności tłumaczenia się, coraz bardziej się wściekał. Chłopak przeciwnie, wyglądał na kompletnie zagubionego, a w oczach już zaczęły mu pobłyskiwać zdradzieckie łzy.

Postępując, z miejsca podniósł się Migałycz, rozprostował cherlawe plecy, ściągnął z siwej głowy sfatygowany hełmofon ze sterzącą z licznych dziur watą.

Zdecydowanym ruchem podszedł do stolika, starając się przybrać możliwe najsurowszą pozę. Krzaczaste brwi zeszyły mu się przy tym komicznie u nasady nosa, zaś spiczaste uszy zaczerwieniły z przejęcia.

- Co się tak rozochociliście, koguciki? Starczy tych kłótni! Ty, Gleb, jesteś jeszcze za mały, żeby krytykować starszych. A tobie, dowódco, czas już zmniejszyć obroty. Nie naciskaj na dzieciaka. Widać przecież, że nie kłamie. A jak coś sobie przypomni, to sam powie. Bo powiesz, prawda?

Gleb pociągnął nosem i pokiwał głową. Przez kilka długich, dręczących sekund Taran świdrował wzrokiem syna, potem bez słowa wyszedł z mesy.

- No ładnie - westchnął Indianin. - I dokąd teraz?

- Nie mamy znowu tak dużo możliwości. - Migałycz wcisnął na głowę hełmofon i zdmuchnął kłaczek waty, który spadł mu na nos. - Wyjechaliśmy z miasta, kierując się na wschód, omijając Południowe Bagna. Stoimy teraz na szosie murmańskiej. A więc na razie to nią będziemy jechać. Nie ma sensu przedzierać się przez las.

Nagle staruszek zaniepokoił się, wężąc podejrzliwie.

- Powiało jakby spalenizną...

- Mój gulasz! - Dym klasnął w dłonie i rzucił się w stronę kambuza, omal nie zrzucając potężnym ramieniem półki z narzędziami.

Solidna konstrukcja żałośnie brzęknęła, ale pozostała na miejscu. Migałycz mrugnął do Gleba zdrowym okiem i żwawo pokuśtykał za mutantem, żeby ocenić szkody.

Obiad upłynął w grobowej ciszy. Przeżykali szybko, nawet nie chwając Giennadija za

kulinarny talent, którym się wykazał. Rozdzielili po prostu porcje i rozeszli się, każdy gdzie indziej, po kątach i schowkach. Po wyjeździe w huku eksplozji i nader emocjonalnej naradzie rozmowa się nie kleiła. Trzeba było dojść do siebie, zastanowić się nad szokującymi wiadomościami, przyzwyczać do nietypowej sytuacji.

Ciągłe wibracje i monotonne huczenie silnika nie poprawiały komfortu.

Przedziałem pasażerskim rzucało z boku na bok, nieumocowany ekwipunek latał w całym transporterze po nieprawdopodobnych trajektoriach, a pasażerowie zdążyli nabić sobie niejednego guza i czuli się niewiele lepiej niż szprotki ściśnięte w turlającej się w dół puszcze konserwy.

Maleństwo, kierowane przez doświadczonego Migałycza, uparcie przedzierało się przez porośniętą rzadkimi krzewami, zaśnieżoną przesiekę, przebijając się coraz dalej na wschód po resztkach szosy murmańskiej. Z każdym przejechanym kilometrem było coraz mniej przeszkód w rodzaju zasypanych śniegiem aut i masywnych przyczep tirów. Miasto zostało daleko w tyle i dawno temu porzucone pojazdy trafiały się coraz rzadziej.

Wkrótce ciężkim transporterem przestało rzucać i załoga pod ustawiczną kontrolą Tarana zabrała się do urządzania swojego nowego „domu”. Koloniści z Moszcznego swego czasu wykonali kawał dobrej roboty, dostosowując wyposażenie do potrzeb rajdów zwiadowczych w głąb dzikich terytoriów. Kreatywni mechanicy wpadli na pomysł, by pod warstwą pancerza ukryć pokaźną liczbę użytecznych urządzeń, poczynając od instalacji oczyszczającej wodę, a kończąc na przemysłnym systemie odprowadzania ciepła z silnika, wykorzystywanego do ogrzewania części mieszkalnej.

Ochrona przed szkodliwymi warunkami zewnętrznymi - kwaśnymi deszczami, zatrutym powietrzem i promieniowaniem - oznaczała dla transportera dobre kilkaset dodatkowych kilogramów, ale hermetyczne drzwi, wentylacja z systemem filtrującym i warstwa ołowiu, którą obłożono kabiny, pozwalały w razie potrzeby przemknąć przez skażone rejony bez narażania życia pasażerów.

W swoim długim życiu Migałycz miał do czynienia z wieloma najrozmaitszymi wytworami techniki, a we wspaniałych czasach przed wojną zdobył nawet posadę pilota oblatywacza, ale pierwszy ogląd cudownego pojazdu babelczyków wprowadził go w nieopisany zachwyt. Od tej pory staruszek wciąż wychwalał transporter na wszelkie sposoby i mógł to robić godzinami.

Gleb nawet nie próbował zapamiętać wszystkich zalet Maleństwa, które wyliczał stary motorniczy, ale zdążył już docenić jego najbardziej użyteczne cechy, czyli zasięg i zdolność pokonywania przeszkód. Wieloosiowe podwozie i półmetrowy prześwit pozwalały bez

specjalnych problemów poruszać się po pofałdowanym terenie, pokonywać śnieżne zasy, a nawet całe połacie powalonego przez huragany lasu. Kolejowa cysterna z paliwem, przyspawana do ramy w przedniej części transportera, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś spoczywała głowica międzykontynentalnej rakiety balistycznej Topol-M, znacznie ograniczyła udźwig, za to zapewniała zmodyfikowanemu pojazdowi właściwie nieograniczony zasięg.

Dwadzieścia ton zregenerowanego, ale całkiem zdatnego do użytku oleju napędowego...

Dla każdej zamieszkałej stacji metra byłby to majątek. Primorscy woleli nie mówić, skąd wytrzasnęli tak ogromny zapas wachy, z którą krucho było nawet u wszędobylskich mazutów z Technolożki. Musieli się natknąć na obrzeżach miasta na nienaruszony podziemny zbiornik z paliwem. Tak czy inaczej, hojna propozycja Aliansu była dla Tarana zaskoczeniem i nadeszła w bardzo odpowiednim momencie.

Cena też okazała się całkiem przystępna - najemnik miał zdobyć informacje o nieskazitanych terenach.

Chociaż, mając w pamięci nieudaną „impresę pożegnalną”, dawna umowa raczej przestanie obowiązywać. Primorskich udobrucha chyba tylko głowa krnąbrnego najemnika na szafocie, a i to jedynie pod warunkiem, że po wojnie z imperium wegan będzie miał kto wykonać egzekucję...

Gleb nie pozostawał w tyle za pozostałymi i nawet całkiem już opadając z sił, wypełniał polecenia ojca i kolejarza. Kiedy skończył cerować podarte śpiwory, zabrał się za pomoc Aurorze przy inwentaryzacji zapasów żywności. Potem, wspólnie z Indianinem, zajął się otepiającym usuwaniem plam rdzy ze ścian przedziałów, póki ręce nie rozbolały go ze zmęczenia. Czas mijał niezauważenie i okazja, by pogapić się na przesuujące się za oknem przestrzenie zewnętrznego świata nadarzyła się dopiero pod wieczór, kiedy dookoła zrobiło się tak ciemno, że choćby nie wiadomo jak się wpatrywać, nie dało się już czegokolwiek rozpoznać. Jednak kiedy pojawiła się możliwość wyjścia na zewnątrz, chłopakowi nie w głowie było odmawiać i ochoczo zgłosił się do pomocy Dymowi w naprawie wyciągarki zamontowanej na zewnątrz pojazdu.

Taran się nie sprzeciwił, więc już po kilku minutach chłopiec stał przy wejściu do komory służy w skafandrze ochronnym oraz pachnącej talkiem masce przeciwgazowej. Mutant jak zwykle pogardził namordnikiem i wcisnąwszy się do maleńkiego dla jego gabarytów przedsionka, wyszedł na tylny pomost jako pierwszy.

Potem nadeszła wreszcie kolej Gleba.

Wystarczyło uchylić odporne drzwi na zewnątrz, żeby uderzył go po uszach niski ryk silnika. Na krótkich trzystopniowych schodkach i zakratowanych metalowych pomostach połykiwał lód. Przytłumiona mlecznym pleksiglasem lampa oświetlała tylko skrawek przyprószonej śniegiem powierzchni platformy. Czarna sylwetka Giennadija majaczyła pod przeciwległą ścianką nadwozia, przez dźwięk silnika dobiegał już zgrzyt metalu.

Trzymając się oszronionych poręczy, chłopiec ostrożnie zszedł ze schodów.

Pomimo ochronnej klatki, nieco strasznie było stać na środku chwiejącej się razem z transporterem platformy. W każdej chwili nagły poryw wiatru może zepchnąć na sam skraj, a tam się okaże, jakie niebezpieczeństwa czekają po drugiej stronie kraty... Po bokach, podchodząc do samej szosy, niespiesznie przepływały strzeliste ściany gęstego lasu, co tworzyło iluzję jazdy po dnie olbrzymiego kanionu. Smugi światła reflektorów bez celu omiatały rozłożyste konary potężnych drzew, rzucając złowieszcze cienie i sprawiając, że do głowy przychodziły mroczne myśli.

Gleb skulił się i podbiegł do Giennadija. Jak już sterczeć na smaganym wiatrem pomoście, to we dwójkę zawsze raźniej. Z ust mutanta unosiła się para, młot w oplecionej węzłami mięśni ręce fruwał jak piórko. Wystarczyło kilka celnych uderzeń, żeby zbić główki przyrdzewiających do pochylni sworzni mocujących. Dym z łatwością podniósł do góry zdemontowaną wyciągarkę, poobracał mechanizm na wszystkie strony, obejrzał krytycznie kołowrót z postrzępioną resztką liny i odwrócił się w stronę towarzysza:

- Co sądzisz?

- Będzie trochę roboty. Trzeba to rozebrać. Nakrętki są stare, ale spróbować nie zaszkodzi. Zaraz, tylko wyciągnę klucz nastawny.

Chłopiec od razu sięgnął do torby z narzędziami. Potem pomógł przytrzymać obudowę, kiedy jego towarzysz siłował się z wałem bębna. Pochłonięty naprawą, Gleb nie od razu usłyszał, że Dym coś niewyraźnie mamrocze.

- Co? - spytał na wszelki wypadek.

- Mówię, że widziałem raz u takiej handlarki z Elektrosiły lecznicze ziele.

Jeszcze przedwojennej produkcji! Podobno po zaparzeniu smakuje jak prawdziwa herbata! Wprawdzie cenę też miało taką, jak prawdziwa... Inaczej na pewno kupiłbym trochę na spróbowanie! „Szałwia” - słyszałeś o czymś takim?

Zapamiętałem też opakowanie. Tak na wszelki wypadek. Może się jeszcze wzbogacę podczas ekspedycji?

Widząc tępe spojrzenie chłopca, ciągnął dalej:

- Do czego zmierzam: może to ustrojstwo z opowieści Wygi też jest jakoś związane z

medycyną? Szałwia... Alfejos... - Mutant obracał słowo¹ na języku, przysłuchując się jego brzmieniu, jakby mogło to rzucić światło na istotę zagadkowego wynalazku. - Mów, co chcesz, ale to dziwna nazwa.

- Rzeka... - powiedział z zadumą Gleb, odprowadzając wzrokiem zlewające się z wieczornym niebem wierzchołki wiekowych świerków.

- Co?

- Tak nazywała się rzeka, przy pomocy której Herakles oczyścił stajnię Augiasza...

- Herakles? - dopytał Dym. - Nie słyszałem. Z jakiej to stacji? Chociaż i tak wiadomo, że od mazutów. Sensowni hydraulicy są teraz na wagę złota...

Słuchając jednym uchem, chłopiec sięgnął do kamizelki po śrubokręt, gdy z kieszeni wypadł mu kawałek cudem zachowującego połysk papieru fotograficznego. Gleb zaklął, próbując umieścić znalezione w Kronsztadzie trofeum z powrotem na swoim miejscu, ale kolejny poryw wiatru jak psotny szczeniak porwał zdjęcie ze śniegu i zaniósł w przeciwległy róg platformy.

Bez chwili wahania, chłopiec rzucił się w pogoń. Kiedy do fotografii pozostało nie więcej niż parę metrów, na ochronną kratę spadł od zewnątrz ciężki czarny kleks.

Pręty dźwięcznie zawibrowały, a bezkształtna gruda czarnej substancji zsunęła się kawałek niżej i znieruchomiła, jakby przymarzła do wychłodzonego przez lodowaty wiatr metalu. Gleb odskoczył. Nie utrzymał równowagi i padł na plecy. Karabinek dotkliwie wbił mu się w bok.

Od plamy mroku oddzieliła się cienka macka i wsunąwszy się za pręty kraty, ostrożnie ruszyła w stronę buta. Chłopak cofnął nogę z obrzydzeniem i odsunął się do tyłu. Lufa bizona jak na złość zahaczyła o fałdę workowatego skafandra, nie pozwalając uwolnić broni spod ubrania. Gleb obejrzał się, wciąż wściekle szarpiąc pasek. Dym pędził już na pomoc, ściskając w ogromnej łapie podstawę wyciągarki.

Jednak warstwa lodu na metalowej powierzchni platformy zrobiła olbrzymowi złośliwego psikusa. Machając niezdarnie rękami, Giennadij poleciał na pomost, a żelazo wyleciało dziwacznym łukiem w powietrze, zadzwoniło o kratę kilka centymetrów od napastnika, nie czyniąc mu żadnej szkody, i spadło na dno platformy.

Mimo to stwór zareagował na uderzenie, żwawo przemieszczając się na górę klatki. W świetle lampy mignęły krótkie, najeżone kolcami łapki, złowieszczy stukot chityny o metal ustąpił miejsca przenikliwemu terkotaniu. Chłopak wyciągnął wreszcie bizona i wycelował. Czarna plama majaczyła gdzieś w górze, praktycznie nad jego głową. Zatem strzelać byłoby niebezpiecznie. Jeśli stwór jest jadowity i zachłapie posoką maskę przeciwwgazową, albo, co

gorsza, coś przesączy się pod skafander, kłopoty pewne.

- Na bok!

Ciało zareagowało na komendę szybciej niż umysł zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Gleb odruchowo przeturlał się na bok i nie zauważył, jak pasożyta zmiotło z kraty. Uszy przeciął huk pojedynczego wystrzału, odłamki chityny zabębniły o kratę. Chłopiec uniósł głowę. Nieco śluzu na prętach i zwisająca z góry macka - oto wszystko, co zostało z nieproszonego gościa.

Pechowa fotografia wciąż leżała na kraju platformy, w każdej chwili mogąc przepaść w mroku za poszyciem transportera.

Giennadij był już na nogach i dawał komuś znać ręką, że wszystko w porządku. Gleb odwrócił się, wpatrując w ciemność. W okratowanym punkcie obserwacyjnym na dachu kontenera mieszkalnego poruszyła się postać strzelca przyklejonego do celownika karabinu snajperskiego. Wszystko jasne - Taran nie wytrzymał i ubezpieczał ich z góry.

- Starczy przygód na dziś. - Dym otrząsnął się, zerkając ze złością na rozkręconą wyciągarkę. - Rano dokonamy. Nie ma co grzebać po ciemku.

Dowódca czekał na nich na progu komory śluzu. Gleb z ulgą ściągnął maskę, otarł rękawem wilgoć ze zmurszałej gumy i popatrzył na ojca przepraszająco.

Chociaż ten, jak się zdawało, tym razem nie zamierzał wszczynać awantury. Zresztą niespecjalnie było o co. Sam przecież puścił go, żeby się przewietrzył!

- O mało nie złapaliśmy „kleszcza”! - zawołał gniewnie Dym, rzucając na ziemię torbę z narzędziami. - Wielki był, ślicznota!

Zaniepokojenie na twarzy Tarana ustąpiło miejsca ciekawości, wystarczyło opuścić wzrok na dłoń syna, w której ten zaciskał kawałek papieru. Dostrzegłszy nieme pytanie, chłopiec rozwarł palce, kładąc trofeum na skraju stolika.

- Naklejka z pamiątkowego talerza - wyjaśnił. - Z Kronsztadu. Pamiętasz?

Zatoka ze smukłymi żaglowcami, mieniący się światłami port, dzielnice miasta... Stalker doskonale znał tę panoramę - Gleb często spędzał całe wieczory, długo przyglądając się fotografii z przeszłości.

- Słuchaj, a pokazywałaś to kiedyś Wydze? - zapytał przymilnie Taran.

Z czeluści pamięci wypłynął wyraźny obrazek - zawalone papierami biurko z desek w zakurzonej gabinecie, pęknięta szklanka z fusami na dnie, prostokątny plastikowy timer, który Gleb tak niefortunnie przyniósł naczelnikowi Siennej, myląc go z zegarkiem... A obok... ona! Naklejka!

„No tak! Przeszkadzała mi, kiedy wyjmowałem prezent - i tak znalazła się na biurku!

Terentiew obracał ją nawet w palcach, kiedy psioczył na mnie za timer!”

Gleb już był gotów podzielić się wspomnieniami, ale Taran i tak wszystko wyczytał w oczach syna.

- No cóż... A więc łamigłówka rozwiązana. Teraz przynajmniej wiadomo, gdzie mamy szukać tego centrum badawczego. A Wyga też jest niezły, konspirator pieprzony! Jakby nie mógł od razu powiedzieć...

Członkowie oddziału przerzucali wzrok z jednego na drugiego i mrugali, nic nie rozumiejąc.

- Gleb, nie widzę, żebyś się cieszył. Przecież marzyłeś... żeby choć rzucić okiem... - Stalker skinął głową w stronę wyblakłej fotografii.

Teraz na przedmiot rozmowy skierowane były spojrzenia całej załogi.

Chłopiec, który przez ten długi czas zdążył przestudiować każdy milimetr, każdy szczegół czarownego obrazka z niewymownie piękną panoramą nadbrzeżnego miasta, popatrzył z przejściem nieco niżej, tam, gdzie widniał krótki, lecz owiany tajemnicą podpis - „WŁADYWOSTOK”.

1 W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: *szalfiej* (szałwia) - *Alfiej* (Alfejos) (przyp. red.).

Rozdział 3

CHMURA

Śnieg, który wśród miejskich ruin był szary od pyłu i sadzy, tutaj mienił się bielą i skrzył w promieniach słońca, przebijającego niekiedy przez zasłonę ponurych chmur. Nieprzenikniona pokrywa rozciągała się na całej szerokości przesieki, od jednej ściany lasu do drugiej, wygładzając kanciaste kształty budynku stojącego na skraju pobocza, niwelując nierówności terenu, skrywając przed wzrokiem rowy, nasypy, słupki drogowe. Tylko słupy energetyczne, ze strzępami oblodzonych przewodów, służyły za nieme przypomnienie o leżącej pod warstwą śniegu szosie.

Nieczęsty w tych okolicach brak wiatru i cisza, zakłócana tylko przez trzaskające na mrozie pnie, nadawały i bez tego idyllicznemu pejzażowi aurę beztroski i spokoju.

W tym złudnym pięknie było jednak coś nienaturalnego. Coś przerażającego kryło się za kojącą ciszą tego cudownego miejsca. Z leśnego gąszczu nie dobiegało wesołe stukanie dzięciołów, w korzeniach drzew nie chrobotwały nornice, a nawet rozplenione ponad miarę mutowilki nie wypełniały powietrza tęsknym wyciem. Brak śladów zwierząt na nietkniętej powierzchni śniegu wskazywał na jeden bezsporny fakt - w powietrzu czaiła się niewidzialna śmierć. Okrutny drapieźnik, doskonały myśliwy nowego świata, niepodzielnie panujący na wypalonej powierzchni planety od chwili zniknięcia jej dawnych panów...

Miejscowa flora - pod wpływem wysokiego promieniowania zmieniona nie do poznania - niezbyt już przypominała drzewa w klasycznym rozumieniu tego słowa.

Powykręcane, nienaturalnie rozrośnięte wszere i wzwyz pnie z guzowatymi naroślami wyglądały przerażająco obco, zupełnie jak nie z tej Ziemi, a splot kolczastych gałęzi, ciągnący się wzdłuż drogi nieprzeniknionym murem, przypominał raczej ogrodzenie z drutu kolczastego.

Co się zaś tyczy fauny... Nic nie odważyło się w pogodny grudniowy poranek zakłócić spokoju tego miejsca - czarująco pięknego, lecz niosącego śmierć. Nie było żadnej istoty, która mogłaby obserwować zbliżający się od zachodu czarny punkt, powiększający się z każdą sekundą i wypełniający przestrzeń dawno zapomnianym mechanicznym dźwiękiem - warkotem wielokonnego silnika. Jeszcze chwila i ogromne koła ryczącego stalowego potwora przecięły skrzącą się śnieżną pierzynę, klinowy pług na pełnej szybkości staranował szereg

zasp. Wzbijając w powietrze tony lodowego pyłu, samobieżna wyrzutnia rakiet z dużą prędkością przejechała obok zasypanej śniegiem przydrożnej knajpy i już po kilku minutach zniknęła za zakrętem.

Kiedy rozwiała się chmura spalin i głucho, huczące echo przestało hulać wzdłuż przesieki, tylko głęboki tor w śniegu, rozcinający polanę niczym szpetna poszarpana blizna, wskazywał na niedawną wizytę ludzi.

* * *

- Drugą dobę na nogach! Mówię mu: idź spać, teraz moja kolej. A ten dalej za kółkiem. I oczy mu się na siedząco zamykają. Tylko patrzeć, jak spadniemy w jakiś wąwóz i kaplica!

Staruszek ze złością rzucił hełmofon na ławkę, rozdrażniony rozłąką z ulubioną zabawką. Dym pokiwał głową współczująco i delikatnie odsunął Migałyczka z przejścia.

- No, ojczulku, przesun się. Tutaj trzeba fortem. Delikatnie...

- Krawata nie zapomnij, dyplomato! - rzucił w ślad za nim kolejarz.

Ale Giennadij, zgięty jak scyzoryk, wcisnął się już w jedyne przejście prowadzące do kabiny kierowcy.

Dzieci, mimowolni świadkowie rozgrywającego się tu „dramatu”, tylko wzruszyły ramionami i wróciły do ciekawszego zajęcia - obserwowania przesuwających się za okienkami krajobrazów. Indianin był całkowicie pochłonięty rozkładaniem przydzielonego mu snajperskiego wintorieza, dlatego Migałycz, który wciąż nie zaspokoił pragnienia rozmowy, przysiadł na koi obok zwiniętego w kłębek Bezbożnika. W powietrzu unosił się ledwie uchwytny odór przetrawionego alkoholu.

Łamiąc wszystkie zakazy dowódcy, chirurg przemycił jednak na pokład wódkę i pod wpływem firmowego „środka nasennego”, odwrócony do ściany, spał jak zabity.

- Mówię ci, niezłe z niego ziółko! - oznajmił z miejsca staruszek, dla pewności szturchając lekarza łokciem w bok. - Jedzie bez odpoczynku. Wykończy nam maszynę! Tak jest, wykończy!

Bezbożnik się poruszył. Rozkleił powieki, powiódł po przedziale mętym wzrokiem. Widząc, że dziarski staruszek raczej się nie odczepi, niechętnie opuścił nogi na podłogę, oparł się ramieniem o przepierzenie i porządnie ziewnął.

- Przecież on nie zaśnie... Ty byś, ojczulku, potrafił kimać po czymś takim?

W końcu do swoich strzelał. To nie są żarty... Te primorskie umarlaki jeszcze długo będą mu się pokazywały w snach.

Gleb wreszcie zainteresował się dyskusją, oderwał się od wizjera i nadstawił uszu.

- A ja się zastanawiałem, co on taki podenerwowany? Patrzy wilkiem, słowa mu nie można powiedzieć... - Kolejarz zaczął miętosić w zadumie sfatygowany hełmofon.

Chirurg obejrzał się ukradkiem, puścił oko do chłopaka i wyciągnął zza pazuchy płaską manierkę z łuszczącą się na krawędziach farbą.

- Napijesz się? - zaproponował staremu.

- Uważaj no, chłoptasiu, dowódca cię na tym przyłapie i wysadzi z pociągu.

Mandatem się nie wymigasz.

- No, jak tam chcesz. - Bezbożnik odchylił do tyłu głowę, głośno przełykając.

Sekundę później manierka zniknęła pod połą waciaka niczym karta z rąk iluzjonisty.

- W swoim czasie też tak histeryzowałem - mówił dalej po tym, jak otarł usta rękawem. - Kiedy pacjent kopnął w kalendarz na moich oczach. Wprost na stole operacyjnym.

- Zdarza się... - westchnął Migalycz.

- Mnie się nie zdarzyło. Ani razu. Aż do tego przypadku...

Teraz również Aurora odwróciła się w stronę rozmawiających, łowiąc każde słowo. Ale lekarza już poniosło i dodatkowa para uszu nie mogła zatrzymać potoku wyrrywających się wyznań.

- W metrze na początku dalej praktykowałem. Było mnóstwo roboty. Ciągłe nowi do krojenia. Wyrostki robaczkowe, rany postrzałowe, złamania... Wkrótce zaczęły się problemy z anestetykami. Stalkerzy przynosili co nieco z powierzchni, ale ledwo starczało... Szklanka nalewki zamiast znieczulenia, knebel w zęby i do przodu... A jak tu pracować, kiedy pacjent się przed tobą rzuca, wydziera się, jakby go kto kroił?! Chociaż dlaczego „jakby”... No i sam zacząłem popijać. Na odwagę.

Żeby nie słyszeć tych biedaków...

Spoglądając na przedwcześnie postarzałego lekarza, Gleb nagle uświadomił sobie z całą ostrością, jak ciężkie brzemie wziął na barki Taran, otwierając ogień do primorskich. W tym momencie chłopiec poczuł nieznośny wstyd za rzucone w porywie gniewu słowa. Jednak słysząc cichy, drżący głos, wrócił do rzeczywistości.

- Dokładnie pamiętam tamten dzień. Równo rok po Katastrofie... Obudzili mnie, wzięli pod rękę - i do sali operacyjnej. A one - rączęta moje własne - trzęsą się z przepicia!

Palce mnie nie słuchają, choćbym pękł! A tu, jak na złość, nie można ani chwili zwlekać... Przywieźli faceta z pękniętą czaszką. Można powiedzieć, że biedaczysko miał szczęście - wystarczyłoby wyjąć odłamek kości skroniowej i mógłby jeszcze pobiegać po tym padole łez...

Bezbożnik nagle zakrył twarz dłońmi, przerywając chaotyczny monolog, i zaczął kiwać się w przód i w tył. Na skroni uwydatniła mu się pulsująca niebieska żyłka.

- Nie dałem rady, bracia... Zawiodły mnie moje rączeta... I to nimi właśnie posłałem go do grobu...

Lekarz popatrzył nienawistnym wzrokiem na drżące palce, zacisnął pięści, aż zachręściły mu stawy, i znów umilkł, tym razem na długo.

Staruszek, chcąc pocieszyć Bezbożnika, niezgrabnie poklepał go po ramieniu, już po raz któryś żałując, że zaczął tę rozmowę. A Gleb... Gleb po raz pierwszy popatrzył na zastygłego w pozie męczennika pijanicę bez dawnego lekceważenia.

Niezręczną ciszę zakłóciło skrzywienie hamulców. Maleństwo zachwiało się i stanęło, a pasażerowie poniewczasie chwycili za poręcze i przepierzenia. Dzieci rzuciły się na złamanie karku do kabiny nawigacyjnej, ale Migalycz, z zadziwiającą w tym wieku szybkością, zdążył zająć miejsce w „pierwszym rzędzie” przed nimi.

- Dlaczego stoimy? - zagaił rzeczowo staruszek po włączeniu interkomu.

Przez półotwarte stalowe żaluzje widać było, jak w sąsiedniej kabinie Taran wskazuje palcem gdzieś przed siebie. Pochylony nad fotelem kierowcy Giennadij też nie odrywał wzroku od złowieszczej chmury, która majaczyła wprost na ich drodze.

Zaszemrała wycieraczka, pozostawiając na szybie brudne żółtawe smugi.

Przyjrząwszy się krajobrazowi za oknem, Gleb zrozumiał w końcu, co tak zaniepokoiło ojca.

Opary słały się nisko nad ziemią, gęstniejąc i ogromniejąc, wypełniając jary i doły, i parę kilometrów dalej w dół szosy rosły, tworząc nieprzeniknioną ścianę mgły, rodzaj frontu burzowego, który przykrywał olbrzymi teren niczym gigantyczna kopuła. Zjawisko, które ukazało się ich oczom, porażało swoimi rozmiarami.

Chłopiec walczył z całych sił, żeby nie okazać ogarniającego go lęku. Aurora, nie kryjąc zdziwienia, cicho krzyknęła i spojrzała pytająco na kolegę. Gleb tylko wzruszył ramionami - jeszcze nigdy nie napotkał na powierzchni czegoś podobnego.

Głos Tarana, który niespodziewanie zabrzmiał w głośnikach, sprawił, że wszyscy się wzdrygnęli.

- Na wprost nas jest Czerepowiec. Zdaje się, że minęliśmy właściwy zakręt i widzimy

teraz miasto od północy.

Przez szczelinę w gęstej jak wata zasłonie mgły pojawił się na moment samotny komin fabryczny.

„Miasto! Pierwsze duże miasto na naszej drodze! - cieszył się w duchu chłopak. - Być może gdzieś tam, za mgłą, wciąż jeszcze tli się życie...”

Lecz dobiegający z korytarza zapach spalenizny rozbił nieśmiało nadzieje w proch.

- Zamknąć wloty powietrza! To dym!

Hermetyzacja przedziału pasażerskiego nie trwała długo. Po krótkiej naradzie wędrowcy postanowili nie tracić czasu na objazd niebezpiecznego miejsca, lecz jak najszybciej przeciąć miasto, a jednocześnie dowiedzieć się czegoś więcej o przyczynach pożaru. Ogień nie mógł chyba pojawić się sam z siebie?

Mimo wszystko trudno było rozstać się z nadzieją na spotkanie ludzi...

Kiedy transporter na niskim biegu przekroczył granicę kłębiących się, szarych wyziewów, członkowie załogi wlepiali oczy w iluminatory, próbując w otulającym ruiny smogu odnaleźć oznaki życia. Ale gdzie tam... Wszędzie napotykali na ten sam obraz wszechobecnego spustoszenia - porzucone na środku ulic samochody, zapadnięte dachy magazynów...

Bezpośredni dojazd do dzielnic mieszkalnych był niemożliwy. Drogę zagroziła im buchająca dymem dzielnica Industrialnyj. Jej nazwę przypomniał sobie Migalycz, który w minionym, przedwojennym życiu odwiedził Czerepowiec w jakiejś służbowej sprawie.

- Miasto metalurgów i chemików... - głosił z dumą staruszek, spoglądając na porytą lejami po bombach dzielnicę fabryczną. - Wielki ośrodek przemysłowy! Ile był wart choćby sam Siewierstal, Azot czy Ammofos! Przypominam sobie, jak dojeżdżałem do stacji pociągiem, a za oknem tylko kominy i kominy... Tyle ich było i wszystkie buchały dymem. Coś pięknego!

- Ale pięknie też wyrzucały do atmosfery mnóstwo rozmaitego paskudztwa - błysnęła erudycją Aurora. - Dwutlenek azotu i siarki, dwutlenek węgla, fenol, formaldehyd... Pół tablicy Mendelejewa!

- Dodaj do tego produkt końcowy - amoniak, kwas azotowy, fosforowy i siarkowy - podchwycił Migalycz. - Jeśli trafiło w magazyny produktów wytwarzanych przez zakłady, to cały ten bukiet rozniosło po okolicy.

- I zdaje się, że ten dym też nie jest wynikiem pożarów... - rozwinął myśl Taran. - Chemia tli się jak torfowiska jesienią.

- Pod śniegiem? Do tej pory?

Indianin przyglądał się dymiącym ruinom z niedowierzaniem.

- Cóż, śnieg jest tylko na wierzchu - wyjaśnił Migalycz. - A hale fabryczne, szczególnie te z bardziej skomplikowanymi liniami technologicznymi, mogą sięgać kilku pięter pod ziemią. Taki ogrom, że można się zgubić. Prawdziwe katakumby...

Przy niespiesznych rozmowach minęła większa część drogi wzdłuż porażającego swoim ogromem terytorium z łysymi plackami wypalanej ziemi, zburzonymi halami fabrycznymi i powyginanymi żelbetowymi konstrukcjami.

Położony na desce rozdzielczej dozometr co i rusz gderliwie terkotał, ale nawet dla nieobeznanego z fizyką jądrową Indianina jasne było, że w Czerepowcu obeszło się bez „ognistego grzyba”, a zakłady ucierpiały w wyniku punktowych bombardowań lotniczych. Po zatoczeniu pokaźnego łuku transporter skręcił w ginący w dali kawał pustkowia, kiedyś ulicę Staliewarow. Widoczność nieco się poprawiła, ale tu też krajobraz był ponury i nie skłaniał do optymizmu - rozbite witryny sklepów, zarośnięte chwastami skwery... Choć domy wyglądały na zmurszałe, nie było widać śladów bombardowania. Nie natrafiali też na leje po wybuchach w zaśnierzonych alejach opustoszałych kwartałów mieszkalnych. Powstawało wrażenie, że mieszkańcy po prostu porzucili miasto, uciekając w pośpiechu przed skutkami rozpętanej katastrofy ekologicznej.

- Ani ludzi, ani zwierząt... - odezwał się Bezbożnik, odrywając się w końcu od bolesnych wspomnień. - Coś mi się zdaje, że w powietrzu jest tyle toksyn, że nawet mutanty nie ryzykują. Żadnego życia. Wszystko wyjałowione jak w sali operacyjnej... Choć, co prawda, trochę tu brudniej...

W miarę jak oddalali się od zasnutej smogiem Dzielnicy Przemysłowej, dozometr wreszcie ucichł, a Taran nawet zaryzykował i włączył wentylację, zwłaszcza że filtry węglowe pozwalały zablokować znaczną część szkodliwych substancji. Zostawili straszne miejsce za sobą i dotarli na zaśnierzoną nizinę ciągnącą się daleko na zachód i wschód. Migalycz, który wywalczył w końcu fotel kierowcy, sprawdził mapę. Przed nimi rozpościerała się skuta lodem rzeka Szeksna.

- Nawiasem mówiąc, to pierwszy most wiszący w Rosji - Migalycz nie omieszkął popisać się krajoznawczą erudycją. - Oktiabrski...

Gigantyczna konstrukcja ze strzelistym trójkątnym pylonem pośrodku wyglądała groteskowo i nie budziła szczególnego zaufania. Zmęczenie metalu to nie jest coś, co da się przewidzieć. A jeśli do tego nieprzyjemnego zjawiska dodać dwadzieścia lat bez remontów i przeglądów, to perspektywa spaceru po moście w ogóle nie wyglądała na dobry pomysł. Jednak stalker obawiał się wjazdu na grudniowy lód - transporter o wadze wielu ton mógł w

ciągu sekundy zniknąć pod wodą. W końcu postanowili, że spróbują szczęścia i przejadą górą, posyłając przodem zwiadowców.

Kiedy Maleństwo drgnęło i zaczęło posuwać się na małych obrotach wzdłuż wzorzystej balustrady mostu, Taran i Giennadij zdążyli już oddalić się na sporą odległość i teraz pedantycznie badali powierzchnię jezdni, szukając potencjalnych pęknięć i wyrw. Gleb, który, nie chcąc się odczepić, szedł za nimi, wytrzeszczał tylko oczy na obie strony, w niemym zachwycie chłonąc otwierające się z góry widoki.

Skuta lodem potężna bryła masowca, która wznosiła się na środku rzeki około trzystu metrów po prawej stronie, mimowolnie przyciągała wzrok. W jakie rejsy wypływał ten gigant, dokąd zdążył zawitać, nim zastygł na zawsze, zamieniając się w nikomu niepotrzebną górę żelaza?

Chłopiec tak się zagapił, że omal nie wpadł na ojca. Stalker z podniesionym automatem wpatrywał się w gęstą mgłę przed sobą. Dym zdjął już z ramienia swojego ulubionego utiosa, zgasił palcami żarzącego się skręta, wypatrzył cel i zajął pozycję obok. Teraz nawet niewysoki Gleb zauważył ruch jakiegoś dwadzieścia metrów wprost przed nimi. Ciemna podłużna plama powoli, pojedynczymi szarpnięciami, pełzła w przeciwnym kierunku, wijąc się jak dobrze nażarty błotny gad.

Taran dał znak pozostałym i zaczął powoli zbliżać się do nieznanego zwierzęcia. Chłopak podreptał za nim, nie zapominając, by co jakiś czas oglądać się za siebie. Olbrzym Giennadij szedł bardziej z lewej, starając się zająć niespodziewanego gościa z flanki. Ten wyczuł prześladowców i szarpnął się, nagle przyspieszając, ale wyraźnie nie był w stanie rywalizować z natrętnymi dwunogami.

Kiedy do celu pozostało nie więcej niż kilka metrów, chłopak ze szczerym zdumieniem rozpoznał w szamoczącym się w śniegu czarnym kształcie... człowieka!

Wystarczyło podejść nieco bliżej, żeby wszystkie wątpliwości ustąpiły.

W rzeczy samej, był to najprawdziwszy żywy człowiek. Niezgrabnie wlokąc za sobą nogę z rozerwaną do kolana nogawką, nieznajomy w skafandrze ochronnym zniszczonym nie do poznania czołgał się w stronę końca mostu. Spod maski przeciwgazowej dobiegał niezrozumiały, paniczny bełkot.

- Hej! - zawołał Taran. - Hej, dywersancie! No stój, do cholery! Stój, do ciebie mówię!

Ale ranny nie reagował, wciąż z maniackalnym uporem szturmując kolejne zaspę. I dopiero kiedy jego potylicy dotknęła lufa automatu, człowiek ucichł, bezsilnie opuszczając głowę w śnieg.

- Skąd jesteś, chłopcze? Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy! Co tak milczysz?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, stalker cicho zaklął, rozejrzył się po okolicy i zarzucił kałacha na ramię.

- Dobra, panowie. Nie będziemy tu sterczeć. Giena, ładuj gościa do wozu. Tam się zastanowimy, co to za ptaszek.

Mutant bez widocznego wysiłku podniósł rannego z ziemi i wrzucił go sobie na potężne plecy. Ten ledwie słyszalnie jęknął, ale nawet nie próbował się opierać.

I dopiero wewnątrz Maleństwa okazał niespodziewaną sprawność - zerwał obrzydłą maskę przeciwgazową, wcisnął się w najdalszy kąt kabiny i, spazmatycznie wciągając ciepłe powietrze, zaczął zaszczutym wzrokiem rozglądać się dookoła.

Powierzchność nieznajomego okazała się tak niepozorna, że wzrok prześlizgiwał się po bladej przestraszonej twarzy jak po lodowisku, nie będąc w stanie na czymkolwiek się zatrzymać, uchwycić nijakich, wymykających się rysów. W pamięci zostawała tylko gęsta siwiejąca broda i ogromne czarne oczy, w głębi których na stałe zamieszkał strach.

Próby nawiązania kontaktu z obcym spełzły na niczym. Namowy, pytania, pojednawczy ton - nic nie pomagało. Dziwny gość wciąż milczał, za to zaproponowaną przez życzliwych gospodarzy herbatę wydudlił do dna, parząc sobie język. Rewizja rzeczy osobistych też niespecjalnie pomogła. Kawalek suszonego mięsa, słabiutki szturmowy wał z garścią nabojów, nóż, sól, zwitek bandaży - standardowy zestaw stalkera. Interesujący był jedynie związany sznurkiem plik map.

Na niektórych z nich widniały starannie wypisane rysikiem niezrozumiałe symbole, czasem z towarzyszeniem cyfr.

Wystarczyło pokazać znalezisko brodaczkowi, żeby sytuacja zasadniczo się zmieniła. Zachowujący dotąd milczenie nieznajomy zmienił się na twarzy i zaczął gestykulować jak oszalały, otwierając przy tym szeroko usta.

- Ludzie, przecież on jest głuchoniemy! - olśniło Bezbożnika. - Dajcie mi z nim pogadać. Zdarzało mi się kiedyś...

Nie kończąc mglistych wyjaśnień, lekarz przysiadł się do obcego. Sprawa wreszcie ruszyła z martwego punktu. Gleb nie mógł się doczekać końca pozbawionego słów dialogu. Bezbożnik, za każdym razem gdy chwycił sens kolejnej serii gestów, cmokał ze zdziwieniem i zagadkowo zerkał na dowódcę, jakby mówił:

„Patrz no, co ten łobuz wygaduje!”.

Taran zachowywał jednak pozorny spokój, chociaż mięśnie twarzy grały mu już pod skórą. Nie chcąc dalej wystawiać na próbę cierpliwości stalkera, chirurg oderwał się od zajmującej rozmowy i odwrócił do pozostałych.

- Przede wszystkim poznajcie Piechura. Za nic nie uwierzycie, skąd ten dziarski elegancik się tu wziął! Z początku też miałem wątpliwości, ale te papierki sprawiły, że wszystko zaczęło do siebie pasować. - Chirurg z triumfalną miną, jakby właśnie rozwikłał skomplikowaną zagadkę kryminalną, postukał cienkimi palcami w plik map. - Nasz nowy znajomek wykradł je zakonowi nafcjarzy. Wyobraźcie sobie, że na nadwożańskich równinach jest takie ugrupowanie. Zmotoryzowany klan koczowników. Grasują po pustkowiach w poszukiwaniu resztek benzyny i ropy. Było nie było, „czarne złoto” nowego świata... Tylko jakoś nie zaprzyjaźnili się z naszym szanownym amatorem pieszych wycieczek. Nie zżyli się, nie było – jak to się mówi

- chemii. Wygląda na to, że pacyfistów w zakonie się nie szanuje. Ale dowcip polega na tym, że Piechur wziął nas za nafcjarzy i dlatego chciał bidulek dać drapak. A jak zrozumiał, że pierwszy raz w życiu widzimy te mapy, od razu się uspokoił.

Na potwierdzenie słów Bezbożnika gość chaotycznie i entuzjastycznie kiwał głową, a na pytanie Tarana o swój uraz tylko głupio się uśmiechnął i bezradnie przeniósł wzrok na zaczerwienionego tłumacza.

- Zwykle stłuczenie - stwierdził lakonicznie chirurg. - Żle upadł.

Zaproponowałem, że obejrzę, ale nie zgadza się. Mówi, że sam sobie poradzi. Zosia samosia...

- Wypytaj go dokładniej o ten klan. - Taran rozłożył jedną z map, oglądając uważnie narysowane odręcznie znaczki. - Ilu mają ludzi, gdzie się ich spodziewać...

Wieżemy cysternę z wachą - jak się dowiedzą, to się nie odczepią.

- Już pytałem. Mają tymczasowe obozowisko na wschód stąd, bliżej Wołogdy.

Tak więc dalsza jazda tą drogą jest niebezpieczna. Ale Piechur podsunął niegłupi pomysł - zamiast przedzierać się przez błoto i śnieg, możemy pojechać w dół rzeki.

Do Zbiornika Rybińskiego jest rzut beretem, a potem można i po Wołdze. Żadnych badyli, żadnych chaszczy - można jechać, póki się paliwo nie skończy. *À propos* paliwa - będziemy go znacznie mniej spalać. Taka jest prawda.

- Ryzykowne. A jeśli lód nie wytrzyma?

- Piechur przekonuje, że jeśli trzymać się brzegu, to wszystko będzie jak należy. Woda w rzece zamarzła do samego dna.

Wszystko to zameldował lekarz. Po tym, jak ledwie dostrzegalnie zmrużył oczy i zacisnął usta, widać było, że Tarana dopadły wątpliwości.

Zaufać pierwszemu napotkanemu człowiekowi i zmienić trasę, czy machnąć ręką na jego niestworzone bajki i znów iść przebojem? Wzrok Tarana po raz któryś zatrzymał się na

chaotycznie porozrzucanych po mapie znaczkach.

- Co to jest? - spytał, podsuwając arkusz Piechurowi.

Tego pytania nie trzeba było tłumaczyć. Palce gościa zaczęły latać przed oczami Bezbożnika, którego brwi sekundę później podniosły się ze zdumienia.

- Jasny gwint... - powiedział tylko, gdy „dosłuchał” do końca i popatrzył na Tarana ogłupiałym wzrokiem. - Dowódco, na mapie są zaznaczone kryjówki zakonu.

Zbiorniki z ropą naftową, kolejowe cysterny z paliwem... Wszystko, co udało im się znaleźć w ciągu wielu lat... Toż to cały majątek! Klondike, niech mnie trepan porwie!

- Ja bym się tak nie cieszył - usadził go najemnik. - Jeszcze nie wiadomo, w jakim to wszystko jest stanie. Chociaż uzupełnić zapasy paliwa nie byłoby od rzeczy. Wtedy może i do Władka dociągniemy.

Żałoga ożywiła się, podniesiona na duchu nowymi możliwościami. Co tu dużo mówić: dotąd nikt specjalnie nie wierzył w możliwość przejechania przez cały kontynent, ale z nowym znajomym szanse na sukces przedsięwzięcia znacząco wzrastały.

- A więc postanowione? - podsumował Migalycz. - No i wspaniale. Pójdę, pokombinuję nad nową trasą. A wy w tym czasie dowiedzcie się od tego naszego spryciarza, gdzie go wysadzić.

- Tu akurat jest pewien szkopuł - uśmiechnął się krzywo lekarz. - Zdaje się, że teraz Piechur nie ma się gdzie podziąć. I pewnie nie znajdziemy bez jego pomocy tych skrytek z paliwem. W skrócie: chce dołączyć do ekipy. Zgłasza się po wizę.

Piechur jakby zrozumiał, że rozstrzyga się jego los, bo spojrzał błagalnie na Tarana, bezbłędnie odgadując w nim przywódcę. Ten zwlekał, rozpatrując wszystkie za i przeciw. W końcu każda jego decyzja miała teraz ogromny wpływ na losy ludzi, za których odpowiadał. Gleb z zaciekawieniem obserwował wewnętrzną walkę, która, mimo wysiłków ojca, odbijała się na jego ponurej twarzy. Po incydencie z primorskimi Taran stał się wyraźnie ostrożniejszy, starał się przeanalizować skutki każdego działania na kilka ruchów do przodu. Tylko patrzeć, jak trzeba będzie zmieniać przezwisko...

- Samuelu Natanowiczu, wyjaśnij nowemu, co i jak. I zajmij się potem jego nogą. W moim oddziale nikt nie może odstawać.

Bezbożnik drgnął, po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat słysząc własne imię - słowo, które poruszyło jakąś ukrytą strunę w jego zatwardziałej duszy. Zaszły usta poruszyły się, oczy mu rozbłysły, a zwyczajowo zgarbione plecy powoli się wyprostowały. To wszystko prawda. Nie jest teraz jakimś tam upadłym pijaczkiem z podejrzanym pseudonimem, tylko lekarzem ekspedycji, którego w kwestiach zdrowia żałoga ma słuchać bez słowa sprzeciwu.

Kiedy najemnik w ślad za Migalyczem poszedł do kabiny kierowcy, uwadze Gleba nie umknęło, jak Giennadij z aprobatą skinął przyjacielowi, podziwiając jego spryt. Chłopiec patrzył, nie rozumiejąc, to na mutanta, to na uśmiechającego się lekko ze swojego kąta Indianina, aż Aurora szturchnęła go ukradkiem w bok, szepcząc:

- Patrz...

Bezbożnika jakby ktoś podmienił. Po dawnym, ślamazarnym i zmęczonym życiem cieniu człowieka nie został nawet ślad. Jego miejsce zajął energiczny, pewny siebie profesjonalista. W ciągu paru chwil lekarz rozpoczął ożywioną aktywność, zabrzęczał słoiczkami, powyciągał opaski uciskowe krótkim, wymierzonym gestem rozciął wystrzępiony skafander Piechura wzdłuż krawędzi rozdarcia.

- No, gołąbeczku, bądź łaskaw podwinąć nogawkę! - rozkazał surowo chirurg głuchoniememu pacjentowi, potem spostrzegł się i wyjaśnił językiem migowym.

Manierka z alkoholem wysunęła mu się zza pazuchy i głośno uderzyła o podłogę.

Bezbożnik zamarł z wacikiem w dłoni i wbił wzrok w mieniącą się przyćmionym srebrem piersiówkę. Naraz spochmurniał.

- Natanowicz, znieczulenie ci wypadło! - chlapanął Indianin, ale zmieszał się natychmiast, widząc, jak pozostali ganią go wzrokiem.

Aurora, Gleb i Dym, mimowolnie świadkowie niezręcznej sceny, wstrzymali oddechy, czekając na rozwiązanie. Metamorfoza lekarza, bolesna, rozdzierająca duszę, zakończyła się w niespodziewany sposób. Plecy Bezbożnika zgarbiły się jak u skazańca, drżące palce wyciągnęły się w stronę manierki... ale tylko po to, by chwycić nienawistny fetysz. Chirurg skrzywił się, jakby trzymał w dłoniach jadowitego węża, i rzucił się w stronę bocznych drzwiczek, potem opamiętał się i obrócił w miejscu, nie wiedząc, jak pozbyć się palącej skórej metalowej butelki.

Emocje wymagały ujścia, dlatego chirurg po prostu cisnął manierkę w najdalszy kąt segmentu mieszkalnego. Ta brzęknęła żałośnie i wleciała gdzieś pod łóżko, a Bezbożnik osunął się pod ścianą, ukucnął i oparł zmęczoną głowę na kolanach.

- Lepiej by go Taran nie zwymyślał... - szepnęła Aurora do przyjaciela.

- Czasem trochę się ojca boję - wyznał Gleb w odpowiedzi. - On widzi ludzi na wylot. Czyta w nich jak w otwartej księdze. Bywa, że nie powie niby nic konkretnego, nie podniesie głosu, a człowiekowi przeskakuje jakby przełącznik w głowie. Raz a dobrze. I z Bezbożnikiem jest to samo...

Tymczasem Samuel Natanowicz ocknął się, wstał z podłogi i typowym dla siebie ruchem rozprostował nadgarstki, po czym znów zajął się pacjentem.

- Cóż... Grupa nam się powiększyła - skomentował półgłosem Giennadij. - Zdaje się, że od razu o dwóch.

* * *

Transporter wyczuwalnie się zakołysał, silnik zawył na podwyższonych obrotach. Maleństwo niespiesznie pokonało długi zjazd nad rzekę i wjechało na lód.

Ostrożny Migalycz nie spieszył się, gotów w każdej chwili wrzucić wsteczny. Ale Piechur nie kłamał. Zamarznięta do dna płytką rzeka okazała się doskonałą drogą dla ogromnego, ociężałego pojazdu.

Nikt z załogi nie zwrócił uwagi na dziwny dźwięk, który na ułamek sekundy przebił się przez niski warkot transportera. Z przeciągłym „baaam!” pękło jednocześnie kilka stalowych want, przeżarty rdzą pylon nośny jęknął pożegnalnym akordem i całe przeszło mostu, otulone obłokiem wzbitego w powietrze śnieżnego pyłu, zważyło się do Szeksny.

Majestatyczny obraz zniszczenia na tle kopiącego dymem Czerepowca na długo zapadłby w pamięć wędrowców, tyle że nie było już nikogo, kto miałby żegnać skryte za łukiem rzeki miasto. Tak już jest stworzony człowiek. W jego naturze nie leży oglądanie się wstecz, gdy przed sobą ma kuszącą długą drogę w nieznanie.

Nabierając prędkości, stalowy gigant pędził wzdłuż poszarpanych brzegów rzeki na spotkanie bezgranicznej lodowej pustyni Zbiornika Rybińskiego.

Rozdział 4

MIM

- Co się tak snujesz? Masz, szoruj! Do żarcia to pierwszy, ale żeby po sobie posprzątać, to „ruska język trudna język”? - Indianin wetknął Piechurowi brudny rondel i popchnął w kierunku blaszanej miednicy z roztopionym śniegiem, natychmiast odwracając się do chirurga: - Natanowicz, powiedz mu, żeby się nie obijał!

Bezbożnik w odpowiedzi chrząknął tylko w nieokreślony sposób i machnął ręką. Jego blada twarz wyrażała cierpienie - lekarza wciąż jeszcze mdliło po długotrwałym kołysaniu w czasie przeprawy przez zwały lodu. Odpowiedział natomiast Taran, który w idealnym momencie pojawił się w drzwiach łącznika.

- Przecież, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, to ty dziś jesteś dyżurnym w kambuzie. - W oczach stalkera pojawiły się złe błyski. - A uwierz mi, Indianinie, ta nie zawodzi mnie nigdy.

Kudłaty młodzik natychmiast przygasł i spuścił wzrok.

- Nie za wcześnie wypisałeś się z „kotów”? A może szorowanie garów nie jest królewskim zajęciem? Porzuć lepiej te swoje nawyki, wodzu czerwonoskórych...

Indianin gorzko westchnął, odebrał szmatkę od nowego członka załogi i przy wtórze cichego śmiechu Samuela Natanowicza zaczął zaciekle trzaskać naczyniami.

Trzymając się przymocowanej do sufitu poręczy, zmęczony Taran przedostał się do swojej koi i opadł na starannie posłany koc.

Gleb oderwał się od studiowania zdobywczych map zakonu i zerknął ukradkiem na ojca. Wokół oczu pojawiły mu się wyraźne zmarszczki, na postarzałej twarzy nie było widać żadnych emocji, nieobecny wzrok zatrzymał się na słabej lampce skrytej za drucianą siatką. Tak źle stalker wyglądał tylko po dręczących go napadach choroby... Ale ta była przecież dawno za nim, a więc przyczyna tkwi w czym innym. Czyżby tak mocno wpłynął na niego incydent z primorskimi?

Dopiero teraz chłopiec zauważył w wyglądzie Tarana pewien szczegół, na który jakoś nie zwrócił dotąd uwagi. Siwizna na skroniach... A przecież wcześniej jej nie było...

Postarzał się...

Wyczerpany przeciągającą się wachtą organizm domagał się odpoczynku, ale wystarczyło, by najemnik zamknął oczy, a silne uderzenie w pancerz sprawiło, że pojazd

drgnął, zaś jego załoga zerwała się z miejsc. Indianin wyjrzał z przestrachem z kambuza, rozcierając guza na czole.

- Co to za popłoch? Zachować spokój! - Najemnik wduśli przycisk przy wiszącym na ścianie interkomie. - Migalycz, co tam u ciebie?

Przez jakiś czas w odpowiedzi słychać było tylko szum zakłóceń, potem kolejarz wymamrotał niepewnie:

- A kto to może wiedzieć? Była niby czysta droga, a potem nagle jakieś diabelstwo rzuciło się pod koła!

- Człowiek?

- Mówię przecież, że nie widziałem! Chyba jakieś zwierzę... Strasznie szybki był drań!

- Hamuj. Rozejrzemy się.

Taran już się szykował - wyciągnął maskę przeciwgazową ze ściennej szafki.

W ślad za nim zaczął się krzątać Dym, pozostali pobrzękiwali bronią.

Po oględzinach z zewnątrz, na przedniej części pancierza kabiny nawigacyjnej odkryli sporą plamę krwi. Lepkie purpurowe krople, ściekając po zderzaku, wytopiły już w zlodowaciałym śniegu kilka głębokich dołków. Jednak po powrocie na miejsce zderzenia stalkerzy nie znaleźli oczekiwanego trupa. Ciemniała tam tylko paskudna plama tej samej, parującej na mrozie krwi. Zagadkowy gość nie mógł też uciec - do wyżłobionej przez transporter koleiny prowadził tylko jeden łańcuszek śladów.

Bardzo dziwnych śladów...

- Mutowilk? - przypuścił Dym, oglądając zagłębienia w śniegu. - Tropy chyba podobne.

- Jedno jest pewne. To nie był człowiek. - Bezbożnik demonstracyjnie wdepnął w świeży śnieg, pozostawiając wyraźne odbicie buta.

Ślad zwierzęcia okazał się głębszy i znacznie krótszy.

- Bardziej mnie zajmuje co innego: gdzie się ten stwór podział? - Taran z niepokojem obejrzał się na transporter. - Wracamy. Trzeba obejrzieć Maleństwo.

Karoserię, podwozie. Wszystkie zakamarki.

Ale powtórna lustracja pojazdu nie dała rezultatów. Zwierzę jakby zapadło się pod ziemię.

- Widać dał nogę, bidulek - podsumował Migalycz.

- Jak to się mówi, ofiara zbiegła z miejsca wypadku - Samuel Natanowicz krótko zachichotał. - Brzmi nonsensownie, ale to fakt.

- A więc szerokiej drogi. Koniec, panowie, do wozu - zakomenderował Taran.
- Trzeba jeszcze obejrzyć miasto, zanim się ściemni.
- Miasto? - ożywił się Gleb.
- Spójrz... - Stalker wskazał na majaczące w oddali ruiny. - To elektrownia wodna.

Miniemy zaporę, a za nią jest Rybińsk.

Ku wielkiemu żalowi Gleba, nie udało im się jednak popatrzeć na ruiny hydroelektrowni, będącej w swoim czasie trzecim ogniwem słynnej Wołżańsko-Kamskiej Kaskady Hydroenergetycznej. Omijając teren skażenia radioaktywnego szerokim łukiem, ekspedycja szczęśliwie dotarła na brzeg Wołgi, skąd rozciągała się nie mniej urzekająca panorama: powyginana konstrukcja Mostu Wołżańskiego, zwieńczone fantazyjnym dachem Rybińskie Muzeum Architektury i Sztuki i zmurszały, lecz wciąż zachowujący dawny majestat sobór Spaso-Preobrażeński z przeszywającą niebo iglicą na pięciokondygnacyjnej dzwonnicy.

- Jaka piękna... - nie umiała powstrzymać emocji przylepiona do okna Aurora.

- Pan się zlitował, uchronił cerkiew przed nieszczęściem... - Migalycz oderwał się od obserwacji wiekowych budowli i dodał gazu, kierując Maleństwo w głąb miasta.

Starczyło, że zjechali z nabrzeża i uroczysta monumentalność oryginalnej architektury płynnie ustąpiła miejsca ponurej dzielnicy mieszkalnej, pełnej pudełek z wielkiej płyty. Domy ustawione w szeregi wzdłuż opustoszałych ulic wyglądały na całkowicie pozbawione życia. Żadnego błysku ogniska, żadnych śladów na pokrytych śniegiem chodnikach, żadnego echa wystrzałów - miasto było martwe, pozbawione gospodarzy dawno już zamieniło się w skamieniały szkielet szczerzący do niespodziewanych gości betonowe kły ruin.

- Dalej jest niebezpiecznie - odezwał się kolejarz. - Same zaspy. Możemy ugrzęznąć.

- Wracamy nad rzekę? - w głosie Gleba słychać było rozczarowanie.

Ale Taran po raz kolejny zwlekał z decyzją i po długich rozmyślaniach znów sięgnął po maskę.

- Spróbujemy na piechotę. Kto wie, może coś znajdziemy. Ktoś chyba musiał ocaleć?

Tym razem wyszli w powiększonym składzie. Wszyscy chcieli chociaż trochę rozprostować nogi po długiej podróży. Nawet Aurora doprosiła się pozwolenia.

Piechur, nie chcąc wyjść na najslabsze ogniwo, żwawo kuśtykał za pozostałymi pomimo bólu w zabandażowanej nodze. Indianin ochoczo zgłosił się do pilnowania Maleństwa. Chłopak od samego rana był w nie najlepszym nastroju, szczególnie po historii ze zmywaniem, i nie wyrażał pragnienia, żeby „tłuc się po wertepach”.

Przez pewien czas grupę prowadził rozglądający się na boki Taran, ale po minięciu

paru kwartałów Migalycz nagle przyspieszył, wyprzedzając zaskoczonego dowódcę, i pewnym krokiem ruszył w stronę placu mającego za ruinami ośmiopiętrowego bloku z wielkiej płyty.

- Hej, ojczulku! Co ty tam zobaczyłeś?

- Poznaję to miejsce! Poznaję! To ulica Motorostroitelej!

Staruszek nawet się nie odwrócił, tylko wezwał ich ruchem ręki i, nieomal zrywając się do biegu, popędził wprost przez przerwę pomiędzy na wpół zawalonymi ścianami. Jako pierwszy znalazł się na otwartej przestrzeni i zamarł, patrząc na coś, czego nie mogli jeszcze zobaczyć pozostali członkowie oddziału.

Kiedy Gleb wraz z towarzyszami dołączył do kolejarza i w końcu mógł nacieszyć się widokiem, który ukazał się jego oczom, od emocji zaparło mu dech. Na środku placu, opasany kaskadami długich schodów, wznosił się potężny cokół w kształcie równoległoscianu pochyłego, a na nim... unosząc się nad domami, tworząc nierealne wrażenie pędu, w wiecznym wzlocie zastygł najprawdziwszy samolot. Opływowy kształt, rozmach ostro zakończonych skrzydeł, tajemnicze, ciągnące się przez całą długość kadłuba słowo „AEROFLOT” - wszystko w tym smukłym stalowym ptaku zadziwiało, napawając mimowolnym szacunkiem do milczącego przybysza z innej epoki oraz siły ludzkiego geniuszu, zdolnego tworzyć takie dzieła.

- Tu-104 - powiedział wzruszony staruszek. - Pierwszy radziecki odrzutowiec pasażerski. Dwadzieścia sześć rekordów świata! W swoim czasie zrobił na Zachodzie prawdziwą furorę. A tę wersję sprzedawano nawet do Czechosłowacji. Choć to była kapryśna maszyna, rozchwiana. Przy małych prędkościach zdarzało się przeciągnięcie. Słaby osprzęt skrzydeł...

- Normalnie chodząca encyklopedia z ciebie, Migalycz - zażartował Dym.

Orientacja staruszka w dziedzinie budowy samolotów nikogo nie dziwiła.

Nieraz już mieli okazję słuchać jego pasjonujących opowieści o wspaniałej przedwojennej przeszłości, a także szalenie ciekawych latach służby w charakterze pilota oblatywacza. Migalycz nigdy jednak nie opowiadał, dlaczego któregoś pięknego dnia rozstał się z niebem i zszedł pod ziemię, do pracy w metrze.

- Nie pamiętam już, w którym to było roku, ale właśnie tu, pod tym pomnikiem, poznałem moją Wieroczkę, niech jej ziemia lekką będzie... - głos staruszka przez moment zadrżał. - Przyjeżdżałem tu w delegację. Do ZNP „Saturn”.

- Zet-en-pe... - powtórzył Gleb, wsłuchując się w nieznane dźwięki.

- Zespół Naukowo-Przemysłowy - wyjaśnił Migalycz. - Konstruowali tu silniki

gazowo-turbinowe dla lotnictwa wojskowego i cywilnego. Potężny ośrodek naukowy, mówię wam! Zresztą niedaleko stąd. Może nawet coś z niego zostało...

- A więc to dla małżonki skończyłeś z lataniem? - spytał wprost Taran.

Staruszek pokręcił głową przecząco.

- Przeciwnie! Można powiedzieć, że Wieroczka pokochała mnie właśnie za mój zawód... - zza maski przeciwgazowej dało się słyszeć ciężkie westchnięcie. - Wszystko przez to fatalne lądowanie... Pół roku po szpitalach, komisja lekarska i... niezdolność do wykonywania zawodu, bodaj ją dunder świsnął. Co to za głupie określenie... Niezdolność do wykonywania zawodu... Jak znamię na czole. Też wymyślili!

Migałycz zacisnął pięści ze złości, sięgnął po tytoń, ale, przypomniawszy sobie o masce, cicho zaklął. Przez jakiś czas stał niezdecydowany, oddając się wspomnieniom, po czym zrobił kilka nieśmiałych kroków w stronę samolotu i zadarł głowę do góry.

- Chciałoby się jeszcze choć raz wzbić w niebo... - wiatr doniósł zniekształcone przez maskę słowa. - Dusza mnie boli od dnia, w którym zamieniłem mundur lotnika na kolejarski.

Nikt nie zdecydował się pocieszać pogrążonego w nostalgii staruszka. Nawet Aurora, która już zrobiła ruch w jego kierunku, w końcu pozostała na miejscu. To była zbyt osobista sprawa, by się wtrącać.

Migałycz milczał przez całą drogę powrotną, zamknięty w świecie własnych przeżyć i niespełnionych nadziei. W pewnym momencie Giennadij musiał nawet biedakowi pomóc, inaczej ten wpadłby wprost do studzienki kanalizacyjnej i tyle by go widzieli... Za to kiedy zza rogu chylącego się do ziemi sklepu ukazała się sylwetka Maleństwa, wszyscy odetchnęli z ulgą, ciesząc się, że zaraz będą mogli zanurzyć się w przytulnym cieple mesy, rozkoszować gorącą kolacją i oderwać w końcu od budzącego smutek krajobrazu martwego miasta.

Marzenia o wieczornej uczcie zniweczył Indianin. Jak się okazało, podczas nieobecności załogi nie zabrał się nawet do gotowania, siedział tylko w swoim kącie w depresyjnym nastroju i z nieobecnym wzrokiem obserwował brud pod paznokciami. Miał szczęście, że Taran od razu poszedł do kabiny, żeby zająć się wytyczeniem dalszej trasy. Inaczej na pewno zmyłby leniowi głowę. Tym razem jednak mu się upiekło. Aurora chętnie zastąpiła Indianina w kambuzie, ciesząc się, że znów może poeksperymentować w niełatwej roli kucharki.

Przed północą Migałycz i dowódca wyprowadzili Maleństwo na brzeg Wołgi, gdzie Gleb w końcu zdecydował się podzielić z ojcem swoimi podejrzeniami.

- Mów, co wykombinowałeś - zaczął Taran, kiedy tylko chłopiec pojawił się w kabynie nawigacyjnej. - Widzę przecież, że cały dzień coś cię dręczy.

Gleb zamknął za sobą włącz i usadowił się na tylnym siedzeniu.

- Nie zauważyłeś niczego dziwnego?

Stalker spojrział z ukosa na przybranego syna.

- Mów dalej.

- Zdaje mi się, że z Piechurkiem nie wszystko jest takie proste - powiedział półgłosem Gleb. - Sam się zastanów, co on robił na tym moście? Szedł do dzielnicy fabrycznej? W ten dym? Po co? I z czego tam można było spaść? Jak mu się w ogóle udało zranić w nogę? Tak sobie elegancko spacerował po Rybińsku? A jeśli wcześniej się potłukł, to po co wszedł na most? Przecież to najbardziej widoczne miejsce w całej okolicy! A on jest niby zbiegiem...

Najemnik przeniósł wzrok na poprzecinane metalowymi roletami okienko, za którym w świetle reflektorów unosiły się na wietrze niemal nic nieważące płatki śniegu. Widać było, że nieskładny monolog syna na razie niespecjalnie go zdziwił.

- I jeszcze jedno... - Chłopiec wyjął zza pazuchy wylizaną do czysta puszkę po konserwie i postawił ją na desce rozdzielczej. - Pod kołem zapasowym jest takich kilka. Podjada sobie nasz inwalida. Po kryjomu.

Po wyłączeniu silnika w kabinie było cicho jak nigdy i ostrożny szept Gleba brzmiał wręcz złowieszczo.

- Aurora też się żaliła, że cały czas czuje na sobie czyjeś badawcze spojrzenie.

Ale facet jest sprytny - wystarczy się obejrzeć, a ten odwraca wzrok.

Taran poczekał jeszcze chwilę i dopiero kiedy się upewnił, że syn powiedział wszystko, przeciągnął się ze zmęczeniem, prostując zdrętwiałe plecy.

- To oczywiście źle, że podkrada żarcie. - Stalker obrócił w dłoniach byle jak rozprętą puszkę. - Widocznie głodował podczas tułaczki, ale to się da załatwić.

Porozmawiamy z nim i się poprawi. Natomiast co do reszty... Na razie to tylko podejrzenia i to, zauważ, niczym niepotwierdzone.

- Ale przecież...

- Gleb - przerwał mu najemnik - teraz jestem nie tylko twoim ojcem, ale i szefem ekspedycji. I jako szef ekspedycji osobiście zdecydowałem, żeby Piechur dołączył do załogi. Zaś ty, jako członek oddziału, powinienes przyjmować moje decyzje i nie zaprzętać sobie głowy bzdurami.

- Próbuje cię tylko ostrzec! - wybuchnął chłopak.

- I jestem ci za to wdzięczny - Taran nieco złagodniał. - Przyjąłem do wiadomości twoje obawy, ale i ty nie zapominaj o tym, co teraz usłyszałeś. Idź spać.

Już późno.

Chłopiec wrywał się, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale kiedy natrafił na spojrzenie ojca - choć surowe, to bliskie już jego sercu - rozmyślił się, w milczeniu wstał z fotela i zniknął w korytarzyku.

* * *

Nazajutrz zdarzyło się coś, co rozstrojonemu i bez tego Migałyczowi nie mogłoby się przyśnić w najgorszym koszmarze - ośmiusetkonny silnik diesla, serce wielotonowej wyrzutni samobieżnej, nie zapalił. Nie zawarczał na jałowym biegu, nie zakaszłał z wyziębionych przez noc wnętrzości ani przy pierwszej, ani przy drugiej próbie. Staruszek gdał i wyrzekał, uwijając się wokół kapryśnego silnika niczym troskliwa kwoka, jednak wszystkie jego wysiłki były daremne. Nie udało się z marszu ustalić przyczyny awarii.

Gleb chciał pomóc, ale Migałycz kategorycznie odmówił - przeważyła duma zawodowa. Dlatego, starając się do czegokolwiek przydać, chłopak wziął wiadro z podłogi i poszedł do wyjścia na zewnętrzną platformę, by nabrać świeżo spadłego śniegu do instalacji filtrującej. Spoglądając ukradkiem na przycichłego w kącie Piechura, omal nie zderzył się z Indianinem, który zastąpił mu drogę przy komorze śluzu. Właściciel potarganej fryzury bez słowa wziął od niego wiadro i skrył się za drzwiami, nie zadając sobie nawet trudu, by założyć maskę przeciwgazową.

Gleb tylko wzruszył ramionami. Widocznie Indianinowi zrobiło się w końcu wstyd za wczorajsze nieodpowiedzialne zachowanie na dyżurze i teraz, nie mniej niż pozostali, chciał się przypodobać coraz bardziej ponuremu dowódcy.

Reanimacja Maleństwa udała się dopiero koło południa. Triumfalnego okrzyku Migałycza nie usłyszał chyba tylko głuchoniemy nowy. Zaraz potem rozległ się radosny głos Giennadija, który osłaniał staruszka z dachu. A chwilę później transporter drgnął, budząc się do życia, i ryknął swoim zwyczajnym huczącym basem.

Wyraz szczęścia malujący się na fizjonomii Migałycza, który wpadł do przedziału pasażerskiego, nikogo nie pozostawił obojętnym i tylko Taran z jakiegoś powodu wciąż się chmurzył, nie przyłączając się na razie do powszechnie wyrażanej radości. Od samego rana stalker był w fatalnym stanie ducha przez pulsujący ból w skroniach - skutek niespokojnego, urywanego snu i zbyt wczesnego przebudzenia.

- Przewód paliwowy był za mocno ściśnięty, w mordę go i nożem!

Wyklinałem już akumulatory i filtry, a to... - Widząc dowódcę, staruszek zaciął się, patrząc z niepokojem w napiętą, usianą kropelkami potu twarz.

- Co jest nie tak? - zapytał stalker ni w pięć, ni w dziewięć.

- Mówię przecież... przewód paliwowy... - Pod badawczym spojrzeniem Tarana Migalycz ostatecznie się zmieszał i opadł na ławkę, która akurat szczęśliwie się nawinęła.

- CO... JEST... NIE TAK? - powtórzył najemnik podniesionym głosem. - CZY TYLKO JA TO WIDZĘ?!

- Co widzisz? - nie wytrzymał Dym, podnosząc się z koi.

- Diabła - szepnął niespodziewanie Taran. - Z kopytami zamiast nóg.

- Ożeż... - Bezbożnik pospiesznie sięgnął do torby z lekarstwami. - Ty masz przecież jakieś zwidy z niewyspania! Giena, przytrzymaj no dowódcę. Wstrzykniemy mu środek nasenny, wyśpi się i będzie świeży jak pączek róży...

- Siedzieć! - Idąc przez mesę, Taran położył rękę na ramieniu zielonoskórego siłacza, a ten usłuchał i opadł z powrotem na ławkę.

Aurora odsunęła się lekliwie, kiedy najemnik, krocząc powoli niczym somnambulik, mijał jej łóżko, kierując się na tył przedziału. Tam, gdzie zwinięty w kłębek mrugał przerażonymi oczami brodaty pacyfista. Jeszcze kilka dręczących sekund i stalker znieruchomiał naprzeciw Piechura. W ciszy, która aż w uszach dzwoniła, rozległ się złowieszczy szelest wyjmowanego z pochwy noża. Zabójcze ostrze błysnęło w świetle lamp niczym błyskawica.

- Tato, co ty? - ocknął się z odrętwienia Gleb.

- Taran, nie waż się!

Giennadij zerwał się z miejsca, wyrzucając swoje masywne ciało w długim skoku przez całą mesę, ale było już za późno. Najemnik zrobił krótki zamach, odwrócił się bokiem do Piechura i niespodziewanym ruchem wbił nóż w pierś stojącego obok Indianina. Ten wydał z siebie nienaturalnie głośny szloch i odruchowo odsunął się do tyłu, ale stalker napał całym ciężarem i wepchnął nóż po samą rękojęść.

Ułamek sekundy później rozmyty zielony cień zmiotł Tarana z przejścia, zwałił na ziemię i przydusił.

- Coś ty zrobił! Idioto! Psycholu skończony! Całkiem ci odwaliło?!

Giennadij wytrącił nóż z ręki przyjaciela i wściekle nim potrząsnął. Głowa Tarana latała bezwolnie z boku na bok, co i rusz uderzając o ziemię, ale jego ręka wciąż wskazywała ofiarę.

Dym kątem oka dostrzegł ruch, spojrzął z ukosa w tamtą stronę i, zaskoczony,

rozluźnił uścisk. Najemnik padł na ziemię niczym pusty worek i odczołgał się od rozwścieczonego giganta, ale tego już zupełnie pochłonęła obserwacja kudłatego

„wodza” ze sterczącym z piersi trzonkiem noża. Ciało Indianina trzęsło się coraz szybciej, ruch zaczął się zamazywać, jakby spowiła go ledwie widoczna sina mgiełka, kontury postaci nagle w dziwny sposób rozplynęły się niczym stopiony воск. Głuchy jęk, rodzący się gdzieś w głębi gardła, przeszedł w wibrujący, nieludzki wizg, niknąc w końcu poza granicą słyszalnego pasma częstotliwości i przechodząc w ultradźwięki.

Budząc się jakby z długiego snu, Gleb przypatrzył się drżącemu ciału i zastygł.

Zamiast Indianina, w kącie segmentu dla pasażerów miotał się odpychający stwór z długimi, cienkimi odnóżami, gładką granatowoszarą skórą i potworną płaską głową.

Jak to niewiarygodne „coś” można było w ogóle pomylić z człowiekiem, teraz bardziej przypominającym stopioną woskową lalkę? Czyżby zagadkowy gość posiadał tak silny dar hipnozy, że jak nic zamieszał w głowach całej załozdy?

Spodnie oraz koszula pseudo-Indianina szybko się zmarszczyły, opadając z niego w strzępach obumarłej, włóknistej skóry. Strząsając śluz ze skośnych, wychodzących z orbit oczu, mutant wygiął się, aż zachrzęściły mu kości, rozwarł drżący, podobny do szarpanej rany otwór gębowy, okropnie się wyszczerzył i groźnie zasyczał. Jego błyskawicznie zmieniającym się ciałem wstrząsnęła kolejna fala konwulsji i nóż desantowy bezwiednie wysunął się na zewnątrz, dźwięcznie uderzając o podłogę. Niewiarygodna transformacja trwała dalej: dał się słyszeć głośny trzask, kości rąk wyskoczyły ze stawów, wyciągając się na podobieństwo elastycznych macek, przypominające koraliki oczy nagle wysunęły się do przodu, rozrywając rogówkę, i poruszyły się na cienkich szypułkach koloru krwi.

Ale oto krzywa paszcza ułożyła się w kształt przypominający nieco ludzki uśmiech, na błyskawicznie zmieniającym się pysku znów pokazały się podejrzenie znajome usta i nos... Po chwili z garbatego, rachitycznego ciała spoglądała na nich całkiem naturalnie wyglądająca głowa Tarana. Tylko czarne źrenice potwornych oczu wciąż poruszały się na ohydnych szypułkach. Aurora natychmiast poznała ten wzrok.

Drapieżny, obcy, hipnotyzujący. Ten sam, który nieraz już czuła na sobie zeszłego wieczora.

Stwór głośno wciągnął powietrze i skierował w stronę dziecka gumiąstą kończynę. Z kącików zaciśniętych ust pociekła mu gęsta, brunatna ślina.

- Nie strzelać! - zdążył rozkazać Taran. - Poranimy się nawzajem!

O dziwo, jako pierwszy oprzytomniał Piechur. Wybełkotał coś ze złością, podniósł beapński teraz nóż i rzucił się na straszego stwora. Metamorf z łatwością wbił się pod

sufit, odepchnął od pleców brodacza i zeskoczył na środek pomieszczenia. Dziewczynka krzyknęła przenikliwie, Bezbożnik zerwał się z miejsca, chwytając za skalpel, Gleb skoczył i wpił się w oślizgłe żylaste ciało.

W tym momencie świadomość chłopaka całkowicie opanował strach. Strach zmuszający go do działania bez zastanowienia, instynktownie. Strach o Aurorę.

Stwór wziął już bowiem na cel wybraną zawczasu ofiarę i najwidoczniej nie zamierzał ustępować.

Dopiero później, próbując odtworzyć w pamięci szczegóły minionej nocy, chłopiec zdał sobie sprawę, że przepełniony okropieństwami umysł litościwie skrył przed nim najstraszniejsze fragmenty tego starcia, przytłumił emocje, pozostawiając tylko szereg statycznych, ocenzurowanych obrazów. To, co działo się wewnątrz transportera w ciągu tych kilku obłąkańczo długich, niewiarygodnych minut najbardziej przypominało kłębowisko ciał i przedmiotów, w którym trudno było cokolwiek rozpoznać. Wyraźnie pamiętał tylko rozciągnięte na podłodze, okaleczone, miotające się w napadzie bezsilnej wściekłości ciało zagadkowego stworzenia, ryczącego z wysiłku Giennadija z szyją owiniętą mackami i wiszącą nad nimi sylwetkę Tarana z kluczem nastawnym w podrapanej do łokcia ręce. Z ohydny chłupocącym dźwiękiem narzędzie raz za razem spadało na głowę stwora, wbijając żalostną karykaturę ludzkiej głowy w kratę podłogową, ścierając z pozbawionej życia maski znajome rysy twarzy, podczas gdy skóra metamorfa pod działaniem miriadów chromatoforów wciąż w niekontrolowany sposób mieniła się wszystkimi barwami tęczy...

Kiedy wszystko się skończyło i cuchnące zwłoki zostały wyrzucone na śnieg, przyszedł czas, by pomyśleć o prawdziwym Indianinie. Spostrzegli się w porę - chłopak, jak się okazało, miał diabelnego farta. Znaleźli go w komorze śluzu: był owinięty lepką masą, nieprzytomny i zeszywniały z zimna. Czy to metamorf schował zdobycz na później, czy też nie był po prostu w stanie pożreć jej w czasie krótkiej nieobecności załogi... Tak czy inaczej, biedakowi się poszczęściło. Ocucili go i napoili.

W czasie, gdy Samuel Natanowicz odprawiał swoje obrzędy nad pacjentem, Gleb przypominał sobie, jak chciał wyjść po śnieg, a fałszywy Indianin nie dał mu przejść przez śluzę, jak przez cały wieczór milczał, stroniąc od pozostałych. Co tu dużo mówić, stwór okazał się bardzo sprytny. Wprost fantastyczna zdolność mimikry pomnożona przez zaczątki telepatii stała się potężną bronią w niełatwej międzygatunkowej walce o przetrwanie. I gdyby nie ból głowy Tarana, spowodowany chronicznym brakiem snu, który we właściwej chwili otrzeźwił stalkera i zdjął mu zasłonę z oczu, spotkanie z metamorfem mogło zakończyć się tragicznie dla całej załogi.

Rozwiązała się też kwestia, jak ten nadliczbowy „pasażer” dostał się do wnętrza pojazdu. Przewornici technicy z Babla wyposażyli toaletę pokładową w zbiornik, podobnie jak miało to miejsce w samolotach pasażerskich, żeby uniknąć rozhermetyzowania segmentu dla pasażerów. Prościutki system z wysuwającym się na prowadnicach dnem pozwalał okresowo opróżniać zbiornik. Ale kto mógł przypuszczać, że znajdzie się stwór na tyle inteligentny, żeby dostać się do pojemnika, i zdolny do takiej zmiany kształtu, by przeniknąć do wnętrza pojazdu przez rurę odpływową?

- Nazwę go „mim” - oznajmił uroczyście Bezbożnik, postanawiając, że po cichu zagarnie dla siebie sławę zoologicznego odkrywcy. - Na cześć dawnych mistrzów naśladownictwa, wirtuozów farsy scenicznej. Dobrze brzmi, nieprawdaż?

- A to co za cudaki? - nie zrozumiał Giennadij. - Aktorzy, czy jak? Z tego towarzystwa znam tylko cygański tabor z Czarnej Rzeczki.

- To nie to - zamachał rękami chirurg. - Mimowie to już dawno historia.

- To rozumiem - powiedział z aprobatą mutant. - I krzyżyk na drogę. Może ten, którego dziś załatwiliśmy, był ostatni. Jak myślisz, Migalycz?

- Myślę, że problem nie tkwi jednak w przewodzie paliwowym - mruknął starszek bez związku, wsłuchując się w nierówny stukot silnika. - Obawiam się, chłopcy, że Maleństwo już swoje przejechało.

Załoga oderwała się od ogólnego sprzątnięcia przedziału i wlepiła wzrok w kolejarza z niewysłowionym pytaniem w oczach. W odpowiedzi starszek rozłożył ręce w przeproszającym geście:

- Silnik pada. I w głuchym lesie sobie z tym nie poradzimy. Potrzebny będzie warsztat. I części zapasowe.

Piechur pociągnął Bezbożnika za rękaw, chcąc, żeby wyjaśnił mu zaniepokojone miny wszystkich członków załogi. Samuel Natanowicz przetłumaczył, a twarz brodacza rozjaśniła się i zaczął zaciekle gestykulować. Zakończywszy wymianę zdań z nowicjuszem, lekarz przysiadł się do starszka i konspiracyjnym tonem zapytał:

- Jaki nasza ciężarówka ma silnik?

- Jamz 847, czterosurowy, z turbodoładowaniem i chłodzeniem cieczą - bez zająknięcia wyrecytował Migalycz.

- A Jamz to? - cierpliwie, jakby rozmawiał z głupiutkim dzieckiem, dopytywał się chirurg.

- No przecież wiadomo, Jarosławskij Motornyj Zawod - Jarosławski Zakład Produkcji Silników!

- A gdzie teraz jesteśmy?

- No, gdzie? - nie zrozumiał kolejarz.

- Jak to gdzie? Siedemdziesiąt kilometrów od Jarosławia, ojczulku!

Staruszek znieruchomiał, komicznie mrugając chorym okiem, i przeniósł wzrok na Tarana.

- W sumie to może wypalić... Jak myślisz, dowódco?

- A co tu myśleć. Jarosław i tak jest po drodze. Odpalaj brykę. Wyjeżdżamy.

* * *

I znowu drzenie podwozia pod nogami, miarowe kołysanie i zmęczony wzrok „współlokatorów”... Po dzisiejszych przeżyciach nikogo nie ciągnęło do rozmów.

Giennadij odwrócił się do ściany i leżał nieruchomo, sądząc jednak po braku odgłosów potężnego chrapania, zapewne nie mógł zasnąć. Dziś oberwał mocniej od pozostałych - przeklęty stwór o mało go nie udusił... Inna sprawa, że gdyby mim w ferworze walki trafił na kogoś innego, to najprawdopodobniej ich oddział liczyłby teraz o jednego członka mniej. Albo i o dwóch...

Gleb rzucił przelotne spojrzenie na Piechura. Mówcie, co chcecie, ale nowicjusz okazał się odważny. Kto by pomyślał... A do tego jeszcze, jak mu tam... pacyfista. Ojciec chyba miał rację. Po spotkaniu z metamorfem głupio byłoby brodacza podejrzewać. I nie ma o co.

Obok bezszelestnie przemknął Bezbożnik w nie wiadomo skąd wytrzaśniętym lekarskim kitlu. Najwidoczniej transformacja w Samuela Natanowicza ostatecznie i nieodwołalnie się dokonała. Wreszcie ogolił nawet szczecinę. Po ostatnich wydarzeniach lekarzowi przybyło pracy. Stłuczenia, zadrapania - każdemu dostała się co najmniej jedna albo i kilka pamiątek po niechcianym gościu.

Aurora, po raz pierwszy odkąd się zaprzyjaźnili, nie mogąc powstrzymać emocji, nie została z rówieśnikiem, lecz uciekła, żeby wypłakać się Taranowi.

Czyżby zaczynała czuć w stosunku do stalkera coś więcej niż wdzięczność za wikt i opiekę? Ale czy Taran jest gotów zostać przybranym rodzicem po raz drugi? Gleb uśmiechnął się do własnych myśli. A czy on sam chciałby nazywać Aurorę siostrzyczką? Jakoś dziwnie... ale pewnie słusznie.

Jedynym, któremu wizyta mimo jednoznacznie wyszła na dobre, był Migałycz.

W rezultacie przeżytego stresu smutek i nostalgia byłego lotnika zeszły na dalszy plan, zatarły się, ustępując miejsca mrówczej krzątaninie i troskom związanym z dolegliwościami ukochanej maszyny. Ta słabość staruszka do transportera miała jednak użyteczne aspekty. Choćby teraz, kolejarz wpadł na moment do segmentu pasażerskiego, żeby napić się wody i puścił pozostałym swoje firmowe oczko.

Wszystkim zrobiło się od tego dobrze i spokojnie na duchu. Stuknął mu siódmy krzyżyk, a ten niczym się nie martwi. Dalej żwawy i energiczny. Z takimi przyjaciółmi to choćby na koniec świata...

Rozdział 5

PIERWSZY KONTAKT

Pogoda zepsuła się bez zapowiedzi. Jeszcze chwilę wcześniej oczy sycił kojący widok zimowej Wołgi - ciągnąca się aż do zakola śnieżnobiała wstęga rzeki, strome brzegi porośnięte wyschniętymi nie do poznania wierzbowymi zaroślami i wiszące nad nimi gigantyczne i nieruchome kłębiaste chmury, na które nie dało się długo patrzeć z powodu oślepiającego światła dnia. Lecz oto zwisające do ziemi frędzle splecionych witek zakołysały się na wietrze, który błyskawicznie nabierał siły, unosząc coraz to nowe porcje drobnego lodowego pyłu. Zasłona chmur pokryła cały nieboskłon, a na rozgrzany pancerz pojazdu spadły, topniejąc i parując, pierwsze puszyste płatki. Jeszcze chwila i na transporter zwała się gęsta ściana śniegu, zalepiając szyby i reflektory, pozbawiając wędrowców - i bez tego wystraszonych nagłym załamaniem pogody - jakiegokolwiek możliwości obserwacji tego, co działo się na zewnątrz pojazdu.

- Najprawdziwsza zamieć, niech ją dunder świśnie... - Migalycz rozpaczliwie mrużył powieki, starając się nie stracić z oczu szarej kreski brzegu w chaosie, jaki rozpełtał się za oknem. - Może przeczekamy? Jeszcze, odpukać, jadąc na ślepo, władujemy się w jakiś głąz albo wpadniemy do rowu...

- Nie kracz! - Taran podsunął się do radiostacji i spojrzał w stronę kabiny nawigacyjnej. - Samuelu Natanowiczu, co sądzi nasz przewodnik, dociągniemy do miasta?

W zaklejonym śniegiem okienku dało się rozpoznać tylko rozmazaną sylwetkę skulonego na tylnym siedzeniu Piechura. Chłopak zaproponował, że pokaże drogę do samej fabryki, jako że był już w Jarosławiu z polecenia zakonu. Ze słów brodacza wynikało, że miasto stało puste od wielu lat i lepiej nie mieć nadziei na napotkanie tam ocalałych ludzi.

Z cichym trzaskiem zaszumiał interkom, w głośnikach zabrzmiał lekko zachrypnięty głos Bezbożnika:

- Mówi, że już blisko. Jak dotrzemy do mostu, to trzeba wjechać na brzeg.

I tam już niedaleko będzie fabryka.

Wyglądając zza pleców ojca, Gleb wpatrywał się w białą mgłę przed nimi, ale, choćby nie wiadomo jak się starał, nie mógł dojrzeć nic oprócz wirujących nieustannie płatków śniegu.

- Jednego nie rozumiem - zdecydował się w końcu chłopiec. - Jeśli Piechur był już w Jarosławiu, to jak zdołał samotnie pokonać taką drogę? Śnieg, mróz... Do tego drapieżniki...

- Jeśli miasto jest martwe, to i zwierzęta nie mają tu nic do roboty - przypuścił Taran, nie odrywając się od mapy. - No i łatwiej iść w pojedynkę, nie zwracając niczyjej uwagi. Sam przecież wiesz.

Gleb wszystko to oczywiście rozumiał, ale widok cherlawego brodacza i obraz dzielnego stalkera samotnika uparcie nie chciały mu się połączyć w głowie. Tym bardziej biorąc pod uwagę wrodzoną głuchotę Piechura. Jak można tułać się po powierzchni, nie słysząc dźwięków? Zdrowy rozsądek i doświadczenie, jakie zdążył zdobyć Gleb w kontaktach z mieszkańcami świata zewnętrznego, nie pozwalały wytłumaczyć wszystkiego wyłącznie fenomenalnym szczęściem chłopaka.

Podejrzenia, które zniknęły po starciu z mimem, powróciły, sprawiając, że Gleb zaczął ukradkiem obserwować dziwnego towarzysza podróży. Czasem chłopcu zdawało się, że Piechur doskonale słyszy wszystkie ich rozmowy i specjalnie odwraca wzrok, starając się niczym nie zdradzić.

Tymczasem huraganowy wicher wzmagął się z każdą minutą i tylko upór Tarana sprawiał, że Migalycz zacisnął ręce na kierownicy i gnał coraz dalej przez mleczną zasłonę rozszalałej śnieżycy.

- Zwolnij! - huknął nagle stalker przyklejony do przedniej szyby.

Kabina zakołysała się, ryk silnika przycichł i w słabym świetle reflektorów ukazały się kontury rozciągniętego niczym struna mostu. Poczerniałe od upływu czasu żelazne kratownice, spiętrzenie wielkich brył lodu wokół podstaw przeżartych wilgocią filarów, fragment jezdni niebezpiecznie zwisający nad oberwanym przęsłem i, gdzie tylko sięgnąć wzrokiem, rozrzucone przez nieznaną siłę wraki samochodów...

Gorzki obraz zniszczeń błyskawicznie rozwiął radość zbliżającego się spotkania z nowym miastem. Czekanie na cud ustąpiło miejsca temu co zwykle - rozczarowaniu.

Rozcinając kołami przybrzeżną glinę, Maleństwo lekko wspięło się na brzeg i na małych obrotach ruszyło wzdłuż martwych pudełek, które kiedyś były domami mieszkalnymi.

Piechur nie kłamał. Bezludne ulice i brak śladów na śniegu wprost wskazywały na smutny, lecz bezsporny fakt - natrafili na kolejne niezamieszkałe miasto.

Praktycznie zerowa widoczność nie pozwalała na wypatrywanie na niebie śladów dymu ognisk - ewidentnego znaku obecności człowieka - jednak i bez tego było jasne, że poszukiwanie ocalałych w skażonych, smaganych wiatrem ruinach jest zajęciem pozbawionym sensu.

Piechur - trzeba oddać sprawiedliwość jego znakomitej pamięci - całkiem nieźle orientował się wśród licznych, okaleczonych przez upływ czasu budynków, i pomimo szalejącej zamieci zaprowadził oddział prosto przed niską, upstrzoną dziurami bramę z przerdzewiałego żelaza. Znów zatrzeszczał głośnik.

- Zdaje się, że jesteśmy na miejscu! - dziarsko zameldował chirurg, nie kryjąc ulgi. - Piechur szczerze odradza wjazd głównym wejściem. Mówi, że wszystkie dojazdy do fabryki są pablokowane przez samochody. Łatwiej będzie tutaj - brama ledwo stoi.

Migałycz nie dosłuchał do końca, tylko od razu wcisnął pedał gazu do deski i opancerzone cielsko transportera, wyginając ze zgrzytem wrota, śmiało wtoczyło się na teren zakładu.

Obserwując alejki uformowane przez bloki fabryczne i wystające spod zasp wyloty szybów wentylacyjnych, Gleb nie ustawał w wysiłkach, by odnaleźć coś niezwykłego w szeregu ciągle to nowych ponurych budynków, jakikolwiek znak, mając w duchu nadzieję, że w jednym z okien, szczerzących z góry resztki szyb niczym szklane kły, mignie mu odbłask czyjegoś ogniska... Z ruin, wpatrując się w fantastyczny pojazd, lękliwie wyjdą zakutani w ciepłe ubrania ludzie i...

- Tam!

Głos Tarana, jak zawsze trzeźwiąco lodowaty, sprawił, że chłopiec natychmiast wrócił do rzeczywistości.

- To będzie dobre miejsce. Wjedź do środka.

Po pokonaniu krótkiej rampy Maleństwo przekroczyło gościnnie rozwarte wrota załadunkowe, ostatni raz kichnęło siwymi spalinami i znieruchomiło pośrodku przestronnego hangaru. Wieżyczki strzeleckie powiodły lufami cekaemów po ciemnym suficie, wyszukując potencjalne cele, ale środki ostrożności okazały się zbędne. Nic nie naruszało spokoju tego zapomnianego przez Boga miejsca, tylko drobny śnieg, skrząc się w jasnym świetle reflektorów, sypał się do środka zaimprovizowanego schronienia przez dziury w przegniłym dachu.

Krótki zwiad w przyległych pomieszczeniach także nie ujawnił żadnych zagrożeń i załoga, ciesząc się, że choć na krótko może opuścić obrzydłe wnętrze pojazdu, z entuzjazmem wzięła się do pracy. Najpierw wstawili na miejsce walające się przy wjeździe skrzydło bramy. Nie można powiedzieć, żeby w środku zrobiło się znacznie cieplej, ale przytulniej na pewno. Okazało się, że pod sufitem, bardzo szczęśliwie, była zamontowana belka suwnicowa. Po rozebraniu starego mechanizmu na części, Migałycz wziął się do czarowania nad systemem wiszących bloków i wkrótce zmajstrował na oko całkiem solidny dźwig. Rola żywego

siłownika przypadła naturalnie Giennadijowi, chociaż ten nie miał nic przeciwko rozprostowaniu kości. Pod wieczór zdemontowany silnik leżał już dumnie na zaimprovizowanym cokole ze znalezionych na podwórku za halą podkładów kolejowych, a kolejarz, nucąc niezmienny jazzowy motyw, kierował procesem rozbiórki.

- Dym, zbieraj się! - zawołał do pilnującego wejścia do hangaru mutanta Taran i zaciągnął pasy kamizelki kuloodpornej. - Migalycz naszkicował nam tu spis części. Przejdziemy się po okolicy i poszukamy. Gdzieś powinna być hala montażowa.

- Albo magazyn! - doleciało spod podwozia Maleństwa. - I bez żadnej rdzy!

Nie mam czasu się tu chrzanić z pilnikiem...

Giennadij tylko się uśmiechnął całą swoją kwadratową fizjonomią, słysząc rzeczowe gderanie pochłoniętego naprawą staruszka, i żartobliwie zasalutował dowódcy, pokazując całym sobą, że nie ma nic przeciwko małemu spacerowi.

- Gleb, tylko na ciebie czekamy! - ponaglił chłopca najemnik.

Jednak ten, pomimo szalonego pociągu do przygód, ku powszechnemu zdziwieniu nie spieszył się z porzucaniem pracy. Na moment podniósł umorusaną twarz znad rozkręconego silnika, uśmiechnął się przepraszająco, wzruszył ramionami i znów zniknął za kłębowiskiem rurek i przewodów.

- Dorasta dzieciak - skomentował Dym półgłosem. - Skapował, że teraz więcej z niego pożytku przy Migalyczu.

- Albo ciągle jeszcze się dąsa. - Taran założył maskę przeciwgazową, odruchowo zerknął na dozometr i ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Pomimo zapuszczenia i pozornej pustki w zakurzonych halach fabrycznych stalkerów nie opuszczało poczucie czyjejś obecności. Nieraz nagły szmer sprawiał, że obaj podnosili lufy karabinów, ale oprócz kręcących się po kątach szczurów nikogo nie udało się im dostrzec. Być może było tak z powodu olbrzymiej kubatury pograżonych w mroku pomieszczeń. Niekończące się, prowadzące donikąd przejścia i rzędy znieruchomiałych na zawsze warsztatów w świetle czołówek rzucały cudaczne, a czasem złowieszcze cienie. Usiana rdzą linia montażowa z rzędem wsporników przypominała szkielet ogromnego prehistorycznego zwierzęcia, co do spółki z wyciem hulającego po martwych salach wiatru

malowało w ich głowach nieprzyjemne obrazy. Groziło im, że poszukiwanie pasujących części pośród stosów cegieł i labiryntów najrozmaitszej maszyneryi przeciągnie się na trudny do określenia czas - wilgoć i wszędobylska pleśń nie dawały metalowi żadnych szans. Czasem ich wzrok padał na strzępy zatłuszczonych opakowań z pozostałościami smaru konserwacyjnego, ale zawsze bez drogocennej zawartości.

- Coś mi się zdaje, że ktoś się tu zakręcił przed nami. Ani jednej czystej części, wszędzie tylko złom.

- Fakt... - zgodził się Giennadij, zaciągając się skrętem i spoglądając z zadumą w dal. - Chyba że...

- Chyba że co? - nie doczekał się odpowiedzi najemnik.

- He? - Mutant oderwał się od obserwacji regałów z oprzyrządowaniem i ciężko westchnął. - Mówię, że gdyby trafił się dokładnie taki sam silnik...

Wstawilibyśmy go zamiast tego poprzedniego i jazda dalej... A części... Jak je znaleźć w takim bałaganie?

Taran przestał szperać latarką po rzędach stanowisk doświadczalnych i skierował światło na przyjaciela.

- Mówisz, że co byśmy wstawili?

- Silnik. Powiedzmy taki jak ten, który leży tam w kącie. - Uprzedzając kolejne pytanie towarzysza, Dym poszedł w przeciwnym kierunku, do rdzewiejącego pod ścianą elektrycznego wózka, i wskazał na wielką skrzynię.

W środku, na popękany od upływu czasu drewnianym łożu, przykryty brezentem, spoczywał na oko nietknięty silnik.

- Podobny do naszego, tylko te rurki są inaczej wygięte. - Mutant pchnął grubym paluchem w przewód paliwowy widoczny pod antykorozyjną osłoną.

- Rurki... - mruknął Taran, rozcinając plastik, potem odszukał oznakowanie na korpusie silnika i w końcu z zadowoleniem strzelił palcami. - Jest! To nieco inna wersja, ale baza taka sama, jak w silniku Maleństwa.

Ściągnął maskę przeciwgazową i posłał towarzyszowi zmęczony uśmiech:

- Giena, smoczysko ty moje zielone, co nam przeszkadza rozebrać go na części?! I będziemy mieli to, co trzeba!

Wracali w lepszym nastroju. Cenne znalezisko trzeba było przetransportować na saniach skleconych naprędce z drewnianych palet, co na Giennadiju nie zrobiło zresztą żadnego wrażenia. Mutant jakby nie dostrzegał potężnego ciężaru za plecami i tylko czasem krzywił się, kiedy pas upręży wrzynał się w potężną pierś. Najemnik osłaniał tyły,

obserwując dachy przez celownik automatu.

- Patrz! - Dym, nie zwalniając kroku, wskazał na sterczący pionowo w śniegu odłamek betonowej płyty.

Pośrodku, w szczelinie utworzonej przed dwie części nietypowego monumentu, znajdowały się dwa pionowo ustawione wały korbowe. W górnej części instalacji, jeśli dobrze się przyjrzeć, można było odczytać na wpół zatarte litery pamiątkowego napisu: „Z OKAZJI STULECIA”.

Lecz to nie hasło z przeszłości przykuło uwagę mutanta. Na jeden z wałów, złowieszczo szczerząc poczerńiałe zęby, nabita była ludzka czaszka.

- Sądząc z resztek skóry, biedaczysko wisi tu stosunkowo niedługo. A więc miasto jednak jest zamieszkałe... - Taran zerknął na przyjaciela. - Myślisz o tym samym co ja?

Obaj bez słowa popędzili przez zasy w stronę „bazy”. Najemnik wpadł do hangaru jako pierwszy, sapiąc i strzepując ze skafandra kawałki lepkiego śniegu.

- Gdzie Piechur?

Stojący na warcie Indianin popatrzył ze zdziwieniem na dowódcę.

- Przecież poszedł za wami! Wyjaśnił Natanowiczowi, że pomoże wam w poszukiwaniach...

- A mapy? Zostawił swoje mapy?

Z Maleństwa wyrzwał Bezbożnik i ze zmartwioną miną pokręcił przecząco głową.

- Kanalia! Czyli uciekł! - Zrzuciwszy uprząż, Giennadij wypluł ze złością niedopałek pod nogi.

- Niewielka strata - odezwał się Migałycz, wycierając ubrudzone smarem ręce w szmatę. - Uciekł, no i pal go sześć!

- Nie mów tak, ojczulku. Przecież po coś nas do tego Jarosławia zaprowadził?

- Mutant sięgnął do kieszeni po kolejnego skręta. - No i jak teraz zdobędziemy paliwo bez map? Ech, miał rację Gleb, że patrzył na niego wilkiem... Nawiasem mówiąc, gdzie on jest?

Małego włóczykija nie było w pobliżu warsztatu remontowego. Od Aurory, zajętej przygotowywaniem kolacji, usłyszeli, że nie zaglądał do środka.

Migałycz i Indianin patrzyli tylko po sobie z zakłopotaniem i rozkładali ręce. Nie na żarty zaniepokojony Taran ochrzanił obydwu za przeoczenie i chciał znów wyjść na zewnątrz.

Ale Gleb zjawił się sam - zaczerwieniony od biegu i kompletnie roztrzęsiony.

Jak tylko złapał oddech, pociągnął ojca za rękaw:

- Śledziłem go! Szybciej! Bo ucieknie!

- Dym, zostań tutaj, pomożesz przy silniku. Migalycz, pospiesz się z remontem! - Po tych krótkich poleceniach Taran w ślad za synem wyszedł w środek śnieżycy. Silny poryw wiatru omal nie zbił stalkera z nóg, buty grzęzły mu w zaspach, lecz zwinna figurka przed nim, niemal nie do odróżnienia na tle szalejącego żywiołu, uparcie przedzierała się w stronę bryły sąsiedniego wydziału fabryki. Stalker przyspieszył i dogonił syna przed wejściem, tak że do ciemnego wnętrza hali obaj weszli praktycznie jednocześnie.

- Powoli, spokojnie. Nie gorączkuj się - powstrzymał chłopca Taran, przytrzymując go za ramię, i podniósł kałacha. - Rozglądaj się na boki. Nie jesteśmy na spacerze.

Ruszyli, tym razem wolniej, świecąc latarkami po kątach i korytarzach.

- Tu! - Gleb nagle się zatrzymał, znalazłszy studzienkę w zalanej smołą podłodze. - Tutaj Piechur otworzył właz i zszedł pod ziemię. Nie zaryzykowałem, żeby iść za nim.

- I słusznie - zgodził się stalker, wspomniawszy szczegóły pamiętnego spotkania z „władcą marionetek”. - Widział cię?

- Wątpię. Starłem się nie hałasować.

- To dobrze... - Stalker zastygł w zadumie nad dziurą.

- Co tak stoimy?! - syknął rozpaczliwie chłopak. - Musimy go stamtąd wykurzyć, porozmawiać po męsku...

- Uwierz mi, Piechur nie zostanie tam długo. Na śniegu ma małe szanse - zdradzą go ślady, i dlatego próbuje wydostać się z zakładu przez piwnice.

- Ale przecież on nie zna drogi!

- Wychodzi na to, że zna. - W oczach Tarana pod wizjerem pokazały się złe błyski. - Nie zapominaj, że był już tutaj przynajmniej raz. A coś mi mówi...

-...że tych wizyt było więcej - dokończył Gleb. - I jak mamy go teraz szukać?

- Mam pewien pomysł. Za mną!

Gonitwa po zasypanych śniegiem fabrycznych alejkach nie przysparzała sił i wkrótce chłopakowi zaczęło brakować tchu. Chciał już zawołać Tarana, kiedy z radością zauważył, że ten zwalnia i uważnie rozgląda się dookoła. Gleb oderwał wzrok od ojcowskich pleców, pospiesznie zdjął z ramienia bizona i też się rozejrzał.

Wprost przed nimi majaczyła zmiażdżona przez wielotonowe Maleństwo brama wjazdowa. Na teren fabryki prowadził od niej wyraźny ślad ogromnych kół pancernego pojazdu.

- Patrz - wskazał stalker, przekrzykując wycie wiatru.

Wewnątrz kolein, przyprószonych drobnym lodowym pyłem, dało się jeszcze rozpoznać odciski butów.

- Nasz przewodnik nie jest głupi. Maskuje się... - Taran rzucił szybkie spojrzenie na zegarek. - Ale my też nie jesteśmy w ciemności. Zaraz go wyśledzimy.

Nigdzie nie ucieknie.

Fortuna wyraźnie jednak sprzyjała tego dnia Piechurowi. Śnieg sypał bez przerwy, jakby testując wytrzymałość ścigających. Kiedy zostawili za sobą estakadę mostu drogowego, którego jedynym wyraźnym znakiem istnienia był przymarznięty do jezdni wrak transportera opancerzonego, po łańcuszku śladów wijącym się między domami pozostały tylko ledwie dostrzegalne zagłębienia. Jeszcze kawałek i stalker zwolnił kroku, wpatrując się w mętną biel, ale jego wysiłki były daremne - ślady uciekiniera ostatecznie zasypało.

- Zgubiliśmy go? - uściślił z zalem w głosie Gleb, kiedy tylko złapał oddech.

Zamiast odpowiedzi Taran podniósł rękę w ostrzegawczym geście i przytknął palce do filtra maski przeciwgazowej, prosząc o ciszę. W tym momencie przez wycie wiatru dobiegły ich strzępy niewyraźnych dźwięków. Chłopiec wyteżył słuch i po kilku ciągnących się w nieskończoność chwilach znów to usłyszał... Brzęk.

Rytmiczny, metaliczny... Bardzo podobny do dźwięku wybijania okrętowych szklanek, co w swoim czasie słyszał na Bablu. Przed oczami Gleba pojawił się obraz gigantycznej platformy wiertniczej, która jeszcze całkiem niedawno przecinała fale Bałtyku, szukając surowców dla osiedleńców na Moszcznym. Teraz jednak wyspa, jej mieszkańcy i dumny Babel byli już tylko wspomnieniem. Nikczemny los, podarowawszy najpierw ludziom szansę na ocalenie, z równą łatwością ją odebrał, pozbawiając ich nadziei...

Może gdzieś tam, w głębi dzielnic mieszkalnych Jarosławia, rozłożył się obóz ocalałych? Gleb strasznie chciał w to wierzyć i z entuzjazmem ruszył za opiekunem, zapadając się w śniegu po kolana. Posuwając się ulicą Dobrynina - tak głosił napis na zabrudzonej, pożółkłej tabliczce - stalker przystawał jeszcze kilka razy, ale intrygujący dźwięk więcej się nie powtórzył. Po krótkiej naradzie postanowili w końcu, że rozejrzą się po okolicy z góry i skręcili w stronę najbliższego ośmiopiętrowego kanciastego bloku na skrzyżowaniu z ulicą Ugliczką. Na oko budynek sprawiał wrażenie zupełnie solidnego i wędrowcy bez zwłoki weszli na lodowatą klatkę schodową, chcąc jak najszybciej skryć się przed niepogodą.

Porośnięte ostrym mchem schody wyglądały na zapuszczone. Jeśli po wojnie stanęła tu ludzka stopa, to zdarzyło się to wiele lat temu. Teraz od oszronionych ścian wiało cmentarnym chłodem i opuszczeniem. Pokonawszy w ślad za ojcem kilka pięter, Gleb zauważył, że wszystkie bez wyjątku drzwi, które napotykali, były otwarte. Na potwierdzenie domysłów, jakie przemknęły mu przez myśl, Taran wyjaśnił:

- Mieszkania rozszabrowano do czysta. Wynieśli nawet wszystkie meble.

- Na opał? Nie ma sensu nosić drewna z daleka - rozwinął myśl chłopak. - A więc gdzieś w pobliżu był schron.

- Albo wciąż jeszcze jest. - Stalker wyważył ramieniem jedyne zamknięte drzwi i znalazł się na dachu.

Ku ich zaskoczeniu, przez krótki czas, kiedy wchodzili na górę, zamieć wyraźnie osłabła, a widoczność poprawiła się, dając im wyjątkową szansę, by dokładnie zbadać okolicę. A było na co popatrzeć: z góry rozpościerał się wspaniały widok i na opuszczone osiedla mieszkalne, i na most Dobryniński, który został za nimi, i na majaczący nieopodal budynek dworca. Przywykły do obrazów zniszczeń wzrok w panoramie martwego miasta od razu wychwycił coś nienaturalnego. Tam, za skupiskiem garaży i starych jednopiętrowych zabudowań, wzdłuż torów kolejowych ciągnął się zaimprovizowany mur utworzony z przewróconych na bok wagonów platform, arkuszy blachy, worków z piaskiem, cegieł i najprzeróżniejszych śmieci budowlanych. Za blokadą też pełno było wagonów - pasażerskich, towarowych, samowyladowczych, chłodni... Ale najczęściej trafiały się szczipione wagony cysterny. Wszystkie były starannie oczyszczone z wszechobecnej rdzy i troskliwie oznakowane świeżą farbą.

- Schyl się! - szepnął Taran, kryjąc się przy balustradzie. - Widzisz wieżyczki na rogach? Mogą nas namierzyć.

- Kto to? - Gleb zachłannie oglądał rozpościerający się przed nimi obóz.

- Coś mi się zdaje, że to jest właśnie zakon nafcjarzy, o którym „gadał” nasz, tfu, „przewodnik”.

- Ale przecież Piechur twierdził, że rozłożyli się w pobliżu Wołody!

- Sam przecież mówiłeś, że nie można mu ufać! - Stalker odwrócił się na plecy, przypinając do automatu celownik optyczny. - Okazał się taką samą swołoczą, jak nasz były znajomy Iszkarij. Można powiedzieć, że zdobył dla zakonu dwadzieścia ton wachy. Z dostawą do domu...

Im dłużej chłopak obserwował dziwną osadę, tym więcej nietypowych szczegółów rzucało mu się w oczy. Wagony z przedziałami pełniły funkcję baraków mieszkalnych. Do każdego z nich przylegało solidnie zbite drewniane skrzydło.

Wzdłuż dachów ciągnęły się przewody - wszystko wskazywało na to, że nafcjarze nie mieli kłopotów z elektrycznością. Z komina w niskim budynku unosił się szary dym - w piwnicy, jak amen w pacierzu, działał agregat prądotwórczy, i to niejeden.

Odkrył też źródło zagadkowego dzwonienia - pod daszkiem zmurszałego wagonu

restauracyjnego, który ewidentnie pełnił funkcję stołówki, wisiał na drucie kawałek szyny. Widocznie to przy jej pomocy wzywano na posiłek.

- W szczerym polu się okopali - nie mógł zrozumieć Gleb. - Nie łatwiej by im było urządzić się w jakimś budynku, jeśli już nie boją się promieniowania?

- Poziom radiacji jest tu akurat niski. Da się żyć. Rzecz w czym innym. - Taran przytknął oko do celownika i wodził lufą kałacha wzdłuż ogrodzenia. - Myślisz, że dlaczego tutejsze chłopaki tak sobie upodobały stację rozrządową? Dla nich to nie zwykłe cmentarzysko taboru kolejowego, tylko prawdziwy skarbiec. Dam sobie rękę odciąć, że te cysterny nie stoją puste. Ropa naftowa, olej napędowy, benzyna - wszystko, co zbierano po odrobinie - jest tutaj, pod strażą. I sądząc po wysokości murów, to nie od ludzi zakon się odgrodził.

Na potwierdzenie słów stalkera, gdzieś z przedmieść dobiegło ich przeciągłe zwierzęce wycie.

- Trzeba uprzedzić naszych, że...

- Patrz! - przerwał mu chłopiec, szarpiąc ojca za rękaw.

Od ściany sąsiedniego domu odłączył się niewyraźny cień. Taran spojrzał na gościa przez lunetę i w przebierającej nogami figurce natychmiast rozpoznał Piechura. Oglądając się co chwilę, uciekinier zmierzał prosto do obozu nafciarzy.

- Popatrz no, nasz inwalida już nie kuleje... - Stalker prześledził kierunek jego ruchu i utkwiał wzrok w dwóch wieżyczkach strażniczych, a między nimi...

W przerwie w murze, na wąskim placyku tłoczyły się dwa potężne spychacze.

Zamiast lemieszki przed kabinami kierowców sterczały przyspawane na sztywno masywne żelazne płyty. Cała ta zmechanizowana konstrukcja pełniła funkcję bramy wjazdowej.

- Trzeba zwiewać! - szepnął gorąco Gleb. - Póki nie jest za późno!

- Jest za późno. Zaraz powie swoim kamratom, gdzie jest Maleństwo i będzie po wszystkim. Otoczą fabrykę i nigdzie nie uciekniemy. - Stalker podjął decyzję i obrócił się do syna: - Zrobimy inaczej. Zasuważ ile sił w nogach z powrotem.

Powiesz naszym, żeby jak najszybciej się uwinęli. A ja tymczasem zatkam gębę Piechurowi. A nuż zyskamy trochę na czasie. Niech sobie poszukają igły w stogu siana.

Gleb już chciał się rzucić w stronę schodów, gdy zamarł niezdecydowany, oglądając się na ojca. W oczach chłopca malował się niepokój.

- Powiedziałem, biegnij! No, co jest?!

Kiedy chłopak zniknął, Taran przestawił automat w tryb ognia pojedynczego, wiedząc

z doświadczenia, że walenie seriami z takiej odległości nie ma specjalnego sensu. Potem znów przyłgął do kolby i wziął na cel oddalającą się figurkę zdrajcy.

Z każdą sekundą rosło ryzyko, że chybi, ale najemnik zwlekał, zyskując dla syna drogocenne sekundy.

Nie dochodząc do muru, Piechur zamachał ręką na powitanie i coś krzyknął - nie inaczej, tylko hasło. Proszę, jaki głuchoniemy kaleka... W odpowiedzi z wieżyczki rozległ się ostrzegawczy okrzyk strażnika.

Dalsza zwłoka groziła katastrofą. Stalker wstrzymał oddech, uchwycił moment między uderzeniami serca i płynnym ruchem nacisnął spust. Poczul na ramieniu znajome kopnięcie odrzutu, widok w celowniku poruszył się i ułamek sekundy później jego wzrok skupił się na wyciągniętym na śniegu ciele. Huk wystrzału poderwał z wiszących nieopodal przewodów elektrycznych stado krzykliwych ptaków o długich dziobach. Wypełniając okolicę głośnymi wrzaskami, wzniosły się w niebo i zaraz zniknęły za dachami domów, ale do spółki z odgłosem wystrzału efekt został osiągnięty. Gdzieś za blokadą tęsknie zawyła syrena. Od razu na kilku wieżyczkach, przecinając gęstniejący zmrok, rozbłysły reflektory.

Dystans między budynkiem, z którego strzelał, a bramą Taran pokonał w rekordowo krótkim czasie. Widząc groźne zamieszanie na wieżach, odwrócił się w stronę opuszczonego przed chwilą ośmiopiętrowego bloku i wywalił w niego pół magazynku, symulując walkę z nieznanymi przeciwnikami. Fortel zadziałał - smugi światła z reflektorów zaczęły szperać po oknach domów i zaułkach, ignorując samotną figurkę człowieka przemykającą pod ścianami. Stalker padł na kolana obok ciała Piechura i zaczął przeszukiwać kieszenie zachłapanego krwią skafandra.

Pokładanie się w śniegu pod lufami co najmniej kilku wycelowanych z muru automatów było bardzo nieprzyjemnym uczuciem. Pozostawało mieć nadzieję, że jego szamotanina chociaż trochę przypomina udzielanie pierwszej pomocy, której brodacz już nie potrzebował. Trzeba było obrócić trupa na plecy i wzrok mimowolnie przyciągnęła zmasakrowana przez celny strzał twarz. Teraz było w niej już mało z człowieka, a ocalałe oko spoglądało na zabójcę z wyrzutem. Tylko patrzeć, a zamruga na pożegnanie...

Taran poskromił rozigraną wyobraźnię i skoncentrował się na przeszukaniu. Po chwili jego palce dotknęły przewiązanego sznurkiem zawiniątka. Jest! Drogocenne sekundy minęły, zanim schował mapy Piechura za pazuchą. Kiedy z góry dał się słyszeć surowy okrzyk strażnika, który w końcu zaczął coś podejrzewać, ręce stalkera zaciskały się już na automacie. Ale nacierz był przygotowany.

Wystrzał! Jeszcze jeden! Kawałki lodu bryznęły mu pod stopami. W pokrywie śniegu,

niebezpiecznie blisko, pojawiło się kilka otworów po kulach. Nie było już żadnych wątpliwości co do zamiarów niegościnnych gospodarzy.

Ze stłumionym stukotem z wyrzutnika pod lufą wyleciał granat i niemal natychmiast w miejscu wybuchu rozkwitł ognisty kwiat, oświetlając ściany szkarłatną łuną. Chwilowy zamęt wśród nacierzy wystarczył, by w szaleńczym rzucie przeskoczyć kawałek wolnej przestrzeni przed bramą. Kiedy w odpowiedzi odezwało się kilka karabinów naraz, stalker skrył się już za powyginanym wrakiem PAZ-a i teraz czekał na odpowiedni moment do kolejnego skoku.

Autobus jęczał i wibrował pod gradem ołowiu. Przerażliwy brzęk nie ustawał ani na chwilę. Z wysłużonej karoserii, dekorując zaskapy czerwień, odpadały całe płyty rdzy i Taranowi groziło, że krucha osłona w krótkim czasie zamieni się w sito.

Do tego wszystkiego, budząc się do życia, zawarczały silniki spychaczy i żelazne wrota poszły w ruch, otwierając przejazd.

Za chwilę pod murami obozu robi się zbyt gorąco. Taran zarzucił kałacha na ramię i, licząc na szczęście, rzucił się do ucieczki. Świst kul sprawił, że instynktownie pochylił głowę, a nogi z niespodziewaną zręcznością przeniosły go nad pochyłym ogrodzeniem w środek skupiska przegniłych szop. Po przedarciu się przez krótki labirynt utworzony ze zwałów cegieł, uciekinier dosięgnął w końcu narożnika domu i dopiero teraz pozwolił sobie na złapanie oddechu. Lodowata ściana przyjemnie chłodziła mu plecy, a do głowy, opanowanej przez paniczny strach, stopniowo wracała zdolność logicznego myślenia. Teraz jeszcze drobiazg - odciągnąć pościg jak najdalej od fabryki i zgubić go wśród podwórek. Stalker wsłuchał się w kakofonię dźwięków, łowiąc warkot silników o niewielkiej mocy.

Przez na wpół otwartą bramę, wzbijając tumany śnieżnego pyłu, jeden za drugim wyskoczyło pięć skuterów śnieżnych z jeźdźcami w zimowym kamuflażu.

Polowanie się rozpoczęło.

Rozdział 6

NAFCIARZE

Za każdym razem, kiedy poryw wiatru przynosił echo terkotu automatów, wzbierała w nim przemożna chęć, by odwrócić się i co sił w nogach popędzić na pomoc. Ale w żadnym wypadku nie wolno mu było tego robić. Z takim wzrostem, do tego w głębokim śniegu, prędzej stałby się ciężarem niż wsparciem. Gleb chwycił za broń i ze zdwojoną energią zaczął szturmować zwały śniegu. Szalejąca przed chwilą zamieć pokryła ulicę skrzącymi się w świetle latarki wydmami. Tam, gdzie przegniłe od starości dachy nie wytrzymały ciężaru obfitych opadów, górne piętra zapadły się pod wszechobecnym śniegiem i miasto widmo, dusząc się pod naporem żywiołu, wypluwało go teraz lepкими grudkami z czarnych gardzieli otworów okiennych.

Chłopak nie bał się, że zabłądzi. Do pokonania miał tyle, co nic - z powrotem do ulicy Dobrynina, potem przez most o analogicznej nazwie, a tam po prawej będą już zakłady Awtodizel. Skóra pod wilgotną gumą strasznie go swędziała, do tego nogi, za każdym razem zapadając się w sypki śnieg po kolana, coraz bardziej mu się plątały. Ale to były tylko drobne niedogodności w porównaniu z tym, co mogło czekać ekspedycję w najbliższym czasie...

Do odgłosów dalekich wystrzałów dołączył hałas silników.

„Oddział zmotoryzowany? To dla Tarana złe wieści...” - zaniepokoił się nie na żarty Gleb. Starając się „na słuch” obliczyć liczbę prześladowców, nie od razu zwrócił uwagę na nowy, wyraźny dźwięk, którego źródło znajdowało się gdzieś niedaleko. Kiedy w sklepie naprzeciwko zachrzęściło zbite szkło, chłopiec poderwał swojego bizona i zastygł niczym posąg, obserwując czarny otwór wyjścia.

Sekunda... Druga... Jeśli w środku była jakaś żywa istota, to nie zdradzała więcej swojej obecności. W takiej sytuacji najlepiej było ukryć się i poczekać aż obcy - czy to zwierzę, czy to człowiek - wyjdzie z kryjówki. Ale jak na złość chłopak nie miał czasu na zabawę w chowanego. Oglądając się na każdym kroku, ostrożnie, bokiem, minął skrzyżowanie, odchodząc coraz dalej od podejrzanego budynku.

Kiedy za nim został cały kwartał, chłopiec już chciał odetchnąć z ulgą, lecz kolejny szelest, tym razem z narożnego domu, zmusił go do biegu.

Wątpliwości zniknęły - ktoś albo coś nieustępliwie deptało mu po piętach. Jak na

złość, kolejny odcinek drogi wiódł przez otwartą przestrzeń, ale zaraz za węzłem drogowym widać było hale fabryczne i po krótkim wahaniu Gleb postanowił rzucić się biegiem. Wystarczyło, że postawił nogę na moście, kiedy od strony pozostawionych z tyłu domów rozległ się przeraźliwy łoskot. Wyłamawszy ramę okienną, z drugiego piętra wypadło na śnieg ogromne podłużne cielsko nieznanego stwora. Z proporcji i umaszczenia futra mutant przypominał nieco tchórza, tyle że był bez porównania większy od swojego miniaturowego przodka. Wydłużony pysk stwora natychmiast podniósł się znad zasy i utkwiał wilgotne guzikowate oczy w upatrzonej ofierze. Z głośnym chrapnięciem, zwierzę rzuciło się naprzód długimi skokami.

Budowa szerokich, przypominających płetwy łap pozwalała drapieżnikowi poruszać się ze zdumiewającą szybkością, nie zapadając się w śniegu, a co najwyżej lekko ugniatając jego pokrywę. Łeb z rozwartą paszczą pełną zębów gwałtownie się kołysał, przez co nie było żadnej możliwości, by celnym trafieniem uszkodzić mózg stwora. Natomiast strzelanie w ogromne cielsko Gleb od razu uznał za działanie pozbawione sensu, które musi zakończyć się porażką. Nie oglądając się więcej za siebie, w te pędy pognął na środek mostu, gdzie upatrywał jedynej szansy ratunku.

Odcinająca się od szarego wieczornego nieba czarna plama transportera opancerzonego zbliżała się zbyt wolno. Chłopiec biegł, wyężając wszystkie siły, lecz złowieszcze sapanie za plecami było coraz głośniejsze. Od szybkiego biegu płuca płonęły mu żywym ogniem, a serce chciało wyskoczyć z piersi. Ale, mimo dręczącego gorąca, po plecach nagle przebiegł mu nieprzyjemny zimny dreszcz i chłopiec niemal fizycznie odczuł, jak ostre kły przegryzają tkaninę skafandra, zamykają mu się na tułowiu, rozrywają ścięgna, miażdżą kruche żebra...

Strach dodał Glebowi nowych sił i w ułamku sekundy był już na dachu ośmiokątowego żelaznego wraku. Dzięki niech będą nieznanym szabrownikom - górny właz był otwarty na oścież. Chłopak wślizgnął się do środka, z krzykiem cofnął nogi i potoczył się w głąb przedziału desantowego, kiedy transporter zatrzęsł się pod ciężarem rozwścieczonego niepowodzeniem zwierzęcia. Kłapiąc paszczą i rycząc basem ze zniecierpliwienia, zmutowany tchórz wsunął przez luk spiczasto zakończony łeb i szarpnięciami zaczął przeciskać tułów do środka. Z krzywych kłów na ławkę obficie spływała ciągnąca się ślina. W pewnym momencie zwierzę wygięło się w błyskawicznym, niemal nieuchwytnym ruchu i wyrwana z drżącej ręki chłopca latarka z chrzęstem zniknęła w paszczy drapieżnika.

Wraz z nieprzeniknionymi ciemnościami, które gęstym całunem spowiły wnętrze metalowej pułapki, świadomością Gleba zawładnęła panika. Ślizgając się w nagromadzonej

na dnie pojazdu cuchnącej zupie ze stęchłej wody i zgniłych liści, zaczął czołgać się na oślep w kierunku kabiny kierowcy. Jak na złość, drogę zagroził mu wspornik podwieszono fotela strzelca. Chłopiec zawył z rozpacz, szarpnął się i wyminął przeszkodę. Ręka trafiła na bezkształtną grudę wilgotnej materii. Cisnąwszy ciężki przedmiot w stronę zwierzęcia, Gleb trzęsącymi się rękami zerwał z ramienia broń i niewiele myśląc, nacisnął spust. Wraz z ogłuszającym łoskotem i błyskami płomieni, w świetle których udało mu się dostrzec pysk zwierzęcia z zębami zaciśniętymi na torbie po hełmofonie, w dzikich rykoszetach zadzwoniły śmiertelne kule. Jeśli nawet część z nich trafiła w mutanta, ten nie zwrócił na to żadnej uwagi i, sądząc z wydawanych dźwięków, dalej wściekle tarosił torbę.

Gleb zapłacił jednak za to impulsywne działanie wysoką cenę. Udo zapłonęło mu nagłym bólem, spod rozerwanej nogawki popłynęła krew. Na szczęście rykoszetująca kula tylko go drasnęła i rana nie przeszkadzała opierać się na trafionej nodze.

Zawodząc z przerażenia, chłopiec wymacał w końcu zasuwę wjazdu i szarpnął ile sił. Jak można się było spodziewać, mechanizm nie przesunął się ani o milimetr.

W ruch poszła rozkładana kolba bizona i po trzecim uderzeniu, razem z płatami rdzy, w powstałą nad jego głową szczelinę wlało się blade światło zmierzchu. Chłopiec odsunął kłapę luku dla kierowcy i wy dostał się na zewnątrz, po czym, pod ciężarem własnego ciała, zsunął się z pojazdu na ziemię.

Kiedy za skraj pancierza złapała uzbrojona w pazury łapa, nieposłuszne palce Gleba wymacały już „limonkę”. Po chwili śmiertelna kula o graniastej powierzchni, zatoczywszy krótki łuk, zniknęła w luku. Chłopiec rzucił się w śnieg jednocześnie z eksplozją, która zatrzęsała kadłubem transportera. Z osmalonego wnętrza buchnął dym, a zgrzyt pazurów i wściekle syki natychmiast się urwały.

Podnosząc się z ziemi ze stłumionym jękiem, ogłuchły na jedno ucho chłopak odwrócił się, podniósł broń i wyczekująco utkwiał wzrok w kopącym luku, lecz drapieźny pysk mutanta już się nie pokazał. Poczekał dla pewności jakieś pół minuty, zarzucił bizona na ramię i chwiejnym krokiem ruszył w stronę bramy fabrycznej.

* * *

Nafciarz nawet nie zdał sobie sprawy, co za siła porwała go ze skutera, rzucając wprost pod nogi rosłego nieznanego w osobliwym, ewidentnie ręcznej roboty

wzmocnionym skafandrze. Żelazny „koń” zarzęził silnikiem, wyleciał na zaspie w powietrze i zwałił się na bok, zaś czoła jeźdźca od siedmiu boleści dotknęła oksydowana lufa AK-74.

Od uderzenia o ziemię maska zsunęła mu się na bok, a narciarskie gogle zalepił śnieg. Nafciarz zaklął, otarł twarz rękawem kurtki i zmrużył oczy w poczuciu klęski, czekając na szybką rozprawę. Sekundy mijały jedna za drugą, ale wystrzał cały czas nie nastąpił. Zamiast tego tuż obok zawył motor i właściciel kałacha umknął na śnieżnym skuterze.

Z przeciwnego końca zaułka dobiegł warkot kilku silników jednocześnie - nadjeżdżała ariergarda grupy pościgowej. Pierwszy pojazd obsypał pechowego żołnierza odłamkami lodu i ostro zahamował.

- Gdzie on jest?!

Zamiast odpowiedzi nafciarz machnął ręką, wskazując kierunek. Dopiero co cudem uniknąwszy śmierci, nie był w stanie powiedzieć ani słowa.

- Wypuściłeś go, pokrako?! Odpowiesz za to!

Głos wściekłego dowódcy sprawił, że miał ochotę cały zakopać się w śniegu.

Ale tego bardziej teraz zajmował uparty uciekinier niż ukaranie podwładnego.

Bandyta podkręcił manetkę gazu i odjechał razem ze swoją świtą.

Skuter trząsał się i jęczał pod jego nogami, zużyta konstrukcja groziła, że w każdej chwili może rozsypać się na kawałki, ale Taran uparcie wyciskał z silnika pełną moc. Nie udało mu się jednak zgubić pościgu. Zwinne skutery śnieżne z łatwością znajdowały sobie drogę w ciasnych podwórkach i uliczkach. Po zdobyciu pojazdu stalker uznał, że wreszcie uda mu się pozbyć natrętnej „eskorty”, lecz ledwie zipiący silnik rozwiązał te nadzieje.

Na teren fabryki uprowadzony skuter wpadł przy akompaniamencie świstu kul i zapalczywych okrzyków depreczających mu po piętach nafciarzy. Taran gnał właściwie na oślep, z wyłączonym reflektorem, i gdyby nie nocne ciemności, wynik pościgu mógłby okazać się całkiem inny. Zakręt, krótka prosta, kolejny zakręt... Do hangaru pozostało niecałe sto metrów, kiedy drogę przeciął mu rozmyty kształt czegoś ogromnego i rozpędzonego. Mózg jeszcze nie zidentyfikował źródła zagrożenia, a instynkt już zdążył wyrzucić ciało w powietrze. Stalker pokoziołkował w śnieg w tym samym momencie, w którym zmutowany tchórz w pełnym biegu staranował wysłużony skuter. Silnik żałośnie zarzęził i umilkł, a mutant głośno prychnął i obrócił drapieźny pysk w stronę człowieka.

Sytuacja była patowa. Z jednej strony szybko zbliżali się uzbrojeni po zęby ludzie zakonu, z drugiej - szczyrzyła zębiska przyczajona, gotująca się do ataku okrutna bestia. Widząc w rękach stalkera automat, tchórz groźnie rozdziawił paszczę i zasyczał jeszcze głośniej. Najwyraźniej zdążył się już zaznajomić z „grzmiącymi kijami” dwunogów. To

dawało pewną nadzieję. Może strzał odstraszy drapieżnika?

Taran odciągnął zamek, wycelował, ale nie trzeba było naciskać spustu.

Zwierzę, czując nowe zagrożenie, stanęło na tylnych łapach jak świstak na straży stada i niespokojnie pokręciło wąsatym pyskiem. Po chwili spod bramy hangaru przebiło się ostre światło i żelazne wrota ze zgrzytem zostały wyrwane z zawiasów pod naporem wściekle ryczącego Maleństwa. Transporter podjechał na plac umożliwiający manewrowanie i zatrzymał się; na burtach ogromnego nadwozia, rozpraszając ciemności na całej długości fabrycznej alejki, zapaliły się reflektory.

Przerośnięty tchórz żałośnie szczeknął i rozbijając połyskującym bokiem skraj ceglanego muru, czmychnął przez okno do piwnicy. Nafciarze też nie byli gotowi na tak uroczyste powitanie: oślepiające światło zbijało z tropu, przeszkadzając w celowaniu. Jeden ze ścigających, tracąc kontrolę nad pojazdem, na pełnej szybkości wpadł na stojącą pod ścianą budkę transformatora. W pozostałych zgodnie uderzyły zamontowane na dachu cekaemy, z jednakową łatwością przebijając skorodowany metal, jak i kruche ludzkie kości. Dwa skutery śnieżne, pozbawione jeźdźców, siłą rozpędu przeleciały jeszcze kilka metrów, wpadły w zasy i zaczęły wypuszczać kłęby gęstego dymu. Kolejny, razem z trupem kierowcy, który nawet po śmierci nie opuścił swojego stalowego „rumaka”, zapłonął jak pochodnia.

Uciec spod krzyżowego ognia cudem udało się tylko najbardziej ślamazarnemu nafciarzowi. Spóźniony, wjechał w zaułek jako ostatni i obróciwszy skuter, salwował się ucieczką. Czy zdążył dostrzec cysternę zamontowaną na transporterze? Mimo że dudnienie sprzężonych kordów nie mogło ująć uwagę mieszkańców obozu, wciąż jeszcze była nadzieja, że zostawią wędrowców w spokoju.

Stalker dokuśtykał do opancerzonego boku, wszedł po szczebelkach i wcisnął się przez gościnnie otwarty właz.

- Tata! - zawołał radośnie Gleb, natychmiast rzucając się na Tarana.

- Spokojnie, zrobisz mi krzywdę! Daj chociaż zdjąć maskę!

- Jesteś cały? Nie trafili cię? Co z Piechurem? - trąkotał chłopiec bez ustanku.

- A ja taaaką bestię załatwiłem! Bo Migałycz do tej pory nie chce wierzyć! Dopiero co odpaliliśmy Maleństwo! Udało się już za pierwszym razem, wyobrażasz sobie?

Ładnie dołożyliśmy tym ofermom!

Stalker oderwał od szyi niemilkącego chłopaczka i dostrzegł na nogawce syna plamę krwi. Przez dziurę w materiale widać było opaskę z bandaża.

- Zadrapanie - zapewnił dowódcę Bezbożnik, widząc jego zaniepokojony wzrok. - Nic

poważnego.

- Wszyscy na pokładzie? - Taran wziął z szafki parę magazynków do automatu, by zastąpić puste, i skierował się do kabiny kierowcy. - Migalycz, jedź w stronę rzeki! Uciekamy!

Po remoncie warkot silnika był równy i dudniący. Pojazd rozpędził się i wyjechał w miasto. Samochody wypełniające prospekt Oktiabra nie były przeszkodą dla wielotonowego pojazdu. Bezceremonialnie roztrącając zbutwiałe ciężarówki, wgniatając w śnieg osobówki, Maleństwo przedarło się na nabrzeże przez labirynt nadrzecznych uliczek i, kichnąwszy na koniec siwym dymem, wytoczyło się na lód.

- Wyłączyć światła! Spróbujemy przemknąć po kryjomu.

- Tak jest, dowódco! - Staruszek szczęknął przełącznikiem i pochylił wątle ciało nad kierownicą, w napięciu wpatrując się w mrok za szybą.

- Załoga, przygotować się! - rozległ się w przedziałach głos Tarana. - Miejcie pod ręką broń i namordniki. Dym, Indianin - do wieżyczek cekaemów! Natanowicz, przygotuj apteczkę! Aurora, nie opuszczaj Gleba ani na krok! I zapnijcie pasy...

Stalker przewidział rozwój wypadków. Nad czarnymi sylwetkami domów, pozostawiając na niebie łukowaty, dymiący ślad, ku ołowianym chmurom wzbiła się jaskrawoczerwona rakietka sygnalizacyjna. W ślad za nią, gdzieś na brzegu, zapłonęły dwa białe-żółte punkty i szybko nabierając prędkości, pomknęły w stronę transportera.

- RPG po prawej! - zwyczajnie i bez hysterii oznajmił Taran. - Ostro w lewo na raz... dwa... trzy! Teraz!

Dwa wybuchy, właściwie zlewając się w jeden, rozsadziły skorupę lodu niebezpiecznie blisko opancerzonej burty. Transporterem wyraźnie zatrzęsło, strzępy porwanej gumy na jednym z tylnych kół zastukotały w błotnik. Omal nie przewracając się na bok, transporter wpadł w kilkumetrowy poślizg, ale wyrównał dzięki nieprawdopodobnemu wyczuciu Migalycza. W odpowiedzi na atak z opóźnieniem zadudniły cekaemy, zawijasy pocisków smugowych bezładnym wachlarzem spadły na nadbrzeżne zabudowania.

- Wstrzymać ogień! Nie ma sensu walić na oślepie!

Działka umilkły, za to gdzieś z przodu, wysoko zapaliły się potężne reflektory, zalewając przestrzeń przed sobą oślepiającym światłem.

- Przed nami most! - krzyknął kolejarz przez radio.

Pod szerokie przęsła starej konstrukcji, przecinając drogę nabierającemu prędkości transporterowi, wjeżdżała już grupa zdezelowanych KAMAZ-ów, terenówki ze sterczącymi nad odciętymi dachami cekaemami i cała chmara zwinnych skuterów śnieżnych. Ponieważ

nowe próby ustrzelenia Maleństwa z granatników nie nastąpiły, można było przypuszczać, że nafcjarze zauważyli jednak na transporterze cysternę z drogocennym paliwem.

- Ognia, ognia, ognia! - ryknął Taran i do bólu palców naciskał języki spustowe kordów.

Koryto Wołgi rozkwitło rojem ognistych błysków. Strzelano i z kamiennego nabrzeża, i z mostu Oktiabrskiego, i z dachów dymiących spalinami ciężarówek.

Pancerz samobieżnej wyrzutni jęczał i dzwonił od licznych trafień. Złowrogie bębnienie po zewnętrznym poszyciu zmuszało pasażerów, by instynktownie pochylili głowy. Kiedy jedno z okienek obserwacyjnych bryznęło odłamkami rozbitego szkła i łoskot strzelaniny wdarł się do segmentu mieszkalnego, Gleb ściągnął pobladłą Aurorę na podłogę i zwinął się obok niej, obejmując przyjaciółkę uspokajająco.

Dziewczynka cała się trzęsała. Zacisnęła powieki, przytuliła głowę do piersi chłopaka i ucichła. Jej usta poruszały się ledwie zauważalnie, bez końca powtarzając jakieś słowa.

- Trzymajcie się! - zacharczały głośniki.

Potężne uderzenie omal nie wysadziło Indianina z gniazda cekaemu. Ogryzek solidnie uderzył głową o pręty ochronnej klatki i odprowadził mętym wzrokiem zagrzebanego w śniegu KAMAZ-a. Wygięta przednia oś, jak odłamek kości, wystawała spod zardzewiałego podwozia, zmiażdżona kabina wyglądała, jakby zdjęto ją z ogromnego kowadła. Z rozbitego samochodu po brudnym śniegu ciągnął się mokry ślad - czy to benzyny, czy krwi...

Kierowca najbliższego skutera ominął przeszkodę, zerwał maskę z twarzy, krzyknął coś ze złością i puścił w stronę Maleństwa długą serię z automatu.

Zniekształcona nienawiścią twarz nafcjarza i widok rozwalonego KAMAZ-a na długo wbiły się chłopakowi w pamięć. Zabłąkana kula, krzesząc iskry, zadzwoniła o kratę tuż obok jego głowy. To było już zbyt wiele. Indianin poddał się. Zsunął się ze stanowiska i zjechał po drabince, kryjąc się za niezawodnym pancerzem.

- Co, młody, już się nastrzelałeś? - Bezbożnik odsunął trzęsącego się ogryzka i wdrapał się na górę, do wieżyczki strzelniczej.

Transporter zatrząsł się jeszcze kilka razy, spychając stojące mu na drodze ciężarówki. Dzięki świetnej robocie techników z Babla pług w kształcie klina wciąż jeszcze się trzymał. Teraz, kiedy Maleństwo zrównało się z pojazdami ścigających, ogień prowadzony z brzegów ucichł. Nafcjarze nie byli takimi idiotami, żeby walić po swoich.

- Nie dajcie im przestrzelić naszych opon! - w głosie Tarana dźwięczała stal. - Indianin, subaru na dziewiątej! Mają działko na pace! Dym, UAZ i hummer na siódmej są twoje!

Migałycz przypomniał sobie o wymyślnych osłonach - spadku po tych samych babelskich mistrzach, z niezadowoleniem walnął się w czoło i nacisnął przycisk na desce rozdzielczej. Z wyraźnym klaśnięciem odpaliły ukryte w specjalnych gniazdach ładunki pirotechniczne, przerywając linki blokujące. Z boków transportera, chroniąc wrażliwe wnęki kół przed nieprzyjacielskim ogniem, opadły segmentowane metalowe osłony.

Giennadij zadudnił buciorami po metalowej platformie i pochylił się za pancernym tylnym stanowiskiem strzeleckim. Akumulator pod nogami usłużnie zamigał zielonym światełkiem, domowej roboty uchwyt mechanizmu obrotowego wygodnie ułożył się w dłoni, zawczasu pozbawiony pokrowca karabin lotniczy ochoczo zabuczał, kręcąc się na stanowisku. Naprowadzając celownik na najbliższego dżipa, mutant uśmiechnął się złowieszczo i nacisnął spust. Snop ognia i dziki jazgot zdezorientowały na moment zielonoskórego strzelca, ale kiedy rozjaśniło mu się w oczach, Dym z satysfakcją dostrzegł czarną plamę na powierzchni śniegu i buchający gęstym dymem wrak hummera. Seria z szybkostrzelnego karabinu właściwie przecięła pojazd na pół.

Drugi dżip, zarzucając tyłem, gwałtownie skręcił w bok, a posłana za nim seria tylko smagnęła po skraju karoserii, przez co odpadł tylny zderzak. Kierowca uznał, że lepiej będzie uciec ze strefy ognia zabójczej broni i nadepnął na hamulec, przerywając pościg.

Bezbożnik, który zmienił Indianina, też poradził sobie ze swoim celem, i kiedy unieszkodliwiony japończyk pokoziołkował po lodzie, pościg nagle się urwał.

Ocalałe pojazdy zwolniły, skręcając w stronę brzegu. W ślad za nimi popędził rój najprzeróżniejszych skuterów śnieżnych. Zakon uznał dalsze straty ludzi i sprzętu za bezsensowne, a może dowódcy doszli do rozsądnego wniosku, że ten opancerzony orzech jest dla nich zbyt twardy do zgryzienia.

- Chyba się odczepili... - oznajmił Migałycz.

- Wszyscy cali? - przerwał mu Taran.

W krótkiej wyliczance nie odezwał się tylko Dym.

- Niech ktoś zerknie, jak tam nasz siłacz. Jest na platformie.

W chwili, gdy rozweselona Aurora ochoczo podbiegła do śluzy powietrznej, pokrywa wjazdu odjechała na bok, ale zamiast Giennadija na progu stał ubrany w skafander w panterkę szturmowiec zakonu.

Gleb akurat wprawiał w otwór po rozbitej szybie metalową płytkę i atak nacierza go zaskoczył. Wszystko stało się w ułamku sekundy. Chłopiec przeturlał się do korytarzyka, zrywając z ramienia bizona. Nieznajomy zrobił krótki zamach i zmiotł Aurorę z drogi uderzeniem kolby, ale to wystarczyło, by Gleb zdążył nacisnąć spust. Szturmowiec jakby

wpadł na niewidzialną ścianę, gdy krótka seria smagnęła po jego kamizelce kuloodpornej. Ostatnia kula znalazła w końcu lukę w osłonie, trafiając w grdykę. Żołnierz zarzęził, chwycił rękami za rozdarte gardło i zwałił się z powrotem do przedsionka. Chłopiec patrzył jeszcze przez jakiś czas, jak buty nafcjarza skrobią o podłogę, po czym opamiętał się i przyskoczył do przyjaciółki.

Dziewczynka leżała bez ruchu. Zamknięte powieki ledwie zauważalnie drgały, oddech był szybki i urywany, a po trupio bladej twarzy ciekła krew z okropnej rany na skroni.

- Aurora! - zawołał lękliwie Gleb. - Aurora, no co ty? Wstawaj, słyszysz?

Otwórz oczy!

Chłopiec potrząsnął przyjaciółką, ale bez skutku.

Jakby przez warstwę waty przebił się do niego daleki głos Bezbożnika:

- Na bok! Rozejść się! Podajcie światło! I czystą wodę! Szybko!

Obraz rozmazał się i rozplynął. Przed zamglonym wzrokiem przesuwały się szybko plecy dorosłych. W przedziale rozeszła się ostra woń medykamentów.

Świadomość Gleba zawęziła się do jednej jedynej myśli. Jak nakręcony powtarzał w duchu bez końca:

„Obudź się... Obudź się... Obudź się...”

* * *

- Skąd on się wziął na pokładzie?

W ciasnej przestrzeni mesy głos stalkera brzmiał ogłuszająco.

Teraz, kiedy Jarosław z jego mieszkańcami został daleko za nimi, nadszedł czas, by wylizać rany i dokonać niewesołego bilansu. Dyskusja odbyła się już na pierwszym postoju.

- Widocznie skoczył ze skutera - stwierdził w końcu staruszek.

- Giena, jak nafcjarz dostał się na platformę? Przecież tam byłeś!

Mutant, utkwivszy wzrok w podłodze, ponuro żuł skręta. Potem podniósł jednak oczy na dowódcę.

- Natanowiczowi zaciął się cekaem. No i przeszedłem górą, żeby mu pomóc.

- A wyjście z klatki zostawiłeś otwarte...

- Ale kto mógł przypuścić, że ta gnida tam wlezie! - Dym ze złością walnął pięścią w szafkę z bronią, od czego w metalowych drzwiczkach pojawiło się imponujące wgniecenie. -

Walka właściwie się skończyła!

- Właściwie? - Taran podszedł blisko do przyjaciela i popatrzył zimno w górę.

- Sam tak zdecydowałeś, czy był rozkaz?

Stalker odwrócił się w stronę Indianina i zmierzył go niedobrym spojrzeniem.

- A ty? Gdzie powinieneś być w czasie walki? Jak to się stało, że Bezbożnik znalazł się w wieżycze strzeleckiej zamiast ciebie?

Zasepiony ogryzek cierpliwie milczał. Głupio byłoby teraz szukać wymówek.

Zwłaszcza że nie miał żadnej.

Wymierzanie ciosów gwałtownie się urwało. Taran napotkał wzrok syna i nagle się zaciął. Przygotowane słowa nie wyrwały mu się ostatecznie z ust.

- Dla ciebie wszyscy dookoła są winni! - Chłopak patrzył otwarcie i wyzywająco. - Tylko nie zapominaj, przez czyją decyzję wpadliśmy w pułapkę.

- Piechur posiadał cenne informacje - próbował się usprawiedliwić stalker. - Sam przecież rozumiesz, że bez jego map...

- Bez jego map świetnie sobie dotąd radziliśmy i radzilibyśmy sobie dalej! - Wytrzymując ciężkie, badawcze spojrzenie, Gleb zapędzał się coraz dalej. - To ty przyjąłeś Piechura do załogi! To ty nie chciałeś widzieć oczywistych faktów! I temu, że Aurora wciąż leży bez przytomności, jesteś winny tylko ty!

Ostatnie słowa chłopiec wykrzyczał, tracąc kontrolę nad sobą - emocje potrzebowały ujścia.

Czy to skąpe światło było temu winne, czy to po prostu gra cieni, ale przez moment Glebowi wydało się, że rosła postać przy stole zgarbiła się, plecy się pochyliły i kiedy dowódca wreszcie przemówił, żadnemu z zamarłych w napięciu oczekiwania członków oddziału nie umknęło, że w jego głosie pobrzmiwa zmęczenie.

- Masz rację, Gleb. Jestem winny. Jestem szefem ekspedycji i cała odpowiedzialność za to, co się stało, spoczywa wyłącznie na mnie. To przecież chciałeś usłyszeć? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, stalker odwrócił się do pozostałych. - Jeśli uważacie, że źle wypełniam funkcję dowódcy, jestem gotów się jej zrzec. Wybierzemy nowego i po kłopotach.

Jako pierwszy nie wytrzymał Migalycz. Kiedy staruszek wstał ze swojego miejsca, na jego twarzy malowało się skrajne wzburzenie.

- Zbyt łatwe to dla ciebie, Taran... Po prostu usunąć się w cień. Umyć ręce.

Poddać się. - Chore oko kolejarza cały czas drgało ze zdenerwowania. - Nikt nie obiecywał, że to będzie spacer. Głupio byłoby myśleć, że jakoś to będzie.

Wiedzieliśmy, w co się pakujemy. Dostać się do Władywostoku - samo w sobie nie

jest łatwym zadaniem, nawet przed Katastrofą nastęczało to pewnych trudności. Co dopiero mówić o obecnych czasach... Ale jeśli już się do tego zabraliśmy, to powinniśmy patrzeć na sytuację trzeźwo. Dowódco, bez twojej wiedzy i doświadczenia nasze szanse są zerowe. Jeśli ktokolwiek jest w stanie doprowadzić nas do celu, to tylko ty.

Indianin i Dym pokiwali głowami na znak zgody. Przemowa Migalycza nie pozostawiła ich obojętnymi. Tylko Gleb wciąż siedział zasepiony, myśląc nad tym, co usłyszał.

Kiedy do przedziału cicho wszedł Samuel Natanowicz, na początku nikt nie zwrócił na lekarza uwagi. Rozczochrany i ponury, podszedł do stołu, nerwowo poprawił zagięcie wysłużonego lekarskiego fartucha.

- Tętno nitkowane. Temperatura poniżej normy. Odruch źreniczny słaby.

Wolałbym tego nie mówić, ale... biedaczce grozi śpiączka.

Teraz to w Bezbożnika były wpatrzone oczy całej piątki. Zdawało się, że Samuel Natanowicz zaraz będzie mówił dalej, powie coś dającego nadzieję, typu „nie wszystko jeszcze stracone”, ale ten tylko ciężko wzdychał i szarpał z zakłopotaniem brzeg fartucha.

- Zadowolony?! - Gleb zacisnął bezsilnie pięści.

Po policzku chłopca ciekła pojedyncza łza.

- Przestań no, smarkaczu! - wyrwał się nieoczekiwanie starsuszek. - Nie waż się mówić do ojca takim tonem!

- Do ojca? - obruszył się chłopak, krzywiąc się nieprzyjemnie. - Żeby do ojca... Mój prawdziwy ojciec nigdy się nie mylił, ani co do przyjaciół, ani co do wrogów! Mój ojciec nigdy nie narażał swoich bliskich, nie targował się z nieprzyjaciółmi, nie miał wątpliwości! Nawet przed śmiercią, broniąc taboru handlowego przed weganami, mój ojciec walczył do końca!

- Twój ojciec do końca swoich dni roznosił wodę weganom!

W mesie naraz zapadła ciężka, duszna cisza. Stalker przymknął oczy, zagryzł do krwi usta, powoli przychodząc do siebie. W zamroczonym wściekłością umyśle pojawiła się świadomość nieodwracalności tego, co powiedział.

- Co... Co... ty teraz... - Usta chłopca drżały z przejęcia. - Ty... znałeś... mojego tatę?

Jak to się mówi, co się stało, to się nie odstanie. Słowa rzucone w gniewie palą i ranią nie gorzej niż smagnięcie biczem. A blizna po takim ciosie pozostaje w sercu na zawsze... Widząc, jak zmienił się na twarzy przybrany syn, wstrząśnięty Taran bardzo pragnął cofnąć czas. Przewinąć życie o kilka sekund do tyłu, a jeszcze lepiej - o kilka miesięcy, i włączyć od nowa, ale tym razem zrobić wszystko inaczej, tak jak należy. Przeżyć, nie popełniając tych

potwornych błędów, które w mgnieniu oka mogą przekreślić, podeptać załączki tego wątłego i skrytego poczucia jedności, które czują tylko naprawdę bliskie sobie dusze...

- Dałem twojemu ojcu słowo, że się nie dowiesz... Nie dotrzymałem obietnicy... i nie mam już prawa tego przed tobą ukrywać... Mamy z sobą do pomówienia, Gleb...

Rozdział 7

WOŁŻAŃSKI SZLAK

Znów ten dokuczliwy głos... Gburowaty, rozkazujący, ale jednocześnie łagodny, uspokajający. Każdemu jego pojawieniu się nieodmiennie towarzyszył chaos niezrozumiałych dźwięków rozbijających bezpieczną ciszę na kawałki, a w panującym dookoła mroku, jak gwiazdy na nocnym niebie, pojawiły się roje kolorowych plam i mglistych obrazów. Cały ten bezładny kalejdoskop powodował niewiarygodny dyskomfort, i słysząc po raz kolejny ten obrzydły głos, miało się ochotę uciec, zniknąć, rozpląnąć się w mroku i milczeniu przytulnej nicości. Lecz pozbawiony ciała gość był uparty i trzeba było przyznać, że jego odwiedziny nie tylko wprowadzały pewne urozmaicenie i ruch, coś na kształt życia, ale też napełniały nieważkie ciało energią, ciepłem, dawno zapomnianym uczuciem bycia w domu...

Własny pokój, którego wystrój przez wszystkie przeżyte w nim lata utkwiał w pamięci z najdrobniejszymi szczegółami... Elegancki opuszczany stolik obok kuchenki... Talerz gorącego i obłędnie pysznego bulionu szczerze posypanego grzankami... W zacisznym kąciku rozbudzonych wspomnień znalazło się nawet miejsce dla ulubionej łyżki obiadowej. Tyle że teraz trzymał ją w ręku jakiś starszy mężczyzna o zmęczonej, nalanej twarzy.

„Dziwne... A gdzie jest mama? A może nieznajomy pochodzi z innego wspomnienia i jego obraz tylko nałożył się na ten poprzedni?”

Niepokój nie zdążył przekształcić się w trwogę tylko dlatego, że na granicy słyszalności znów objawił się ten sam, nigdy niemilkący głos. Chociaż teraz do kłótliwego zrzędzenia dziwnego gościa doszło rytmiczne pobrzękiwanie naczyń i... zapach. Aromat najpyszniejszego maminego bulionu...

„Mama?... Mama! Ona jest gdzieś tutaj! Gdzie?!”

Aurora zrobiła głęboki konwulsyjny wdech i otworzyła oczy. Słabe światło plafonu oślepiło ją i zmuszało do zmrużenia oczu, ale dziewczynka wpatrywała się uporczywie w rozmytą plamę światła, aż w końcu kolorowa mozaika ułożyła się w znany widok.

- Obudziłaś się, wiercipięto? No i pięknie - Bezbożnik starannie podłożył pod głowę pacjentki zwinięty waciak.

Obok kozetki, na skrzynce na amunicję parowała miska z czymś do jedzenia.

Wystarczyło, że poczuła drażniący zapach, żeby zaburczało jej w brzuchu. Bezbożnik uśmiechnął się ze zrozumieniem i przysunął naczynie z bulionem bliżej. W dłoni lekarza jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się łyżka. Prawie taka sama jak we śnie.

- Samuelu... Natanowiczu... - Dziewczynka zająknęła się, nie poznając własnego, bardziej przypominającego szept głosu. - Czy to pan do mnie... przychodził?

- Przychodził? - Przez twarz Bezbożnika przemknął przelotny uśmiech. - Córeczko, ja prawie cię nie opuszczałem. W końcu od tygodnia tu nad tobą odprawiam czary.

- Tygodnia?! - zakrzuszyła się Aurora, ścierając z ust krople gorącego bulionu.

- Czyżbym tak długo spała?

Lekarz chwycił nadgarstek dziewczynki, sprawdzając puls.

- Dokładnie pięć dni. No i trudno było nazwać twój przeciągający się brak przytomności snem. Dobrze chociaż, że twój organizm przyjmował pożywienie...

Poza jej polem widzenia skrzyknęły drzwi. Aurora z trudem obróciła głowę i uśmiechnęła się - na progu pomieszczenia niecierpliwie przestępował z nogi na nogę Gleb. Niepokój w oczach chłopca błyskawicznie zamienił się w radość, gdy tylko napotkał wzrok wybudzonej przyjaciółki.

- Ależ wchodzi, nie stój w przejściu! - zezwolił Bezbożnik, ustępując miejsca.

- Stan pacjentki się poprawia, tak więc pozwalam wam trochę poplotkować. A ja na razie idę, przekażę radosne wieści dowódcy.

Gleb ochoczo prześlizgnął się obok lekarza i klapnął na skraju łóżka. Na widok uradowanej fizjonomii przyjaciela Aurora ożywiła się, na pobladłych od choroby policzkach pokazał się rumieniec.

- Opowiadaj! - wypaliła, nie dając chłopakowi rozsiąść się wygodnie. - Co przegapiłam?

- A... - zaczął mgliście i machnął ręką. - Nic szczególnego. Jak się czujesz?

Boli cię głowa?

Sądząc po reakcji przyjaciółki, Gleb zdał sobie sprawę, że jego odpowiedź była niewystarczająco przekonująca. Aurora wciąż świdrowała go uważnym spojrzeniem i koniec końców trzeba się było poddać.

- Ogólnie rzecz biorąc, to nie bardzo jest się czym chwalić. Posuwając się po Wołdze, ani razu nie spotkaliśmy ocalałych. W Kostromie natknęliśmy się na porzuconą osadę. Kolonia liczyła jakieś trzydzieści osób. Mieszkali w piwnicach.

Paliwo przynosili z najbliższej stacji benzynowej. Dopóki nie wpadli tam ludzie z zewnątrz i nie wyczyścili ich zapasów. Teraz nikogo tam nie ma. Wala się tylko parę rozbitych skuterów śnieżnych.

- Zakon? - domyśliła się dziewczynka.

- A któż by inny? To byli oni. Na mapie Piechura to miejsce było oznaczone

przekreślonym krzyżykiem. Czyli, że to „złoże” zostało wyczerpane...

Na moment obydwójce umilkli, przeżywając cudzą tragedię.

- A potem? - cicho zapytała Aurora. W jej głosie wyraźnie ubyło entuzjazmu.

- Potem było gorzej. - Chłopak ciężko westchnął. - Niżnego Nowogrodu nawet dokładnie nie obejrzelśmy - promieniowanie. Tam, gdzie jechaliśmy, poziom był tak wysoki, że trzeba było minąć miasto na pełnym gazie. Taran postanowił nie ryzykować.

Uwadze dziewczynki nie umknęło, że przyjaciel zasępił się przy wzmiance o przybranym ojcu.

- Potem zatrzymywaliśmy się w paru miejscach... - ciągnął pospiesznie Gleb.

- Nie pamiętam, jak się nazywały... Zresztą, jaki sens mają teraz nazwy? Wszędzie to samo. Pustka i zniszczenie...

- A Kazań? To duże miasto! Czyżby nikogo tam nie było?

- Taran poszedł na zwiady. Bez transportera. Odkąd zmierzył się z zakonem, stał się ostrożny.

- I?

- I nic. Może i ktoś przeżył, ale na piechotę dużo się nie wypatrzy...

- A co mówią mapy Piechura?

- Nic - rozłożył ręce chłopak. - Zdaje się, że nacierze tak daleko się nie zapuścili.

Ostatnie echa głosu rozwiały się w półmroku pokoiku i gęsta zasłona ciszy opadła na rozmawiających, pogrążając ich w apatii.

- Tak cicho... - odezwała się w końcu Aurora. - Dlaczego stoimy?

- Ugrzęźliśmy. Taran postanowił odjechać od rzeki i spróbować szczęścia z dala od miast. Już pół dnia przedzieramy się przez bezdroża. Nic tylko zasy i choinki. Głusza. No i wpakowaliśmy się w kłopoty.

Widząc, jak dziewczynka posmutniała po tych niewesołych nowinach, Gleb bardzo chciał rozweselić przyjaciółkę. Poszperał w kieszeni i wyciągnął z niej nie wiadomo skąd wytrzaśnięte kółko zębate, po czym zakręcił nim szybkim ruchem palców. Zaimprovizowany bąk, wydając ledwie słyszalny szelest i posyłając refleksy świetlne z wypolerowanych boków, wyruszył w podróż po stworzonym naprędce blacie - wieku skrzynki na amunicję. Nie zrobiło im się jednak weselej na duchu.

Zbyt dużo „improvizacji”, imitacji i fałszu było w tym przypominaniu dawnego, utraconego bezpowrotnie świata...

Stojąc za progiem i nie chcąc przerywać dobiegającej zza metalowych drzwi rozmowy dzieci, Taran skrzywił się. Po raz kolejno okoliczności zmuszały go, by ukrył prawdę przed

bliskimi sobie ludźmi... Czuł się przez to wstrętne i podle na duchu...

Bo przecież w Kazaniu nie poszło wcale tak gładko, jak to zrelacjonował Glebowi i pozostałym. Stalker wolał przemilczeć spotkanie z ogromnym irbisem mutantem, który zastąpił mu drogę jeszcze pod miastem. Zbyt fantastycznie brzmiałaby jego opowieść o telepatycznym dialogu odbytym między człowiekiem a zwierzęciem. Po jakimś czasie Taran sam zaczął już wątpić, czy to wydarzyło się naprawdę, ale obraz pełnego gracji a jednocześnie śmiertelnie niebezpiecznego drapieżnika o śnieżnobiałym futrze i z lodowato niebieskimi oczami mocno wbił mu się w pamięć...

Irbis albinos był niewidoczny na tle oślepiającej bieli śniegu aż do chwili, kiedy zaznaczył swoją obecność groźnym rykiem, szczerząc ostrzegawczo kły.

Stalker podniósł automat, ale zwierzę na pozór nie zareagowało na broń, która pojawiła się w dłoniach człowieka. Zamiast tego pochyliło lekko głowę na bok, jakby przyglądając się obcemu dwunogowi, a potem...

Potem Taran usłyszał to wyraźnie... Mózg jakby eksplodował mu od nadmiaru bodźców - tak niespodziewane okazało się ogłuszające i dezorientujące poczucie obecności kogoś obcego we własnej głowie. W zaskakująco delikatnym dotyku cudzego umysłu dało się wyczuć ciekawość pomieszaną z wyraźną czujnością, ale stalker nie wychwycił w tym wezwaniu ani śladu agresji... Niezwykłe zwierzę od razu dało do zrozumienia, że jest nastawione przyjaźnie, a kiedy wyczuło, że człowiek jest gotowy nawiązać kontakt, zasypało go lawiną obrazów...

Przekazywane przez irbisa urywane wizje ułożyły się niczym puzzle w uporczywe wezwanie, by ominąć miasto szerokim łukiem, nie wtrącać się do życia tych, którzy w nim teraz mieszkają. I mimo że stalker w odpowiedzi zapewniał, że ma dobre zamiary, tajemnicze zwierzę cały czas wpajało człowiekowi jedną myśl - wizyta obcych może obrócić się w wielkie nieszczęście dla miasta.

Potem, analizując telepatyczną rozmowę, Taran ostatecznie nie mógł pojąć, co właściwie sprawiło, że wysłuchał ostrzeżenia czworonogiego „strażnika” Kazania, i po powrocie do transportera oznajmił załodze, że miasto jest martwe i niebezpieczne. Ale fakt pozostawał faktem - do prywatnej listy grzechów stalker dopisał jeszcze jedno kłamstwo.

Taran ciężko westchnął, uchylił drzwi i cicho wszedł do lazaretu. Reakcja Gleba go nie zdziwiła, za to bardzo zaskoczyła Aurorę. Nie mówiąc więcej ani słowa i nie patrząc w stronę ojca, chłopak opuścił pomieszczenie.

- Jak się czujesz? - zapytał współczująco stalker.

- Dziękuję, już lepiej. - Dziewczynka podniosła głowę, próbując w oczach stalkera

znaleźć wyjaśnienie dziwnego zachowania rówieśnika. - Między tobą a Glebem coś się wydarzyło...

Taran podszedł bliżej, przykucnął obok kozetki i zastygł jak posąg, patrząc gdzieś daleko, jakby po drodze nie było przeszkody w postaci wielowarstwowego pancerza.

- On już ze mną nie rozmawia...

- Obraził się?

Stalker ledwie zauważalnie drgnął i skinął głową w milczeniu. Kółko zębate otarło się o krawędź talerza i pozbawiony życia kawałek metalu znieruchomiał.

Świetlne refleksy zniknęły.

- Wiesz przecież, że jest coś takiego jak kłamstwo w dobrej wierze? - Taran popatrzył na dziewczynkę jak na równą sobie, jakby prosząc o radę.

- Tak. - Aurora wytrzymała na sobie wzrok dorosłego. - Wiem. I jest też gorzka prawda...

-...która jest lepsza od kłamstwa - dokończył stalker.

-...lepsza od pięknego kłamstwa - poprawiła dziewczynka.

- Ale ja go przecież nie okłamywałem! Ja tylko... nie mówiłem całej prawdy...

- To jedno i to samo.

Aurora nie dopytywała, co konkretnie Taran skrywał przed przybranym synem, intuicyjnie rozumiejąc, że to „coś” jest zbyt osobiste i dotyczy tylko ich. A i stalker za nic nie chciałby znów opowiadać o szczegółach spotkania w mateczniku wegan z wycieńczonym niewolnikiem roznoszącym wodę, który okazał się być prawdziwym ojcem Gleba...

Słuchając tych wyznań, chłopak dzielnie się trzymał. Podczas całej tej niełatwej opowieści nie wypowiedział ani słowa, nie poddając się emocjom. A kiedy tragiczna historia dobiegła końca, wciąż zachowując milczenie, przeszedł do drugiej kabiny. Od tamtej chwili Taran nieraz starał się przebłagać chłopca, by mu wybaczył, lecz ten, zamknąwszy się w sobie, pozostawał na wszystko głuchy.

I, co najbardziej bolesne w całej tej sytuacji, po pamiętnym spotkaniu ze śnieżną panterą trzeba było znów złamać daną samemu sobie obietnicę, że już zawsze będzie z synem całkowicie szczery. Czy po czymś takim można liczyć na zrozumienie z jego strony? I czy chłopak pojmie teraz prawdziwy powód wszystkich tych niedomówień, przemilczeń, niezgrabnych starań, by uchronić bliskiego sercu człowieka przed cierpieniem i smutkiem tego i tak zapomnianego przez Boga świata?

- Nie próbuj się usprawiedliwiać. - Zdecydowany głos Aurory wybudził stalkera z pełnego zadumy odrętwienia. - Nie szukaj odpowiednich słów. Choć raz w życiu przyznaj się

do tego, co naprawdę czujesz. Nie duś tego w sobie. Po prostu powiedz mu, że go kochasz. I
Gleb cię usłyszy.

* * *

Stukot siekiery ucichł tylko na chwilę. W leśnej gęstwinie nie zdążyło wybrzmieć echo głuchych uderzeń, kiedy, płosząc ptaki, zastąpił je nowy niepokojący dźwięk. Z ogłuszającym trzaskiem, miażdżąc rozłożystymi gałęziami rosnący dookoła młodniak, ogromna sosna runęła w śnieg. Kiedy chmura śnieżnego pyłu opadła, z ciemności, otrząsając się, wyszedł ogromny drwal z siekierą w muskularnych rękach. W świetle księżyca skóra giganta mieniła się srebrem i gdyby nie przewieszona przez potężną pierś ładownica, Giennadija w zupełności można byłoby wziąć za bohatera jakiegoś fantastycznego eposu, dzikiego nordyckiego barbarzyńcę albo, w najgorszym razie, za jakiegoś wodza orków...

Patrząc na to, jak szybko mutant oczyszcza pień drzewa z gałęzi, Gleb uśmiechnął się do własnych myśli i wrócił do ważniejszego zajęcia - nawijania liny na bęben wyciągarki.

- Dym, gdzie jest obiecany pomost? - Obok przedniego koła Maleństwa pojawił się i znów zniknął za górą wykopanego śniegu do bólu znajomy czołgowy hełmofon. - Tak to się będziemy wozic do rana!

- Ty mnie, Migałycz, nie rozpraszaaj tym swoim marudzeniem. W końcu pracuję z niebezpiecznym narzędziem. - Mutant wbił siekierę w najbliższe drzewo, splunął na olbrzymie dłonie i zarzucił sobie kłodę na ramię. - A jak przydarzy mi się

„wypadek przy pracy”, to kto mi będzie płacił odszkodowanie?

- I za leczenie! - włączył się do rozmowy Bezbożnik, rzucając świerkowe gałęzie na glinę pod kołami transportera. - Ja nie jestem jakimś wolontariuszem, żeby przyszywać palce za „Bóg zapłać”!

Z oszronionego boku pojazdu zeskoczył Taran, zapadając się w śniegu prawie po pas. Sprawdził węzły i mocowania i wzdłuż napiętych lin przedostał się do drzew.

Po raz któryś zmierzył wzrokiem krępe pnie – przysposobione kotwice dla ręcznych wyciągarek.

- Jak myślisz, wyciągniemy Maleństwo?

Stalker podniósł głowę, odszukawszy w oślepiającym świetle reflektorów sylwetkę starego kolejarza.

- A mamy inne wyjście? Dobra, ojczulku, zapuszczaj katarynkę. Spróbujemy.

Ryknął silnik i przebudzony stalowy potwór poruszył się i zaczął obracać, niechętnie wysuwając się z przytulnego śnieżnego legowiska. Pracowali zgodnie i sprawnie. Lecz dopiero kiedy niebo nad spiczastymi wierzchołkami leśnych olbrzymów zaczęło różowieć, Maleństwo wydostało się w miejsce, gdzie mogło manewrować, pozostawiając za sobą głęboką koleinę pełną brudnoszarego roztopionego śniegu.

Odwijając liny, Migalycz promieniował szczęściem. Maskę przeciwgazową, którą w pośpiechu zapomniał założyć, majtała się zapomniana przy pasie. Taran zauważył to niedociągnięcie i próbował przyciągnąć uwagę kolejarza, ale ten uparcie patrzył gdzieś w górę. Uśmiech powoli spełzał z pobrudzonej smarem twarzy staruszka.

Dudnienie cekaemu zaskoczyło załogę. Stalker odruchowo się schylił, złapał za broń i wyjrzał zza drzewa. Wieżyczka na dachu transportera znów rozjaśniła się od wystrzałów. Zaraz potem rozległ się spóźniony krzyk Indianina:

- Ruch na godzinie dziewiątej! Na gałęziach!... Jeszcze raz! Widzieliście?

Grzęznąc w śniegu, Taran, najszybciej jak potrafił, pobiegł w stronę pojazdu.

Las dookoła zaczął się już ruszać, zaszleściły dziesiątki szybkich łap, powietrze wypełnił złowieszczy, ledwie słyszalny świst. W koronach drzew co i rusz migotały, odcinając się od szarego nieba, czarne jak atrament cienie nieznanymi latających zwierząt. Przechodząc z gałęzi na gałąź, liczne plamy mroku nieubłaganie zbliżały się do znieruchomiłego pośrodku polany pancernego kolosa.

- Wszyscy do środka! Żywo! - Stalker wspiął się na dach i napotkał wzrok Indianina. Chłopak wyglądał na bardzo wystraszonego i przez ochronną kratę niepewnie patrzył na nieuchwytnie latające cienie. - Co się gapisz? Otwieraj właz!

Silne uderzenie w plecy sprawiło, że Taran poleciał w dół pochyłej burty pojazdu. Nie utrzymał równowagi na krawędzi i runął w śnieg. W ślad za nim zbiegał już, zręcznie przebijając szponiastymi łapkami po gumowej oponie, nieznanym stworze.

Pokryte szczecina fałdy skóry między haczykowatymi łapkami, długi płaski ogon i pysk z wyłupiastymi oczami o wielkich źrenicach - to wszystko, co zdążył zanotować wzrok, zanim stworzenie skoczyło na twarz stalkera.

Nóż rozciął ciało drapieznika z łatwością, jakby to była chusteczka. Stwór zaczął się szamotać, zraszając śnieg kroplami czarnej smolistej substancji - czy to krwi, czy to ekskrementów. Strząsnąwszy niewielkie ciało z ręki, Taran przygwoździł napastnika butem do ziemi i paroma mierzonymi ciosami dokończył rozpoczęte dzieło.

Gdzieś obok zaterkotał automat. Wtórowały mu wystrzały z pistoletu. Ale wieżyczka

strzelnicza nie odgryzała się już ogniem cekaemów. Widocznie ślamazarny ogryzek zszedł jednak do wnętrza Maleństwa, żeby wykonać rozkaz.

Przy bocznym włązie tłoczyli się już Bezbożnik i Gleb, rozpaczliwie bębniąc w metalową pokrywę i szarpiąc za nieruchomy uchwyt.

Dym stał kawałek dalej i walił po drzewach z kałacha.

- Indianin, niech cię trepan porwie, gdzie ty tam ugrząłeś! - darł się Bezbożnik, tracąc cierpliwość. - Otwieraj szybciej!

- A to głupiec! - dał się słyszeć pełen irytacji krzyk Migalycza. - Drzwi kierowcy też zamknął od środka! Co robimy, dowódcu?

Nie zostało im wiele czasu na analizę sytuacji. Mutanty ściśle ich otoczyły, a najszybsze z nich, szybując przy pomocy błon lotnych, wylądowały już na pancerzu pojazdu, niebezpiecznie blisko załogi.

- Włazcie pod podwozie! - krzyknął stalker. - Dym, osłaniaj mnie!

Popchnąwszy Gleba w stronę prześwitu między gigantycznymi kołami, Taran wdrapał się na dach i w trzech skokach dotarł do okratowanej części nadwozia.

W ślad za nim o pancerz zastukotało pazurkami kilka stworów naraz. Automat zaterkotał równo i radośnie. Porozrywane ciała zleciały z transportera niczym bezkształtne gałganki. Ostatniego napastnika zdjął celnym wystrzałem Giennadij, który w idealnym momencie wgramolił się na dach od strony rufy.

Plan był prosty i niewyszukany - dostać się na okratowaną część nadwozia i przez służę - do przedziału dla pasażerów. Problem polegał na tym, że po wypadku z nafcierzem i ochrzanie za nieuwagę, Dym postanowił się zrehabilitować i teraz wmontowany w sufit włącz nie był zwyczajnie zamknięty, ale, z właściwą mutantowi skrupulatnością, przyspawany na całym obwodzie.

- A żeby cię... - rzucił ze złością Taran. - Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu...

Wciąż jeszcze licząc na cud, szarpnął za kratę.

- Nawet nie próbuj - machnął wielkim łapskiem Giennadij. - To nie ma sensu, przecież to moja robota.

- Gdybyś ty jeszcze głową tak pracował, jak rękami, to byłbyś wart tyle złota, ile ważysz!

Kłótnię przerwał triumfalny krzyk Gleba. Z miejsca, w którym stali, stalker i mutant dostrzegli snop światła wychodzący z wnętrza transportera. Widocznie Indianin raczył w końcu otworzyć boczne wejście.

Zeskoczywszy z dachu, obaj zaczęli obsypywać poruszające się gałęzie gradem

ołowiu, podczas gdy załoga szturmowała oblodzoną drabinkę trapu. Taran dał nura do środka jako ostatni i odsunął się z przejścia. Opancerzone drzwiczki ze zgrzytem wróciły na miejsce i prawie natychmiast ciasną przestrzeń wypełniły krzyki i ordynarne przekleństwa.

- Oż ty, ścierwo! Tu jest! Łap go! Drapie cholerstwo!

Nie inaczej, tylko na pokład przedostał się jeden z dokuczliwych nocnych gości. W polu widzenia stalkera na moment pojawił się nastroszony stwór z czterema rozdymającymi się nozdrzami na zaślinionym, porośniętym szczecina pysku. Potem znajoma zielona ręka złapała stwora za tylne łapy i wysłała w szybki lot przez całe pomieszczenie. Walnąwszy w przepierzenie z głośnym plaśnięciem, niewielki brunatny mutant zsunął się na podłogę.

Podczas gdy wszyscy wstawali z ziemi i doprowadzali się do porządku, Bezbożnik z zainteresowaniem oglądał niezwykłego stwora.

- Nieźle jej przyłożyłeś - pochwalił Giennadija. - Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie jest latająca wiewiórka!

- Wiewiórka? - Migąłycz ze zdziwienia aż zapomniał o tym, jak łamią go umęczone plecy i podszedł bliżej, ostrożnie spoglądając na trupa. - Wiewiórki, jeśli mnie pamięć nie myli, chrupią orzeszki, a nie starych szacownych ludzi.

- Tak było z dawnymi wiewiórkami, a te latające to jakiś nowy gatunek. Takie to żadnymi orzeszkami nie wzgardzą.

Widząc sprośny uśmieszek na nieogolonej gębie Bezbożnika, staruszek skrzywił się z obrzydzeniem:

- Tfu, co za świństwo! Wyrzucmy lepiej ten „nieznany gatunek”, póki jeszcze nie zaczął śmierdzieć...

Dopiero teraz, kiedy opadły pierwsze emocje, załoga zwrócił uwagę na Aurorę.

Podobna do własnego cienia dziewczynka stała nieco z boku i uśmiechała się nieśmiało. Wątlym ciałkiem wstrząsały dreszcze - rezultat słabości i przebytego niedawno urazu.

- A więc to ty otworzyłaś właz? Mądra dziewczynka! - delikatnie wzięwszy Aurorę na rękę, Taran przekazał ją Dymowi, a sam skierował się w głąb pojazdu.

Podjezwając, że zaraz stanie się coś niedobrego, pozostali pospieszyli za nim, ale nie zdążyli zatrzymać dowódcy. Indianin skulił się na koi z kolanami przyciśniętymi do piersi i cicho skomlał. Kiedy stalker wyciągnął bezwolne ciało na korytarz, chłopak nawet nie próbował się opierać. Ostry cios w twarz rzucił ogryzka na ścianę, z rozbitego nosa popłynął strumyk krwi.

- Sssukinsynu, odpowiesz mi za wszystko... - Taran chciał jeszcze raz wyciągnąć

biedaka z kąta, ale Bezbożnik i Migalycz rzucili się na wściekłego dowódcę i odciągnęli go do tyłu.

Stalker próbował strząsnąć ręce, które trzymały go w miejscu, ale w porę zauważył na swoim ramieniu pomarszczoną dłoń Migalycza i zdążył opanować emocje - brakowało jeszcze tylko, żeby połamał kruche starcze kości.

- Ochłoń, dowódco! Już mu wystarczy! Zobacz, on przecież nie jest sobą!

Z Indianinem rzeczywiście działo się coś dziwnego. Chłopak drżał jak listek osiki, źrenice wielkie jak spodki, oszalały, błędny wzrok, zagryzione do krwi wargi...

- Migalycz, siadaj za kierownicą - rzucił zmęczonym głosem Dym, który tymczasem wrócił. - Wyciągnij nas stąd. My już to sami jakoś... załatwimy.

Porcja lodowatej wody wylana na głowę i kilka dźwięcznych policzków i ogryzek wrócił do świadomości. Po „zabiegu” Bezbożnik wysuszył spuchnięty nos pacjenta, odwrócił się do dowódcy i wydał diagnozę:

- Napad był wywołany wstrząsem emocjonalnym. Zdaje się, że chłopak ma bzika. W głowie mu się zagotowało. Wybaczcie, ale w takich sprawach nie jestem specem...

Z każdą sekundą twarz Indianina przybierała coraz bardziej świadomy wyraz.

W końcu zdołał podnieść głowę i natknął się na surowy wzrok dowódcy.

- Od dawna to masz?

Ogryzek opuścił wzrok i wciąż milczał.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej o napadach?

Chłopak drgnął i zasępił się jeszcze bardziej:

- Nie mam napadów. Po prostu... boję się.

- Czego? - naciskał stalker. - Czego się boisz?

- Śmierci! - krzyknął nagle Indianin, po czym złapał się za głowę i zaniósł szlochem.

- Jakieś brednie... - Taran obejrzał się zakłopotany, szukając wsparcia u pozostałych. -

Wszyscy się boimy i co z tego?

- To tanatofobia.

Taran odwrócił się, słysząc za plecami cichy dziecięcy głos. Z półmroku korytarza chwiejnym krokiem wyszła Aurora. Bezbożnik chciał już odprowadzić dziewczynkę do lazaretu, ale pacjentka kiwnęła głową przecząco, dając do zrozumienia, że czuje się dobrze.

- Lęk przed śmiercią - ciągnęła. - Czytałam o czymś takim. To nie jego wina, że...

- Nie jego wina? - przerwał Taran, nie spuszczając wzroku z chłopaka. - Ciekawe w takim razie, co on sobie myślał, kiedy prosił, żeby wziąć go na wyprawę?

Siedziałby sobie dalej w norze pod pomnikiem razem ze swoimi neandertalczykami!

Po kiego grzyba zachciało mu się wędrować?!

- Czy ty chociaż rozumiesz, że o mało nas wszystkich nie ukatrupiłeś?! - włączył się Giennadij, gniotąc w palcach skręta.

Ogryzek przestał pochlipywać, odgarnął z twarzy splątane strąki włosów i głośno wypuścił powietrze. Krew z rozbitej nasady nosa, ponownie kapiąc, malowała na podłodze dziwaczny szkarłatny wzór. Kiedy Indianin zaczął mówić, wszystkie inne dźwięki w magiczny sposób zniknęły. Ucichł rwetes gryzoni na zewnątrz pojazdu, przestał ich męczyć nieustanny warkot silnika.

- Przecież nie zawsze byłem ogryzkiem. Dobrze pamiętam ojca i matkę...

Mieliśmy dom pod miastem. Piękny, przestronny... To wiem oczywiście z opowieści rodziców. Ja urodziłem się już w piwnicy. Po tym, jak to wszystko się stało... To tam mieszkaliśmy przez wiele lat... - Opowiadający urwał na chwilę, jakby wspomnienia sprawiały mu namacalne, fizyczne cierpienie. - A potem rodziców zabrakło... Na początku zachorował ojciec. Matka nie mówiła mi, w czym rzecz, a ja sam nie rozumiałem wtedy, co to takiego promieniowanie. Dzień, w którym tata po raz ostatni wyszedł na powierzchnię, zapamiętałem na zawsze. Mama długo płakała, a ja ciągle próbowałem ją uspokoić. Mówiłem, że ojciec niedługo wróci z czymś do jedzenia, tak jak wiele razy wcześniej... Ale nie mogłem nawet wtedy przypuszczać, że dręczył go tak potworny ból, że było to ponad ludzkie siły... I ojciec poszedł...

Poszedł, żeby umrzeć! - Straszliwe cierpienie wykrzywiło twarz Indianina, przekształcając ją na chwilę w szkaradną, koślawą maskę. - Matula bardzo to przeżywała. Przez wiele dni nic nie jadła... Dopiero potem wreszcie do mnie dotarło, że nie chodziło tylko o śmierć ojca... Moja matka umarła z głodu... Żebym mógł dłużej pociągnąć na resztkach jedzenia. - Chłopakiem znów wstrząsnęły drgawki, ale tym razem opanował się bez pomocy z zewnątrz i po kilku długich, pełnych udreki minutach ciągnął dalej drżącym bezbarwnym głosem: - Po tym, jak umarła, spędziłem jeszcze w piwnicy jakiś czas... Najpotworniejszy czas w moim życiu...

Całymi godzinami rozmawiałem ze... ze zmarłą matką, patrząc jak jej ciało stopniowo się... zmienia... i... To było straszne... Wtedy uświadomiłem sobie do końca, jak to jest być martwym. Przestać istnieć, widzieć, myśleć... A kiedy zdałem sobie z tego sprawę, naprawdę się przeraziłem.

Indianin ucichł, tym razem na długo. Załoga milczała współczująco, dając chłopakowi czas, żeby zebrał się na odwagę i zakończył opowieść. Każdy z nich miał okazję na własnej skórze odczuć ból utraty bliskiego człowieka. Starzy czy młodzi - zwichnięty, okaleczony

świat jednakowo obojętnie mielił los ich wszystkich...

- Kiedy smród stał się nie do zniesienia, opuściłem schron... Miałem szczęście. Jakimś cudem udało mi się dowlec na przedmieście i napotkać kolonię ocalałych - zapuszczonych, żałosnych i ledwie żywych. Bezdomnych żuli, sądząc po starych ubraniach i przepitych twarzach, ale... to jednak byli ludzie... Żywi ludzie.

I tak trafiłem do ogryzków.

- Mimo to nadal nie usłyszałem odpowiedzi - bez wcześniejszej wściekłości, ale wciąż chłodno rzekł Taran. - Po co. Się. Do nas. Przyczepiłeś?

Indianin znów popatrzył na dowódcę, tym razem ze zdumieniem. „Jak można nie rozumieć tak oczywistych rzeczy?” - dało się wyczytać z jego twarzy. Emocje ożywiły zagubiony wzrok, ale tylko na moment. Potem swoje wcześniejsze, prawowite miejsce w skośnych antracytowych oczach zajął strach.

- Weganie zetrą w pył wszystkich i wszystko! Wcześniej czy później oddziały imperium dotrą do muzeum, to tylko kwestia czasu! Zostać z plemieniem to pewna śmierć... - Niewiarygodnym wysiłkiem woli Indianin powstrzymał drżenie ogarniające mu plecy. - A będąc z wami, mam większe szanse na przeżycie.

- Tyle że nasze szanse na przeżycie, kiedy jesteś z nami, gwałtownie maleją.

Mechaniczne buczenie nagle się urwało. Najwidoczniej natrętne drapieźniki w końcu dały im spokój i Migalycz uznał, że najlepiej będzie zatrzymać transporter.

Trzask bezpiecznika zabrzmiał w kabinie jak uderzenie gromu. Podniósłszy głowę, Indianin spojrział w lufę pistoletu. Przez kamienną twarz Tarana nie przemknął nawet cień wątpliwości i tylko dłoń zaciskająca zbielełe palce na broni delikatnie drgała, zdradzając skrajne napięcie i poważną walkę z samym sobą.

Głos rozsądku i trzeźwa kalkulacja były po jednej stronie barykady, emocje i nakaz serca - po drugiej... Kiedy stawia się na szali ludzkie życie, wybór nie jest taki prosty. I szczęśliwy ten, komu udało się przeżyć życie bez wchodzenia w sprzeczność z zasadami moralnymi i własnym sumieniem...

Indianin zmrużył oczy, oczekując wystrzału. Strach, lepki i duszny, ścisnął mu klatkę piersiową w okrutnym spazmie, w jednej chwili wyparł z głowy wszystkie myśli, szydłczo zostawiając tylko jedną przerażająco realną wizję - przeżartego wrzodami trupa... Jego trupa! Z dziurą ziejącą w głowie, wewnątrz której zaczyna się już roić od śliskich żarłocznych robaków...

Trzask interkomu sprawił, że ogryzek wzdrygnął się i otworzył oczy. Taran nie mierzył już do niego, opuściwszy rękę z bronią. Zamiast tego dowódca wsłuchiwał się w

zagmatwaną przemowę kolejarza, która płynęła ze zmaltretowanego, obtłuczonego głośnika. Sens nieczytelnych fraz wymknął się ogarniętej paniką świadomości Indianina. Udało mu się wychwycić tylko ostatnie słowa:

-...dowódco, to trzeba zobaczyć!

Zerwawszy się z miejsc, załoga rzuciła się do kabin i okienek. Każdy spieszył się, by jako pierwszy dowiedzieć się, co mogło tak zadziwić staruszka, który w ciągu swojego długiego życia doświadczył już chyba wszystkiego.

Panorama za oknem rzeczywiście wprawiała w osłupienie. Szokowała ogromem i pierwotnym pięknem otwierającej się przed nimi perspektywy.

Transporter stał na skraju gigantycznej kotliny w całości porośniętej gęstą roślinnością. Podążając za rzeźbą terenu, wzrok mimowolnie zatrzymywał się na pokrytych mchem gładkich narzutowych i malowniczych polankach, niedbale porzrzucanych na powierzchni łagodnych zboczy i wielopoziomowych skalnych tarasów. A gdzieś tam na dole, w samym centrum gigantycznej naturalnej misy, szkarłatem świtu mieniła się lustrzana tafla dzikiego leśnego jeziora. Poranna mgiełka leniwie ścieliła się nad samą wodą, a po jej powierzchni co i rusz przebiegała zmarszczka wywołana podmuchem figlarnego wietrzyka.

Idylliczny pejzaż tak zawładnął uwagę wędrowców, że dopiero teraz, po kilku minutach nieustannego patrzenia, rzuciła im się w oczy jeszcze jedna zdumiewająca właściwość tego rajskiego zakątka. Pomimo śniegu, który grubą pierzyną otulał brzegi, na jeziorze nie było lodu.

- Strefa geotermalna? - zaproponowała Aurora, przerywając przeciągające się milczenie.

- Dla mnie to jakoś bez różnicy... - westchnął oczarowany Migalycz. - Przede wszystkim, jakie to piękne! Oczu nie można oderwać!

- Nie wiem, czy kiedykolwiek dotrzemy do tego Alfejosa - Taran zerknął z dezaprobatą na przycichłego Indianina - ale można uznać, że połowę misji wykonaliśmy.

Dym i Gleb obserwowali jezioro z kabiny nawigacyjnej Maleństwa i słowa dowódcy usłyszeli przez interkom.

- O czym on mówi? - Zamyślony Giennadij boleśnie szturchnął sąsiada łokciem w bok.

Chłopiec nawet się nie skrzywił, wciąż chłonąc oczami zaciągniętą mgiełką nizinę. Serce nagle zerwało mu się do szalonego galopu, a usta mimowolnie wyszeptaly:

- Nieskażone tereny... Znaleźliśmy je...

Część I

PRZEDURALE

Rozdział 8

R-243

Uderzenie... Jeszcze jedno... Upstrzony dziobami po kulach kadłub ciężko jęczał i trząsał się za każdym razem, gdy olbrzymie koła pokonywały kolejną przeszkodę. Przysypany śniegiem chrust i głązy, którymi, wbrew zdrowemu rozsądkowi i logice, było usiane praktycznie całe dno parowu między płaskimi wzgórzami, wyraźnie spowalniały jazdę, ale wątpy staruszek, mimo że cały pojazd strasznie się telepał, wciąż gnał, nie zastanawiając się nad wyborem trasy. Gnał co sił, bez żadnych punktów orientacyjnych, z jednym jedynym celem - najszybciej jak to możliwe wydostać oddział z ogniska skażenia promieniotwórczego.

Skrawek dziewiczej przyrody, który do głębi poruszył przywykłych do mrocznych podziemi wędrowców, w rzeczywistości nie okazał się taki rajski...

Niejasny niepokój ogarnął Migalycza w chwili, gdy Taran nie znalazł jeziora na przedwojennych mapach. Oczywiście przez ostatnie kilkadziesiąt lat wiele mogło się zmienić... Mówiło się nawet o trzęsieniach ziemi nawiedzających ziemię przez kilka dni po tym, jak przebrzmiały ostatnie wybuchy. Fala kataklizmów, która przetoczyła się przez planetę, z pewnością mogła przeobrazić jej powierzchnię nie do poznania, zawrócić bieg rzek, wysuszyć urodzajne gleby i odwrotnie, zamienić pustynie w niekończące się, cuchnące bagna. Jednak w aż tak globalne transformacje trudno było uwierzyć... Dopóki nie przyszło im zetknąć się z jednym z takich „przeobrażeń” osobiście.

Niewybaczalny błąd staruszka mógł nie tylko doprowadzić do fiaska ekspedycji, ale też nadszarpnąć zdrowie, a nawet spowodować śmierć całej załogi.

Dym okazał się pierwszym, który zaczął coś podejrzewać. I to tylko dlatego, że poczuł niezwykle przyływy sił, jak zawsze, kiedy znajdował się pod wpływem podwyższonego promieniowania. Po tym jak wyskoczył jako pierwszy z pojazdu, mutant z rozkoszą zaciągnął się skrzętem, stał jakąś minutę, wdychając mroźną świeżość wiejącej od wody bryzy, ale zamiast zejść na brzeg nagle odwrócił się i z powrotem wszedł do środka.

Załoga nic nie rozumiejąc patrzyła, jak olbrzym pochylił się, precyzyjnie do kabiny, na ułamek sekundy zastygł przed deską rozdzielczą i sięgnął w stronę niepozornego przełącznika. Kiedy dozymetr zaczął działać i we wnętrzu pojazdu rozległo się echo złowieszczonego terkotu, zaciągnięta mgłą kotlina natychmiast straciła dawny czar, a załoga, jakby budząc się z rzuconego uroku, zaczęła wykrzykiwać przekleństwa i chaotyczne komentarze.

I to właśnie wtedy przez głowę staruszka przemknęła straszna myśl o naturze powstania jeziora. Taktyczny ładunek jądrowy o sile kilku kiloton bez wątpienia mógł utworzyć krater o rozmiarach porównywalnych z odkrytą przez nich kotliną.

„Rakieta, która zboczyła z kursu? Całkiem możliwe... - rozmyślał kolejarz, wykonując kolejny manewr transporterem. - Chociaż w takim razie jak wyjaśnić obecność roślinności na zboczach, tam, gdzie z zasady nie powinno być niczego poza spaloną skorupą ziemi?” Od natłoku pytań puchła mu głowa i pękały skronie, ale wszystko to zdawało się kompletnym głupstwem w porównaniu z wyrzutami, które paliły mu duszę jak rozpalone żelazo...

- Ale was zaprowadziłem, dzieci... - poruszały się bezdźwięcznie wyschłe wargi, po raz nie wiadomo który wypowiadając słowa skruchy. - Wybaczcie staruszkowi...

Taran ostatecznie nie zbeształ Migałycza za wyłączenie detektora, i to dręczące milczenie dowódcy ciążyło kolejarzowi znacznie bardziej niż tłumione, wypowiedane półgłosem przekleństwa pozostałych i niemy wyrzut w rzucanych w jego stronę spojrzeniach. Przeklinając własne starcze zapominalstwo, kolejarz nie puszczał kierownicy tak długo, aż czerwona lampka wskaźnika na desce rozdzielczej zgasła, a dozymetr przestał zanosić się alarmującym, targającym nerwy terkotem.

Spracowany silnik wydał finalny ryk, wciągając cielsko transportera na pagórek, który nieoczekiwanie zagroził im drogę zaraz za pozostawioną z tyłu leśną gęstwiną. Spowite kłębami szaroniebieskiego dymu Maleństwo znieruchomiało pośrodku płaskiej, ciągnącej się w dal przesieki.

W czasie gdy Bezbożnik mierzył poziom radiacji w pomieszczeniach i sprawdzał każdego członka oddziału z osobna, nikt nie uronił ani słowa. I dopiero słysząc długo wyczekiwane: „Upiekło nam się...”, załoga odetchnęła z ulgą.

- Czasem jednak przydaje się być dużym i zielonym - zaryzykował żart Giennadij, opędzając się od lekarza. - Ty mnie, Natanowicz, tymi swoimi maszynkami nie tykaj. Sensu to to nie ma. Prędzej na katar wykituję niż od tych waszych „rentgenów”.

Dając sygnał do kolejnej przyjacielskiej przekomarzanki, mutant utkwiał wyczekujący wzrok w towarzyszach, ale nikomu nie było spieszo do podtrzymywania rozmowy. Niełatwo było przestawić się na żarty, kiedy przeszło się po ostrzu brzytwy. Jeszcze trudniej, jak się okazało, przyszło pogodzić się z faktem, że znaleziony przez nich rajski zakątek był fałszywy. W końcu Alfejos był celem dalekim i mglistym, a brzeg jeziora, na pierwszy rzut oka, czysty i nadający się do zamieszkania - to było tuż obok. Tak bliski... i jednocześnie nieosiągalny...

Po nieśmiałej próbie Dyma, by osłodzić gorycz porażki, we wnętrzu pojazdu jeszcze długo panowało nieprzyjemne milczenie, które wymowniej od jakichkolwiek słów opisywało

ogarniającą całą załogę apatię. Dziś ekspedycję spotkało pierwsze poważne niepowodzenie.

* * *

Emaliowany kubek z popękaną podobizną diabełka na pękatym boku powoli, ale nieuchronnie sunął w stronę krawędzi blatu. Wibracje i regularne wstrząsy sprawiały, że napój falował i chlupotał. Mętna ciecz, która na użytek załogi nosiła dumną nazwę „wody pitnej z odzysku”, choć nadawała się do spożycia, smakowała gorzej niż ohydnie. Jednak wyboru nie było. Jak dotąd nie udało im się trafić po drodze na czyste źródło i uzupełnić kurczące się zapasy.

Co więcej, po pamiętnym spotkaniu z zakonem wędrowcy wciąż nie napotkali żywej duszy ani zamieszkałej osady i z każdym przebytym kilometrem cisza i pustka panująca na wyludnionych terenach były coraz bardziej przygnębiające. Odkąd Taran porzucił wątpliwy i ryzykowny pomysł, by szukać ocalałych ludzi z dala od dawnych arterii komunikacyjnych i martwych miast, ekspedycja posuwała się nieprzerwanie na wschód po resztkach zniszczonej przez czas i niepogodę, zarośniętej rzadkimi kępami drzew szosy. Szczegółowej mapy tego obszaru nie było ani wśród papierów Piechura, ani w arsenale Tarana, ale trasa, to meandrując po zaśnieżonych pustkowiach, to usłużnie ciągnąc się prosto jak strzełił po horyzont, utrzymywała właściwy kierunek i kwestie orientacji w terenie postanowili odłożyć na potem.

Czasem przez pokryte szadzią okienka udawało się dostrzec gdzieś daleko rzadkie chałupy, lecz zawałone dachy i poczerniałe od wilgoci drewno starych ścian wymownie świadczyły o tym, że gospodarze dawno stąd odeszli. Tam, gdzie kiedyś kipiało życie, a po podwórzach beztrąsko biegały dzieci, teraz królowało opuszczenie i jego odwieczni towarzysze - cmentarny chłód, wycie wiatru i żółtawy nalot wszechobecnej pleśni...

Mogli się o tym przekonać, obchodząc jedną z porzuconych wsi w poszukiwaniu studni z wodą pitną. Pochylone płoty, wyziębione niczym grobowce domy oraz mroczne izby, w których od dawna już nie rozbrzmiewały ludzkie głosy, i absolutna, otepiająca cisza. Zdawało się, że w tym zapomnianym przez Boga świecie nie zostało nic oprócz ciężarówki z garstką szaleńców w środku i ciągnącej się w nieskończoność drogi donikąd...

Odprowadzając wzrokiem kolejną porośniętą uschłymi drzewami osadę z przysadzistymi piętrowymi pudełkami domów mieszkalnych, Taran coraz bardziej posepniał. Nastrój dowódcy wkrótce udzielił się też pozostałym. Depresję niezauważalnie zastąpiło

rozdrażnienie, rozdrażnienie przerodziło się w otwartą niechęć. Konieczność, by dzień i noc siedzieć w zamknięciu wewnątrz trzęsącej się blaszanej puszki, nie dodawała załodze cierpliwości i łagodności. Wcześniej czy później to musiało nastąpić i kłótnie bez powodu, które od jakiegoś czasu stały się normą, doprowadziły do pierwszego poważnego konfliktu.

Wspominając ubogie w wydarzenia ostatnie dni w drodze, Gleb wciąż nie mógł zrozumieć, w którym momencie sytuacja ostatecznie wymknęła się spod kontroli. Zaczęło się chyba od tego właśnie pechowego kubka...

Po dojechaniu do końca blatu, ten prosty element zastawy stołowej niebezpiecznie zawisł na samym skraju. Przez mgnienie oka Glebowi wydało się, że obrazkowy diabełek z przerażeniem wczepił się obiema łapkami w miniaturowy trójząb. W następnym momencie kubek wystartował do krótkiego lotu i z żalonym brzękiem spadł na podłogę. Bezbożnik melancholijnym wzrokiem odprowadził blaszak, który poturlał się pod koję, znów zamknął oczy i błyskawicznie zapadł w drzemkę.

- Czy tak trudno było go przesunąć na środek?

Gderliwy bas Giennadija sprawił, że lekarz natychmiast otrząsnął się z senności. Bezbożnik pochylił się do przodu jak pies gończy, który złapał trop, i wlepił wzrok w mutanta w oczekiwaniu na kontynuację. Dym nie kazał na siebie długo czekać:

- Przecież wiesz, że każda kropla się liczy!

- I kto to mówi - skrzywił się lekarz. - Wyżłopałeś najwięcej wody ze wszystkich, a w zupełności wystarczyłyby ci stopiony śnieg. Bardziej zielony i tak już nie będziesz.

Giennadij, który zawsze odznaczał się znakomitym panowaniem nad sobą, tym razem nie wiedzieć czemu nie zechciał puścić szyderstwa mimo uszu. Dziurki w bulwiastym nosie rozdymały się od gniewu, a wściekłe spojrzenie spode łba nie wróżyło niczego dobrego. Z kolei oponent Dyma coraz bardziej się zapalał.

W mętnych, przekrwionych oczach pląsały diabelskie ogniki. Trudno było zrozumieć, co jest powodem takiej zapalczowości, ale Bezbożnika nagle poniosło:

- Zresztą ze śniegiem też nie musisz się męczyć. Możesz pić prosto z kałuży!

Kto wie, może jak w tej bajce o koziołku Iwanuszce - wypijesz i zmutujesz w coś miłszego dla oka! Na przykład w człowieka! - Lekarz zaniósł się spazmatycznym, pomieszanym z kaszlem śmiechem.

Widok trzęsącego się, mizernego ciała był co najmniej nieprzyjemny. Gleb złapał się na myśli, że w tym momencie Samuel Natanowicz nie budzi w nim żadnych emocji oprócz obrzydzenia.

„Żalony, wstrętny, zapuszczony staruchu! Jak śmiesz wyśmiewać się z cudzego

nieszczęścia!”

Oburzenie, którym kipiał chłopiec, najwidoczniej bardzo wymownie odbiło się na jego twarzy. Natrafiwszy na pełen potępienia dziecięcy wzrok, Bezbożnik umilkł, ale było już za późno. Zielona ręka złapała żartownisia za kołnierz koszuli i brutalnie zrzuciła z ławki, przyciskając do przepierzenia.

- Dym, zostaw go! - Taran pojawił się znikąd i próbował zastąpić mutantowi drogę, ale ten bezceremonialnie odepchnął stalkera, przygważdżając go wolnym łapskiem do ściany.

- Już to przerabialiśmy, Giena - pouczał go Taran, nie próbując nawet wyrwać się przyciskającej mu pierś ręce. - Lżej nie będzie ani tobie, ani pozostałym.

- Każę temu anemikowi połknąć jego własny śmierdzący język!

- Natanowicz, czemu milczysz? Powiedz, że się zagalopowałeś i kończmy tę szopkę! - Stalker zerknął na przycichłego lekarza, ale ten w odpowiedzi nagle wyszczerzył ze złością zęby:

- Niepotrzebnie się wtryniasz, Taran. Chcesz zostać czysty, tak? Nie uda ci się, dowódcu... - Bezbożnik wypluwał kolejne słowa z niekłamaną uciechą, ze zjadliwie zmrużonych oczu biła nienawiść. - Przed kim się popisujesz? Przed Glebem? Mimo że to jeszcze smarkacz, już dawno zrozumiał, z kim ma do czynienia! Przecież ty masz wszystkich gdzieś! WSZYSTKICH, słyszysz?! Jak ci się zachce, to każdego wyślesz pod kule, żeby tylko ocalić własną skórę! Przecież ty całe życie jesteś samotnikiem! Wyrzutkiem społeczeństwa! Socjopata!

Gniewne krzyki przeszły w niezrozumiałe bulgotanie, głowa Bezbożnika opadła bezwolnie, a dyndające w powietrzu nogi przestały kreślić zawile zygzaki.

Mutant rozluźnił palce i lekarz osunął się na ziemię. Siedział, patrząc nieobecny wzrokiem w przestrzeń.

- Puść mnie, no! - Stalker strząsnął rękę Giennadija, podniósł z podłogi kubek i postawił go na stole. Zerknął ukradkiem na przybranego syna, ze smutkiem dostrzegając pogardę na skrytej w cieniu twarzy.

Ale Gleb patrzył obok niego, z pewnym zdziwieniem obserwując Indianina i jego reakcję na to, co się działo. Ogryzek wcisnął się w najdalszy kąt pomieszczenia, w jego dłoni błysnęła stal.

- Wyrzuć tego gnata, durniu! - ryknął Dym, osłaniając dzieci potężnym tułowiem.

- Stój, gdzie stoisz, byku! Jeszcze jeden krok i nie ręczę za siebie!

Wycelowany w mutantą pistolet niebezpiecznie drgał, źrenice w wytrzeszczonych oczach ogryzka miały się niespokojnie, a błądź, która pojawiła się na smagłej twarzy,

wskazywała na to, że zbliża się kolejny napad.

- Co, młody, znów pękasz? - odezwał się na nowo ożywiony Bezbożnik. - No, co się tak zawiesiłeś? Rozwał łeb temu wykidajle! I sobie od razu też! Będzie dwóch debili mniej. To i wody nie będzie trzeba oszczędzać!

Wymierzywszy lekarzowi głośny policzek, po którym wichrzyciel zacharczał i opuścił głowę na pierś, Taran, nie kryjąc się, podszedł do Indianina, wyrwał z drżących rąk pistolet i zaciągnął biedaka do sąsiedniej kabiny, z dala od oczu i bez tego roztrzęsionej załogi.

Drzwi zatrzasnęły się ze zgrzytem, Aurora wzdrygnęła się z przestachem.

Podkulone jak zwykle nogi, niepokój w oczach, zgarbione, czy to ze strachu, czy to z zimna, plecy... Po raz pierwszy od początku wyprawy typowe zachowanie przyjaciółki wywołało u Gleba irytację.

- To nie jest twój Eden! Pora się przyzwyczać, bekso!

Chłopak ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa na głos i z nie mniejszym rozczarowaniem usłyszał w nich jad. Nie mógł jednak na to nic poradzić. Przejadł mu się już strach w oczach dziewczynki, jej ciągle biadolenie i starannie skrywane przed resztą obrzydzenie, które czasem przejawiało się w ledwie uchwytnych gestach i mimice - wszystko to na moment zaćmiło mu rozsądek, uwalniając niezrozumiałą, niekontrolowaną złość.

„Co ja robię?! - przemknęło mu przez głowę. - Ona się zaraz obrazi i...”

Aurora potrafiła zdziwić rówieśnika. Maską cierpienia błyskawicznie opadła z bladej twarzyczki. Dziewczynka wyprostowała się i bez cienia emocji rzuciła tylko trzy krótkie słowa:

- Zamknij się, prostaku!

Z trudem przezwyciężając ogarniające go pragnienie, by rzucić się na przyjaciółkę z pięściami, Gleb odwrócił wzrok, ale tylko po to, by stać się świadkiem kolejnej sceny rozgrywającego się na jego oczach obłąkańczego dramatu.

Z korytarzyka od strony kabiny kierowcy wychynęła zgarbiona postać Migałycza.

Ściskając w rękach ciężki klucz nastawny i mrużąc chore oko, kolejarz obrzucił władcym wzrokiem mesę i skinął głową nie wiadomo komu.

- Jestem pilotem, nie jakimś taryfiarzem... Dosyć mam już tego syfu...

Z ohydny zgrzytem narzędzie uderzyło w najbliższą szafkę. Z półki pospadały naczynia, rozbity na kawałki manometr bryznął odłamkami szkła, kiedy klucz trafił w panel kontrolny wentylacji. Dalszym zniszczeniom zapobiegł Giennadij, zagradzając staruszkowi drogę. Mutant z łatwością wyrwał zaimprovizowaną pałkę z żyłastych rąk Migałycza,

znieruchomiał na moment, przyglądając się narzędziu, jakby na matowym metalu dojrzał plamy rdzy.

- Jak dosyć, to dosyć... - Z dobrodusznym uśmiechem na twarzy Dym podniósł klucz nad głowę, wykonując zamach na starego.

Wyobraźnia malowała zmiażdżoną czaszkę, szkarłatne bryzgi na ścianach, resztki mózgu na rękach zabójcy... Obraz był tak realny i wyrazisty, że był to dobry moment, by przestraszyć się własnych myśli, ale los staruszka stał się nagle dla Gleba całkowicie obojętny.

„Przynajmniej skończy się to nudne zrządzenie o oszczędzaniu paliwa i szmerach w silniku...”

Obok przemknął Taran, który uwiesił się na ręce giganta, ale chłopcu było już wszystko jedno. Słaniając się na nogach, które nagle zrobiły się miękkie jak z waty, wyszedł do przedsionka i po chwili siedział już całkiem wygodnie pod kopułką obserwacyjną w dachu, patrząc bezmyślnie przez kratę na płynące po niebie obłoki.

Przesieka, która brzydką szramą przecinała maszyn lasu, widziana z pozycji, którą zajął teraz chłopak, robiła mniej przygnębiające wrażenie niż z kabiny. Granice szosy rozstały się i widoczne były teraz obie części ciągnącej się w dal drogi - już przebyta i ta, która była jeszcze przed nimi. Różnił je tylko przypominający tor ślad, jaki pozostawiło w śniegu Maleństwo. Poza tym żadnych widocznych cech wyróżniających. Zdawało się, że wystarczy tylko zamknąć oczy i pokręcić się w miejscu, żeby stracić poczucie kierunku, zabłądzić i zginąć bez śladu na tej niekończącej, obdarzonej jakby diabelską siłą szosie.

Na poboczu majaczył pochylony słup z wyblakłym bladoniebieskim znakiem drogowym.

„Dokładnie taki sam widzieliśmy kilka godzin temu. Może to jest ten sam znak i kręcimy się tylko w kółko? Trzeba podzielić się tymi przypuszczeniami z którymś z dorosłych... - myśli płynęły leniwie, zamieniając się w ciągnący się, wystygły kiesel. - Chociaż, co to za różnica?... Lepiej już zostać tutaj, na szosie, niż znów pchać się na te dzikie pustkowia...”

Niewesołe myśli o kolejach losu niełatwej wyprawy zastąpiła absolutna pewność, że gdy tylko zjadą z drogi, wszechobecna ciemność pochłonie transporter wraz z załogą, dołączając go do pozostałych łupów - martwych wiosek, które zostały za nimi. Gleb znów podniósł wzrok na drogową. Śnieg zalepił większą część znaku, nie pozwalając przeczytać napisu i przez przezroczystą warstwę lodu prześwitywał tylko numer drogi.

„R-243 - przeczytał chłopak, wypowiadając w głowie cyfry. - Warto pewnie

pogrzebać w mapach... i popatrzeć... dokąd prowadzi... A najlepiej będzie chwilę się zdrzemnąć, a potem to już... z wypoczętą głową...”

Chłopak poczuł, jak jego ciało słabnie i zsuwa się z metalowego siedziska w czyjeś troskliwie podstawione ręce. Nad głową rozległ się zgrzyt włazu, odcinając go od lodowatego powietrza z zewnątrz, i w przytulnym ciepłe przedziału Gleb poddał się opanowującej go senności.

Niespokojny sen nie przyniósł mu pożądaney ulgi, pozostawiając po sobie tylko uczucie niekończącego się spadania w czarną, po brzegi pełną duszącą, kłębiącą się mgłą przepaść. Chłopiec rozkleił oczy, zsunął się z koi i zaczął histerycznie kasłać, wypluwając na dłoń skrzepy okropnego żółtego śluzu.

„Co... Co to za paskudztwo? Jestem chory? Muszę... szybko... znaleźć Bezbożnika... Gdzie on jest?...”

Potyając się o leżące pokotem ciała członków załogi, Gleb ruszył chwiejnym krokiem w głąb pomieszczenia. Cała wieczność minęła, zanim przeszedł przez przedział mieszkalny. Wciąż nie udało mu się znaleźć lekarza. Mętny wzrok odnotował w kącie zwiniętego w niezgrabnej pozie Migalycza. Staruszek leżał na boku, patrząc na chłopaka nieobecny wzrokiem. Z kącika ust na metalową posadzkę ściekała ciągnąca się, żółtawa ślina.

Dopiero teraz Gleb uświadomił sobie, że transporter się porusza, i opierając się o ściany, powoli pokuśtykał w stronę kabiny. Zamiast kolejarza w fotelu kierowcy siedział Taran. Słyszac chrypliwy oddech za plecami, stalker odwrócił się. Czarne kręgi wokół oczu, kropelki potu na poszarzałej, wycieńczonej twarzy... Chłopiec cofnął się, jakby zobaczył nieboszczyka, nie ustał na drżących nogach i poleciał na plecy. Zabrakło mu sił, żeby wstać. Gleb zamknął oczy tylko na chwilę, ale poczuł z przerażeniem, że znów spada w otchłań utraty przytomności, z której nie uda mu się raczej drugi raz wydostać...

* * *

- Pij, jak mówię! O tak, po troszeczku... Powolutku! Pooddychaj nieco...

Gleb otwierał usta i nie mógł przestać kaszleć. Wnętrznosci palił mu ogień, a oczy piekły tak, że łzy ciekły mu nieprzerwanym strumieniem.

- Co... Po co to... Co za ohydne lekarstwo...

- Dawaj, młodziak, jeszcze parę łyżek. To ci pomoże. - Bezbożnik podniósł do ust chłopca pamiętny emaliowany kubek z wydającym ostry zapach przezroczystym płynem.

Diabełek kpiąco skakał i szalał przed oczami, obrazek rozpływał się i dwoił, a w głowie nieprzyjemnie mu dzwoniło. Przez myśl przemknęło mu nagłe przypuszczenie, wystarczyło po raz kolejny skosztować strasznej mikstury.

- Przecież to spirytus! - oburzył się Gleb, odpychając rękę lekarza.

- Otóż to! - odparł z entuzjazmem Bezbożnik, wciąż podsuwając blaszane naczynie pod nos krnąbrnemu pacjentowi. - Prawdziwy, medyczny! Z osobistych nienaruszalnych zapasów. No, już nie wykręcaj tak pyska, rozcieńczyłem go wodą.

Pij! Zobaczysz, że zrobi ci się lepiej!

Samuel Natanowicz uśmiechnął się z aprobatą i puścił oczko. Zaczerwieniony nos i mętny wzrok wymownie świadczyły o tym, że lekarz sam też zdążył się porządnie „podleczyć”.

- Nie patrz tak na mnie wilkiem! Skończyłem z piciem. Gdyby nie okoliczności...

- Jakie, do jasnej cholery, okoliczności?! - wybuchnął Gleb. - Po co mnie upijasz?

- Nie gorączkuj się, chłoptasiu. Można powiedzieć, że uratowałem ci życie!

Co prawda przy pomocy środka do użytku zewnętrznego, ale to już są niuanse.

Bezbożnik zatrząsał się w ataku bezgłośnego śmiechu, potem, kiedy się uspokoił, podniósł się, stękając, i przywołał pacjenta kościstym palcem.

- Chodźmy, pokażę ci coś.

Idąc za lekarzem do przedsionka, chłopiec popatrywał z niepokojem na leżących bez przytomności ojca, starego Migalycza, Indianina i Aurorę, a także Dyma, który jak ogromna bezkształtna bryła rozciągnął się przy bloku kuchennym.

- Co z nimi? Musimy im pomóc!

- Jeszcze czas - zapewnił go Bezbożnik, stając przy rozkręconej skrzynce wentylacji. - Teraz najważniejsze to zastanowić się nad innym problemem. Patrz, co tu odkryłem!

Gleb z ciekawością popatrzył na porzrzucone po podłodze kasety z filtrami powietrza. Wielowarstwowa siateczka była całkowicie omotana puszystymi strzępkami nieznannej żółtej substancji podobnej do waty. Nalot o tej samej barwie pokrywał wnętrze przewodu powietrza, ścianki i miejsca mocowania kaset.

- To jest...

- Pleśń - dokończył za niego lekarz. - Jej zarodniki są wszędzie. W systemie wentylacyjnym, w powietrzu, w naszych płucach... Nie wiem, od ilu dni oddychamy tym świństwem, ale jestem w stu procentach pewny, że to właśnie przez nie nam wszystkim

odwaliło. Postanowiłem nazwać ten arcyciekawy okaz

„mózgołamaczem”. Dobrze brzmi?

Gleb kiwnął głową z roztargnieniem, dalej przyglądając się niepozornemu puszystemu dywanikowi pod nogami.

- A najciekawsze jest to, jak ten mutant reaguje na alkohol. Spójrz!

Bezbożnik wziął łyk z przezornie zabranego kubka i obficie zrosił roztworem spirytusu zainfekowaną kasetę. W ułamku sekundy żółty puch ściemniał i skurczył się, a po paru chwilach w miejscu kolonii pleśni zostały tylko przyklepione do filtra mikroskopijne włoski i szarawy nalot, z daleka przypominający popiół.

- Jak się tego domyśliłeś? - Gleb śledził śmierć mózgołamacza z niesłabnącym zainteresowaniem.

- No... - zmieszał się Samuel Natanowicz - uznałem, że jak już umierać, to, jak to się mówi, z orkiestrą... Więc odkorkowałem zapasy... W końcu nie mogło się zmarnować, prawda?

Bezbożnik czknął pijacko, wlał w siebie resztki spirytusu i chrząknął z zadowoleniem, wachając zatłuszczony rękaw zamiast popitki.

- Czekaj! - przestraszył się Gleb. - A co z pozostałymi?

- Nie bój się, mam jeszcze schowane ćwierć kanistra. Wystarczy, żeby postawić na nogi pluton wojska. Chociaż, biorąc pod uwagę, że jednym z pacjentów jest kawał tucznika z łbem jak stodoła... - Bezbożnik chrząknął, doceniając własny żart, i znów mrugnął do chłopaka. - Teraz robimy tak, Gleb. Załóż maskę, weź szmatkę, spirytus i zabierz się do czyszczenia. Jeśli opuścisz chociaż jedną plamkę, ta zaraza znów się rozprzestrzeni. A ja pójdę „budzić” resztę, zanim kopną w kalendarz.

Wyraźnie rozweselony Samuel Natanowicz z żalem zajrzał do opróżnionego kubka i skierował się z powrotem do części mieszkalnej pojazdu, pozostawiając Gleba sam na sam z mózgołamaczem, zawrotami głowy i unoszącym się w przedśionku trwałym odorem alkoholu.

* * *

Tym razem emaliowany diabełek puszczał oczka i szczerzył się życzliwie, obserwując zebraną w mesie załogę. Gleb oderwał wzrok od kubka zajmującego honorowe miejsce na

samym środku stołu, obok opróżnionego kanistra, i prześlizgnął się wzrokiem po kabinie. Wszyscy jak jeden mąż ponurzy i oklapnięci, podróżnicy od siedmiu boleści, przedstawiali oplakany widok. Aurorę mdliło po wlanej w nią przez Bezbożnika szczodrej porcji alkoholu. Migałycz, mrużąc słabo widzące oczy, grzebał w mapach i zaciekle tarł skronie - stary organizm zareagował na „lekarstwo” silnym bólem głowy. Dym w ogóle nie podnosił wzroku, zawstydzony swoją próbą rozkwaszenia „współlokatorów” o ściany. Tylko Indianinowi przymusowa libacja wyszła na zdrowie - spirytus nie tylko wybawił chłopaka od zarodników mózgołamacza, ale też czasowo przytłumił strach, odgradzając go od rozmyślań o śmiertelności ciała murem zdrowego tumiwisizmu.

- Jesteś pewny, że rzecz w pleśni? - dopytywał się Taran.

- A niby w czym? - urażony do niemożliwości lekarz klasnął w dłonie. - Bez wątpienia długotrwałe przebywanie w zamkniętym pomieszczeniu pozostawia pewien ślad na psychice i absolutnie może doprowadzić do wybuchu, ale przecież nie u wszystkich naraz?!

Teraz to znowu był Samuel Natanowicz, skoncentrowany i śmiertelnie poważny. Zagrożenie życia załogi zepchnęło ekscentryczną naturę Bezbożnika na drugi plan.

- A tutaj mamy do czynienia z identycznym scenariuszem - ciągnął. - Rozdrażnienie, wybuch agresji, a następnie apatia i beczynność prowadzące do stopniowego osłabiania funkcji życiowych aż do całkowitej śmierci organizmu.

Powiem wam, że to bardzo ciekawy efekt!

- Martwe osady, przez które przejeżdżaliśmy... Czy to przypadkiem nie dzieło mózgołamacza? - przypuścił Giennadij.

- Dlaczego nie? Tam, widać, złapaliśmy to świństwo... - podsumował lekarz.

- Na przyszłość proponuję wprowadzić obowiązkowe przeglądy techniczne na postojach.

Taran skinął głową i zerknął na kolejarza.

- Migałycz, co tak milczysz? To twoja działka.

- He? - Staruszek oderwał się od mapy. - Przepraszam, wyłączyłem się. Na marginesie, kto usiadł za kółkiem, kiedy mnie chwyciło?

Taran ociężale podniósł rękę.

- Nie umiem nawet w przybliżeniu ustalić, gdzie jesteśmy. - Migałycz podrapał się w tył głowy z zakłopotaniem.

- Droga R-243 - wtrącił się Gleb. - Widziałem znak.

- Hm... Staruszek znów zaszeleścił wytartymi arkuszami. - Jeśli się nie mylę, to część drogi federalnej M7. Całkiem długi odcinek... Dowódco, kiedy mniej więcej zjechałeś z

trasy? Dobę temu? Więcej?

- Ja zjechałem z trasy? - Stalker podniósł się z ławki i wyrzał przez iluminator. - A żeby to...

- Nie denerwuj się, dowódco - pocieszył go ze swojego kąta Indianin. - Nie trudno było się zgubić z tym czymś w mózgu. I tak wytrzymałeś najdłużej ze wszystkich.

- Pamiętam duże miasto... Domy... - Taran zmarszczył czoło z wysiłkiem, starając się pobudzić pamięć.

- Nabierieżnyje Czełny? Ufa? - zgadywał starszek.

Stalker tylko wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Cóż... W takim razie wybór jest prosty. Musimy jechać na wschód.

Wcześniej czy później gdzieś wyjedziemy.

Migałycz złożył mapy i poczłapał do kabiny kierowcy. Chwilę później przez mesę przeszedł dreszcz, zaryczał znajomo silnik, zaszumiał interkom, ale zamiast rytualnego: „Jedziemy!”, z głośników dobiegło nagle:

- Kończymy pogaduszki, obywatele alkoholicy. Zdaje się, że mamy gości...

Rozdział 9

STEPOWE PSY

Pojazd, który stał na samym skraju lasu, wyglądał co najmniej egzotycznie i zdawało się, że trafił tu wprost z ekranu filmu fantastycznego, prosto z jakiegoś postnuklearnego hitu z lat osiemdziesiątych. Gleb, kiedy jeszcze mieszkał na Moskiewskiej, miał raz okazję razem z innymi dziećmi oglądać urywki cudem ocalałej taśmy, którą stalkerzy odkopali w zakurzonych magazynach pobliskiego kina. Szalenie ciekawie było porównywać wyblakłe kadry wymyślonego świata z tym realnym, istniejącym nie w głowach dawnych fantastów, ale w najprawdziwszej rzeczywistości.

Wiele z tego, co mógł wtedy zobaczyć na podniszczonych kawałkach celuloide, wyglądało nienaturalnie, zbyt efekciarsko, by mogło być prawdziwe.

Podobnie pojazd, który zagroził im teraz drogę, sprawiał wrażenie filmowego rekwizytu. Ktoś bardzo się napracował, zniekształcając nadwozie samochodu masywną spawaną ramą: nagromadzeniem absolutnie niepotrzebnych, pozbawionych jakiegokolwiek praktycznego sensu rur i poprzeczek, dlatego nie od razu udało im się rozpoznać w tym mechanicznym potworze dawnego UAZ-a. Teraz bardziej przypominał *buggy* z okratowanym, otwartym nadwoziem. Z dziury w spłaszczonym dachu sterczała lufa wielkokalibrowego KPWT1, a wzmocniony przedni zderzak jeżył się palisadą ostro zakończonych stalowych kolców.

- Co to za cyrk na kółkach? - skomentował Bezbożnik. - Z jakiego złomu sklecieli tego sztrucla? A przede wszystkim po co? Żeby straszyć wilkołaki?

Tymczasem niewidoczne wcześniej drzwi odsunęły się w bok i z pojazdu wyszedł człowiek. Buty z kirzy, dobrze uszyty kombinezon w barwach ochronnych, na wierzch założona wymyślna kurtka z nitami i zbyt masywnymi metalowymi naramiennikami, na oko co najmniej półtora kilo każdy. Głowę okrywała mu rzadko spotykana i bajecznie droga maska GP-102 wymalowana, najwidoczniej dla postrachu, na jaskrawoczerwony kolor.

- A to co za przebieraniec... - nie wytrzymał Miگاłycz, obserwując nieznanego.

Parlamentariusz przeciągnął się niespiesznie, demonstracyjnym ruchem rzucił na śnieg automat z krótką lufą - odległość nie pozwalała dojrzeć modelu - i pewnym krokiem ruszył w kierunku transportera.

- Patrzcie go, jak się popisuje, znalazł się spacerowicz...

- A czego ma się bać? Jak amen w pacierzu w lesie czeka eskorta. Inaczej nie odstawiałby takiej szopki.

- Nawet nie w tym rzecz, czy on się nas boi, czy nie - odezwał się znowu Bezbożnik. - Gość w ogóle nie rozgląda się na boki, jakbyśmy nie byli w lesie. Czyli albo żadna zwierzyna się w tych stronach nie kręci, albo rzeczywiście ma na obu flankach swoich ludzi.

- Nie będziemy zgadywać - podsumował Taran. - No, bracia, wszyscy na miejsca! Nie wchodzimy do wieżyczek bez rozkazu. Jeśli mają zakamuflowanych snajperów, zdejmą was jak nic.

Załoga szybko rozbiegła się po stanowiskach ogniowych, a dowódca został z Migałyczem, by obserwować dziwnego gościa. Nieznajomy zatrzymał się około pięciu metrów od klinowego pług Maleństwa, przechylił głowę w bok, oceniając rozmiary i moc kryjącą się w tym „żaglowcu pustkowi”, potem obrócił się w stronę kabiny kierowcy.

- Jest tam kto? Wychodź, pogadamy.

Głos nieznajomego, zniekształcony przez maskę przeciwgazową, wydał się siedzącemu cicho w kabinie nawigacyjnej Glebowi gburowaty i... jakby władczy...

Chłopak nijak nie potrafił nazwać swoich odczuć, ale jedno było pewne - śliski typ w nabijanej ćwiekami ramonesce nie budził zaufania.

- No to mów. Kim jesteś, skąd, czego chcesz... Słyszymy cię - rozległo się w odpowiedzi z zewnętrznego głośnika.

Głośny dźwięk nie przestraszył przybysza. Mężczyzna nawet nie drgnął.

Pokiwał głową z sobie tylko znanych powodów, jakby nie spodziewał się wcale innej reakcji, podniósł powoli rękę i z mocą uderzył się pięścią w pierś.

- Jestem Sungat! Każdy kundel tu wie, kim jestem i czego chcę! A wy widocznie przez pomyłkę wdarliście się na terytorium Stepowych Psów, jeśli zadajecie takie pytania.

Czerwonogłowy czekał na odpowiedź jakąś minutę, ale po milczeniu głośnika pojął, że jego napuszona przemowa nie odniosła pożądanego skutku, i machnął niecierpliwie ręką:

- Chcę porozmawiać z waszym szefem! Niech się pokaże! Nie będziemy strzelać, obiecuję.

Zgrzytnęła zasuwa, uchyliły się opancerzone drzwi i z kabiny wyskoczył Taran. Nieznajomy natychmiast utkwiał wzrok w zbliżającej się rosłej postaci stalkera, obserwując uważnie każdy jego ruch i miękki, elastyczny chód. Kiedy obaj stanęli twarzą w twarz, czy raczej maską w maskę, próbując dojrzeć swoje oczy zza odbijających światło szkieł, przybysz przerwał milczenie jako pierwszy:

- Jak cię wołają?

- A obchodzi cię to?

- W sumie to nieszczególnie - zgodził się Sungat. - Za to z przyjemnością posłuchałbym, kim jesteście i skąd przyjechaliście.

- Jesteśmy turystami - odrzekł wymijająco stalker. - Z daleka...

Taran machnął głową, w nieokreślony sposób wskazując za siebie. Słysząc było, jak jego rozmówca cicho się śmieje, ale nie pytał dalej.

- Sprawa wygląda tak... - nieznajomy rozejrzał się, po raz pierwszy od początku konwersacji obrzucając wzrokiem przestrzeń dookoła. - My was na nasz teren nie zapraszaliśmy, tak?... Tak. Ale jak już jesteście, miło by było zapłacić za przejazd.

- Niezbyt to gościnne...

- Trudne czasy mamy - wzruszył ramionami Sungat. - Pan Bóg kazał się dzielić... z bliźnimi. Że tak powiem, po bratersku.

- Po bratersku, powiadasz... - Taran nie mniej badawczo przyglądał się rozmówcy, jednak nadal nie wiedział, jaką grę prowadził bandyta. - A co, jeżeli mój Bóg jest inny niż twój?

Podmuch wiatru smagnął po ubraniu lodowym pyłem, zmuszając do instynktownego zmrużenia oczu mimo szkieł ochronnych.

- Za to kula dla każdego jest jednakowa. I zbliża nie gorzej od wszystkich religii. - W głosie Sungata dała się słyszeć nuta irytacji.

- Czego chcesz za przejazd?

- Mówię ci przecież, podzielimy się po bratersku. To chyba znaczy po równo.

- Bandyta zmierzył wzrokiem przyspawaną do karoserii cysternę. - Połowę całego paliwa i amunicji. Żarcie też na pół. Armat na dachu też masz sporo. Towar deficytowy, wybacz brachu.

- Nie za dużo tego?

- W sam raz.

- Stoi - zgodził się od razu stalker. - Dokąd zawieźć? Pokaż drogę.

- Co on robi?! Dlaczego się zgodził?!

Gleb wzdrygnął się, kiedy tuż nad uchem usłyszał gorączkowy szept Aurory.

Chłopak rzucił przyjaciółce lodowate spojrzenie i znów przykleił się do głośnika, bojąc się opuścić chociaż słowo z niespiesznej rozmowy liderów.

- Wszystko w porządku. To tylko gra. Bandyta oczekiwał odmowy i teraz jest zmuszony odkryć karty. Jeśli zgodzi się na połowę, zyskamy możliwość wydostania się z

zasadki. A jeśli jednak zdecyduje się na konflikt, będzie ostatecznie jasne, że negocjował w jednym jedynym celu: by popatrzeć z bliska na uzbrojenie Maleństwa, ocenić układ sił.

- W takim razie nie można go wypuścić!

- Sądzę, że Taran się z tobą zgadza.

- Widzę, że lubisz gierki, włóczęgo? - odezwał się w końcu Sungat. - Żebyś się nie przeliczył...

- Czyli tchórzysz - uciął krótko stalker. - To jak, napatrzyłeś się? W takim razie z drogi, Robin Hoodzie od siedmiu boleści.

Bandzior wykazał się godną pozazdroszczenia zimną krwią, żadnym gestem nie zdradzając emocji, i tylko jego głos przypominał teraz raczej syk żmii niż ludzką mowę.

- Będziesz się jeszcze dławił własną krwią za te słowa!

- Czas pokaże. Nie śmiem zatrzymywać. - Taran odprowadził wzrokiem oddalającą się postać Sungata, po czym nagle podniósł w górę rękę i zacisnął pięść.

Natychmiast rozległ się ryk silnika i transporter wyrwał do przodu. Zabrzęczał napęd elektryczny, ogromny pług ze zgrzytem uniósł się do góry. Stalker zanurkował w utworzoną przy samej ziemi szczelinę, jednak „czerwonogłowy” okazał się mniej zwinny. Odwróciwszy się, zdążył dojrzeć nadjeżdżającą metalową ścianę, a ułamek sekundy później pług rąbnął bandytę, zwalając go z nóg.

Sungat runął w śnieg jak ścięty - nieoczekiwane uderzenie trafiło w głowę, ogłuszając bandytę. Taran przyskoczył do bezwładnego ciała i z ulgą wyczuł puls na szyi jeńca. Maleństwo zatrzymało się, a pług natychmiast zsunął się w dół, kryjąc obu przed wzrokiem postronnych obserwatorów.

Nad szczytami świerków wzbija się rakietą sygnalizacyjna. Otaczający ich las ożył, zawarczał dziesiątkami silników, przez okryte czapami śniegu korony drzew przebił się siny dym spalin. W czasie gdy Giennadij pomagał dowódcy wciągnąć jeńca do ładowni, zza drzew pokazały się już czarne sylwetki opancerzonych i obwieszonych bronią terenówek.

- Czy ja mam *déjà vu*, czy to wszystko już było? - rzucił Dym, zatrzaskując właz.

- Migalycz, koronkowa robota! - pochwalił stalker. - Włączaj megafon.

Przekażemy tym zdechłakom parę serdecznych...

Staruszek z jakiegoś powodu zwlekał. Ręka z zaciśniętym w dłoni mikrofonem zamarła w połowie drogi, usta kolejjarza bezgłośnie otwierały się i zamykały, a palec wskazywał na zarośla, które rozpościerały się nieco z boku, pod przeciwległą ścianą lasu.

- A niech mnie... - powiedział tylko Taran, kiedy zerknął na drapieżne kształty śmiercionośnej maszyny, która majaczyła za splotem skrzących się szronem gałęzi. -

„Dziewięćdziesiątka”...

Orząc zamarznąłą skorupę śniegu gąsienicami, olbrzymia bryła czołgu powoli wytoczyła się ze swojej kryjówki na wolną przestrzeń i buchnęła spalinami... Płaski, osmalony łeb stalowego potwora poruszył się, niespiesznie obracając się w stronę transportera i wbijając w ofiarę swoje jedyne oko - zmodernizowaną gładkolufową armatę kalibru sto dwadzieścia pięć milimetrów.

- Spadajmy stąd! Szybko! - wrzasnął w panice Bezbożnik.

- Dowódco, musimy coś zrobić i to zaraz - dołączył się Migałycz, który w samą porę odzyskał dar mowy. - Jeśli ta rura w nas pierdyknie, to z Maleństwa będzie karawan!

- Spokojnie. - Taran wyrwał mikrofon z ręki starszka. - Mamy zakładnika, a do tego paliwa dla całego batalionu. Dlatego nikt nie będzie strzelał. Nie opłaci im się.

Czołg drgnął, okrywając się niebieskawą mgiełką. Z ogłuszającym hukiem ziemia przed transporterem spiętrzyła się i rozsadziła, bryzgając fontanną kamiennych drobinek zmieszanych z odłamkami topiącego się w locie lodu.

Maleństwem porządnie wstrząsnęło. Z półek posypało się szkło, puste magazynki do automatu, rzucona niedbale amunicja. Okropnym głosem zawył Bezbożnik, kiedy ciężki klucz do nakrętek spadł akurat na czubek jego buta. Przez filtry wentylacyjne przesączył się zapach prochu strzelniczego.

- Do kitu z ciebie psycholog, dowódco! - rzucił ze złością lekarz.

- Spokojnie, mówię! To tylko ostrzeżenie! Chłopaki blefują...

Nabierając prędkości, transporter zaczął się wydostawać z zasadzki. Za nim, wzbijając chmury śnieżnego pyłu, pędzili bandyci w najrozmaitszych cudakach na kółkach. Znaleźć wśród nich dwa jednakowe, czy po prostu podobne samochody byłoby dość trudno. Wymyślne osłony ze sterczącymi z nich pod różnymi kątami ostrzami, malowanie bojowe w postaci rysunków najeżonych kłami pysków, ramy obwieszane dalekosięznymi halogenami... Każdy szczegół niezwyklej monstrów na kołach miał, jak się zdawało, jedno zadanie - odstraszyć potencjalnego wroga.

Zostawiwszy za sobą szeroki pas rzadkich drzew, bandycki konwój wypadł w ślad za ryczącym transporterem na mieniący się bielą dziewiczego śniegu step.

Terenówki ścigających zbliżyły się i sprawnym manewrem otoczyły Maleństwo.

- Mamy zakładnika! Wzywam do natychmiastowego wstrzymania ognia!

W przeciwnym razie...

Taran nie zdążył skończyć. W karoserię gęsto zabębniły setki młoteczków, sprawiając, że wędrowcy instynktownie wcisnęli głowy w ramiona. Czy to Sungat okazał się nie tak

znaczną osobą, jaką chciał się wydawać, czy to rozwścieczonym bezczelnym fortem jeźdźcom kompletnie odbiło, bo grad ołowiu nieustannie walił w wysłużony pancierz transporter.

- Celują w koła! Migalycz, opuściłeś osłony?

- Jeszcze na polanie, dowódco!

- Doskonale! - Taran klepnął kolejarza po plecach, przekrzykując wycie silnika. - Skręć w stronę tego parowu! Pozbawimy tych klaunów swobody manewru!

Do tego na dole śnieg będzie głębszy, może ugrzęzną!

W kabinach transporterów panowała gorączkowa krzątanina, skupiona załoga w milczeniu szykowała się do walki. Słyszcząc długo wyczekiwany rozkaz do rozpoczęcia działań zaczepnych, Dym i Bezbożnik zajęli miejsca w wieżyczkach strzeleckich. Taran poszedł za ich przykładem, nakazawszy Indianinowi zostać w przedsiönku i nie spuszczać wzroku z jeńca.

- Aurora, pilnuj ich obu! Jakby co, krzycz! - rzucił w biegu stalker. - Gleb, bierz mapy i zasuwasz do Migalycza! Pomożesz z wyborem trasy!

Kordy odezwały się niemal jednocześnie. Wystarczyło, by Maleństwo odgryzło się ogniem, a terenówki jeźdźców, niczym stado przestraszonych szczurów, rozpiezchły się na boki. Najbardziej ślamazarny z bandytów miał pecha - samochód z przestreloną maską zaczął dymić i zwalniając stopniowo, wycofał się z pościgu.

Jednak pozostałe dalej natrętnie krążyły wokół osamotnionej, lecz wciąż jeszcze groźnej ofiary, sondując stalowy pancierz mastodonta krótkimi seriami w poszukiwaniu niezabezpieczonych miejsc.

- Nie ma strachu, zaraz się odczepią! - Migalycz gwałtownie skręcił kierownicą, uderzając w szczególnie napastliwy wóz jeźdźców, który skrył się w martwej strefie pod samym bokiem Maleństwa. - Będą mieli straty, wystrzelają się z amunicji i podejmą jedynie słuszną decyzję... Glebuszka, zerknij no jednym okiem, jak wygląda sytuacja na prawej burcie?

Chłopak pobiegł do kabiny nawigacyjnej i o mało nie poślizgnął się na pustych łuskach, które sypały się na podłogę ze stanowiska sprzężonego cekaemu. Od urywanego jazgotu kordów pękała głowa. Wibracje trzęsące stalową podstawą wieży sprawiały, że po ciele przebiegały mu ciarki. Gleb prześlizgnął się pod otwartym włazem i przyłgnął do kuloodpornego okienka, ale to, co zobaczył, sprawiło, że natychmiast odskoczył.

- Zachodzą nas z flanki! Całą gromadą!

- Widzę, spokojnie! - z góry dał się słyszeć głos Tarana.

W ślad za nim znów zahuczały cekaemy, odrzucając napastników od burty.

Najwidoczniej obecność zakładnika zrobiła jednak swoje, bo w stronę transportera nie wystrzelono ostatecznie żadnego granatu. Po kilku nieudanych próbach abordażu pechowi jeźdźcy jechali za nimi jeszcze przez jakieś pół kilometra, utrzymując pełen respektu dystans. Potem wszyscy jak jeden mąż opisali szeroki łuk i odjechali, biorąc kurs na majaczący w oddali pas rzadkiego lasu. Po chwili tylko chmura unoszącego się w powietrzu śnieżnego pyłu i rozcięta przez koła lodowa skorupa przypominały o niedawnej obecności Stepowych Psów.

- Nasi górą! - zawołał radośnie Gleb, rzucając się w stronę schodzącego z wieżyczki ojca.

Euforia na chwilę zepchnęła dawne urazy na dalszy plan i dopiero natknąwszy się na ponury wzrok Tarana, chłopiec się zreflektował.

Coś było nie tak. Z oczu stalkera wycierał niezrozumiały niepokój. W ułamku sekundy przecucie nieszczęścia udzieliło się też Glebowi.

Ledwie weszli do części mieszkalnej, obaj omal nie wpadli na Giennadija, który zastygł pośrodku pomieszczenia z wyrazem całkowitego zaskoczenia na twarzy.

- Co? - nie wytrzymał Taran.

Zamiast odpowiedzi mutant powoli wskazał coś potężnym ramieniem, schodząc im z linii wzroku.

Rozwarty na oścież łuk wyjściowy, plamy krwi na oprószonej śniegiem podłodze i wirujące białe płatki wciskane do wnętrza pojazdu porywami lodowatego wiatru...

- A gdzie jest jeniec? - zajrzał do kabiny Bezbożnik. - W przedsiönku nikogo nie ma!

- Aurora z Indianinem też zniknęli... - Dym spojrział wyczekująco na dowódcę.

- Co za draństwo! Jak to się stało?!

Stalker walnął ręką w rurę wentylacyjną, przeszedł z kąta w kąt i zacisnął bezsilnie pięści.

- Co się tak miotasz jak tygrys w klatce! - wyrzwał z kabiny kierowcy Migalycz. - Trzeba zawracać, jasna sprawa!

- Oni tylko na to czekają! - zaoponował Giennadij. - Zabiorą transporter, a pasażerów - pod ścianę.

Taran zatrzymał się przy wyjściu, zdecydowanym ruchem zatrzaskał włącznik i odwrócił się do załogi.

- Nie warto porywać się z motyką na słońce. Zrobimy inaczej...

* * *

Nie bolały go już związane drutem ręce, dawno już zdrętwiały tak, że całkowicie stracił czucie. Zimno też przestało dokuczać po półtoragodzinnej jeździe po wybojach na pokrytej brezentem pace terenówki. Wytężając ścierpnięte mięśnie, Indianin przysunął się blisko do zwiniętej w kłębek Aurory, starając się podzielić z dziewczynką ostatnią odrobiną opuszczającego ciało ciepła. Biedaczka miała nieco więcej szczęścia. Bandzior, który ich wiązał, zlitował się, odszukał w kabinie podarty wytłuszczony wacik i zarzucił go na drżące dziewczęce ciało, co pomogło Aurorze przetrwać ciężką jazdę.

Podczas gdy dziwaczny pojazd, trzęsąc się na wybojach, pędził gdzieś przez rozszalałą zamieć, Indianin miał dość czasu, by wielokrotnie odtworzyć w głowie tę straszną scenę... Wszystko wydarzyło się tak szybko, że w pamięci zostały mu tylko pojedyncze, z trudem poddające się interpretacji obrazy...

Strach, nieodparty i jak zawsze niespodziewany, w znajomy sposób ścisnął mu gardło, zapierając dech. Gęsty stukot walącego w karoserię ołowiu paraliżował go, sprawiał, że oblewał się lepkim potem. Zdawało się, że jeszcze chwila i jakiś wyjątkowo udany strzał znajdzie słabszy punkt w wielowarstwowym pancerzu i...

Indianin przegapił moment, w którym leżący bez ruchu bandyta zerwał się na nogi. Sungat zaatakował błyskawicznie i zdradziecko. W pośpiechu nikt nie znalazł czasu, by zerwać z uwięzionego jeźdźca maskę przeciwgazową, a teraz było już za późno, by odgadnąć, w którym momencie długotrwałej ucieczki ten doszedł do siebie.

Słyszając ostrzegawczy okrzyk Aurory, Indianin sięgnął miękkimi jak z waty rękami po leżącą mu na kolanach strzelbę, lecz przeciwnik okazał się znacznie szybszy i brutalny kopniak posłał ogryzka na podłogę. Głośny dziewczęcy pisk urwał się w połowie. Kiedy nieposłuszne palce wymacały w kaburze pistolet, a w oczach przestało mu się dwoić, Indianin podniósł broń, wiedząc już, że się spóźnił. Bandyta zasłonił się zakładniczką, szorstkie dłonie zacisnęły się na wiotkiej szyi Aurory.

Ogryzek złapał pistolet obiema rękami, gotując się do strzału, ale Sungat pokręcił głową, ostrzegając przeciwnika przed nierozważnym krokiem.

- Jeden ruch i urwę tej małej zołzie głowę... - zza maski przeciwgazowej dobiegł przebiegły i ordynarny zarazem głos. - Nawet nie będzie mi potrzebna twoja giwera, chuderlaku.

Strzelba w rękę Sungata poruszyła się. Aurora wzdrygnęła się i zacisnęła oczy, kiedy

zimny metal dotknął jej skóry. Jak przez mgłę ogryzek patrzył, jak bandyta powoli kładzie broń na podłogę obok drzwiczek wyjściowych, jak wolną ręką naciska na dźwignię zasuw, jak daje sygnały komuś na zewnątrz. Rozsądek podpowiadał Indianinowi, że trzeba natychmiast działać, ale chłopak wciąż obojętnie śledził przeciwnika wzrokiem, nie mając siły się ruszyć. W skroniach czuł tępy, pulsujący ból, obraz znów rozmazał mu się przed oczami, a ziemia pod nogami zdradziecko się zachwiała. Bezsilnie oparł się plecami o ścianę, zagryzając usta w rozpacz. O tym, żeby w takim stanie strzelać, nie mogło być nawet mowy.

Prawdopodobieństwo, że trafi w zakładniczkę, było zbyt duże.

- Przekaż swojemu bossowi - przerwał te dręczące rozmyślania Sungat - że jeśli chce jeszcze zobaczyć swoją smarkulę, to serdecznie zapraszamy w nasze skromne progi.

Bandyta zrobił krok w otwór luku, ciągnąc za sobą Aurorę. Po chwili obie sylwetki zniknęły i Indianin został sam ze swoim wiernym towarzyszem, powoli, lecz nieubłaganie pozerającym go od środka... Sam na sam ze strachem.

„Zrób coś! - wzywał go głos wewnętrzny. - Będziesz tak stał jak kołek? Masz obowiązek ją uratować! Tchórz! Cienias!”

Ogryzek zawył z bezsilności i przyskoczył do luku. Krótki rozbieg, skok...

Pęd dojmująco zimnego powietrza mocno uderzył go w pierś, drobinki lodu spod kół transportera smagnęły go po twarzy. Przed oczami przemknęła mu pędząca w dole śnieżnobiała powierzchnia, póki szybko zbliżająca się terenówka nie zasłoniła mu całego pola widzenia.

Dotkliwe uderzenie o blachę samochodu sprawiło, że złożył się w pól, w głowie poczuł nową eksplozję bólu. Próbując wstać, Indianin zdążył ujrzeć, jak niebo zasłania mu sylwetka jeźdźca w znieawidzonej czerwonej masce. Mignęła mu przed oczami kolba automatu i pochłonęła go ciemność...

* * *

Szczęk hamulców sprawił, że Aurora ocknęła się. Trzasnęły drzwi, zaskrzypiał śnieg pod nogami jeźdźców, którzy wyszli na zewnątrz. Brezentowa plandeka zsunęła się z szelestem i przywykłe do ciemności oczy natychmiast zaczęły łzawić od światła, które przebijało się przez grubą zasłonę chmur. Czyjeś ręce brutalnie wyciągnęły dziewczynkę z terenówki i rzuciły na ziemię. Obok jak bezkształtny worek padł uwolniony z więzów

Indianin, który natychmiast skrzywił się z bólu.

Czucie wracało do odrętwiałych kończyn.

- Wstawać!

Te same brutalne ręce postawiły dziewczynkę na nogi. Coś szybkiego i nieuchwytnego, przecinając ze świstem powietrze, smagnęło ogryzka po plecach.

Chłopak zawył i zwinął się w kłębek.

- Wstawać, powiedziałem!

Długi bicz w rękę bandyty wrócił do pozycji wyjściowej, czekając, by uderzyć po raz kolejny.

Aurora pospiesznie pochyliła się nad Indianinem, pomagając mu wstać.

Dopiero teraz jeńcom udało się rozejrzeć i uświadomić sobie, dokąd ich zawiózł oddział Stepowych Psów.

Niskie domy, które tłoczyły się wokół oczyszczonego ze śniegu placu, do bólu przypominały te petersburskie z ich typowym architektonicznym wykwintem - gzymsami, kolumnami, stiukowymi ozdobami. Do tego tutejsze budynki były tak samo ponure i czarne od wżartej w beton sadzy, najwyżej nieco niższe. Jednak pomimo że były brudne i zniszczone, wciąż jeszcze zachowały dawny urok, a to ze względu na ocalałe zdobienia.

„Stalinowski neoklasycyzm” - przypomniało się nie w porę Aurorze.

Pod wpływem stresu mózg pracował efektywniej, wyławiając z głębin pamięci dawno zapomnianą informację.

Poważnych zniszczeń jako takich nie było widać. Jednak osmalone ściany i zwęglone szkielety dachów podpowiadały, że dawno wybrzmiała wojna nie ominęła i tego miasta. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie wzrok niezmiennie trafiał na ślady szalejących tu kiedyś pożarów.

W odróżnieniu od napotkanych wcześniej widmowych osad, wyludnionych i pustych, to miejsce miało więcej szczęścia. Dawni gospodarze wrócili do spalonego miasta i dołożyli wielu starań, żeby tchnąć życie w spieczone, zasypane popiołem pudełka. Zabite deskami otwory okienne, wieżyczki strażnicze i stanowiska przeciwlotnicze na dachach - wszystko to w rozumieniu Aurory było przeznaczone do ochrony mieszkańców osiedla przed skrzydlatymi drapieżnikami. Lufy karabinów w większości nie patrzyły jednak w ciemniejące niebo, lecz były skierowane w dół, na ulice milczącego miasta. Dość dziwna decyzja, chyba żeby założyć, że ich funkcja polegała nie tyle na ochronie przed agresorami z zewnątrz, ile na tym, by nie wypuścić tych, którzy są w środku!

Przypuszczenie, które przemknęło jej przez głowę, zaraz znalazło potwierdzenie w

postaci stosu niewolniczych dybów, zwalonych niedbale pod łuszczącą się ścianą, i drutu kolczastego na otaczającym plac ogrodzeniu. Zbyt mało solidna ochrona przed skocznymi zwierzętami, za to w sam raz dla człowieka...

Wątpliwości zniknęły, kiedy w jej polu widzenia pojawiło się dwóch krzepkich mężczyzn wlokących martwe ludzkie ciało. Przerzucając się żarcikami, nadzorczy zaczęli niespiesznie zdejmować z trupa kajdany...

Budynek z popękkanymi pilastrami, obok którego zatrzymała się kolumna samochodów, stał osobno, bliżej środka placu. Najwidoczniej to właśnie on był wykorzystywany do przetrzymywania jeńców. Zaś sam plac był niczym innym jak tylko sprawnie zorganizowanym obozem koncentracyjnym.

- Co się gapiacie? Idziemy!

Poganiani szturchańcami, Aurora i Indianin weszli do skąpo oświetlonego „baraku”. Odór niemytych ludzkich ciał uderzył w ich nosy, gdy tylko przeszli przez krótki przedsionek przy wejściu. Gdzieś tam, skryci w półmroku, w zakratowanych celach tłoczyli się liczni więźniowie. Ilu ich tu było? Kilkudziesięciu? Kilkuset? Czy więcej? Kim są ci nieszczęśnicy? Skąd są? Jak się tu znaleźli? Co ich spotka?

Na odpowiedzi trzeba było poczekać. Trzasnęły drzwi, odcinając wędrowców od świata zewnętrznego. Cella, łaskawie oddana nowym więźniom, była klatką o rozmiarach trzy na trzy metry, odgradzoną od pozostałych palisadą grubych metalowych prętów. Sądząc ze strzępów szmat pokrywających podłogę, w „apartamentach” zamieszkiwało wystarczająco wielu „lokatorów”, by ściany wchłonęły ich strach i rozpacz, które można było teraz poczuć niemal fizycznie.

Dziewczynka przytuliła się z przestachem do dorosłego. Pomimo jego niesforne go charakteru i często tchórzliwego wręcz zachowania, w tym momencie nie miała na świecie nikogo bliższego niż Indianin.

1 Wielkokalibrowy karabin maszynowy Władimirowa w wersji czołgowej

(przyp. aut.).

2 Cywilna maska przeciwgazowa filtracyjna (przyp. aut.).

Rozdział 10

AUTODAFE

- Świeże mięso? - dobiegło z pogrążonego w cieniu kąta.

Niewidoczny rozmówca zaśmiał się ochryple, dostał natychmiast ataku kaszlu, zabulgotał rozpalonymi płucami, starając się złapać oddech. Kiedy oczy wędrowców przywykły do skąpego oświetlenia, dało się zobaczyć sylwetkę więźnia, a potem wyschniętą starczą twarz o wychudzonych rysach. Dopiero teraz Aurora zauważyła, że kajdany przymocowane łańcuchem do ściany były puste - jeniec zamiast nóg miał obrzydliwe, byle jak zaszyte i źle zabliźnione kikuty.

Siwowłosy inwalida obejrzał nowo przybyłych krytycznie i kategorycznie oznajmił:

- Ciebie, czarnulku, uwierz mi na słowo, jeszcze dzisiaj powieszą. Za sprytną masz gębę. Tutaj takich nie lubią... Za to twoja czarnobrewa przyjaciółka nie ma się o co martwić. Bab Stepowe Psy to mają tyle, co kot napłakał. A jeszcze jeśli jest młodziutka i świeżutka... Nawet nie pamiętam, kiedy się tu trafiło coś podobnego...

- Starzec znów zmierzył dziewczynkę wzrokiem, niczym kawał mięsa na straganie. - Idę o zakład, że Sungat zachowa taki skarb dla siebie. Módl się, mała, żeby nasz herszt o tobie nie zapomniał!

Aurora skrzywiła się i demonstracyjnie odwróciła głowę, natomiast Indianin, korzystając z okazji, próbował dowiedzieć się od rozmówcy czegoś przydatnego:

- Gdzie my jesteśmy?

- Wiadoma rzecz! W Białoriecku! Samiuśkie centrum miasta. Żeby być ścisłym, kino Metalurg na placu o tej samej nazwie. Słyszeliście o nim? - Inwalida ciężko westchnął. - Chociaż skąd mielibyście słyszeć? Widać, żeście przyjezdni.

Wszystkich miejscowych już dawno wyłapali...

- Ale po co? - zapytała dziewczynka, przewyciężając niechęć do nieznanego. - Stepowe Psy są handlarzami niewolników? Nawiasem mówiąc, dlaczego „stepowe”, jeśli wszędzie wokół same lasy?

Więzień znów próbował się roześmiać, ale tylko zatrząsł się i zacharczał, oczyszczając gardło z flegmy.

- Widzę, że strasznie jesteś bystra - powiedział w końcu, kiedy udało mu się złapać oddech. - Zaraz wszystko ci opowiem. Nie mam nic przeciw temu, żeby potrząść językiem. Jedyna rozrywka dla takiej ruiny człowieka jak ja...

Starzec umilkł, zbierając myśli. Kiedy Indianin chciał już ponaglić chorego, ten zaczął niespieszną opowieść:

- Zdaje się, że tylko ja zostałem z tych, którzy pamiętali, jakie to miasto było kiedyś.

Ostatni Mohikanin...

- Ostatni kto? - dopytał ogryzek, na co więzień tylko machnął w nieokreślony sposób ręką, jakby mówiąc: „co ja ci będę wyjaśniał, nieuku” i ciągnął dalej:

- Przed wojną pracowałem jako technolog. W kombinacie metalurgicznym, po drugiej stronie jeziora... Ach tak, przecież wy nigdy nie widzieliście naszego jeziora... Cudownej piękności miejsce, zaraz wam opowiem! - Staruszek zmrużył rozmarzone oczy, oddając się wspomnieniom. - Wielki sztuczny zbiornik wodny!

A z jednego brzegu na drugi przeciągnęli drewniany most. Chyba z pięćset metrów długości, jeśli nie więcej! A wiecie, jak ludzie go nazywali? „Droga robociarza”!

Dlatego że tym mostem codziennie zasuwali ludzie z miasta prosto do zakładu.

Można powiedzieć, że zawdzięczam temu naszemu mostowi życie... Kiedy na Białowieżę i okolice spadły bomby, wskoczyliśmy z chłopakami do wody. I to nas uratowało... Nie wiem, co to za cholerstwo było w tych bombach... Walili napalmem, czy jak im tam... bombami termobarycznymi... Nie znam się na tym.

Zresztą kto się w tym teraz połapie? Wiadomo tylko, że miasto spaliło się jak suche siano. A pożary szalały w całym okręgu chyba jeszcze przez miesiąc. Tyle lasu spłonęło - Matko Boska!... - Więzień wywrócił oczy w kierunku sufitu, potem znów mętym wzrokiem odszukał słuchaczy. - A wy pytacie, skąd te stopy...

Indianin i Aurora spojrzeli po sobie ukradkiem. Trudno było uwierzyć w słowa nieznanego. Bo jeśli spotykało się w Piterze ocalałych z Katastrofy, wszyscy jak jeden mąż powtarzali, że uratowali się wyłącznie dzięki metru lub innym podziemnym schronom... Choć z drugiej strony budynki w mieście, które widzieli, nie nosiły śladów fali uderzeniowej powstałej w wyniku zmiany ciśnienia powietrza, która zawsze towarzyszy wybuchowi bomby jądrowej. Sądząc po tym, że bandyci nie nosili masek i aparatów oddechowych, również poziom promieniowania był w Białowieży całkiem znośny... Może stary nie jest daleki od prawdy w kwestii napalmu?

Rozmyślenia przerwał ten sam ochrypły głos:

- Co do Psów, to wiele wam nie opowiem. W końcu to też przybłędy. Pojawili się parę lat temu. Zastrzelili wszystkich, którzy im się sprzeciwili. Pozostałych spędzili na plac, postawili wokół ogrodzenie i wieżyczki. Okopali się, można powiedzieć... I grasują po okolicy. Obcych ciągnie w nasze strony jak pszczoły do miodu, biedacy sami pchają się w sidła. Oni wszyscy - opowiadający skinął głową w stronę mroku za kratą - przyszli tu, głupcy, w poszukiwaniu lepszego życia...

- Lepszego życia? A co takiego jest w waszych stronach? - nie wytrzymała Aurora.

Oczy dziewczynki zapłonęły w przeczuciu jakiejś tajemnicy. Starzec chytrze się uśmiechnął i ciągnął dalej konspiracyjnym tonem:

- Słyszeliście o Jamantau? Po baszkirsku „Zła Góra”. Naprawdę paskudne miejsce: nic tylko mech i rumowiska, a dookoła grząskie bagna... Jedyna rzecz to widok ze szczytu - coś pięknego! W końcu ponad półtora kilometra nad poziomem morza! Tyle że ludzie napływają tu ze wszystkich stron świata nie ze względu na krajobraz. - Opowiadający pochylił się do przodu, dla wzmocnienia efektu przechodząc na teatralny szept. - Istnieje podanie, że pod tą górą wybudowano miasto. Gigantyczny kompleks rządowy, który powstał jeszcze w czasach „zimnej wojny”. Pamiętam, że w latach dziewięćdziesiątych było o tym dużo szumu... Nawet amerykańskie mass media się podłączyły... Że niby Rosja szykuje się do wojny, buduje tajny schron pod ziemią... Tyle że to wszystko bzdury, możecie mi wierzyć.

Nic tam nie ma i nie było oprócz kilku kopalni. A i te porzucono na długo przed wojną, kiedy wyczerpały się złoża.

- A jeśli jednak...

- Schron? - podchwycił więzień. - Nie rozśmieszajcie mnie! Kto by pozwolił trąbić w prasie na cały świat o tajemnicach państwowych? Oczywiście, że nie!

Budowy takiego czegoś nie da się ukryć, choćby nie wiem, jak się starać... Ja sądzę, że wydobywali tam rudę uranu. I to dlatego uważano to miejsce za obiekt specjalnego znaczenia... Tyle że ludziom tego nie wytłumaczysz. W końcu człowiek, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi, i tak liczy na cud. Dlatego że innej nadziei brak...

Opowiadający wypuścił powietrze i umilkł. Głowa bezsilnie opadła mu na piersi. Rozmowa wyraźnie pochłonęła zbyt wiele sił tego słabego, okaleczonego ciała.

Na niespiesznej rozmowie niezauważalnie minęła większość wieczoru. Kiedy ze skrzypnięciem otwarły się drzwi wejściowe, w otworze na moment pokazał się kawałek ciemniejącego, granatowocznego nieba. Na progu, strząsając z kurtki lepki śnieg, stał Sungat.

Jeńcy po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć przywódcę Stepowych Psów bez charakterystycznej maski przeciwgazowej - zdjęta jako zbyt ciężka, wystawała teraz z torby przytroczonej do pasa. Łysa głowa, pociągła twarz o wydatnych kościach policzkowych, rzadka bródka - nic, co odróżniałoby jeźdźca od innych. Na pierwszy rzut oka nie robił wrażenia stanowczego, pozbawionego zasad człowieka i zakochanego we władzy przywódcy sfory. Jednak drapieżny wzrok przebłyskujący spod czarnych jak sadza, krzaczastych brwi, błyskawicznie rozwiał powstałe wątpliwości. Było w tym spojrzeniu coś przerażającego, bestialskiego, a zarazem hipnotycznego, wpędzającego w stupor. Tak patrzył boa dusiciel,

zanim owinie i unieruchomi przyszłą ofiarę.

Sungat mierzył wzrokiem uwięzionych wędrowców. W jego oczach wyraźnie dało się wyczytać niepojętą, przerażającą pewność i... nudę. Bandyta z góry wiedział wszystko, co wydarzy się za chwilę, i ta wiedza nie sprawiała mu spodziewanej radości.

Czas, który na chwilę się zatrzymał, ruszył z martwego punktu razem ze stojącą w progu postacią. Sungat przebył odległość od wejścia do klatki w kilku sprężystych krokach, otworzył drzwi i chwyciwszy Aurorę za nadgarstek, brutalnie przyciągnął ją do siebie. W błyszczących oczach zbira pojawiło się pożądanie.

- Stój!

Indianin zatrzymał dziewczynkę w miejscu, próbując zastąpić bandycie drogę.

Ruch ręki, szcęk odciąganego zamka... Lodowata lufa giurzy1 dotknęła czoła ogryzka.

- Z drogi, wymoczku! Już raz darowałem ci życie. Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości!

Zamknawszy na sekundę oczy, Indianin przełknął ślinę, starając się przeczekać ogarniającą go słabość. Nieuchronna, miazdząca wszystko na swojej drodze fala strachu przetoczyła się przez jego głowę i tylko dziecięca dłoń, która kurczowo ścisnęła jego rękę, nie pozwalała mu zsunąć się w otchłań lepkiego, dusznego omdlenia.

- Daruj jej. Na wszystkie świętości. Przecież to jeszcze dziecko!

Głos ogryzka drżał i załamywał się, język ledwie poruszał się w ustach, słowa z trudem przechodziły przez drżące, wykrzywione grymasem przerażenia usta.

- Rrraz... - zaczął odliczać bandyta. - Pamiętaj, zakładniku, na „trzy” twoja czaszka pęknie jak przejrzały orzech, a twoja koleżanka do tego wszystkiego będzie musiała zeskrobywać twój mózg ze ściany!

- Zrobię wszystko, co zechcesz! Tylko nie ruszaj dziewczynki! Nie gub swojej duszy!

- Dwaaa... - Sungat wyciągnął przed siebie wolną rękę, żeby nie zabryzgać kurtki krwią.

- Opowiem ci o ekspedycji wszystko, co wiem! - wypalił desperacko ogryzek.

- Nie potrzebuję cię słuchać. Porozmawiam sobie bardzo szczegółowo z tą małą na interesujące mnie tematy. - Sungat znów zerknął pożądliwie na Aurorę.

- Ona wielu rzeczy nie wie! Zabraliśmy ją po drodze! - próbował kłamać Indianin.

- W takim razie po kiego diabła tak się troszczysz o obcą dziewczynę? A może życie ci się przejadło? Co, nie strach ci umierać, wymoczku?

Aurora mocniej ścisnęła dłoń swojego obrońcy. Gdyby bandyta wiedział, jak celnie

trafił, mówiąc o śmierci...

Z kąta dał się słyszeć stłumiony chichot. Oszalały od długotrwałego zamknięcia starzec uśmiechał się bezzębnymi ustami, kiwając powoli głową.

Prognozy inwalidy sprawdziły się z przerażającą dokładnością.

- Z czego się śmiejesz, kaleko? Nie ze mnie przypadkiem?

Ręka z pistoletem odjechała w bok, huknął strzał. Ciało starca drgnęło i osunęło się wraz z ostatnim oddechem, ostatnim chrypieniem wydanym przez rozerwane gardło. Wykrzywiając twarz w ataku wściekłości, Sungat uderzył Indianina na odlew rękojęścią w twarz. Jeniec padł na ziemię, ale zamiast skulić się w oczekiwaniu na następny cios, nagle podpełzł bliżej, czepiając się butów swojego oprawcy.

- Przecież tak czy inaczej mnie wykończysz! - charczał Indianin, zalewając się tryskającą z rozbitego nosa krwią. - Obiecuj, że nie ruszysz Aurory! Obiecuj! To moje ostatnie życzenie, masz obowiązek je spełnić!

Bandyta brutalnie odepchnął ogryzka nogą, patrząc z niezadowoleniem na zachłapaną czerwoną cieczą buciory. Obserwował, jak dziewczynka, oblewając się łzami, rzuciła się na ziemię obok jeńca, jak objęła jego głowę, natychmiast brudząc się krwią. Żądza, która ogarnęła zwyrodnialca chwilę wcześniej, powoli się ulotniła, ustępując miejsca obrzydzeniu.

- Cóż, ostatnia wola jest prawem. Powiedzmy, że mnie przekonałeś, wymoczku. A to się do tej pory mało komu udawało. I wiesz co? - Twarz bandyty nagle się ożywiła. - Podoba mi się twój upór. Chyba oszczędzę smarkulę.

Indianin podniósł głowę i napotkał triumfalne spojrzenie Sungata. Spojrzenie bestii...

- Ale tylko pod jednym warunkiem... - Pistolet zniknął w kaburze, a jego właściciel niespiesznie ruszył w stronę wyjścia.

Po opuszczeniu celi Sungat odwrócił się, posyłając obojgu zimny, pogardliwy uśmieшек.

- Będą cię chłostać, wymoczku. Długo i dokładnie. Chłostać, aż księżyc wzejdzie ponad dachami. Poprosisz o litość - oddam dziewczynę moim chłopakom.

Będzie zasłużoną rekompensatą za dzisiejszy rajd... Urwie ci się film - ta sama historia. Ale jeśli ustoisz na nogach - ta mała zdzira będzie wolna i swobodna. I tak zdechnie, zanim twoi bezczelni kumple ją znajdą.

Ogłosivszy wyrok, zbir wyszedł z wyziębionej, mrocznej celi. W ciszy, która zapanowała, wyraźnie słychać było tylko stłumiony płacz Aurory.

* * *

Pośrodku placu, widoczna z daleka, wznosiła się potężnych rozmiarów drewniana konstrukcja. Pokryty szronem i szkarłatnymi plamami słup, popękane schodki... Trybuna dla zebrani? Szafot? W dokładnej obserwacji dziwnego obiektu przeszkadzały plecy zasłaniającego jej widok konwojenta, który prowadził Aurorę między rozstawionymi naprędce ławkami dla „vipów”, trzymając ją za ręce związane w nadgarstkach.

- Siadaj i rozkoszuj się przedstawieniem! - warknął osiłek, brutalnie popychając więźniarkę na ławkę. - Masz bilet na miejsce w pierwszym rzędzie, więc nic cię nie ominie!

Gruby jeździec zarechotał i usiadł obok, deski siedziska żałośnie skrzypnęły, uginając się pod jego ciężarem. Na platformę wskoczył rosły brodac z znajomej, nabijanej ćwiekami kurtce. Na widok herszta jeźdźcy, którzy zapełnili plac, zaryczeli na powitanie, potrząsając karabinami i pistoletami maszynowymi. Kiedy zaś w ślad za Sungatem na platformę wdrapał się obrosły tłuszczem drab z pejczem w dłoni, gwizdy i wrzaski nasiliły się: widzowie nie mogli się doczekać spektaklu.

W innych okolicznościach ryk agresywnie nastawionej tłuszczy przeraziłby Aurorę do szpiku kości, ale teraz całą jej uwagę przykuwała sylwetka smagłego jeńca, który potykając się, wspinał się na zbitą z desek platformę. Ich spojrzenia spotkały się na moment... Czy to odbłask pochodni odbił się w skośnych wilgotnych oczach, czy to Indianin rzeczywiście mrugnął dziewczynce na pożegnanie...

Brutalny kopniak zwalił ogryzka na pomost. Gruby oprawca z lśniącym tłustym brzuchem natychmiast zaciągnął ofiarę na środek zaimprovizowanej sceny, nawinąwszy włosy Indianina na dłoń. Groźnie błysnęło ostrze tasaka, przecinając zapaskudzony więzienny drelich.

Chwilę później obnażony do pasa jeniec stał już pod słupem, trzęsąc się czy to z zimna, czy to przez ostry atak tanatofobii.

- Dzieci! Moje wierne psy! - Przy pierwszych słowach Sungata gwar licznych głosów ucichł, bandyci, jak jeden mąż, utkwili wzrok w swoim przywódcy. - Dzisiaj mieliśmy bardzo trudny dzień. Ale wasz pokorny sługa zawsze ma w rękawie coś, co potrafi ubarwić naszą szarą codzienność! I nie mówię wcale o piciu! Obiecałem wam rozrywkę? Będzie rozrywka!

Znów wybuchły triumfalne wrzaski i błąkające się po okolicy mutanty, słysząc je, chowały się z przerażeniem po norach, by tylko nie napatoczyć się wściekłej, nieprzewidywalnej sforze dwunogów.

- Ten kundel - zbir podniósł rękę, wskazując na jeńca - jest winien zdradzieckiego wtargnięcia na terytorium Stepowych Psów, braku szacunku dla naszych praw, strzelania do naszych braci! Lecz Pan jest sprawiedliwy i jeden dla wszystkich! Każdemu odpłaca według zasług, nieważne, czy to świętoszek, czy bluźnierca!

Dalsze słowa utonęły w kakofonii rozentuzjasmowanych okrzyków, szczucia i nakłaniania do jak najszybszej rozprawy z więźniem. Sungat nie próbował nawet przekrzykiwać rozochoconych ponad miarę wojowników i po prostu dał sygnał do rozpoczęcia egzekucji.

Wśród wycia podniósł się, rozprostowując w locie, obsypany supełkami bicz.

Straszna broń smagnęła Indianina po plecach, rzucając go na słup. Jego ciało skręciły spazmy palącego, rozdzierającego na strzępy bólu, przeciągły jęk mimowolnie wyrwał się przez mocno zaciśnięte zęby.

„Boże... Nie zniosę tego... Nie wiedziałem... nie sądziłem, że aż tak...”

Kolejne uderzenie wycisnęło mu łzy z oczu. Jeniec przycisnął się do zimnego drewna i zamknął oczy, każdą komórką czując, jak po plecach rozlewa mu się płynny ogień, wywracając mu ciało na lewą stronę.

Poprzez ryk tłumu przebił się okrzyk Aurory. Ogryzek omiótł niespokojnym spojrzeniem po zapalczywie wykrzywionych twarzach, aż zobaczył ją...

Dziewczynka szlochała i wrywała się w stronę szafotu, ale ogromny w porównaniu z dziecięcą figurką nadzorca bez trudu ją powstrzymywał. Jeszcze chwila i bliska osoba zniknęła Indianinowi z oczu - Sungat zasłonił mu widok, przechadzając się ze znudzoną miną wzdłuż krawędzi platformy.

Poczerwieniały od krwi bat znów chlasnął, przecinając skórę. Potem znowu...

I jeszcze raz... Teraz Indianin uparcie milczał, przysięgając sobie, że nie da już bandycie satysfakcji ze swoich męczarni. Jego plecy pod gradem bezlitosnych, następujących co i rusz ciosów zamieniły się w jeden obnażony nerw, a spazmy bólu wyginały mu ciało w pałąk...

W którymś momencie skazaniec poczuł, że jest na kolanach, o krok od ocalenia - zbawiennej utraty przytomności. Z purpurowej mgły, którą miał przed oczami, na moment wyjrzała zapłakana dziecięca twarzyczka... Wygięte od szlochu usta, szeroko otwarte, czarne jak węgiel oczy, w których szalał paraliżujący, pierwotny strach...

Stracić bliskiego człowieka... Czy to nie straszniejsze niż własna śmierć?

Wraz ze zrozumieniem tej prostej prawdy przyszła wreszcie upragniona ulga. Ból nie zniknął. Po prostu przestał być tak dojmujący, bo stracił jedyne go sojusznika - pożerający

duszę strach. Strach przed rychłą śmiercią. Indianin zdał sobie nagle sprawę, że już się nie boi.

Wydał z siebie głuchy ryk, potem wstał na jedną nogę, podciągnął się osłabłymi rękami, przeniósł ciężar ciała na drugą i powoli się wyprostował, czując, jak po plecach, wżerając się w kręgosłup, ciekną mu strumienie rozpalonego ołowiu.

Śliski, przesycony krwią drewniany słup, jedyna dostępna mu podpora, nie wydawał się już tak przejmująco zimny. Najpierw niepostrzeżenie, potem coraz bardziej wyczuwalnie słup zachwiał się pod ciężarem ciała raz, potem drugi... i nagle zawirował nad placem razem z szafotem, domami, oszalałymi na widok krwi Psami, wznosząc się coraz wyżej ku niebu... Tam, gdzie pomiędzy nisko wiszącymi chmurami pokazała się nagle nierealna, przerażająco wielka tarcza księżyca...

Ręka oprawcy z zaciśniętym w niej narzędziem tortur zawisła w powietrzu, kiedy trupioblade światło, wylewając się na plac rzadkim deszczem, jakby kroplami roztopionego wosku, padło na zastygłą pośrodku platformy postać.

- O co chodzi?! - ryknął z niezadowoleniem Sungat.

- Była umowa, szefie - odparł ze skrucą grubas, wskazując rękojeścią bicia przebłyskujące zza chmur ciało niebieskie. - Chłopak ustał.

Ryk tłumu zgasł jak cofająca się fala. Uwagę przycichłych widzów znów przykuł herszt. Szczegóły zawartej z jeńcem umowy zdążyły już roznieść się z ust do ust i teraz wszyscy obecni z ciekawością czekali na decyzję Sungata.

- Popatrzcie tylko na to! Co za akt poświęcenia! Jak Boga kocham, zaraz się rozplącę! - Bandyta grał pod publiczność, zdając sobie sprawę, że dał się zapędzić w koki róg.

- Bardzo mi się podoba twój ośli upór, wymoczku. I spełnię twoje łzawe prośby. W końcu jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa!

Przy wtórze aprobującego pomruku tłumu brodac zszedł z platformy i zbliżył się do Aurory.

- Jesteś wolna. Spływaj stąd. Twój koleżka o wszystko się zatroszczył.

- A co... Co z nim? Nigdzie bez niego nie idę! - wychlipała z przejęciem dziewczynka, dławiąc się łzami.

- Obiecałem, że cię wypuszczę. A co do wymoczka mam inne plany. - Sungat machnął ręką królewskim gestem. - Przynieście drwa! Usmażymy tego kundla!

Nogi dziewczynki ugięły się, krzyk rozpaczony rozbrzmiał między oświetlonymi pochodniami murami. Przez przesłaniającą jej oczy zasłonę Aurora widziała miotające się u podnóża szafotu cienie. Ludzie to byli, czy niemogące zaznać spokoju dusze zamęczonych

więźniów, które zjawiły się, by odprowadzić swojego brata do królestwa wiecznych cieni?...

Wszystkie próby przedarcia się do stojącego pośrodku placu słupa okazały się daremne. Nadzorca głośno rechotał, powstrzymując wściekłe ataki dziecka. Aurora wierzgała, drapała, w bezsilnej złości młóciła piąstkami... aż nagle usłyszała mrozący krew w żyłach, pełen bólu krzyk.

Od strony szafotu bił gęsty dym. Sungat stał nieopodal, bawiąc się trzymaną w dłoni pochodnią. Nad niedbale rzuconym stosem chrustu tańczyły już języki płomieni, oblizując nogi przykutego do słupa człowieka. Jeszcze chwila i ogień wzbił się w górę, ogarniając całą postać męczennika...

Aurora nie słyszała, jak nad dachami rozległo się gromkie echo pojedynczego wystrzału... Nie widziała, jak miłosierna kula trafiła prosto w głowę chłopaka, wybawiając Indianina od męczarni. Nie chcąc pogodzić się z rzeczywistością, umysł dziewczynki po prostu wyłączył się i leciutkie ciało padło na śnieg jak kukielka.

* * *

Gdy tylko odsunął oko od lunety SWD, ręce znów zaczęły mu zdradziecko drżeć. Taran w przyptywie bezsilnej złości walnął pięścią w blaszany dach, nabrał w rękę śniegu i roztarł go sobie na twarzy...

Nie zdążyli... Nie zdążyli, pomimo szaleńczego rajdu przez zaśnieżone równiny śladem kolumny samochodów, pomimo pieszego marszobiegu przez wyludnione dzielnice Białoriecka i gorączkowe poszukiwania bezpiecznego podejścia do siedziby bandytów... Stalker zrobił jedyną rzecz, która była jeszcze w jego mocy, kiedy w krzyżyku celownika udało mu się rozpoznać płonącą jak świeca ludzką postać i zniekształcone przez cierpienie, wciąż jednak znajome rysy twarzy...

Indianin odszedł. Pogodzić się z tym było znacznie trudniej niż nacisnąć na spust i celnym wystrzałem odebrać mu życie. Życie człowieka, który w czasie podróży stał się kimś więcej niż po prostu członkiem załogi. Może przyjacielem?...

Myśl, że podobny los może czekać Aurorę, przyprawiała go o dreszcze. Ale gdzie ona jest? Taran spróbował wychylić się nad daszek i przyjrzeć się dokładniej, ale zmuszony był zanurkować z powrotem, kiedy z głębi kwartału budynków, zlewając się w jeden nieustanny huk, dobiegł go terkot serii z automatów. Potężny wybuch zmiotł bramę wjazdową i na plac,

siejąc panikę wśród bandytów, wpadły trzy transportery opancerzone. Huraganowy ogień ze stanowisk cekaemów rozrzucił mieszkańców obozu po okopach i kryjówkach, a grupa szturmowców w białych strojach maskujących, która wtargnęła na plac w ślad za ciężkim sprzętem, dokonała dzieła chaosu, sprawnie odcinając co bardziej żwawe Psy od parkingu z terenówkami. Bardzo przydałby się teraz bandytom ich T-90, lecz z nieznanego powodu groźnej maszyny nie było na terenie obozu.

- Zdaje się, że nie tylko nam jeźdźcy zależli za skórę! To chyba najwyższa pora na wypad. Jak sądzisz, Dym?... Dym?

Taran obejrzał się, ale towarzysza przy nim nie było. Zdaje się, że Giennadij dostrzegł na placu coś, co umknęło uwadze stalkera. Znajome zielone plecy mignęły mu na dole, naprzeciw ustawionych w piramidę beczek z olejem napędowym. Ale kiedy on zdążył zejść?

Tymczasem wewnątrz ogrodzenia rozpętało się istne piekło. Terkotwały cekaemy, dowódcy jeźdźców wrzeszczeli na swoich podwładnych, starając się zorganizować obronę. Mutant pędzący samotnie przez zadymiony plac zdawał się nikogo nie obchodzić. Ukryci przedstawiciele obu walczących stron z zapalem i jak na razie bez większych sukcesów ostrzeliwali swoje pozycje, podczas gdy wozy pancerne wytrwale posuwały się przez plac. Cel nieoczekiwanego manewru wyjaśnił się, kiedy pojazd jadący w awangardzie podjechał pod sam budynek kina, staranował kruche drzwi i zatrzymał się przy wejściu.

„Uwalniają jeńców - podsumował w myślach Taran. - To jest nam na rękę...”

- Dawaj, Giena, dawaj... Powolutku... - powtarzał stalker przyklejony do celownika.

Jego ręka lekko się poruszyła, palec docisnął język spustowy, karabin uderzył go w ramię, wysyłając śmiercionośny ładunek. Jeźdźca, który nagle wyskoczył przed Dyma z automatem, rzuciło na ziemię. Na zdeptanym śniegu pojawiła się paskudna, ciemnoczerwona plama.

Zielonoskóry gigant schylił się i pomknął zygzakiem wzdłuż buchających gęstym dymem resztek szafotu, zatrzymał się przy niepozornej kupce szmatek, schylił się, podnosząc coś do góry...

„Aurora?! Czyżby ją znalazł?!”

Przycisnąwszy drogocenny ciężar do piersi, mutant rzucił się do ucieczki z otwartej przestrzeni.

- Doskonale, sukinkocie! Tylko się nie zatrzymuj!

Karabin huknął jeszcze kilka razy, zsyłając wieczny odpoczynek na bandytów, którzy znaleźli się w sektorze obstrzału. Oczyszczywszy partnerowi drogę, stalker chciał już schodzić na dół, gdy nagle w celowniku mignęła mu znajoma czarna kurtka z metalowymi

naramiennikami... W doskonałym momencie...

Czy to zawinił poryw wiatru, czy pragnienie, by jak najszybciej policzyć się z zabójcą, ale kula uderzyła w ziemię u samych stóp bandyty, wzbijając fontannę lodowych okrucich. Jednak Sungat nawet się nie poruszył. Przywódca Stepowych Psów stał wyprostowany, nie próbując się ukryć przed ogniem, i zdawało się, że patrzył wprost na swojego wroga.

Z sąsiedniego dachu, znalazłszy w końcu snajpera, zadudnił cekaem. Stalker zerknął na odciągnięty zamek i zaklął. Magazynek był pusty, a na przeładowanie nie było już czasu. Taran zarzucił broń na plecy i wskoczył w okno na poddaszu.

Kiedy już wybiegał z klatki schodowej, przeciął mu drogę ogromny szary cień.

Spóźniony, sięgnął do kabury, ale nie trzeba było strzelać. Dysząc z wysiłkiem, Giennadij wpadł do środka, pod osłonę ścian.

- Co z nią? - przyskoczył do niego stalker, starając się wyczuć puls Aurory.

- Żyje! Zwykle omdlenie. Nacierpiała się, biedna...

- Więc nie traćmy czasu! Chodu!

Dosyć szybko udało im się zniknąć w gąszczu niezamieszkałych ulic. Panujące dookoła ciemności ochoczo skryły dwie samotne postacie przed ciekawymi spojrzeniami. Pozostała drobnostka - dotrzeć do pozostawionego pod miastem transportera.

Chociaż tu akurat nie obeszło się bez niespodzianek. Już zbliżając się do budynku dawnej szkoły, na podwórku której udało im się tak dobrze schować Maleństwo, zauważyli jasne światło reflektorów. Czyżby Migałycz złamał rozkaz?

Wątpliwości okazały się niepotrzebne. Obok samobieżnej wyrzutni stał transporter opancerzony, podobny jak dwie krople wody do tych, które prowadziły właśnie walkę w obozie koncentracyjnym Stepowych Psów.

- Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, dobrze mówię, Giena?

- Się zobaczy - odparł mutant w zadumie. - Dobrze by też było wyjaśnić, skąd u tych gości tyle sprzętu wojskowego?

- Jeśli o to chodzi, to mam pewną myśl... - Z każdym krokiem zbliżającym ich do pojazdu nieznanym w głosie stalkera było więcej pewności. - I jeśli to ci, o których myślę, to tak czy inaczej w końcu nam się poszczęściło.

1 Pistolet Sierdiukowa SR-1 (przyp. aut.).

Rozdział 11

JAMANTAU

Kolumna złożona z czterech transporterów opancerzonych i samobieżnej wyrzutni MZKT-79221, klucząc między wiekowymi sosnami, wytrwale przebijała się przez zaspy w stronę podnóża majestatycznej góry, której płaski wierzchołek co i rusz ukazywał się między rozłożystymi, okrytymi śnieżnymi czapami gałęziami.

W mesie było niezwykle cicho, jeśli nie liczyć monotonnego huku silnika. Milczenie panowało po strasznej wiadomości, która spadła na załogę wraz z powrotem stalkerów. To, co usłyszeli, po prostu nie mieściło im się w głowie. Aurora, która odzyskała przytomność, wciąż jeszcze była w stanie szoku i nie można było uzyskać od dziewczynki żadnych jasnych odpowiedzi. Koniec końców Bezbożnik dał biedaczce środek uspokajający i położył ją spać.

Nawet spotkanie nieoczekiwanych sojuszników nie zdołało poprawić nastrojów wśród przybitej załogi. A było z czego się cieszyć. Gleb nieraz wypytywał ojca o intrygujący znak zapytania zaznaczony na mapie przy górach Ural jeszcze przed wyprawą. Za każdym razem stalker uparcie milczał, nie chcąc karmić chłopaka złudnymi nadziejami i pogłoskami o mitycznym wojskowym mieście-schronie, skrytym głęboko we wnętrzu góry. Teraz jednak nie wypadało już wątpić w słuszność przypuszczeń Tarana, który niegdyś był przecież oficerem zawodowym. Mieszkaniec tego właśnie schronu siedział teraz przy stole naprzeciwko Tarana i spokojnie popijał uprzejmie zaproponowaną przez gospodarzy grzybową herbatę.

- Dobra rzecz! - skomentował gość, ocierając pianę z wypielegnowanych, starannie przyczesanych wąsów.

Wiele cech wyglądu i ubrania Szustowa, bo właśnie tak, lakonicznie i rzeczowo, przedstawił się wysłannik, zdradzało w nim byłego wojskowego. Gładko ogolony podbródek, świeżo podszyty kołnierzyk na kurtce w panterkę, fryzura ostrzyżona na jeża... Na zaczerwienionej od gorącej herbaty twarzy błąkał się błogi uśmiech.

- Z zapachu to jakby zupa z proszku, a w smaku - sam nie wiem... Ale orzeźwia! - Gość odstawił pusty kubek, podziękował skinieniem głowy i nie wiadomo po co puścił oczko do Gleba, który obserwował go ze swojego kąta.

- A więc na czym skończyłem? Ach tak! Stepowe Psy... W sumie to już od dawna nas

to sąsiedztwo męczy. Jak bielmo na oku. Ale najważniejsze, że ta zaraza jest nie do wytopienia! W Białoriecku mają tylko obóz koncentracyjny. Punkt przeładunkowy. Ale dokąd zawożą złapanych ludzi - tego nikt nie wie... Parę razy przechwyciliśmy ich karawanę. Odbijali jeńców. Palili pojazdy. Teraz też udało się nam wjechać do miasta, gdy większości bandytów nie było na miejscu... Tyle że to wszystko bez sensu. Póki nie znajdziemy ich gniazda, dalej będą rozrabiać po okolicy.

- Czyżby kompleks nie miał dość sił, żeby rozprawić się z szajką zbirów? - zdziwił się Dym.

- Działającego sprzętu nam jeszcze starcza - westchnął Szustow. - Ale ludzi jest mało. Każdy zdrowy i rozumny jest na wagę złota. A z kalek czy mutantów żołnierzy się nie zrobi...

Widząc, że Giennadij znieruchomiał, gość uśmiechnął się nerwowo i szybko się poprawił:

- Mam na myśli to, że nie każdy z deformacjami utrzyma karabin! Nie mówiąc już o strzelaniu... - Żołnierz machnął ręką ze złością. - A wśród tych, którzy do nas przychodzą, ostatnio trafia się coraz więcej ułomnych...

- A co z pierwotnymi mieszkańcami schronu? Ilu was tam jest? - zapytał bez ogródek Taran.

- Niewielu, mój drogi, niewielu... - uchylił się od odpowiedzi wąsacz. - Obiekt jest niby rządowy, tyle że nie doczekał swoich gospodarzy. Garnizon do obrony, batalion budowlańców i garstka specjalistów - oto i cały „oddział Huragan”...

- A satelity? Łączność z innymi ocalałymi obiektami?

- Jakie satelity?! Co pan opowiada?! Wszystkie szlag trafił. Cisza w eterze.

Grobowa. - Szustow popatrzył z ukosa na szefa ekspedycji. - Chociaż... Odzywa się czasem jeden dziwak... Ale o tym lepiej pogadajcie z Pułkownikiem, kiedy wrócimy do bazy. Staruszek na pewno ucieszy się z gości z samego Petersburga!

W oczach Tarana zabłysła ciekawość, jednak nie udało się już pociągnąć tematu. Huśtawka nagle się skończyła, sznur pojazdów skręcił na równą, troskliwie oczyszczoną drogę.

- Podjeżdżamy - ożywił się gość i zaczął zbierać się do wyjścia. - Zameldowano już o waszym przybyciu przez radio, ale... nasi strażnicy nie lubią żarcików, więc od razu uprzedzam - lepiej nie dotykajcie teraz swoich cekaemów.

Mogą to źle zrozumieć.

Stalker w odpowiedzi skinął głową i przeszedł do kabiny nawigacyjnej.

Wąsacz podążył zaraz za nim, a Gleb dołączył do Migalycza, wpijając się z

niecierpliwością w oparciu fotela kierowcy.

Ruiny, które wyglądały zza gęstych zarośli, przypominały nieco budynki fabryczne. Faktycznie, Szustow mówił o jakimś kombinacie wydobywczo-przetwórczym w Mieźgorie...

Gleb miał skrytą nadzieję, że zobaczy coś w rodzaju monstrualnych hal Awtodizła, ale smętnie sterczące z ziemi fundamenty, gdzieniegdzie udekorowane cudem ocalałymi fragmentami omszałych ścian, zmurszałe silosy i przerdzewiałe na wylot chłodnie nasuwały mu myśl, że produkcję porzucono na długo przed Katastrofą. Chociaż może i tutaj nie obeszło się bez ataku lotniczego? Wzrok chłopca ślizgał się z roztargnieniem po hałdach ceglanego gruzu i gąszczu zardzewiałych prętów zbrojeniowych, aż transporter, podążając za ostatnim wozem pancernym, skręcił w lewo, w stronę podnóża góry. Gleb pochylił się ku przedniej szybie i starał się dojrzeć wierzchołek śnieżnobiałego olbrzyma, który nieodwracalnie rósł z każdym przejechanym metrem, ale szczyt Jamantau całkowicie skrywała przed spojrzzeniami ciekawskich nieprzenikniona mgła.

Na lśniącej białej zboczach wyróżniała się czarna plama portalu wjazdowego z masywnym betonowym dachem. Rude od rdzy szyny kolejki wąskotorowej, ledwie widoczne pod warstwą ubitego śniegu, prowadziły wprost do wnętrza góry, ginąc w mroku wrytego przez dawnych budowniczych tunelu. Tą drogą najprawdopodobniej wywoziły rudę niekończące się pociągi. A w drugą stronę szły materiały budowlane, wyposażenie, zapasy żywności... Wszystko, co konieczne, by urządzić największy schron przeciwoatomowy...

Jak wygląda w środku? Podobnie do metra? Czy raczej do siedziby Exodusu?

Gleb niecierpliwie wyciągał szyję, oglądając posterunek przy samym wjeździe, wąskie otwory strzelnicze, gniazda karabinów maszynowych, skrytych za osłonami żołnierzy we wzmocnionych, ewidentnie ręcznie wykonanych kuloodpornych kombinezonach.

Kiedy transportery opancerzone wraz z uwolnionymi jeńcami skryły się w czeluści tunelu, przyszła kolej na Maleństwo. Transporter ostrożnie wjechał do betonowej rury i po kilku minutach monotonnego zjeżdżania znalazł się w obszernej sali o dziwnym kształcie. Niskie kamienne sklepienie skąpo oświetlone dwoma reflektorami, pospiesznie ociosane nierówne ściany... Wyglądało na to, że terminal załadunkowo-wyładunkowy powstał w naturalnej jaskini, co było świadectwem pragmatyzmu projektantów kompleksu.

Ciągnący się wzdłuż torów, zastawiony sprzętem peron ze snującymi się wokół robotnikami w brudnych kombinezonach kończył się ogromną hermetyczną zaporą.

W świetle lamp sygnalizacyjnych wyraźnie dało się odczytać wyblakłe od upływu czasu cyfry „0” i „4” naniesione na metal starannym, prostym pismem.

„Czyżby takich schronów było więcej? - zdziwił się Gleb. - Czy to tylko numer szybu

windy?”

Ostatnie przypuszczenie było bliższe prawdy, bo wozy pancerne z jeńcami pojechały dalej, ginąc w jednym z bocznych korytarzy. Tuż przed wrotami Szustow poprosił o zgaszenie silnika i wyjście z transportera.

- Maski przeciwgazowe nie będą wam potrzebne - jesteśmy już w czystej strefie - poinformował. - I żadnej broni. Zostawcie wszystko w pojeździe.

Gwarantuję, że nikt jej nie ruszy.

Chłopiec skrzywił się, kiedy ojciec, zwykle podejrzliwy i nieufny, ochoczo złożył broń i nakazał pozostałym zrobić to samo.

- Ufając innym, licz tylko na siebie - szepnął mu ukradkiem Gleb. - To przecież twoje słowa, pamiętasz?

Słyszając to, Taran tylko machnął ręką. To nie ten przypadek.

Zapewne można go było zrozumieć, uznał chłopiec w duchu. Stalker pokładał wielkie nadzieje w spotkaniu z mieszkańcami podziemnego miasta, licząc na pomoc w poszukiwaniach Alfejosa. A nuż, widelec... Może o tajnych badaniach dalekowschodnich naukowców wiedzą tu teraz więcej niż oni?

Rozglądając się z niepokojem dookoła, wędrowcy ruszyli gromadą w ślad za wąsaczem. Tuż przy zaporze metalowa platforma wyraźnie wibrowała im pod nogami, a zza wrót słychać było coraz głośniejszy niezrozumiały mechaniczny szum.

Aurora, która nie doszła jeszcze do siebie po ostatnich wydarzeniach, jak zwykle poszukała dłoni przyjaciela. U boku Gleba zawsze wracała jej pewność i sytuacja nie wydawała się już tak przerażająca.

W końcu ciężkie skrzydła wrót drgnęły, rozsuwając się na boki. Na środku potężnych rozmiarów platformy dźwigu stała samotna postać. Jasne światło lampy nie pozwalało dojrzeć twarzy nieznanego, ale po tym, jak Szustow nagle się wyprężył, uśmiechając się służalczo, nietrudno było zrozumieć, że na powitanie zacnych gości przybył ktoś z władz kompleksu.

Bez błędnie odgadując w Taranie lidera, człowiek w odprasowanym szarym kombinezonie wyszedł mu na spotkanie i wyciągnął rękę.

- Pułkownik - przedstawił się krótko i bez ceremonii.

- Taran - w tym samym stylu odparł stalker, przyglądając się nieznanemu.

Jeśli wojskową przeszłość Szustowa można było odgadnąć po pewnych pośrednich oznakach, to w dawny zawód gospodarza schronu - starszego, sześćdziesięcioletniego, mocno zbudowanego mężczyzny o wyrażającej siłę woli twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi i idealnie równym przedziałkiem w przyprószonej siwizną włosach - nie można było wątpić.

Schludny wygląd, całkowity brak mimiki, oszczędne gesty, sposób mówienia - wszystko to dosłownie krzychało, że przed wędrowcami stał żołnierz w każdym calu.

Ale tu spotkała gości pierwsza niespodzianka. Zamiast zaszalować swojemu dowódcy, Szustow przyjaźnie skinął na powitanie i odszedł bez słowa, nie prosząc nawet o pozwolenie!

Pułkownik zauważył zbite z tropu spojrzenie stalkera i wyjaśnił:

- Dawno już zrezygnowaliśmy z zabawy w „regulaminowe wojsko”. Teraz, po tym, jak wszystko obróciło się w pył, jesteśmy jedną wielką rodziną i możemy sobie darować służbowe formalności. Wszyscy i tak rozumieją, jak ważna jest wspólna praca i wypełniają swoje funkcje bez jakichkolwiek rozkazów i przymusu.

- Rozumiem - mruknął Taran. - Ale jak udaje się wam utrzymać dyscyplinę?

Czyżby nie trzeba było nikogo przywoływać do porządku?

Przez kamienną twarz gospodarza przemknął ledwie widoczny uśmiech:

- Myślę, że to nie jest najlepsze miejsce na dyskusję. Pozwólcie, że zaprowadzę was do mojego gabinetu. Tam postaram się jak najpełniej odpowiedzieć na wszystkie interesujące was pytania.

Platforma pod ich nogami ruszyła z miejsca, wioząc serdecznego gospodarza i jego gości do serca góry.

* * *

Mieszając łyżeczką bursztynowy płyn w szklance, Gleb lekko wciągał pobudzający, magiczny i z niczym nieporównywalny aromat prawdziwej, wedle słów Bezbożnika, cejlońskiej herbaty. Dla Aurory, jak można było przypuszczać, cudowny napój nie był niczym osobliwym. Widocznie w Edenie miała już okazję go kosztować. Dziewczynka jak gdyby nigdy nic zmiatała zaproponowane im uprzejmie kanapki z wojskowych sucharów, pasztetu i słoniny, popijając cały ten gastronomiczny luksus chciwymi, nieekonomicznymi łykami. Samuel Natanowicz przeciwnie, sęczył swoją porcję po małym łycku, mrużąc oczy z zadowolenia.

Giennadij wziął jeden łyk, skrzywił się i w ogóle zrezygnował z poczęstunku.

Normalna grzybowa herbata wydawała mu się bez porównania smaczniejsza od tego egzotycznego i dziwnie słodkiego świństwa, o którym Dym jeszcze całkiem niedawno

marzył, naprawiając wraz z Glebem wyciągarkę w transporterze.

Taran, całkowicie pochłonięty rozmową z Pułkownikiem, nie brał udziału w degustacji potraw. Ten ostatni odniósł się ze sporą dozą sceptycyzmu do możliwości istnienia Alfejosa i poradził, by „porzucili ten beznadziejny plan”. Zdążył natomiast opowiedzieć mnóstwo ciekawych rzeczy o porządkach, jakie tu panowały, w tym o metodach zarządzania gigantycznym mrowiskiem ze wszystkimi jego mieszkańcami, czym w istocie był podziemny kompleks. Po drodze do gabinetu, mijając liczne korytarze z niekończącymi się szeregami drzwi, pokojów i wypełnionych pracującą maszyną sal, zdążyli zdobyć wyobrażenie o prawdziwie gigantycznych rozmiarach skrytego pod warstwą ziemi kompleksu, który, według słów ich siwowłosego przewodnika, był zaprojektowany, by pomieścić nawet trzysta tysięcy ludzi!

- Tak się historycznie złożyło - opowiadał gospodarz, przechadzając się po gabinecie ze skrzętem w zębach - że w naszym mieście istnieje swego rodzaju podział... na, nazwijmy to, „rdzennych” mieszkańców i tych, którzy dołączyli do naszej wspólnoty później. Pracy starcza dla wszystkich, a nawet jest jej za dużo.

Hydroponika, powietrze, konserwacja infrastruktury... Ktoś musi wykonywać rutynowe zadania! Więc dlaczego by nie ci, których tak życzliwie przygarnęliśmy?

To zupełnie logiczne, że w zaistniałej sytuacji ochroną i kierowaniem kompleksem zajmujemy się właśnie my - grupa wojskowych z doświadczeniem w prowadzeniu działań bojowych...

- Kasta...

- Że co proszę? - zająknął się Pułkownik.

- Nazwałbym to kastą wybrańców - podsumował pośpiesznie Taran.

- Jak pan woli - machnął ręką jego rozmówca. - Sens się od tego nie zmienia.

Ktoś musi miastem rządzić, więc dlaczego nie my, na prawach autochtonów.

- Ja bym to nazwał prawem silniejszego - wtrącił znowu stalker, spoglądając na oficera spode łba.

Twarz Pułkownika na moment wykrzywił grymas, ale szybko opanował emocje.

- Może i tak! Ale przecież ktoś musi zadbać o bezpieczeństwo? Przejąć ster władzy, okazać twardość, kiedy będzie trzeba!

- I jak okazujecie tę waszą twardość, jeśli można wiedzieć? - ciągnął Taran.

Gospodarz był jednak gotowy i na tego rodzaju pytania. Wzruszył ramionami, zaciągnął się głęboko, wypuścił w stronę sufitu obłoczek dymu i powiedział bez cienia emocji:

- Po prostu usuwamy nieposłusznych na zewnątrz.

- A wielu takich było? - nie wytrzymał Giennadij.

- Szczerze mówiąc, ani jednego. - Pułkownik popatrzył na gości triumfalnie. - Nikt nie chce wpaść w łapy Sungata i jego bandy, a szansa na przejście niezauważonym przez oddziały zwiadowcze jeźdźców jest znikoma...

- A więc to dlatego jeszcze nie zmiażdżyliście tych drani...

- Bingo! - Wojskowy z zapalem pstryknął palcami. - Jakkolwiek obrazoburczo to brzmi, takie sąsiedztwo jest nam bardzo na rękę! Strach trzyma ludzi na uwięzi znacznie skuteczniej niż obietnica lepszego życia. Populacja Jamantau wolno lecz nieprzerwanie rośnie. Kto wie, może za jakieś pięć lat uzbieramy prawdziwą armię i...

- I co wtedy? - przerwał rozpędzonemu rozmówcy Taran.

„No jasne - przemknęło mu przez głowę. - Już układa plany panowania nad światem... Niektóre rzeczy na tej ziemi nigdy się nie zmieniają...”

- Co będziecie robić z tą armią?

- No... - zmieszał się Pułkownik - chociażby raz na zawsze rozprawimy się ze Stepowymi Psami!

- A potem? - Stalker cierpliwie czekał na ciąg dalszy, nie spuszczać z gospodarza badawczego wzroku.

- Po co wybiegać tak daleko w przyszłość? - odparł tamten. - Całkiem prawdopodobne, że wykituję znacznie wcześniej niż spełnią się moje „plany”.

- Jak na swoje sześć dych, całkiem nieźle się pan trzyma - wtrącił Bezbożnik, odrywając się na moment od herbaty.

- Gdyby tylko chodziło o wiek - westchnął Pułkownik. - Jest pan przecież lekarzem, nieprawdaż?

Samuel Natanowicz odstawił szklankę i skinął głową.

- „Zapalenie kości czaszki” - mówi coś panu taka diagnoza?

Bezbożnik znów skinął mu w odpowiedzi.

- A więc to o mnie. - Gospodarz zgasił niedopałek w popielniczce i naraz posmutniał.

- Jakaś infekcja z powierzchni. Moje eskulapy nic nie mogą na to poradzić. Konieczny jest zabieg chirurgiczny, ale żaden z nich nie ma doświadczenia w trepanacji czaszki... Nawiasem mówiąc, czy pan przypadkiem...

- Nie, skądże! - pospiesznie potrząsnął głową Bezbożnik. - Już od dawna nie praktykuję... No i, szczerze mówiąc, to nie moja działka...

- No tak - westchnął Pułkownik. - Proszę o tym zapomnieć...

W skąpo oświetlonym gabinecie zrobiło się cicho. Niezręczne milczenie przerwał Taran:

- Z tym problemem wam niestety nie pomożemy, natomiast co do Sungata...

Gdybyśmy połączyli siły i...

- Poradzę coś panu... - przerwał mu rozmówca. - Niech pan o nim zapomni.

Wiem już, że ten łajdak zabił wam przyjaciela, ale istnienie bandy daje schronowi realne korzyści, dlatego pomoc w jego schwytaniu nie leży w naszym interesie.

A wasza dzielna załoga sama nie da sobie rady z Psami. Jakkolwiek silne jest wasze pragnienie, by zemścić się za śmierć towarzysza.

- A więc nasze ścieżki się rozchodzą? - podsumował bez żadnych niejasności Dym.

Kolejna pauza... Gospodarz wyraźnie miał jeszcze asa w rękawie i zastanawiał się teraz, jak go odpowiednio wykorzystać.

- Po co się gorączkować, mój przyjacielu? Gdyby ta rozmowa nie była dla mnie interesująca, to raczej by was tu teraz nie było... Myślę, że absolutnie możemy ubić interes korzystny dla obu stron.

- Kiedy ostatnim razem mi coś takiego zaproponowano, omal nie zginąłem ja, mój syn i najlepszy przyjaciel - odparł ponuro Taran, wspomniawszy historię z Czarnym Sanitariuszem.

- To nic skomplikowanego! - zamachał rękami gospodarz. - Zwyczajna robótka, za którą jestem gotów szczerze zapłacić... Wasz transporter jest mocno poobijany... Podwozie ledwo dyszy, pancierz dziurawy jak sito, koła też trzeba załatać. I amunicji wam pewnie sporo zeszło...

Stalker milczał, czekając na ciąg dalszy. Upewniwszy się, że szef ekspedycji połąknął przynętę, Pułkownik kontynuował:

- Chodzi o zwykłą drobnostkę! Mielibyście zbadać sytuację w pewnym ciekawym zakątku... To niedaleko, jakieś trzysta kilometrów z kawałkiem na południe. Posłuchajcie nagrania, wiele wam wyjaśni.

Na stole przed Taranem wylądowało ze stukiem małe pudełeczko.

- Dyktafon! - szepnął z czią Migalycz, wytrzeszczając zdrowe oko.

Z cichym kliknięciem mechanizm ożył i mrugnął zieloną lampką.

Z miniaturowego głośniczka dały się słyszeć pospiesznie wypowiedane, zagmatwane słowa, przeplatane szumami i trzaskami zakłóceń w eterze:

-...wyrzutnie numer dwa i cztery w gotowości bojowej! Jak mnie słyszać?!

Odbiór! - zakłócenia znów zagłuszyły daleki głos. -...się o wskazanie celu!

Zwracam się o wskazania...

Lampka niespokojnie zamigotała i zgasła. Razem z nią umilkł też tajemniczy głos.

- Znow padł akumulator, niech go licha! - Pułkownik chwycił dyktafon, naciskając wszystkie przyciski po kolei. - Cholerni technicy! Reaktor mądrale utrzymują w działaniu, a nie umieją sobie poradzić z taką drobnostką!

- Kiedy to nagrano? - przerwał stalker.

- A co za różnica?! - rzucił ze złością jego rozmówca. - Ten cudak już od pół roku bawi się tą radiostacją. Ciągłe grozi, że wystrzeli rakiety... To oczywiście bzdura. Po ponad dwudziestu latach w bezruchu żadna blaszana puszka nigdzie nie poleci. Prędeż spróchnieje... Ale i tak trudno mi spać spokojnie z tym słuchowiskiem radiowym w zasięgu... A co jeśli naprawdę coś palnie? Albo, co gorsza, wyjdzie mu z tego autodestrukcja... Nie potrzebujemy kolejnego ogniska radiacji pod bokiem...

- Skąd nadawane są transmisje? - Giennadij podszedł bliżej do ściennej mapy.

- Dawna dywizja raketowa nieopodal miasta Jasnyj - wskazał palcem wojskowy.

- Jasnyj? Znam - kiwnął głową stalker. - Mieścił się tam też kosmodrom.

- Otóż to, mój drogi! Czyli właściwy człowiek we właściwym miejscu! A ja wam waszą terenówkę tak wyposażę, że dojedzie nie tylko do Władka, ale i na Alaskę!

Pułkownik głośno klasnął w dłonie, lecz stalker nie podzielał jego entuzjazmu.

- Dlaczego sami nie rozwiążecie problemu?

Oficer od razu przybrał znudzony wyraz twarzy:

- Narzącać moich chłopców jest mi teraz nie na rękę. No i macie znacznie więcej doświadczenia, jeśli dotarliście tu aż z Petersburga.

Taran milczał, rozważając propozycję.

- Ależ ja was nie popędzam. Przemyślcie to wszystko jak należy. - Gospodarz sięgnął do skraju biurka i nacisnął klawisz. - Szustow, kolego, zajrzyj no do mnie.

Odprowadzisz gości do apartamentów. Rozlokujesz, nakarmisz. Generalnie, wszystko jak powinno być. Niech odpoczną po podróży.

Wojskowy zabrał rękę z pulpitu, uśmiechnął się i opadł ze zmęczeniem z powrotem na fotel, całym sobą pokazując, że rozmowa skończona.

Taran skinął głową na znak wdzięczności i skierował się do wyjścia w ślad za swoim oddziałem. Aurora została trochę dłużej, pospiesznie dopijając herbatę.

Opuszczała gabinet jako ostatnia i poczuła, że ktoś świdruje jej plecy badawczym wzrokiem, nie opuszczało jej aż do wyjścia. Zanim drzwi się za nią zatrzasnęły, dziewczynka w końcu nie wytrzymała i obejrzała się za siebie. W piwnych oczach Pułkownika dało się

wyczytać nudę. Tak jakby z góry wiedział, jaka będzie decyzja stalkera. Aurora wzdrygnęła się na wspomnienie Sungata. Wódz Stepowych Psów patrzył zupełnie tak samo.

* * *

Pokój oddany do dyspozycji wędrowców przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Wygodne kanapy, łagodne ciepłe światło sącące się z kinkietów na ścianach, miniaturowy bufet w rogu... Na stoliku na kółkach czekała na nich dostarczona przez milczącą obsługę waza z aromatycznym mięsnym bulionem i imponująca góra sucharów na posrebrzanej tacy.

Nikt nie spieszył się jednak z przystępowaniem do posiłku. Zbyt dużo było do omówienia, by rozkoszować się upragnionym odpoczynkiem. To, co zobaczyli i usłyszeli pod Jamantau, wystarczyło, żeby zrozumieć - radość ze zdobycia nowych sojuszników była przedwczesna. Polityka wobec uchodźców nie dawała potencjalnym przesiedleńcom z Sankt Petersburga - nawet jeśli się tacy pojawią i przeżyją długą drogę - żadnych szans na dostatni byt. Pułkownik pośrednio dał do zrozumienia, że będzie rad przyjąć do swojego „domu” nowych lokatorów, ale czy ci zaakceptują panującą w Jamantau hierarchię? Na zawsze przykleić sobie i przyszłym pokoleniom etykietkę ludzi drugiej kategorii, niewolniczą pracą płacić za dach nad głową, wiecznie służyć garstce wybrańców? Do niczego dobrego taki układ nie doprowadzi, a świetnym tego przykładem było imperium wegan. Różnica tkwiła tylko w metodach i środkach użytych do osiągnięcia zamierzonych celów.

Przynajmniej, w odróżnieniu od zielonych, Pułkownik nikogo nie ciągnie do swojego miasta siłą. A i reszta świata go, zdaje się, nie obchodzi. W każdym razie na tym etapie...

Tak czy inaczej, pomysłu, by wrócić do Pitera z wieściami o podziemnym mieście, nawet nie omawiali. Cała załoga bez wyjątku była w tej kwestii jednomyślna. Teraz trzeba było zaplanować dalsze działania i zdecydować, czy zgodzić się na wypad, który zaproponował im wojskowy.

- Co o tym myślisz, Migalycz? - czekając na odpowiedź, stalker zerknął z ukosa na najstarszego z obecnych.

Kolejarz podrapał się w głowę z zakłopotaniem i ciężko westchnął:

- Kusząca propozycja, niech go dunder świśnie... Siwy sensownie gada. Bez generalnego remontu daleko nie zajedziemy, nie jest to też wielkie nakładanie drogi.

Jak Bóg da, to dojedziemy tam raz dwa...

- Naboje też piechotą nie chodzą - dodał mądrze Giennadij. - Z paliwem to samo... Jeszcze nie wiadomo, jak to będzie dalej.

- To oczywiście wszystko prawda. - Taran zmęczonym ruchem masował sobie skronie. - Kolejnej okazji, żeby uzupełnić zasoby, może już nie być... Gleb, co tak milczysz?

Chłopiec nieufnie obracał w dłoniach sucharek. Po zastanowieniu położył go z powrotem na tacę i napotkał wzrok przybranego ojca.

- Pułkownik będzie potrzebował gwarancji, że wypełnimy naszą część umowy.

A to oznacza tylko jedno - ktoś będzie musiał zostać w Jamantau, póki kwestia dywizji z podjasnyńskiej nie zostanie załatwiona.

Taran siedział nieruchomo, coraz bardziej pochmurniejąc - syn trafnie jak nigdy wypowiedział na głos dręczące go obawy.

- I kto miałyby to być? - zapytał kolejarz w ciszy, która nagle zapadła w pokoju.

Nikt nie wrywał się na ochotnika.

Żadne z nich nie miało ochoty zostać zakładnikiem podstarzałego intryganta, nawet wewnątrz bezpiecznego schronu.

- Gleb i Aurora od razu odpadają. Są jeszcze za mali. Migalycz jest potrzebny za kierownicą. Dym przyda ci się przy desancie - Bezbożnik popatrzył spode łba na dowódcę. - Drogą eliminacji zostają ja.

- Słusznie, Natanowiczu - podsumował Taran. - A więc decyzja zapadła.

Załatwimy sprawę i od razu po ciebie wrócimy.

Widząc niepokój w oczach syna, stalker cierpliwie obrócił się do niego razem z krzesłem:

- Coś jeszcze, Glebie? Mów. To nie czas, żeby coś skrywać.

Twarz chłopca przez ułamek sekundy wyrażała walkę wewnętrzną, ale chwilę później jednak nie mógł się powstrzymać:

- To wszystko jest bardzo podejrzane. Czy możemy ufać Pułkownikowi?

- A masz podstawy, żeby mu nie ufać? - odparował Taran.

- Nie wydawało wam się dziwne, że wspomniał o śmierci Indianina? Kto mu o tym powiedział?

- Jasna sprawa - Szustow.

- Ale przecież Szustow cały czas był z nami!

- A więc od tych, którzy uczestniczyli w szturmie! - rozdrażniony stalker wstał od stołu. - Do czego zmierzasz, Gleb?

- A do tego, że Stepowe Psy działają wspólnie z Pułkownikiem! - wypalił chłopiec. -

Wymieniają ludzi na sprzęt i wyżywienie! Inaczej skąd by mieli działający czołg?!

- Nonsens! - uśmiechnął się Taran. - Według ciebie cała ta strzelanina w obozie, szturm, transportery opancerzone, to wszystko inscenizacja?

Przedstawienie dla więźniów?

- Ten wojak to teraz dla nich wyzwoliciel, bohater! To wszystko bardzo proste!

I żadnego przymusu! Pracuj na chwałę Pułkownika albo zgnijesz w niewoli!

Chłopak zmęczył się i umilkł. Kolejny spór ze stalkerem kosztował go wiele sił. Ten patrzył na dziecko z ledwie widocznym uśmiechem. Teoria ta wydawała się naciągana.

- Wiesz co, Gleb, po spotkaniu z Piechurem rozwinęła się u ciebie prawdziwa paranoja. Nie można wszystkich dookoła podejrzewać. W ten sposób szybko zbzikujesz.

- Nigdy mnie nie słuchasz! - nadąsał się chłopiec.

Przez resztę wieczoru nie powiedział już ani słowa. Nie chciał robić z siebie idioty w oczach współtowarzyszy. Niejasne przeczucia nie dawały jednak chłopakowi spokoju. Kierowany intuicją, Gleb podszedł do drzwi, nacisnął na klamkę i wcale się nie zdziwił, kiedy ta nie ustąpiła. Goście przezornie zostali zamknięci, żeby uniknąć nieporozumień. A może jednak coś ukrywają?

Wybrawszy moment, kiedy nikt z załogi nie patrzył w jego stronę, chłopak podkraść się do stolika na kółkach zastawionego pustymi naczyniami i wczołgał się pod elegancki obrus z frędzlami. Senni po sytej kolacji wędrowcy rozkoszowali się długo wyczekiwany relaksem, rozłożywszy się wygodnie na miękkich kanapach.

Trzeba było nabrać sił przed nowym dniem, który miał przynieść trudną i długą drogę.

Kiedy przygarbiony służący wyprowadził stół z pomieszczenia, nikt nawet nie zauważył zniknięcia Gleba.

Rozdział 12

STRATEGIA PRZETRWANIA

Zdawało się, że skrzypienie nienaoliwionych kółek i monotonne szuranie butów na wytartym, pełnym łat linoleum nigdy się nie skończy. Zakurzony obrus łaskotał go w nos, a plecy szybko zdrętwiały przez niewygodną pozycję. Gleb, z trudem mieszcząc się na półce, cierpliwie czekał na koniec przymusowej podróży i modlił się, żeby służący nie zaczął czegoś podejrzewać. Sądząc z dochodzącego z góry sapania, wózek pchał człowieka w podeszłym wieku. Całkiem możliwe, że ktoś taki mógł zrzucić nagły wzrost ciężaru na karby własnej starczej słabości.

Słyszając, jak nieznajomy dyszy i mozoli się, chłopak poczuł nagły przypływ wstydu, jednak kiedy przypomniał sobie drwiący wyraz twarzy ojca, zacisnął zęby, postarał się wyrzucić z głowy wszystkie zbędne emocje i wyrzuty sumienia, i skoncentrować się na samowolnej misji.

Faktem było, że Gleb nie miał zielonego pojęcia, co robić dalej i gdzie szukać odpowiedzi. Na jego szczęście problem rozwiązał się sam. Sądząc z widoku popękanych kafelków na podłodze, służący przyszedł z wózkiem do kuchni.

Brzęknęły naczynia, zagrzemiał czajnik. Przy wtórze niezadowolonego gderania staruszka stolik znów ruszył z miejsca. Chłopak miał wielką nadzieję, że zdoła wybrać dobry moment i czmychnąć, ale szansa wciąż się nie nadarzała. Po nakryciu stołu służący znów ruszył w niekończące się tournée po korytarzach podziemnego miasta.

Pomieszczenie, do którego Gleb trafił tym razem, należało do kogoś wysoko postawionego. Wykładzina dywanowa na podłodze po tych wszystkich latach była wyblakła i mocno wytarta, ale wciąż jeszcze nie utraciła dawnego reprezentacyjnego charakteru, co wyraźnie wskazywało na wysoki status lokatora.

- Co tak długo? Zostaw go przy wejściu.

Zaskoczony chłopak wzdrygnął się i zamarł przestraszony, starając się nie zdradzić swojej obecności głośniejszym oddechem ani najdrobniejszym ruchem.

Służący, równie niespiesznie jak wcześniej, pokuśtykał do wyjścia, a gospodarz gabinetu, którego Gleb od razu poznał po głosie, podszedł do stolika i zaczął coś majstrować przy naczyniach. Po kilku pełnych napięcia minutach oczekiwania, podczas których nie było

słysząc niczego poza pobrzękiwaniem łyżeczki w szklance, skrzypnęły drzwi.

- Wejdz! - rzucił Szustow do gościa i sądząc po dźwięku cichnących kroków, przeszedł do dalszej części pomieszczenia. - Właśnie sobie kawusię zaparzyłem!

Pułkownik miał gest, to z okazji udanego zakończenia operacji „Amnestia”. Dopiero co przynieśli. Napijesz się?

- Wiesz dobrze, że nie. Od tego świństwa zęby się psują.

Głos drugiego uczestnika rozmowy, gburowaty i jednocześnie chytry, wydał się Glebowi nieprzyjemny, a od tego, jak przybysz wymawiał niektóre spółgłoski - z ledwie uchwytnym poświstem podobnym do syczenia żmii - ciarki przebiegały mu po plecach.

- W takim razie może po kieliszeczku?

- Gorzała i prochy zabijają mózg. Jak chcesz, to się truj, mi się na tamten świat nie spieszy.

- Innym wciskaj swoją pryncypialność... No dobra. Co cię sprowadza?

- Chodzi o szturm... - Gość przystanął przy stoliku i spod skraju obrusa pokazała się podeszwa wyczyszczonego na wysoki połysk żołnierskiego buta. - Strzałowi znów przesadzili z siłą ładunku. A kto będzie bramę naprawiał? Znowu pierwsza zmiana?! Jakoś kiepsko to wygląda. Zdawało mi się, że jesteśmy po tej samej stronie... - w głosie nieznanego pojawiła się nuta groźby.

- Daj już spokój! Parę dni do końca wachty! Nowa brygada zacznie dyżur i twoje orły sobie odpoczną. - Szustow przerwał na moment, by głośno, z wyraźną przyjemnością, upić łyk kawy ze szklanki. - Powiedz mi lepiej, skąd się wzięli zabici? Przed walką osobiście sprawdzałem grupę szturmową. Ręczę za to, że strzelali wyłącznie ślepakami.

- Wszyscy moi ludzie też byli czyści... Nie pierwszy raz odstawiamy tę szopkę. A zabici to sprawa tych przejezdnych z wyrzutni raketowej. Szefa mają trochę za bardzo do przodu. Idę o zakład, że to on siedział na dachu ze snajperką.

O mało wszystkiego nie zepsuł, sukinsyn... - Właściciel kirzowych butów soczyście splunął na drogocenny dywan. - Mam z nim do pogadania... od serca... Załatwisz mi spotkanie?

- Ochłoń. Pułkownik ma co do tych włóczęgów inne plany. No i spaliłeś już jednego chłopaczka z ich oddziału. Mało ci? - w głosie Szustowa pojawił się chłód. - Wiesz przecież, że Pułkownik nie pochwała zbędnego okrucieństwa. Powtarza, że to nie są nasze metody...

- Chrzanię Pułkownika i te wasze metody!... Łatwo gadać, jak się siedzi na tyłku w przytulnej norze! Na powierzchnię to wołami się nie da zaciągnąć, dekwownik sztabowy! Poza tym na moje miejsce też na razie nikt się nie pali. A jeśli nie ma chętnych, to pozwólcie mi

samemu decydować, jak i jakimi metodami będę odwalał całą brudną robotę!

Bucior z pełną siłą wyrzwał w stolik na kółkach, przez co naczynia posypały się z brzękiem na podłogę. Gleb omal nie wypadł na zewnątrz, cudem utrzymując się na półce. Serce chciało mu wyskoczyć z piersi, a mózg przeszło zapierające dech przypuszczenie.

Podśluchana rozmowa wszystko wyjaśniła. Obraz panującego w Białowieży zamętu wreszcie ułożył się w prosty i wyraźny schemat.

„Nie było i nie ma żadnej tajnej zмовy! Stepowe Psy to właśnie wojskowi, tyle że w przebraniu! Powiniennem natychmiast ostrzec ojca! Ale jak?”

Gleb nadstawił uszu, starając się znów wyłapać wątek rozmowy.

-...i wtedy będziesz mógł wyłożyć swoje pretensje bezpośrednio Pułkownikowi, a dopóki zmiana się nie skończyła, bądź tak łaskaw i zajmij się swoimi aktualnymi obowiązkami!

Interkom na biurku przenikliwie zadzwonił, zmuszając Szustowa do przerwania uświadamiającej rozmowy z krnąbrnym podwładnym.

- Słucham... Tak... Co mówi?... Zniknął? Co to za brednie?! Przecież zamknęli ich na klucz!

Skrzypnął fotel, szklanka żałośnie brzęknęła, lądując na blacie biurka.

- A więc tak... Nie podejmować żadnych działań beze mnie! Zrozumiano? Już idę! To wszystko! Bez odbioru!

- Mówiłem przecież, że z tymi przejezdnymi będą same kłopoty! - skomentował gość.

- Trzeba ich było sprzątnąć, teraz nie obejdzie się bez szarpaniny...

- Zobaczymy! - Szustow ruszył energicznie do wyjścia. - Jeśli to wszystko, to nie śmiem zatrzymywać.

Trzasnęły drzwi i w pokoju zapadła cisza. Jakże Gleb chciał teraz wyskoczyć w ślad za żołnierzami i jak najszybciej znaleźć się wśród swoich! Lecz pośpiech zwykle nie prowadzi do niczego dobrego...

Chłopiec dla pewności poczekał jeszcze minutę, wyczołgał się z kryjówki i w półmroku opustoszałego gabinetu podkradł się do drzwi. Te, na szczęście, okazały się otwarte!

W korytarzu wyłożonym prostymi panelami ściennymi, pomyślanymi najwidoczniej, by wytworzyć u mieszkańców wrażenie domowego ciepła, nie było żywej duszy. Najprawdopodobniej w tym sektorze mieszkały miejscowe urzędnicy, a życie kipiało gdzieś na innych piętrach ogromnego mrowiska, co małodniemu szpiegowi było tylko na rękę.

Starając się poruszać bezszelestnie, Gleb potruczał wzdłuż szeregu solidnych, obitych

plastikiem drzwi. Płynny zakręt korytarza zaprowadził go wprost do krótkiej, skąpo oświetlonej ślepej uliczki z windą. W kwadratowym oszklonym okienku nad drzwiami migotała na zielono cyfra „-9”.

„Numer piętra” - domyślił się Gleb, ale od razu przypomniał sobie, że posługacz, pchając wózek, na przestrzeni całej trasy pozostawał na tym samym poziomie, czyli że apartamentów oddanych do dyspozycji załodze należało szukać właśnie tutaj!

Kiedy tylko chłopiec odwrócił się w stronę korytarza, usłyszał przed sobą, jak ktoś trzaska drzwiami. Zaraz potem rozległo się rozgłośnie echo zbliżających się kroków. Gleb zaczął się miotać w panice, rozpaczliwie starając się znaleźć jakiegokolwiek wyjście, ale wyglądało na to, że winda stanowi jedyną drogę ucieczki.

Chłopak kilka razy wcisnął guzik przywołujący windę i cały czas wsłuchiwał się w równy krok nieznanego, a kiedy drzwi wreszcie się rozsunęły na boki, wpadł do kabiny jak wystrzelony z procy. Wcisnął na chybił trafił jeden z przycisków, przytulił się do zimnej ściany i ucichł, licząc sekundy. Wreszcie skrzydła drzwi zaczęły się zasuwac z powrotem - strasznie wolno, jak zdawało się Glebowi. Ułamki sekund dzieliły go od względnego bezpieczeństwa, ale oto w szybko zamykającej się szczelinie ukazał się czubek buta, blokując drzwi. Automatyka natychmiast zareagowała, usłużnie rozsuwając skrzydła, i do kabiny wkroczył rosły brodacz w spodniach w ochronnym kolorze i szarozielonej kurtce w wojskowym stylu.

„Trzeba było jednak poczekać dłużej i się nie wychylać!” - pomyślał poniewczasie Gleb, starając się przybrać spokojną minę.

Przyjrząwszy się malcowi z góry, wojskowy zmarszczył brwi i spytał surowo:

- Skąd się tu wzięłeś? Poziomy mieszkalne są wyżej. Zabłądziłeś, czy co?

Chłopak skinął głową, starannie uciekając wzrokiem.

- Skąd jesteś? Z siódmego? Szóstego? - Spierzchnięta dłoń brodacza zawisła przy panelu sterowania.

- Z siódmego - pisnął Gleb z wymuszonym uśmiechem.

Nieznajomy nacisnął właściwy guzik, założył ręce za plecy i zastygł jak posąg.

Płynn timerusając z miejsca, winda pojechała w górę.

Zerkając ukradkiem na towarzysza, któremu łysa głowa i ruda broda nadawały wojowniczy wygląd, chłopiec nie mógł nie zauważyć, że to właśnie jego szorstki głos dopiero co słyszał w gabinecie. A różowe smugi na szyi to nic innego, jak tylko ślady od pomalowanej czerwoną farbą maski przeciwgazowej, co nie pozostawiało wątpliwości, że ten żołnierz w wypolerowanych butach, który mówił z Szustowem o obozie koncentracyjnym,

grał jednocześnie rolę herszta bandy. Ten sam jeździec, który całkiem niedawno prowadził negocjacje z Taranem, stoi teraz tu, w sercu schronu, na odległość wyciągniętej ręki!

Jakby czując na sobie badawcze spojrzenie, Sungat znów odwrócił się do chłopaka:

- A tak w ogóle, mały, to jak się dostałeś na poziom sztabowy bez karty dostępu?

Gleb gorączkowo szukał w miarę prawdopodobnej odpowiedzi, czując, jak ciarki przebiegają mu po ciele. Ale brodacz niespodziewanie przyszedł mu z pomocą.

- Powiedz od razu, że ojcu zwędziłeś - żołnierz krzywo się uśmiechnął, drapieżnie szczerząc nienaturalnie białe zęby. - Nawiasem mówiąc, jak się nazywa twój stary?

- Terentiew! - wypalił chłopiec pierwsze nazwisko, które przyszło mu do głowy.

Obraz urzędniczej szychy z jakiegoś powodu kojarzył się Glebowi z Wygą, twardym i nieustępliwym naczelnikiem Siennej. Pozostawało mieć nadzieję, że kadra wojskowa w kompleksie jest na tyle liczna, że Farbowany Lis nie znał wszystkich mieszkańców piętra po nazwisku.

- To ten z „rządowych”? - ożywił się brodacz. - Nie obraż się, mały, ale twój tatko to rzadka swołocz. Miesiąc temu przerznął w preferansa litr wody i jeszcze nie oddał! Przekażesz mu pozdrowienia od wujka Sungata?

Chłopiec kiwnął głową z przestachem i dla większej naturalności postanowił podtrzymać rozmowę.

- A po co panu wódka? Przecież pan nie... - Gleb urwał, zdając sobie sprawę, jaką głupotę właśnie palnął.

- Chciałeś powiedzieć, że nie piję? - Sungat pochylił się powoli i znalazł z małoletnim towarzyszem jazdy twarzą w twarz. - Chyba nie podsłuchiwałeś? Kim ty w ogóle jesteś, chłopcze? Hę?!

W tym momencie gdzieś za ścianą rozległo się przeciągłe wycie syreny ogłaszającej mieszkańcom kompleksu alarm. Winda zadrżała, zatrzymując się, i drzwi się rozsunęły. Gleb zanurkował pod próbującą go schwytać ręką i rzucił się do ucieczki, z zamierającym sercem słuchając stukotu butów swego prześladowcy.

Przemknąwszy przez krótki łącznik, omal nie rozbijając nosa o nierówności posadzki, uciekinier pchnął drzwi, które pojawiły się na jego drodze, i znalazł się w gigantycznym betonowym korytarzu, który, skręcając łagodnie, ciągnął się w dal i gdzie tylko sięgał wzrok wypełniały go wozy, ubogie straganiki i wałęsający się po zaimprovizowanej ulicy ludzie w paskudnych szarych ubraniach.

Chłopakowi przypomniała się na chwilę stacja Czernyszewska z jej ubogim wystrojem, chatkami klitkami i mieszkającymi w nich obszarpańcami. Tutejsze slumsy

sprawiwały podobne wrażenie i różniły się od metra co najwyżej rozmiarami, gdyż wolnej przestrzeni było tu bez porównania więcej. Na poziomie „-7” było wszystko, by stworzyć pozory ulicy czy wręcz wielkowiejskiej alei! Równe, ustawione w kilka pięter rzędy okien w betonowych ścianach, tabliczki z numerami

„domów”, a nawet ogrodzone krętymi żeliwnymi balustradami balkony z suszącą się na sznurkach bielizną... Chociaż kałuże nieczystości przy klatkach schodowych, sypiący się ze ścian tynk, puste beczki z paleniskami w środku oraz drżące światło latarni zamontowanych pod zapleśniałym sufitem nie dodawały poziomowi mieszkalnemu komfortu.

Być może jakieś piętnaście lat wcześniej osiedle wyglądało znacznie porządniej, lecz nieubłagany czas wniósł swój wkład do wyglądu podziemnego miasta, i pomimo regularnie powiększanej dzięki uchodźcom liczebności kolonii, na poziomie „-7” królowało totalne zaniedbanie.

Przez to, że było tu tak niewielu ludzi, Glebowi nie udało się wtopić w tłum, dlatego zrobił jedyne, co mógł - popędził ulicą, lawirując między skrzyniami i wozami w nadziei, że ciężki żołnierz okaże się mniej zwinny.

- Łapcie złodzieja! - dobiegło z tyłu.

„Sprytu mu nie można odmówić...” - pomyślał ze smutkiem chłopak.

Miejscowi handlarze zareagowali na wezwanie Sungata z godną pozazdroszczenia, jak na swój zawód, zręcznością. Zbieg ani się obejrzał, jak potknąwszy się o podstawioną mu przez kogoś nogę, poturlał się po kostce brukowej.

Natychmiast kilka rąk mocno złapało schwytanego chłopca za ramiona i postawiło na nogi, a dookoła zebrał się już tłumek gapiów.

Kiedy, roztrącając najbardziej ciekawskich, do chłopca podszedł rudobrody dryblas, miejscowi rozstąpili się z szacunkiem, pokornie uznając w nim przedstawiciela wyższej kasty.

- Młody człowieku, niegrzecznie tak przerywać rozmowę w połowie - syknął Sungat, uśmiechając się złowróźnie. - Tym bardziej, kiedy rozmawia się z dorosłym... Będę musiał dać ci lekcję dobrych manier...

Próbując złapać chłopaka za ucho, Farbowany Lis niespodziewanie skrzywił się z bólu w wyłamanych palcach, ale chwilę później z wściekłym rykiem strząsnął młodocianego przeciwnika ze swojej ręki i poczęstował kopniakiem, ze złośliwą satysfakcją czując, jak czubek buta trafił w coś miękkiego.

Gleb poleciał do tyłu, starając się złapać oddech mimo kłującego bólu w brzuchu. Żyłaste ręce handlarzy podniosły go i popchnęły z powrotem pod nogi oprawcy.

- Ponawiam swoje pytanie! - zagrział Sungat, pocierając skaleczony nadgarstek. -

Kim ty jesteś, chłopcze?

Rozglądając się dookoła zaszczutym wzrokiem, Gleb dostrzegł w tłumie człowieka w wojskowym mundurze, który, nie biorąc udziału w incydencie, mówił coś komuś szybko przez radio.

- Chociaż możesz nie odpowiadać - szydził dalej rudobrody, przechadzając się tam i z powrotem obok zwiniętego z bólu dziecka. - I tak wiem, że jesteś jednym z kumpli tego bezczelnego kundla, który załatwił pięciu moich chłopaków. Bo to on cię posłał, żebyś węszył przy nieswoich tajemnicach, prawda?!

Chłopak, mimo bólu, wstał, podciągnął dłonie do twarzy i zacisnął pięści.

- A to ci dopiero! - parsknął śmiechem Farbowany Lis, potem nieuchwytnym ruchem chwycił zbiega za kark i głośno szepnął mu do ucha: - Dość już tej farsy!

Czy może ty też będziesz strugać bohatera, jak ten wasz czarnulek ostatnio?

Nawiasem mówiąc, wiedz, że kiepsko skończył. A ty masz jeszcze szansę załatwić sprawę po dobroci, oczywiście jeśli opowiesz mi, co konkretnie słyszałeś z mojej prywatnej rozmowy ze Szustowem...

W odpowiedzi Gleb tylko wierzgnął, próbując odwrócić się i ugryźć napastnika w rękę, na co Sungat syknął z irytacją, złapał chłopaka za szyję i podniósł wysoko nad ziemię. Czując, jak chwytnie palce zaciskają mu się na gardle, chłopiec zachrypiął i zaczął się rzucać, majtając nogami i starając się dosięgnąć znieawidzonego wroga, ale wszystko na próżno.

- Wszystko mi opowiesz, szczeniaku! - dotarło do niego gdzieś z daleka, jakby przez warstwę waty.

Płuca płonęły Glebowi bezlitosnym, żywym ogniem. Usta same otwierały się w próbach nabrania powietrza, a przed oczami robiło mu się coraz bardziej czerwono, aż przestał widzieć wykrzywioną nienawiścią twarz swojego oprawcy.

Balansując na granicy utraty przytomności, chłopiec poczuł nagle, jak uścisk słabnie... Szybki upadek, silne uderzenie o bruk... i strumień ożywczego powietrza, przedzierając się przez spazmatycznie zaciśnięte gardło, wdarł się wreszcie do środka, studząc rozognione płuca. Gwałtownie kaszląc, Gleb podniósł się na kolana, wygiął w pałąk. Zwymiotował resztki niedawnej kolacji i od razu poczuł ulgę. Wzrok zaczął mu wracać, a w skroniach przestał pulsować ból. Chłopak podniósł oszalały wzrok i zobaczył powalonego na ziemię Farbowanego Lisa i kilku żołnierzy odciągających rozwścieczonego Tarana od swojego dowódcy.

- Wróć! Rozejść się!

W polu widzenia chłopca pojawił się rzucający na podwładnych gniewne spojrzenia

krępy Szustow. Złapał w biegu Aurorę, która biegła za nim, i odsunął ją na bok.

- Przecież to Sungat! Morderca! - zabrzmiał dziecięcy głosik. - Trzymajcie go! To on spalił...

Oficer pospiesznie zasłonił jej usta ręką i ostrożnie przekazał niesforną dziewczynkę w ręce stojących z tyłu konwojentów, którzy ścisłym kordonem otaczali czekających na rozwój wypadków Dyma, Migalycza i Bezbożnika.

Tymczasem Rudobrody zerwał się na nogi, ze złością wypluł wybity ząb i rzucił się w gęsty tłum, próbując poprzez łańcuch strażników dostać się do stalkera.

- Koniec, powiedziałem! Wystarczy! Stop! - Szustow, coraz bardziej purpurowy, stanął przed jeźdźcem, ale gdzie tam! Sungat nie mógł przełknąć doznanej zniewagi, tym bardziej że stało się to na oczach podwładnych.

Zdecydowanym ruchem zrzucił kurtkę i pokiwał na Tarana palcem.

- Chodź, stalkerze! Tylko ty i ja! Nie bądź baba jak ten czarnulek, którego usmażyłem!

Żołnierze wokół zaczęli krzyczeć z aprobatą, dopingując dowódcę i odsuwając gapiów. Skrawek wolnego miejsca błyskawicznie się poszerzył, zamieniając się w coś na podobieństwo ringu.

- Z przyjemnością! - odparł ponuro Taran, ściągając koszulę i wchodząc do kręgu wśród głośniego urągania tłumu.

Szustow po raz ostatni spróbował coś zdziałać, ale w końcu z rezygnacją machnął ręką, ostrzegając tylko Sungata, że tym razem nie uniknie poważnej rozmowy z samym Pułkownikiem. Potem jego gniewne okrzyki utonęły w ryku spodziewającego się świetnego widowiska tłumu.

Obaj walczący byli godnymi siebie przeciwnikami. Muskularni i żyłaści, zaczęli krążyć po zaimprovizowanym ringu, wypatrując odpowiedniej chwili do ataku. Spoglądając na upstrzony tatuażami tors Sungata i wytrzeszczone, zwierzęce oczy, Gleb nagle zaczął się bać o ojca, ale w samą porę dał się słyszeć dudniący ryk Giennadija:

- Koniec z tobą, kozia brodo! Taran, załatw bydlaka!

Stojący dookoła żołnierze już chcieli rzucić się na mutantą, ale ten ochoczo wyszczerzył zęby, podnosząc w górę pięści jak młoty, i okrzyki oburzenia same ucichły. Uwaga obecnych błyskawicznie skierowała się na walczących.

Gleb przegapił moment, w którym ojciec ruszył do ataku. Było tylko słychać, jak od potwornego ciosu, który przebił się przez gardę, trzasnęła szczeka Sungata i Farbowany Lis upadł na ziemię, zasłaniając głowę rękami. Nie dając przeciwnikowi oprzytomnieć, Taran

zwaliał się na niego z góry, bombardując go krótkimi, mierzonymi kombinacjami uderzeń, i tylko dzięki wrodzonej gibkości brodaczkowi udało się zrzucić z siebie doświadczonego boksera. Sungat odturlał się i miękko jak kot zerwał na nogi. Oblizwał rozwalone wargi, roztarł sobie krew na twarzy i drapieźnie się uśmiechnął. Starcie z godnym przeciwnikiem podekscytowało żołnierza nie na żarty.

Wydawszy wojowniczy okrzyk, Farbowany Lis rzucił się na wroga. Głowę odrzucił mu do tyłu przepuszczony podbródkowy, ale napastnik osiągnął swój cel.

Objął stalkera rękami, próbując pozbawić go swobody manewru, a nawet udało mu się podstępnie trafić go pięścią w tył głowy, jednocześnie waląc kolanami po korpusie. Ale brudna strategia walki nie pomogła. Ułamek sekundy później wypucowane, sztywne buty wzbily się w powietrze i Taran, kończąc rzut, powalił przeciwnika na ziemię.

Sungat całym ciężarem wyrznął o bruk jezdnii. Najmocniej uderzył tyłem głowy i plecami. Stalker obrócił bezwładne ciało, zamknął kłamrę na szyi Farbowanego Lisa i naprężył mięśnie, miażdżąc tchawicę.

- To za Indianina, gnido!

Rudobrody zaczął się szarpać, łapiąc kurczowo za ręce i plecy przeciwnika.

Oczy mu się zapadły, a purpurowa z wysiłku twarz zaczęła sinieć.

- Kończ z bydlakiem! - wrzeszczał Dym. - Łam mu kark!

Ale Taran nie poszedł za jego radą i wciąż, kropla po kropli, wyciskał z wroga życie. To właśnie ocaliło Sungata. Na rozkaz Szustowa do walczących podbiegli żołnierze ochrony, z trudem oderwali Tarana od ofiary i odciągnęli przeciwników na boki. Zdawało się, że rudobrody nie przyjdzie do siebie, ale w jakiś czas po tym, jak położyli poszkodowanego na boku, ten zaczął jednak dawać oznaki życia, kaszlnął i jęknął. Z ohydnie zmasakrowanego policzka silnym strumieniem lała się krew, a na szyi wciąż jeszcze widać było czerwony odcisk ręki Tarana.

- I tak cię dorwę, sukinsynu! - wychrypiał pokonany i splunął.

Potem siły go opuściły i rudobrody odwrócił się na plecy, tracąc przytomność.

Stalkera i Gleba żołnierze popchnęli w stronę pozostałych członków ekspedycji, wewnątrz kordonu.

- Jak się czujesz? - zapytał Taran.

- W porządku. - Chłopak spuścił oczy, bojąc się spojrzeć na ojca.

- Podziękuj, że w porę zauważyliśmy, że cię nie ma - burknął stalker po złapaniu oddechu. - Gdyby Szustow nie wziął nas z sobą, to nie wiadomo, jak by się to skończyło...

- Myślisz, że tak po prostu urządził nam wycieczkę? - wtrącił Migalycz. - Coś mi się

zdaje, dowódco, że nasz los jest już przesądzony...

Szustow, który pojawił się jak spod ziemi, był ponury niczym chmura gradowa:

- Nie mogliście usiedzieć w miejscu, cholerne włóczykije?! Co ja teraz powiem szefowi?!

Panujący dookoła szum naraz ucichł, a przypadkowi gapie spośród miejscowych, podporządkowując się jakiejś bezgłośniejszemu komendzie, ulotnili się.

Wędrowców otaczali teraz tylko żołnierze z patrolu.

- Nic nie trzeba mówić - dał się słyszeć znajomy głos. - I tak wszystko jest jasne.

Pułkownik odpędził ruchem ręki swojego zastępcę i stanął oko w oko z Taranem. Utkwił zaniepokojony wzrok w dowódcy ekspedycji. Potem, kiedy nie znalazł w końcu w jego oczach żadnej słabości, spokojnie i z pewnym żalem kiwnął głową:

- Wiedziałem, że trzeba mieć się przy panu na bacności. Wiedziałem, a jednak nie wziąłem w rachubę, jak wścibski i ciekawski jest pański chłopak. - Władca schronu zerknął na Gleba. - Myślisz, że otworzyłeś wszystkim oczy, chłopcze? Idę o zakład, że twój ojciec rozgryzł naszą brygadę Stepowych Psów jeszcze tam, w Biełoriecku. Po prostu wolał nie grzebać w czyjejś brudnej bieliźnie w poszukiwaniu dowodów. Prawda, wędrowcze?

Taran w odpowiedzi kiwnął głową, ścierając krew ze stłuczonych kłykci.

- Młodzieńcze, czasem wygodniej jest nie doprowadzać do odkrycia kart.

Grałeś kiedyś w pokera? Twój ojciec i ja znaleźliśmy możliwość współpracy, ale teraz po prostu nie mogę was wypuścić na wolność z informacjami, które ty, urwisie, wygrzebałeś.

Na rozkaz Pułkownika strażnicy zadzwonili kajdankami i wędrowcy w mgnieniu oka z gości zamienili się w więźniów. Kiedy ogromne ręce Dyma obwiązali sznurem, ten próbował jeszcze stawiać opór, ale lufy automatów ostatecznie go przekonały.

- Wszystkich do izolatki! - rzucił krótko władca Jamantau i nagle się zachwiał, gwałtownie blednąc. - Potem się zastanowimy, co zrobić z tą pstrokatą zbieraniną...

* * *

Młot pneumatyczny stukotał miarowo w rękach Tarana, wyszarpując kawałki twardej skały. Okruchy sypały się pod nogi, większe fragmenty odgarniał na bok Gleb, z trudem operując ciężką łopatą. Wszechobecny pył węglowy osadzał się w nosie, w płucach, grubą warstwą pokrywał mokre od potu ciało.

W wyrobisku naprzeciwko pracowali Dym i Bezbożnik. Staruszka Migalycza i Aurorę oszczędzono - pełnili funkcję nosiwodów. Ciągąc za sobą wózki z rzędami baniek, nabierali długimi czerpakami mętną wodę i podawali zgarbionym, podobnym do cieni górnikom.

Od chwili, gdy jeńców wyprawiono na samo dno podziemnego ula, minęły trzy doby. Trzy wyczerpujące i nużące doby w błocie, mroku i smrodzie dusznych katakumb. Nawet oczyszczając dół na odpadki na ojczystej Moskiewskiej, Gleb nie czuł takiego zmęczenia jak tu, w bezdennych kopalniach węgla Jamantau.

Teraz zamiary Pułkownika stały się jasne jak słońce. W równie nieludzkich warunkach długo nie da się przetrwać, choćby nie wiadomo jak się starać.

Nieprzypadkowo do kopalni trafiali tylko sprawcy wykroczeń, kaleki i dożywające swoich krótkich dni mutanty, których wśród górników było sporo. Skoro już o tym mowa, władca schronu okazał swego rodzaju miłosierdzie, zamiast stryczka darując gościom, którzy popadli w niełaskę, coś na podobieństwo życia. Tutaj mogli zdradzać sekrety Stepowych Psów komu bądź, bo dla katorżników droga powrotna z szybów kopalni na górę nie istniała - zbyt straszna i niezdrowa była to praca, żeby trąbić o niej po całym Jamantau, co niewątpliwie podkopałoby reputację lokalnego bożka.

Gleba najbardziej zdziwiły słowa ojca, który próbował usprawiedliwić okrutną politykę Pułkownika. Krótka rozmowa odbyła się zaraz po tym, jak ogłoszono upragniony fajrant. I chłopiec wciąż nie mógł tych zdań wyrzucić z głowy.

- My mamy swoją prawdę, on swoją - tłumaczył Taran synowi. - Każdy chce przetrwać tak jak może. Jeśli oszustwem i groźbą udaje się trzymać uchodźców na uwięzi, to dlaczego nie? Kompleks funkcjonuje, a to znaczy, że obrona strategia jest efektywna...

Chłopak nie zgadzał się, przypominając o katastrofalnej sytuacji mieszkańców, sprowadzonych staraniem kasty wojskowych do statusu niewolników.

- Przynajmniej mają dach nad głową, jedzenie i solidną ochronę przed światem zewnętrznym - odparował Taran. - A takim zestawem nie może się pochwalić każdy mieszkaniec Petersburga... Kto wie, może połowa ludzi z metra ochoczo przeprowadziłaby się do Jamantau chronionego przez żelbetowe mury, zamiast zastanawiać się co godzinę, czy uda się pociągnąć jeszcze dzionek i nie trafić do żołądka jakiegoś stwora?

- Praca w zamian za bezpieczeństwo... - Chłopiec pokręcił z wahaniem głową. - Gdyby to było takie proste, Pułkownik nie musiałby wymyślać Stepowych Psów...

- To tylko gwarancja stabilności dla schronu i dodatkowy powód dla uchodźców, żeby nie szukać lepszego życia gdzie indziej - westchnął stalker, układając się wygodniej na zawilgoconej macie. - A poza tym jest to sposób na wpuszczanie do kolonii świeżej krwi...

Spoglądając na śpiących towarzyszy, którzy zbili się w gromadkę w skalnej niszy, okryci wspólnym dla wszystkich strzępem starego worka, Gleb nagle poczuł przypływ nienawiści do wojskowych żyjących bez trosk na swoim poziomie

„sztabowym”... Samozwańczych władców, spokojnie poświęcających pionki, by zachować bardziej wartościowe figury... Kiedy stawką jest przetrwanie ludzkości jako gatunku, czy jedni mają prawo do rozporządzania życiem drugich? I czy naprawdę wszystko skończy się tak... idiotycznie?

- Wychodzi na to, że wszystkich was zawiodłem... - powiedział z goryczą chłopiec.

- Nie obwiniaj się. W końcu okazało się, że miałeś rację... To moja wina, że nie podzieliłem się z tobą moimi planami. - Stalker smacznie ziewnął, obracając się na drugi bok.

- Pokonaliśmy taką drogę... Wychodzi na to, że na próżno...

- Pożyjemy, zobaczymy - wymamrotał sennie Taran. - A na razie pozostaje nam tylko czekać.

- Na co? - nie zrozumiał chłopiec.

- Na to, aż nasz najdroższy Samuel Natanowicz złoży Pułkownikowi propozycję nie do odrzucenia...

Zaintrygowany Gleb chciał już zapytać, co to właściwie za propozycja, ale sądząc z miarowego posapywania, stalker odpłynął już do krainy Morfeusza.

Zmęczony chłopiec odwrócił się na plecy, owinął w otrzymane łachmany i zamknął oczy. Jednak sen nie przychodził... Krople wody odrywały się od wilgotnego sufitu i jedna za drugą rozbiły o kaptur górniczego ubrania roboczego.

Po raz pierwszy w ciągu kilku ostatnich dni w zatęchłym, dusznym powietrzu podziemia zapachniało świeżością.

Tunelowy przeciąg?

Nie.

Tak pachnie tylko swobodny wiatr naziemnego świata. Wiatr przemian...

Rozdział 13

OKUP

- Kto tam?

Dźwięk własnego głosu, drżącego i skrzekliwego, dziwnie ukłuł go w uszy, zgrzytliwie przetoczył się pod sklepieniem pustej sali i rozpląnął w egipskich ciemnościach gdzieś tam, poza granicą widzialności. Staruszek wyciągnął rękę i namacał zasuwę. Metal, zimny i szorstki w dotyku, ledwie zauważalnie wibrował, sygnalizując, że w sąsiednim rezerwuarze pracuje instalacja odsalająca.

„Coś długo dzisiaj nie wyłączają...” - krzywiąc się, odnotował mechanik.

Lata monotonnej, wyczerpującej pracy w wilgotnych i ciemnych kazamatach zbiornika wodnego nie najlepiej wpływały na samopoczucie staruszka. Od ciągłego huczenia maszynierii powykęcane reumatyzmem stawy bolały i dokuczały mu coraz bardziej. Upragniona ulga przychodziła tylko w krótkich godzinach ciszy nocnej, kiedy to wyłączano urządzenia, aby przeprowadzić przegląd techniczny - wymianę filtrów i smarów, oględziny węzłów i spojeń gigantycznego, rozciągającego się aż na kilku piętrach agregatu, noszącego dumne miano „instalacji recyrkulacyjnej”.

Tutaj, w jednym z najdalszych zakątków poziomu technicznego Jamantau, zawsze było mało ludzi. Rezerwuary wód gruntowych, czyli potężne zbiorniki po tysiąc metrów sześciennych, nie wymagały specjalnej opieki. Dlatego pilnowanie nieskomplikowanych urządzeń i mierzenie poziomu wody w basenach przypadło akurat jemu, dożywającemu swoich dni uciekinierowi z Mieźgoria.

Jarosław Karpowicz, przezywany dziadkiem Karpyczem, ogólnie rzecz biorąc, był zadowolony ze swojej pracy, a długie godziny przymusowej samotności stawiał wyżej od zamętu i hałasu poziomu mieszkalnego - nabrał nawet nieszkodliwego nawyku rozmawiania z samym sobą. Jednak dzisiaj niespieszny i przepełniony rutyną bieg życia zakłóciło natarczywe pukanie do drzwi. Ktokolwiek pofatygował się dziś do tej skromnej oazy spokoju, dla Karpycza, który przez długie lata samotności zdążył odwyknąć od zainteresowania własną osobą, był gościem, rzecz jasna, niepożądanym.

- Kto tam? - powtórzył cierpliwie. W odpowiedzi drzwi znów zatrzęsły się od uderzeń.

Staruszek skrzywił się i chwycił obiema rękami za uchwyt zasuw, po czym z trudem

przepchnął ciężką sztabę przez zarośnięte rdzą skoble. Drzwi otwarły się, omal nie uderzając mechanika w głowę. Do sali pewnie wkroczył rosły nieznajomy w bezkształtnym płaszczu z dużym kapturem.

Gość ledwie skinął staruszkowi, po czym energicznie ruszył wzdłuż brzegu zbiornika, oświetlając sobie drogę latarką.

- Tak w ogóle, to kiedy człowiek się wita, powinien zdjąć nakrycie głowy - burknął Karpycz, speszony obrotnością bezczelnego gościa. - Skąd ty właściwie jesteś, postrzeleńcu?

„Nie inaczej, tylko z dowództwa” - doszedł do wniosku staruszek ponieważ. Nikt inny nie zachowywałby się w podobny sposób.

Karpycz podreptał w ślad za gościem, złożył służalczo ręce i cały czas próbował przymilnie się uśmiechnąć, ale człowiek w płaszczu, nie zwracając na niego uwagi, dalej omiatał światłem latarki zawilgotniałe ściany.

- Kontrola? - zebrał się w końcu na odwagę staruszek. - Mam tu pełny porządeczek! Wachty, przeglądy - wszystko według instrukcji, jak na szkoleniu...

Gość potknął się o schodek, chwycił się ogrodzenia i zaklął ze złością.

- Co ty, dobry człowieku, nie patrzysz pod nogi? - narzekał Karpycz. - Woda tu u nas zimna jak w studni. Jak wpadniesz do zbiornika, będzie niewesoło! Bo ja nie pobiegnę ratować. Nigdy pływać nie potrafiłem...

- Co tu tak ciemno jak w dupie u mutanta? - rzucił ze złością nieznajomy, zatrzymując się w połowie drogi. - A może to też „według instrukcji”?!

- Kiedy mi, kochanieńki, światło do niczego niepotrzebne... - tłumaczył się mechanik. - Oczy mam słabe. Jakoś bardziej się przyzwyczailem po omacku...

- Jak się przyzwyczaileś, to prowadź do systemu awaryjnego spustu wody!

Dziadek chrząknął, zerkając z niedowierzaniem na naczelnika. Przez wszystkie te lata nikt ani razu nie interesował się rezerwowym odpływem. Zresztą samo przeznaczenie śluzy, zamontowanej długo po wybudowaniu miasta, było dla wielu tajemnicą. Chociaż nie da się dzisiejszym rządzącym odmówić praktyczności...

Kiedy zaczęto eksploatować pokład węgla, pojawiła się konieczność utworzenia skutecznego systemu gaszenia pożarów w kopalni, każda awaria groziła zagładą całego schronu. Sprytni inżynierowie, długo się nie zastanawiając, zaproponowali, by wykorzystać do tego celu zbiorniki wody gruntowej. Odpływ wykuli całkiem szybko, zwłaszcza że rezerwuary znajdowały się wprost nad głównym szybem.

A w gospodarstwie Karpicza pojawił się jeszcze jeden mechanizm, którego trzeba było doglądać.

Zbliżywszy się do wmurowanego w ścianę koła zaworu, staruszek grzecznie odsunął się na bok i zamarł przed gościem w oczekiwaniu na dalsze polecenia.

- Co się tak gapisz? Otwieraj służę! - dobiegł go głuchy głos spod kaptura.

- Jak to... otwieraj? - zmieszał się mechanik. - Przecież tam są górnicy! Sam środek zmiany!

Nieznajomy wsunął rękę pod połę płaszcza, szukając kabury.

- Chyba że wybuchł pożar? - zreflektował się Karpycz. - Ale w takim razie dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

- Otwieraj tę cholerną służę, stary idioto! - ryknął gość.

W czoło mechanika spoglądała lufa pistoletu.

Tyle że dziadek, nic nie rozumiejąc, dalej wlepił wzrok w rozmytą postać w płaszczu, mrużąc niewidzące oczy.

- Bez rozkazu Pułkownika w żadnym wypadku mi nie wolno! - Karpycz gwałtownie potrząsał głową. - Trzeba by się połączyć ze sztabem...

Nieznajomy przenosił wzrok ze staruszka na pistolet i z powrotem, a potem zamachał mu ręką przed oczami.

- Przecież ty, dziadu, chyba ni chu chu nie widzisz... Tym lepiej. A ze służą sam sobie poradzę.

Gość zrzucił uprzykrzony kaptur i zbliżył się do ofiary. Brutalnie popchnięty Karpycz poleciał prosto do zbiornika. Owinięte w onuce nogi mignęły nad poręczą, rozległ się głośny plusk, bryzgi wody poleciały na wszystkie strony.

Na powierzchni brązowej od rdzy wody na moment pokazała się wykrzywiona przerażeniem twarz staruszka. Szeroko otwarte bezzębne usta, wytrzeszczone oczy, przyklepione do czoła mokre kosmyki białych włosów...

- Eee! - wydostało się z zaciskającego się kurczowo gardła. - Ratu...

Śmierząca glonami woda natychmiast zalała mu usta. Słabe ciało nie było w stanie walczyć z lodowatymi odmętami. Karpycz szybko słabł, ale udało mu się jeszcze raz wynurzyć i chciwie zaczerpnąć powietrza. Pod wpływem adrenaliny wzrok rozjaśnił się i kontury postaci, która pochylała się nad balustradą zbiornika, zyskały ostrość. Tylko na moment... Zbyt krótki, by zdążyć nacieszyć się odzyskaną zdolnością widzenia świata, ale wystarczający, by zapamiętać pozbawioną emocji, podobną do maski twarz rudobrodego zabójcy. Ułamek sekundy później woda znów zamknęła mu się nad głową i staruszek bezsilnie opadł na dno, w objęcia bolesnej agonii.

* * *

Na słuch zdawało się, że absolutnie nic się nie zmieniło. W uszach wciąż jeszcze dźwięczało, kiedy młot pneumatyczny nagle umilkł, a drzenie ciężkich niczym z ołowiu rąk wreszcie ustało.

Wraz z unieruchomieniem narzędzi zgasła też lampa, która oświetlała ciasny, zawalony skałami chodnik. W skąpym świetle czołówki Taran odrzucił znienawidzony młot i w ślad za synem wyszedł na skrzyżowanie tuneli, z rozkoszą rozprostowując plecy.

- Wyłączyli prąd - skostatował Gleb i kopnął walające się w pyłe węglowym kable.

- Widocznie znów padł generator - Migałycz zaczerpnął wody z bańki i podał czerpak robotnikom. - Mam nadzieję, że zejdzie im z naprawą do końca zmiany...

Z pogrążonego w ciemnościach wyrobiska wychynął Giennadij. Najpierw pokazała się głowa, za nią muskularne bary i w końcu lśniący od potu tors.

W ciasnych przejściach mutant ze swoimi potężnymi gabarytami musiał dokonywać cudów zwinności, aby nie zetrzeć sobie skóry do krwi o chropowate niczym pilnik ściany i nie pokaleczyć się o ostre krawędzie wystających skał.

Przygarbiony, pociągający zakatarzonym nosem Bezbożnik wyszedł z chodnika i zmęczony oparł się o wagonik na węgiel. Aurora podała mu pełen po brzegi czerpak, ale Dym przechwycił naczynie i zaczął chciwie połykać wodę.

- Patrzcie go, jak zaszuwa... - uśmiechnął się krzywo lekarz. - Uważaj, bo pęknie, zielony!

Taran podniósł ostrzegawczo rękę, prosząc o ciszę. Bezbożnik utkwiał w dowódcy pytający wzrok. Nawet Dym zakrzuszył się i oderwał od czerpaka.

- Słyszycie? - Stalker popatrzył czujnie na tunel prowadzący do głównego szybu.

Teraz, kiedy szum i bulgotanie wydawane przez bezdenne gardło Giennadija ucichły, dał się słyszeć szmer wody. Z początku było to bębnienie kropel, potem niewyraźny odgłos podobny do szumu deszczu, który po sekundzie przeszedł w istny ryk wodospadu. W reakcji na tę kakofonię rozległy się pierwsze paniczne krzyki robotników. Gdzieś tam, w głębi centralnego szybu kopalni, zaczęło zalewać niższe poziomy.

- Wody gruntowe? - przypuścił z obawą Migałycz.

- Trzeba to sprawdzić! - Gleb chciał już ruszyć, ale Taran zdążył złapać chłopaka za kołnierz.

- Wracaj! Zostańcie wszyscy na miejscu!

Stalker pokonał dwadzieścia metrów dzielące załogę od szybu i zamarł parę kroków od skraju przepaści. Gdzieś z góry spływał bystry brunatny potok wymieszany z grudami gliny i kamieniami. Cała ta szalejąca masa wody, z dużą prędkością, podmywając ściany, z hukiem spadała w otchłań szybu, grożąc, że w krótkim czasie zatopi wszystko dookoła. Na trzęsącej się pod naporem żywiołu linie żałośnie dyndały kawałki drewna - wszystko, co zostało po rozbitej w drzazgi kabinie windy. Wystarczyło raz spojrzeć na poszarpany sznur, żeby pojąć, że wyjście z kopalni zostało odcięte.

- No ładnie!... - zawołał przeciągle zza jego pleców Giennadij, przekrzykując ryk wody. - Zaraz przyjdzie kolej na nas!

Na potwierdzenie jego słów światło latarki padło na unoszącą się brązową falę, która pokazała się już nad krawędzią kanału. To oznaczało tylko jedno - dolny poziom kopalni wraz z brygadą pracujących na nim górników był zatopiony. Wody przybywało z każdą sekundą i wkrótce pierwsze nieśmiałe strużki pojawiły się na ubitej powierzchni chodnika.

- Wycofujemy się!

Taran jako pierwszy wrócił do ciemnego korytarza, stanął przy najbliższej podporze i popchnął przeżarty przez robaki słup, sprawdzając jego wytrzymałość.

- Musimy zasypać korytarz! - wyjaśnił towarzyszowi, który zdążył tymczasem nadbiec. - To zatrzyma wodę!

- Odbiło ci, przyjacielu? - Dym pokręcił sobie palcem koło skroni. - Jeśli będzie zawał, to załatwi nas wszystkich!

- A mamy inne wyjście? Jak nie zatkamy korytarza, to na pewno nas załatwi!

Giennadij spojrzał sceptycznie na wyłożony deskami sufit chodnika i niechętnie skinął głową.

- Można spróbować. W końcu niszczenie to nie budowanie! Ale wybacz - tym zajmę się ja. - Gigant delikatnie odsunął rozmówcę, studiując szalunki i mocowania.

- A ty, dowódco, zabierz pozostałych!

Stalkerowi nie spieszyło się jednak, by opuszczać towarzysza. Świeże jeszcze było wspomnienie koszmarnych, potwornie długich minut spędzonych pod osuwiskiem w sztolniach Czerwonego Szlaku... Gdyby nie zdziwaczały zek, który dosłownie wyciągnął Tarana z tamtego świata, Gleb zostałby sierotą po raz drugi...

Potem, werbując ekipę do ekspedycji, stalker wywiedziało się w końcu paru rzeczy o swoim wybawcy. Okazał się nim niejaki Uberfuhrer, „czerwony” skinhead i postrzelonec jakich mało. W całym peterskim metrze krążyło o nim mnóstwo opowieści i legend, ale

ponowne odnalezienie właściciela dźwięcznego przezwiska okazało się ponad siły Tarana, mimo jego wpływów i kontaktów.

- Idź, powiedziałem! Będziesz tylko przeszkadzał! - nalegał Dym.

W końcu stalker uległ, rozsądnie uznawszy, że Giennadij ze swoimi warunkami fizycznymi nadaje się do tego zadania jak nikt inny. Oddalając się, rzucił przez ramię:

- Bądź ostrożny!

- Nie bój się, dowódco! Zrobię to najlepiej, jak się da...

Mutant odprowadził wzrokiem niknącą w mroku sylwetkę, po czym splunął w dłonie, wyszczerzył ze złością zęby i całym ciężarem natarł na słup. Konstrukcja głucho zatrzeszczała, na wyschniętym drewnie pokazało się pęknięcie. Dym pchnął jeszcze mocniej. Słup nie wytrzymał naporu i wyskoczył z umocowania, a mutant poturlał się po ziemi. Przez szczeliny w wyraźnie zapadniętym szalunku posypały się drobne kamyczki i piasek, ale strop wytrzymał. Giennadij, który zdążył odskoczyć na sporą odległość, cicho zaklął, podniósł z ziemi pał, i niczym wytrawny oszczepnik wypuścił zaimprovizowany pocisk. Od potężnego uderzenia sąsiednia podpora złamała się w pół i tunel w końcu się poddał. Zrywając belki szalunku, na korytarz zwały się tony piaskowca.

Kiedy z głębi chodnika dobiegł huk zawału, Aurora cicho jęknęła i ukryła twarz w dłoniach. Do ślepej uliczki, w której się ukryli, wpadła chmura węglowego pyłu. W ślad za nią w krąg światła czołówek jak diabeł z pudełka wyskoczył czarny muskularny gigant, co sprawiło, że załoga solidnie się przestraszyła. Rozpoznawszy w pokrytej pyłem postaci Dyma, wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Co z tobą? - przyskoczył do niego Taran.

- W porządku - burknął poprzez kaszel Giennadij. - Wyjście jest zablokowane. Zyskaliśmy trochę czasu.

- I co dalej? - Gleb spoglądał na ojca z nadzieją. - Przecież jesteśmy teraz w pułapce!...

Taran obrzucił wzrokiem niewielką kawernę. Spojrzał z ukosa na zwalone bezładnie na kupę łopaty i kilofy.

- Będziemy czekać i mieć nadzieję, że woda opadnie. Wtedy spróbujemy dokopać się do centralnego szybu. Narzędzia mamy.

Załoga ucichła i rozeszła się po kątach w poszukiwaniu czegoś wygodnego do siedzenia. Nie mieli ochoty omawiać tego, co się wydarzyło, poza tym nikt nie miał na to siły po wykańczającej szychcie. Przysłuchując się z obawą głuchemu łoskotowi wody za warstwą gruntu, każdy myślał o swoich sprawach.

Wspominając swój lekkomyślny zachwyty w przededniu długo oczekiwanej wyprawy, Gleb leciutko się uśmiechnął, a potem ciężko westchnął. Od tamtych beztroskich czasów wiele się zmieniło. Indianin zginął, a i pozostali znajdowali się teraz w kiepskim położeniu... Kto mógłby przypuszczać, że długa, pełna przygód droga zawiedzie ich tutaj, do skrytych głęboko we wnętrzu góry katakumb? Pokonać taki dystans, żeby znów znaleźć się pod ziemią... Czy to nie ironia losu?

Od czarnych myśli oderwało Gleba odczucie dotkliwego zimna - buty ostatecznie mu przemokły. Teraz tylko patrzeć, jak się przeziębą! Chłopiec zadrżał, spojrzął na nędzne trepy i dopiero teraz zauważył, że nogi ma po kostki zanurzone w wodzie. Chłopak wyskoczył z kałuży i pospiesznie przebadał nierówne podłoże ich niepewnego schronienia. Cienki strumyczek sączył się od strony zasypanego korytarza, nierówną linią przecinał całą komorę i tworzył miniaturowe jezioro pod przeciwległą ścianą.

- Wody przybywa! - przestraszyła się Aurora. - Zaczyna się...

W ciągu kilku minut dno kawerny zalało w całości, a sądząc po rosnącej intensywności strumienia, fortuna ostatecznie odwróciła się od wędrowców.

- Koniec, bracia. To była nasza ostatnia przejażdżka... - cichym i jakby zwyczajnym tonem powiedział Migalycz. - Nie na darmo mówi się, że kropla drąży skałę. Woda znalazła jednak odpływ...

Oczy obecnych mimowolnie skierowały się na dowódcę. Zawsze emanujący pewnością siebie, Taran zagubionym wzrokiem śledził strumień wody i nie uronił ani słowa, by zapobiec ogarniającej ich panice.

„Nie milcz! - błagał go w myślach Gleb. - Powiedz cokolwiek! Przecież zawsze znajdowałeś rozwiązanie!”

Zdawało się, że stalker całkowicie stracił wiarę we własne siły. Nie podnosząc głowy, doczłapał do przeciwległego rogu, ze zmęczeniem oparł się o ścianę...

- Znalazła odpływ, powiadasz?

Stalker rzucił te słowa w pustkę i Migalycz z początku nawet nie odebrał ich jako skierowanych do siebie, ale kiedy zrozumiał ich sens, pospiesznie wylazł z upatrzonej wnęki w skałę i od razu znalazł się w sięgającej mu niemal do pasa brunatnej wodzie. W ślad za dowódcą podążyli pozostali, szepcząc do siebie z przejęciem.

W odkrytym przez Tarana miejscu strumień wody tworzył łagodny wir, co wskazywało na obecność skrytej wśród kamieni dziury, przez którą woda powoli, ale jednak wyciekała z kawerny.

- Ujście! - zawołał Gleb, nie zdoławszy ukryć radości. - Widocznie gdzieś w

podstawie ściany jest pęknięcie! Trzeba spróbować poszerzyć odpływ!

- Czytasz w moich myślach - uśmiechnął się Taran. - Dym, starczy już tego relaksu! Znów mam dla ciebie robótkę.

Giennadij ochoczo pomacał rękami po dnie i z triumfalnym okrzykiem wyciągnął ciężki kilof.

- No, chłopcy, z drogi! Bo jeszcze kogoś niechcący uderzę...

Mutant głośno wypuścił powietrze i opuścił narzędzie na nieustępliwą skałę, wzbijając fontannę bryzgów. Potem jeszcze raz... I jeszcze... Za czwartym razem kilof nieoczekiwanie wpadł gdzieś do wnętrza ściany, woda zakotłowała się i głośnym strumieniem popłynęła do powstałej wyrwy.

Wędrowcy zaczęli krzyżeć i wiwatować, nie mogąc już powstrzymać emocji.

Mokrzy i drżący z zimna, ale niezmiernie szczęśliwi, skupili się obok dziury, której górna krawędź już pokazała się nad powierzchnią wody.

- No i co tam? - Bezbożnik niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, usiłując zajrzeć za potężne plecy mutantu.

- Jakaś pieczara. Ni cholery nie widać!

Giennadij ustąpił miejsca zwinnemu Glebowi. Chłopak wcisnął się przez wyrwę, poświecił latarką i, rozejrzawszy się, przedostał się na drugą stronę.

- To chyba porzucone wyrobisko! - dobiegł przytłumiony przez odległość głos. - Chodźcie, tu jest sucho!

Wciąż jeszcze nie wierząc w cudowne ocalenie, wędrowcy najpierw poszerzyli dziurę, a potem jeden za drugim pokonali przeszkodę i znaleźli się w surowo wykończonym pochyłym szybie. Woda płynęła wartkim strumieniem w dół, ginąc im z oczu za zakrętem tunelu. Kiedy z wąskiego przejścia udało się wyciągnąć Giennadija, od razu, bez namawiania się, postanowili iść w przeciwnym kierunku.

Łagodne i dość długie podejście zakończyło się wyciosanym w skale łukiem, zagrodzonym przez rząd grubych prętów zbrojeniowych. Za kratą w słabym świetle latarek można było dostrzec tylko skrawek rozwidlenia dróg i krótki kawałek poprzecznego korytarza.

- Poznaję to miejsce! - szepnął gorączkowo Migalycz. - To górny poziom kopalni! Prowadzili nas obok tej bramy! Zaraz za rogiem jest wartownia, a dalej dojdzie do windy i centralnego szybu!

- Nie przebijemy się bez broni... - rozmyślał Taran na głos. - Jeśli nas zauważą...

- Ależ poczekaj, dowódco! - Zdrowe oko staruszka zadrgało z ekscytacji. - Jeszcze nie

skończyłem. Pamiętasz tę klitkę, w której wydawali nam ubrania robocze? To tuż obok! A w ścianie naprzeciwko była interesująca osłona...

- Szyb wentylacyjny? - połapał się stalker, jednym uchem nasłuchując dźwięków z zewnątrz.

- Wentylacja czy szyb rurociągu... Co za różnica? To nasza szansa! Każda instalacja wymaga obsługi, a to znaczy, że da się tam wejść! Czy to metro, czy schron przeciwoatomowy - jeden pies, nie zaprojektujesz podziemnej magistrali bez włączów technicznych!

Taran skinął kolejarzowi głową i oszacował przeszkodę wzrokiem.

- Wybacz, Dym, ale dzisiaj cały dzień musisz zasuwać za resztę... Dasz radę?

Zamiast odpowiedzi Dym zdecydowanym krokiem podszedł do kraty. Mięśnie na rękach i plecach mutanta nabrzmiały, a na zielonkawej skórze, zdradzając skrajny wysiłek, wystąpiły żyły. Zdawało się, że nic się nie dzieje, ale zaraz ze szczytu bramy posypały się płatki rdzy i przyspawane na amen pręty, ulegając potwornej sile giganta, zaczęły powoli się wyginać. W którymś momencie Giennadij zrobił przerwę, chciwie łapiąc powietrze. Potężna klatka piersiowa mutanta unosiła się i opadała jak ogromny miech kowalski, ale, pomimo zmęczenia, oczy błyszczały mu podnieceniem.

- Solidnie zrobione! - pochwalił Dym nieznanym budowniczym. - Ale i my sroce spod ogona nie wypadliśmy...

Mutant ponownie chwycił za wygięty pręt, zapał się nogą o futrynę i jednym szybkim ruchem wyprostował plecy. Metal poddał się i przeciągle zazgrzytał.

Giennadij odsunął się od kraty, sycąc oczy efektami swojej pracy. Przez szczelinę, która powstała między prętami, można było bez trudu się przecisnąć. Wkrótce cała drużyna skradała się korytarzem, starając się nawet nie oddychać.

Od strony szybu dochodziły głośnie przekleństwa nadzorców starających się wyjaśnić przyczynę zatopienia dolnych poziomów. Być może to właśnie dzięki temu zbiegowie zdołali dotrzeć niezauważenie do wspomnianych drzwiczek do systemu wentylacyjnego.

- Brawo, Migałycz! Masz oko! - pochwalił Taran po tym, jak zajrzał do zakurzonego przejścia. - Dokładnie to, czego nam trzeba!

Krótką drogą przez kanał wentylacyjny zakończyła się jeszcze jedną przesłoną, po zdjęciu której pokryci pajęczynami wędrowcy wpadli do przestronnego, prowadzącego wysoko do góry szybu windy towarowej. Wmurowane w beton żelazne szczeble jakby specjalnie dla nich utworzonej drabiny wyglądały na dość solidne, żeby spróbować wdrapać się po nich na górę.

- Niech padnę trupem, jeśli to nie... - powiedział szybko Bezbożnik, a potem nagle

pokręcił głową. - Takie rzeczy się nie zdarzają... Żeby aż tak nam się udało...

Rozumiecie, co to oznacza?

Gleb podążył za wzrokiem Samuela Natanowicza i w końcu też to zauważył...

Na jednej z chropowatych betonowych ścian, ledwie widoczne pod warstwą pleśni, widniały znajome cyfry „0” i „4”.

- To oznacza, że prawie się wydostaliśmy - odpowiedział za lekarza Taran.

* * *

W chłodnej jaskini panowały półmrok i cisza - nietypowe w tym zwykle pełnym życia miejscu. Nie było ryku silników transporterów opancerzonych, boksów remontowych nie rozświeślały błyski spawarek elektrycznych, sylwetki odłączonych od prądu suwnic wznosiły się jak pozbawione życia kolosy. Zdawało się, że gigantyczny hangar porzucono wieki temu. Ale oto pod sklepieniem hali zabrzmiało echo mechanicznych odgłosów. Zgrzyty, trzaski, miarowy stukot...

Jakby gigantyczny stojący zegar nagle przebudził się z długiego snu i teraz gotował się, by wybić właściwą godzinę. Ręcznie wprawione w ruch opancerzone skrzydła hermetycznych wrót drgnęły i niechętnie się rozsunęły. Skrzypienie trybów ucichło i tylko echo wciąż jeszcze niosło się po pustych korytarzach bazy.

Przez powstałą szczelinę jak mgliste cienie prześlizgnęło się kilka szybko poruszających się postaci. W całkowitym milczeniu dziwna procesja dotarła do ogromnego pojazdu osłoniętego przed wilgocią i bezustannym kapaniem wody wielkimi płachtami brezentu. Cicho brzęknęły otwierane drzwi, zaszeleściły gorączkowo ściągane na ziemię pokrowce.

- Dowódco! Dowódco, słyszysz mnie?! - szepnął w ciemność Migałycz, przechylając się przez oparcie fotela kierowcy.

Za plecami wyrosła mu masywna postać.

- Co tam?

- Baki są puste! Cysterna tak samo! Ci cholerni cwaniacy wypompowali paliwo!

- Amunicji też nie ma! - dał się słyszeć pełen irytacji głos Dyma. - No to sobie nie postrzelamy...

Stalker cicho zaklął, szacując błyskawicznie topniejące szanse na ucieczkę.

Sekundę później oślepiające smugi światła reflektorów uderzyły w nich ze wszystkich stron, zalewając peron i stojący na jego środku transporter nierealnie jasnym światłem. Znajdujący się w kabinie Taran i Migalycz dostali po oczach mocniej od pozostałych. Zaciekle pocierali zażawione oczy i wciąż w żaden sposób nie mogli dojść do siebie. Kiedy poprzez migoczące białe plamy zaczęli wreszcie dostrzegać otaczające ich przedmioty, wokół Maleństwa utworzył się już podwójny kordon zakutych w pancerze żołnierzy korpusu ochrony.

Prześlizgnąwszy się między dwoma roslymi strażnikami z pistoletami maszynowymi, w środek kordonu wszedł człowiek w szarym kombinezonie i niedbale zarzuconym na ramiona płaszczu. Pułkownik we własnej osobie...

Sądząc z wszelkich oznak, władcę schronu dopiero co obudzono. Niezdrowa, szarawa cera, zaczerwienione oczy i rozszerzone źrenice wyraźnie sugerowały niewyspanie i przemęczenie... albo też świadczyły o starannie skrywanym bólu.

Wojskowy stanął nieopodal transportera i zamarł w oczekiwaniu, nie wypowiadając ani słowa.

- Co teraz będzie? - wymamrotała strwożona Aurora.

- To, co należało zrobić na samym początku - powiedział półgłosem Bezbożnik, wstając z ławki.

Taran ożywił się i rzucił na lekarza badawcze spojrzenie.

- Jesteś pewien?

Samuel Natanowicz przystanął przy drzwiczkach wyjściowych, podniósł dłonie do twarzy, przyglądając się swoim palcom, jakby widział je po raz pierwszy.

- Przysiągłem sobie, że nie wrócę do swojego dawnego zajęcia... Ale jeśli innego wyjścia nie ma...

- O czym on mówi? - Dym trącił Gleba łokciem.

Ale ten machnął na niego ociężałą ręką i podbiegł do lekarza. W oczach chłopca szalał niepokój połączony ze smutkiem w przeczuciu nieuchronnego rozstania.

- Będziesz go leczył?

- Spróbuję. - Bezbożnik w zadumie potarł nasadę nosa. - Trepanacja czaszki to nie są żarty. A obawiam się, że bez niej się w tym przypadku nie obejdzie.

Pułkownik chwalił się, że w schronie jest świetnie wyposażona sala operacyjna z całym niezbędnym sprzętem. Jeśli to prawda, to ma jeszcze szansę.

- Myślisz, że pozwoli nam zabrać tajemnicę Stepowych Psów? Wypuści nas w zamian za operację?

- W zamian za własne życie - uściślił Migalycz. - A to nie tak znowu mało...

Gleb z przestraczem obserwował nadrabiającego miną Samuela Natanowicza... Zamiast po prostu wysłać niechcianych gości pod ścianę, Pułkownik umieścił całą załogę w kopalni... Teraz było jasne dlaczego. Cierpliwie czekał i w końcu zmusił lekarza, by znów chwycił za skalpel...

- Ale w takim razie będziesz musiał zostać w Jamantau!... - Zrozpaczony chłopak zacisnął pięści. - Przynajmniej do czasu, kiedy stan Pułkownika się nie poprawi!

- Jeśli w ogóle się poprawi... - dodał ponuro Giennadij.

- I na pewno nie puści cię, kiedy będzie po wszystkim! Gdzie on znajdzie drugiego takiego chirurga? - starał się przekonać Bezbożnika Gleb.

Samuel Natanowicz pogłaskał chłopca po rozwichrzonej czuprynie, mrugnął do Aurory, w której oczach błyszczały już gorzkie łzy.

- Chociaż Pułkownik uważa się za zapalonego karciarza i doskonałego gracza, my też mamy asa w rękawie...

Samuel Natanowicz poszperał nad nadprożem wjazdu i ruchem iluzjonisty wyciągnął na światło dzienne próbkę z podejrzenie znajomym żółtawym proszkiem. Widząc zdumienie na twarzach przyjaciół, zadowolony z wywołanego efektu lekarz lekko się uśmiechnął.

- To ty przez cały ten czas trzymałeś mózgołamacza w wozie?! - oburzył się Taran.

- Ależ daj spokój, dowódco! - Bezbożnik leciutko potrząsnął probówką i podniósł ją bliżej lampki, badając wzrokiem zawartość. - Pobrałem tylko próbkę zarodników... Ale wyłącznie w interesie nauki!

- A gdyby ta nauka nam wyszła bokiem? - Dym zerkał z niechęcią na niepozorne szklane naczynie, wspominając, co pleśń wyrabiała z jego umysłem.

Bezbożnik, uśmiechając się ze skruchą, wzruszył ramionami.

- I co teraz zrobisz z tą próbką? - dopytała Aurora, nagle blednąc. - Przecież tam są ludzie... Uchodźcy...

- Nie bój się, kochana! Uwolnię mózgołamacza na poziomie sztabowym. Przy pierwszych objawach epidemii odetną całe piętro i wprowadzą kwarantannę. I wtedy przyjdzie moja kolej, żeby dyktować warunki. Ale mam wielką nadzieję, że do tego nie dojdzie i nie będzie trzeba wypuszczać dzina z butelki.

Samuel Natanowicz schował próbkę do kieszeni, obrzucił spojrzeniem przyjaciół, zatrzymując się przy każdym na długą chwilę, jakby starał się jak najlepiej zapamiętać twarze ludzi, którzy stali się mu bliscy jak rodzina. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale usta zadrżały

zdradziecko i lekarz się rozmyślił.

- Zabierzemy cię w drodze powrotnej - powiedział głucho Taran. - Tylko na nas poczekaj...

- A dokąd miałbym iść?

Z nienaturalnie dziarskim uśmiechem Bezbożnik zasalutował załodze i wyszedł na zewnątrz.

Przez otwarty luk było świetnie słyhać, jak władca schronu rzekł:

- Cieszę się, że podjął pan rozsądną decyzję, Samuelu Natanowiczu. Do pańskiej dyspozycji będzie cały personel medyczny i wyposażenie schronu.

- W kopalni zginęły dziesiątki ludzi! - odpowiedział ostro lekarz. - Sami też ledwie się uratowaliśmy. Ucieczka to też część przedstawienia? Cel uświęca środki?

- Nie mam nic wspólnego z zalaniem kopalni - w głosie Pułkownika dał się słyszeć smutek. - Winny zostanie znaleziony oraz ukarany. A was odkryliśmy, kiedy włączył się czujnik ruchu w szybie windy. Miałem wystarczająco dużo czasu, żeby przygotować wam gorące powitanie.

Bezbożnik nie powiedział już ani słowa. Widać było, że rozmowa dobiegła końca. Gleb podniósł się z ławki, żeby widzieć obu rozmówców. Samuel Natanowicz, przygarbiony, włókł się w stronę zapory. Władca schronu przeciwnie, wciąż jeszcze stał obok Maleństwa. Zdawało się, że jego ciężki wzrok przenika pancierz transportera na wylot. Widać było, że Pułkownik nie miał ochoty wypuszczać niesfornych gości.

- Oddajcie im paliwo i amunicję - rzucił w końcu krótko, odwrócił się i ruszył w ślad za lekarzem.

Dobito targu...

* * *

Kardiograf uspokajająco popiskiwał, odmierzając uderzenia serca. Łagodne, przytłumione światło sączyło się ze ściennych paneli, otulając salę szpitalną i przykrytego kołdrą człowieka nierealnym, rozmytym blaskiem. Pacjent, oklejony czujnikami, z zabandażowaną głową i rurką oddechową w nosie, pozostawał nieruchomy. Klatka piersiowa unosiła się miarowo, co jakiś czas drgały palce u rąk.

Organizm powoli budził się z długiego snu.

- Ale ty się czepiasz tego swojego bezużytecznego życia...

Stojąc u wezglowia łóżka, Sungat patrzył z obrzydzeniem, jak z na wpół otwartych ust Pułkownika cieknie ślina, pozostawiając na poduszce mokry ślad.

Długie miesiące czekania na chwilę, kiedy choroba wreszcie dobije starucha mogły teraz zamienić się w lata, jeśli nie dziesięciolecia dreptania w miejscu, na drugim planie przy „carskim tronie”. I wszystko dzięki temu nie wiadomo skąd wytrzaśniętemu chirurgowi...

Patrząc na chorobliwie wychudzone policzki, zwiotczały podbródek, pomarszczone, pokryte plamami pigmentowymi czoło, Farbowany Lis nie poznawał w bezbronny starcu dawnego, kochającego władzę i nieznoszącego sprzeciwu wodza, którego nazwisko wystarczało, by uciszyć rozmawiających i wprowadzić ich w nabożny lęk.

- Zestarzałeś się, biedaku... I czas już na wieczny odpoczynek...

Gość poruszył się i podszedł do samego łóżka...

- Hej, panie szanowny! Nie czas na odwiedziny! Pacjent jeszcze nie wybudził się z narkozy!

Kiedy Samuel Natanowicz otworzył drzwi do separatki i zauważył pochyloną nad Pułkownikiem sylwetkę, zdecydowanym krokiem podszedł do nieznajomego, żeby go wyprosić. Im bardziej się zbliżał, tym szybciej rósł jego niepokój, tym więcej przerażających szczegółów rzucało mu się w oczy. Wyłączone monitory systemu reanimacyjnego, niedbale zrzucona na ziemię pajęczyna czujników, odsunięta na bok kołdra, spod której wystaje, zwisając z łóżka, noga Pułkownika...

- Co... Co to wszystko...

Dopiero teraz lekarz zauważył w rękach potężnie zbudowanego gościa poduszkę, którą ten przyciskał głowę pacjenta do łóżka.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął Bezbożnik, rzucając się naprzód.

Zatrzymał go jednak pistolet w drugiej ręce zabójcy. Sungat odwrócił się do chirurga, uśmiechnął się ponuro i syknął:

- Stój, gdzie stoisz, konowale!

Poduszka zsunęła się z poszarzałej twarzy pacjenta. Pułkownik skonał, nie odzyskawszy przytomności.

- Dlaczego? - zapytał ochryple Samuel Natanowicz.

Ledwie miał siłę poruszać językiem. Ponieść klęskę, będąc o krok od sukcesu... Kiedy za nim była skomplikowana, koronkowo wykonana operacja, która wróciła mu wiarę we własne siły i stała się zwieńczeniem jego kariery! I taki niesławny, głupi koniec... Wraz ze śmiercią pacjenta lodowata pustka wewnętrzna wróciła na znajome miejsce. Nagle Bezbożnik

uświadomił sobie wyraźnie, że przekleństwo wciąż jeszcze nad nim wisi, odbierając życie tym, którym próbuje je ocalić...

- Miasto potrzebuje nowego lidera. - Oczy Sungata płonęły piekielnym ogniem.

- Takiego jak ty?

- A masz coś przeciwko, staruchu? Ty żalosny kawałku łajna, o mało nie pokrzyżowałeś wszystkich moich planów! Ty i cała ta wasza śmierdząca zbieranina!

Szczególnie ten stalker... Jak mu tam... Taran? Mieliście zdechnąć jeszcze tam, w kopalni! - Ostatnie zdanie bandyta wykrzyczał, nie będąc już w stanie powstrzymać gniewu. - Ale to nic... Tak tego nie zostawię... Twój koleżka publicznie mnie poniżył i to nie ujdzie mu płazem... A zacznę od ciebie, pieprzony luminarzu nauki...

- Przeżyłem już swoje... - Samuel Natanowicz patrzył na Farbowanego Lisa z lekkim uśmiechem na zmęczonej twarzy. - A Taran... Nawet jeśli dogonisz ekspedycję, w co bardzo wątpię, to nie dostaniesz Tarana, choćbyś bardzo chciał...

A wiesz dlaczego?

Bezbożnik bez cienia strachu zbliżył się do zabójcy, czując, jak piersi dotyka mu lufa pistoletu. Sungat w napięciu czekał na odpowiedź. Usta wykrzywiała mu złość.

- Dlatego, że z was dwóch jaja ma tylko on!

Z gardła Farbowanego Lisa wyrwał się zwierzęcy, pełen nienawiści ryk. Broń zadrgała mu w dłoni, plując ogniem. Samuel Natanowicz osunął się bezwładnie na podłogę i podrygiwał za każdym razem, gdy kolejna porcja ołowiu przeszywała bezbronne ciało. Nawet kiedy magazynek został opróżniony i zamiast wystrzałów dały się słyszeć suche trzaski iglicy, zabójca wciąż naciskał na spust, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki, bardziej przypominające syk niż ludzką mowę.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadli strażnicy. Widząc wysoko postawionego dowódcę z bronią w ręku, obaj na moment przystanęli, jednocześnie przenosząc wzrok na rozciągnięte na podłodze zakrwawione ciało.

- Pułkownik nie żyje! - zawołał Sungat, który zdążył już zapanować nad sobą.

- Zastałem zabójcę na miejscu zbrodni!

Zanim żołnierze się opamiętali, Farbowany Lis podszedł do jednego z nich, jasnowłosego niedorajdy o grubych, nieregularnych rysach twarzy.

- Jak się nazywasz? Zresztą nieważne. Idę po Szustowa! Nikogo nie wpuszczać! Czekać na rozkazy!

Strażnicy stanęli na baczność, odprowadzając rosłą postać wzrokiem. Kiedy tylko Sungat zniknął za drzwiami, obaj westchnęli z ulgą, spojrzeli po sobie tępych wzrokiem i

zaczęli rozglądać się dookoła, badając miejsce zbrodni.

- No i co my tu mamy?

Blondyn schylił się i dwoma palcami, starając się nie pobrudzić, wy dobył z kałuży krwi próbkę.

- Przypomina kwas - rzucił jego kolega, obserwując przez szkło lekki żółty pyłek.

- Myślisz? - powątpiewał znalazca. - A jeśli to coś groźnego dla zdrowia?

- Ależ przestań! Popatrz na tego zdechlaka! Przecież widać, że to był narkoman. To na pewno kwas - oznajmił kategorycznie drugi.

- To co, zabawimy się po fajrancie? - Blondyn marzycielsko wywrócił oczy.

- E, nie... Wieczorem muszę drałować do obozu! - Jego towarzysz zręcznie przechwycił próbkę. - Podzielimy po połowie. I strzelę sobie w Białowieżę.

Blondyn kiwnął głową niechętnie, pożądliwie i jednocześnie z pewną obawą spoglądając na proszek.

Dżinn w butelce spokojnie spał.

Na razie...

Rozdział 14

NIESPORCZAKI

W mesie wciąż jeszcze czuć było spalenizną, a w miejscach, gdzie mechanicy Jamantau przyspawali wielowarstwowe metalowe łąty zastępujące niezdatny już do użytku, posiekany kulami pancierz, ścianki były osmalone. Pułkownik wyświadczył wędrowcom wielką przysługę, nakazując naprawę samobieżnej wyrzutni. Odnowione Maleństwo, z wymienionym układem jezdnym i wzmocnionymi burtami, było dla załogi prawdziwą niespodzianką.

Dowódca i Migałycz, prowadząc na zmianę, gnali transporter jak najdalej od Jamantau, przez lesiste wzgórza, uparcie posuwając się na południe. Gdzieś tam, zagubione wśród szerokich zaśnieżonych stepów obwodu orienburskiego, leżało miasteczko Jasnyj i jego główna niegdyś atrakcja - kosmodrom, z którego startowały rakiety Dniepr. Czy miasto przetrwało chaos nuklearnej apokalipsy, czy ponad dwadzieścia lat po wojnie ktoś w nim jeszcze mieszkał - można się było tylko domyślać. Jednak intrygujące nagranie z dyktafonu Pułkownika dawało cię szansy na spotkanie z kimś, kto ocalał. Później kolejną transmisję tajemniczego nieznanego udało się złapać przez radiostację Maleństwa, co tylko umocniło Tarana w przekonaniu, że podjął dobrą decyzję, by jechać do jednostki wojskowej.

„Rakiety w gotowości bojowej... Musimy sprawdzić nawet tak niedorzeczną informację - oznajmił Taran podczas krótkiej narady. - Historia wyspy Moszczny nie może się powtórzyć”.

Z ostatnim argumentem załoga zgodziła się bez zastrzeżeń i oto drugą dobę z rzędu silnik Maleństwa nie cichł ani na sekundę, a połatane koła, wgrzając się w zamrzniętą szreń, połykały kilometr za kilometrem w drodze do kolejnego celu podróży - miejsca dyslokacji dywizji raketowej w Jasnym.

Złowieszcza sylwetka góry Jamantau dawno już skryła się za wzgórzami, a nieprzebyty leśny gąszcz ustąpił miejsca bezkresnym stepom, z rzadka przeplatanym naturalnymi dolinami, korytami zamrzniętych rzek i bezładnymi fałdami kamienistych wzniesień.

Teraz, kiedy w oddziale zostało ledwie pięciu ludzi, Taran przestał ganiać załogę po kabinach z koszarowymi zadaniami. Szorowanie podłóg i pucowanie wszystkiego na wysoki

połysk po trzydniowym pobycie w brudzie i pyłe kopalni węgla zdawało się kompletnym nonsensem. Na dodatek bez Samuela Natanowicza, jego wiecznego gderania i baterii porozstawianych po całym transporterze flakoników z medykamentami „dom na kółkach” wyraźnie opustoszała i nie wzbudzała już dawnego uczucia przytulności, jak i chęci, by cokolwiek w nim robić.

Aurora, Gleb i Giennadij, korzystając z niespodziewanego „zwolnienia”, spędzali większą część dnia w mesie, gawędząc niespiesznie i próbując w ten sposób oderwać się od niewesołych rozmyślań o pozostawionym za plecami podziemnym mieście, jego dziwnych mieszkańcach i dość paskudnych porządkach. Może właśnie przez to stracili czujność. Nieraz na horyzoncie widać było złowróżbny odblask reflektorów, lecz pościg udało im się wykryć dopiero, kiedy terenówki Stepowych Psów były widoczne przez lunetę SWD Tarana.

Nie było wątpliwości, że to właśnie oddział jeźdźców Sungata ściga Maleństwo. Sprzeciwić się woli Pułkownika, który puścił wędrowców wolno, mógł tylko ten krnąbrny oficer. Na dodatek na czele kolumny, torując drogę mniej wszędobyłskim pojazdom, sunął znany im aż za dobrze czółg z widocznymi śladami ognia na groźnej wieży.

- Jak oni nas znaleźli?! - rzucił ze złością Migajycz, a potem spojrzał na zwały śniegu za szybą i klepnął się w czoło. - Chlapnąłem bez zastanowienia. Nie zaszkodziłaby teraz jakaś zamieć, żeby zatrzeć ślady...

- Mnie ciekawi co innego - w przejściu zamajaczyła sylwetka Dyma. - Jak oni nas tak szybko dogonili?...

- Nie tak znowu szybko - zaoponował Taran, studiując mapę. - No i jechali najprawdopodobniej bez postojów, po utorowanej przez nas drodze. To my ciągle kręcimy się jak błędne owce... Ale to nic... Ostrzeżony znaczy uzbrojony.

Spróbujemy się urwać.

- Jak zwykle... - dobiegło z mesy mruknięcie Gleba.

Mutant nie zwrócił uwagi na replikę chłopaka, ale stalker zamarł w pół słowa, spochmurniał i przeciskając się obok Giennadija, wszedł do przedziału dla pasażerów.

- Jak mam to rozumieć? - Taran rzucił z rozdrażnieniem mapnik na ławkę i usiadł naprzeciwko syna z łokciami na stole, po czym zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź. - Nie, nie, bądź łaskaw się wytłumaczyć, jeśli masz coś do powiedzenia.

Co „jak zwykle”?

Ale chłopiec nie zmieszał się, ani na sekundę nie odwrócił pewnego siebie wzroku i tylko nienaturalne rumieńce na twarzy zdradzały, jak jest zdenerwowany.

- Jak zwykle uciekamy - powiedział spokojnie, bez drżenia w głosie. - Przed

weganami, przed nafcjarzami, przed Stepowymi Psami... Uciekamy od problemów zamiast...

- Zamiast co? - pociągnął stalker. - Zawrócić i iść pod kule? Nie zapomniałeś, że tamci mają czołg, któremu starczy raz wystrzelić, żeby wysłać nas wszystkich na łono Abrahama? A do tego granatniki! I uwierz mi, tym razem nikt się nie będzie z nami certolić! To jest karna ekspedycja i Sungat jedzie po nasze głowy!

- Boisz się go?! - zawrzał Gleb. - Jakoś tego nie zauważyłem, kiedy kryli go przed tobą na wpół zdechłego za plecami strażników!

- Co za nonsens! - nie wytrzymał Taran, zrywając się na nogi.

Ryk silnika ucichł. Teraz pełną emocji rozmowę ojca i syna śledziła, wstrzymując oddech, cała załoga. Stalker przemierzył kabinę kilkoma szybkimi krokami i gwałtownie usiadł na miejscu. Drewniane siedzenie żałośnie skrzypnęło.

- Zrozum, Gleb - stalker powoli wypuścił powietrze i postarał się wziąć w garść - odwaga i brawura to dwie różne rzeczy. Nie mamy prawa chojrakować, dopóki pozostała choć mizerna szansa na zwrócenie ludzkości powierzchni ziemi. Na dzień dzisiejszy Alfejos to nasz jedyny punkt zaczepienia, i dopóki go mamy, zrobię wszystko, co mogę, żeby wyprowadzić ludzi z metra! I nikt mi w tym nie przeszkodzi - ani Pułkownik, ani Sungat, ani diabeł, ani Bóg, który już dawno spisał swoje dzieci na straty!

Aurora bezszelestnie podeszła do Tarana z tyłu i położyła mu rękę na ramieniu, uspokajając porządnie rozszoszczonego dowódcę.

- I jeśli już o tym mowa - ciągnął ten, łagodząc ton - to tak, boję się. O ciebie, o Aurorę, o was wszystkich! I do końca miałem wątpliwości, czy powinienem organizować ekspedycję, ale dzięki niech będą weganom, że nieumyślnie dali nam do zrozumienia, że w metrze będzie jeszcze niebezpieczniej. Nieraz mieliśmy okazję przekonać się, że wyprawa to też nie bułka z masłem, ale mimo wszystko nie zamierzam ryzykować waszym życiem.

Stalker umilkł i utkwiał wzrok w blacie stołu. Purpurowy zygzak blizny na ciemieniu - ślad pazurów nieznanego drapieznika - powoli bladł, stając się niewidoczny wśród krótkich, dopiero co odrośniętych włosów.

Kiedy emocje opadły, chłopak przerwał przeciągające się milczenie:

- Ja wcale nie proponowałem, żeby iść pod kule. Możemy powstrzymać Psy bez większego ryzyka, jeśli znajdziemy dobre miejsce na zasadzkę. Jakieś wzniesienie, albo wzgórze...

- Dzieciak rozsądnie kombinuje - zrozumiał go w pół słowa Migalycz. - Maksymalny kąt podniesienia armaty w „dziewięćdziesiątce” to, jeśli mnie pamięć nie myli, czternaście stopni. Jeśli zwabimy zawalidrogę w pułapkę, a sami okopimy się w martwej strefie, nie

będzie żadnego problemu z ostrzelaniem dżipów. A bez eskorty czołg dalej nie pojedzie. Mobilna baza naprawcza, samochód cysterna...

Zasięg wynosi nie więcej niż pięćset kilometrów. Bez przestrzegania pewnych elementarnych reguł głębokie rajdy pancerne są niemożliwe!

- Uderzymy z kilku punktów naraz - podchwycił Dym. - Cekaemów mamy pod dostatkiem! Jak pozbedziemy się ogona, to nie będzie trzeba tak gnać! Nie wpadniemy po ciemku do jakiegoś dołu.

Zarażona pewnością chłopaka załoga czekała na decyzję dowódcy. Ten, jak zwykle, nie spieszył się, starając się znaleźć ważkie argumenty przeciwko pomysłowi syna.

- Ostatecznie mamy obowiązek pomścić Indianina - postawił kropkę Gleb. - Sungat musi zostać ukarany!

W oczach pozornie spokojnego chłopca płonęła mroczna determinacja. Jednak nie było w niej ani śladu właściwych młodemu wiekowi emocji. Tylko trzeźwa kalkulacja i wiara we własne siły. Taran przeciwnie, był w krańcowym napięciu i ledwie powstrzymywał targające nim wzburzenie. Jakby ktoś zamienił ich rolami i stalker poniewczasie złapał się na myśli, jak głupio musi wyglądać z boku, taki nastroszony i ponury.

- Wydorosłałeś, synu... - podsumował już bez wcześniejszej irytacji. - Migalycz, co mamy za szybą? Dlaczego stoimy?

- Właśnie dlatego do was zajrzałem. - Staruszek uśmiechnął się zagadkowo, poprawiając przekrzywiony na bok hełmofon. - Przed nami dolina. I łagodny zjazd...

Akurat bardzo odpowiednie miejsce na zasadzkę. Wątpię, żebyśmy znaleźli lepsze.

- A więc mamy karty w ręku... Cóż, Gleb, stanęło na twoim - poddał się w końcu Taran. - Zgotujemy Sungatowi gorące przyjęcie!

Załoga rozbiegła się po kabinach, pospiesznie przygotowując ekwipunek.

W czasie gdy Gleb z Aurorą pomagali Dymowi zdemontować kordy, transporter, lawirując między omszałymi głazami, przemknął dnem parowu, którego zbocza, płynie się wyginając i przechodząc w niedostępne urwiska, tworzyły coś w rodzaju rozległego wąwozu szerokości boiska piłkarskiego.

- Patrzcie, transportery opancerzone!

Gleb przylgnął do iluminatora, przyglądając się sterczącym spod śniegu wieżyczkom i stromym zardzewiałym dachom pancernych wraków na kołach. Razem z Aurorą zdążyli naliczyć co najmniej cztery, zanim wiedziony intuicją Taran wcisnął pedał gazu do deski, pozostawiając porzuconą kolumnę pancerną za sobą.

- Można by zajrzeć do tych maszynek! - odezwał się Dym. - To na pewno pozostałości

oddziału zwiadowczego z Jamantau...

- Nie mamy czasu! - Stalker dodał gazu, kierując transporter w stronę majaczącego w oddali łagodnego podjazdu. - Psy depczą nam po piętach!

Transporter wyskoczył z parowu i ciężko opadł na zaspę, przeszedł w ślizgu jeszcze kilka metrów, wierzgnął i w końcu, zmęczony, znieruchomiał. Z rozgrzanej maski buchała para, stygnący metal trzaskał na mrozie.

Luk otworzył się ze zgrzytem i na ziemię, jedna po drugiej, zsunęły się trzy postaci otulone w szare togi.

- Taki sobie ten kamuflaż... - narzekał Dym, unosząc poły improwizowanej pałatki maskującej z workowego płótna. - Będzie kłapa, nie trzeba wróżki, żeby to przewidzieć...

- Nie kracz, Giena. Wytarzamy się w śniegu i już. Na las wystarczy. - Taran zarzucił sobie ciężki kord na ramię i zaczął przedzierać się przez zasy w stronę upatrzonego wzgóрка. - Gleb, nie wlecz się!

Chłopak zaprzął się do sanek i pospieszył za ojcem. Ładunek w postaci skrzyni pełnej taśm z amunicją do cekaemu, pozornie małej i lekkiej, sprawił, że Gleb porządnie się napocił, zanim udało mu się wciągnąć ciężar na stanowisko. Pod gumowym skafandrem okropnie swędziała go wilgotna skóra, ale chłopiec nawet na chwilę nie ryzykował zdjęcia maski przeciwgazowej.

Z pozycji strzeleckiej otwierał się doskonały widok na rozpościerający się w dole wąwóz. Koleina, którą pozostawił transporter, meandrowała między ogromnymi blokami skalnymi, przecinając całą długość parowu. Kiedy ich oczy przywykły do oślepiającej bieli śniegu, można było uważnie przyjrzeć się rozbitym wozom pancernym. Nie było wątpliwości, że kolumna została zaatakowana. Z góry od razu rzuciły im się w oczy przerażające detale rozgrywającej się tu niegdyś tragedii. Pokrywy włazów, wyrwane przez nieznaną siłę, walały się z dala od pojazdów, a same transportery przypominały otwarte puszkę po konserwach.

W podwoziu jednego z nich, leżącego na boku, ziała pokaźna dziura z wywiniętymi na zewnątrz krawędziami.

Z tego wszystkiego wyłonił się jeden wniosek: do Jamantau z rajdu zwiadowczego nie wrócił nikt. A Pułkownik oszacował ryzyko i więcej nie próbował się dostać do wyrzutni w Jasnym. Cóż, nie można mu odmówić logiki, ale co to za napaść przydarzyła się dobrze wyposażonemu oddziałowi zawodowych żołnierzy?

Na przeciwległym skraju parowu mignęła znajoma zielona głowa. Giennadij postawił już karabin na trójnogu i teraz, z właściwą mu skrupulatnością, zakopywał się w śniegu, stawiając dookoła kryjówek osłonę z brył lodu. Kiedy od północy dał się słyszeć warkot

licznych silników, Dym pokazał kciukiem, że jest gotowy i zniknął im z oczu.

- Tylko się nie wychylaj - ostrzegł Taran syna. - Twoje zadanie to podawać amunicję i pilnować, żeby mechanizm się nie zaciął. Całą resztą zajmę się ja.

Gleb skinął głową, narzucił na głowę skraj maskowania i utkwił wzrok w zbliżających się czarnych punktach. Te rosły z każdą chwilą, nabierając rozpoznawalnych kształtów. Kolumna pojazdów, buchając kłębamii szarego dymu, pewnie wjeżdżała do wąwozu. W ślad za T-90, jeden za drugim jechało pięć typowych wozów jeźdźców z nieproporcjonalnie wielkimi, najwyraźniej odkręconymi z ciężarówek kołami. Z jednej strony taka modyfikacja terenówek znacznie zwiększała ich zdolność pokonywania przeszkód, z drugiej - poważnie ułatwiała zadanie siedzącym w zasadzce strzelcom.

- No już! - szepnął gorączkowo chłopak. - Zaczynaj!

- Za wcześniej...

Stalker zrosł się z cekaemem i jakby skamieniał, uważnie obserwując jeźdźców przez ramkę celownika.

„I nawet nie kuli się z zimna...” - pomyślał nagle Gleb, chociaż nim samym wstrząsały już dreszcze, czy to od przeszywającego skafander zimna, czy to od adrenaliny szalejącej mu w żyłach przed walką.

Tymczasem oddział pościgowy zatrzymał się nieopodal porzuconych wraków.

Z pojazdów wysypali się ludzie z automatami i w panterkach. Hełmy, maski przeciwgazowe, kamizelki kuloodporne... Szykując pościg, Sungat wyekwipował swoje Psy w najwyższej klasy sprzęt.

„A gdzie wtedy był Pułkownik?...”

Sądząc z luźnego kroku posłanych przodem zwiadowców i braku ubezpieczających, widać było, że bandyci nie spodziewają się ataku na tej lodowej pustyni, na której cisza zalegała w promieniu wielu kilometrów. Teraz zajmowało ich wyłącznie znalezisko - szczątki zaginionego niegdyś bez śladu oddziału pobratymców. Wałęsając się wśród rozbitych transporterów opancerzonych, Psy nawet nie podnosiły wzroku na wznoszące się wokół nich zaśnieżone zbocza i tylko lufy karabinów zamontowanych na terenówkach poruszały się apatycznie, tworząc iluzję bezpieczeństwa.

Urywany łoskot korda zaskoczył Gleba znieca, ogłuszająca kanonada uderzyła go po bębenkach, sprawiając, że mimowolnie wcisnął się głębiej w śnieg.

Jak echo odezwał się z przeciwległego zbocza cekaem Dyma.

- Uważaj na taśmę! - warknął Taran mimochodem.

Broń w jego rękach sporadycznie drgała, długie, ostro zakończone pociski jeden za

drugim znikwały w donośniku, a wyrzucane przez żelaznego potwora gorące łuski dymiły i topiły śnieg.

W dole panował kompletny zamęt. Jedni żołnierze rzucali się pod osłonę pojazdów, inni, orientując się, że strzelający celują w samochody, padali w zasy i pospiesznie odczołgiwali się na boki od utorowanej przez karawanę drogi. Dwa pojazdy dzięki składnemu krzyżowemu ostrzałowi zaczęły już dymić, podziurawione jak sito maski nie pozostawiały najmniejszych szans na szybkie przywrócenie do używalności. Kolejna terenówka niezgrabnie przechyliła się na bok, kiedy gęsta seria trafiła w koła, w ułamku sekundy zamieniając je w strzępy. Zaraz potem wybuchła, wyrzucając w niebo kłęby gęstego czarnego dymu, stojąca z tyłu cysterna z paliwem.

Załoga czołgu wyraźnie spanikowała. Przesuwając lufę armaty z boku na bok, „dziewięćdziesiątka” miotała się, przejeżdżając metr, dwa, i znów stawała, nie próbując nawet wystrzelić z głównego działa.

Coś sprawiło, że Gleb przeniósł wzrok na zaciągnięty zasłoną dymu tył kolumny. Stojący tam pick-up wyrwał z miejsca, buksując w rozbełtanym przez czołg błocie. Stojący na platformie cekaem odgryzał się na ślepo długimi seriami. Jednak nie minęło kilka sekund, gdy gdzieś od strony atakujących huknął pojedynczy strzał karabinowy i samochód, z dziurą ziejącą w przedniej szybie, niebezpiecznie skręcił i z pełną prędkością wbił się w przecinającą zbocznie kamienną bryłę.

- Migalycz, ty stary diable! - syknął stalker. - Prosiłem przecież, żebyś został w transporterze!

Gleb nie próbował nawet wypatrzeć kolejarza na mieniących się bielą zboczach wąwozu. Jego uwagę przykuł dziwny skalny masyw wielkości autobusu, na który wpadł dymiący teraz pick-up. W pewnym momencie chłopcu wydało się, że skała się poruszyła... I jeszcze raz! Drgnęło całe wielotonowe cielsko, strząsając z pleców ciężką warstwę śniegu... Z niespodziewaną zwinnością bezforemne coś wyciągnęło się na całą długość, przybierając kształt gigantycznej „poczwaraki” na ośmiu krótkich, grubych i pomarszczonych ni to łapach, ni to wypustkach.

Rozgrzebując odnóżami zamrażającą ziemię, mutant wygiął się i wyswobodził pokraczny, przypominający trąbę ryj. Niezgrabny wyrostek na ślepym, bezkształtnym pysku poruszył się, nabrzmiął i, szybko się kurcząc, wyrzucił z bezdennego wnętrza obłok zielonkawej mgiełki.

Ogłuszeni po czołowym zderzeniu pasażerowie ledwie zdążyli wyczołgać się z rozbitego samochodu. Łapa jak kłoda z nieproporcjonalnie długimi szponami niespiesznie

przykryła pick-upa i jednym długim ruchem rozerwała karoserię z jednego końca na drugi. Ostre kolce aparatu gębowego wbiły się w sam środek sterty powyginanej blachy, próbując widocznie przez twarde pancerz nietypowej ofiary dostać się do upragnionego mięsa.

Tymczasem pozostałe głowy w wąwozie też zaczęły się ruszać. Nieruchawe ośmionogie cielska budziły się z hibernacji, dołączając do rozpoczętego przez pobratymca polowania. Mutanty nie potrzebowały wiele czasu, żeby dopaść zdobycz.

Zostawiły pojazdy w spokoju i powoli, szarpnięciami przesuając ciała po kilka metrów naprzód, ruszyły w stronę ludzi. Jeźdźcy rzucili się do ucieczki, sypiąc gradem ołowianych kul na kołyszące się góry mięsa, i zdawało się, że bez problemu zdołają uniknąć rzezi, lecz wyziewy stworów zasnuły już kanion gęstą, duszącą mgłą.

Sądząc po strasznych drgawkach żołnierzy, jad przeniknął przez filtry masek przeciwgazowych, paraliżując mięśnie i sprawiając, że Psy, jeden za drugim, padały na ziemię. Apatycznie przetaczając się i czołgając w śniegu, od razu stracili przewagę szybkości i wielkie jak słonie larwy zaczęły niespiesznie zbierać straszliwy plon, zostawiając za sobą szerokie ślady w formie brunatnych, przesyconych krwią bruzd.

Nie było już mowy o obronie pojazdów. Psy, pozostawione samym sobie, starały się jak najdrożej sprzedać własną skórę. Ktoś próbował się jeszcze ostrzeliwać, ale zdawało się, że kule po prostu znikają w żelatynowych cielskach, pozostawiając w grubej, antracytowej skórze sączące się śluzem otwory. Spóźniony wybuch granatu sprawił, że jedna z larw przewaliła się na plecy, ale potwór się obrócił i znów stał na kończynach, i nie zwracając uwagi na posiekany odłamkami bok, ponownie ruszył do ataku.

Pozostali przy życiu jeźdźcy w totalnej panice krzyczeli i bębnil kolbami automatów po pokrywie wjazdu, chcąc, by wpuszczono ich do jedyne go ocalałego pojazdu - czołgu, który jechał na czele kolumny. Załoga jednak w żaden sposób nie reagowała na błagania towarzyszy i tylko wieża wciąż kręciła się w kółko, mając teraz do dyspozycji kilka prawdziwych, zbliżających się zewsząd celów.

Widząc, jak drgającą, pokrytą śluzem trąba wpija się w ludzką figurkę, odrywa biedaka od pancerza czołgu, po czym łamie mu kości i na podobieństwo węża wsysa go do jamy gębowej, Gleb odwrócił się, ledwie powstrzymując odruch wymiotny.

- Myślałem, że po prostu ich zatrzymamy! - krzyknął zagubiony. - Przecież to najprawdziwsza rzeź! Musimy coś zrobić!

- Może zdecyduj, czego chcesz! - obruszył się stalker, strząsając z łokcia rękę syna. - Ci zwyrodnialcy spalili Indianina. Psy mają na sumieniu wiele niewinnych ofiar... Nie wolno się nad nimi litować, rozumiesz mnie, Gleb? Nie wolno!

Huraganowy ogień wraz z buszującymi w wąwozie stworami solidnie przerzedził oddział Sungata. Z mglistych oparów dobiegały przeszywające krzyki pożeranych żywcem ludzi. Czołg, dzięki wytrawnemu kierowcy, nadal kręcił się jak bąk i jak dotąd żadnej z „larw” nie udało się przygnieść swoim cielskim krnąbrnego przeciwnika. Za to zabójcze wystrzały gładkolufowej armaty sprawiały prawdziwe cuda. Już trzy mutanty znieruchomiały pośrodku parowu, zamieniając się w sflaczałe, bezkształtne góry dymiącego mięsa. Uwaga „larw” wkrótce przeniosła się na stygnące trupy swoich bardziej pechowych pobratymców.

Na pancerzu „dziewięćdziesiątki” widniały świeże plamy krwi. Mutanty nie zdołały poradzić sobie z maszyną, jednak „oskubały” ją jak kiść winogron.

Pozostawionym na zewnątrz jeźdźcom nie udało się przeżyć...

- Mogli choć kilku uratować... - powiedział Gleb urywanym głosem. - Dlaczego tego nie zrobili?...

- W czołgu jest Sungat - stwierdził kategorycznie stalker. - Ta menda nie będzie ryzykować własną skórą.

- Obawiam się, że po czymś takim straci dowodzenie.

- Zdaje mi się, że już stracił. W rajd z nim wybrali się ci, którzy odważyli się sprzeciwić woli Pułkownika. Nie sądzę, by znalazło się ich wielu - wpływy Sungata mają swoje granice. Ale determinacji mu nie brakuje...

Taran skinął głową w stronę wąwozu. Czołg, powoli wbijając gąsienice w pomarszczone cielsko pokonanego mutanta, wspiał się na nie jak na estakadę i znieruchomiał niebezpiecznie przechylony. Lufa armaty była teraz zadarta wystarczająco wysoko, żeby ostrzelać skraj wąwozu, co widocznie było właśnie celem załogi „dziewięćdziesiątki”.

- O, cholera! Wykręcił! - Stalker wyczołgał się ze stanowiska operacyjnego, pociągając za sobą Gleba. - Pora spadać. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Ten psychol zacznie zaraz walić w szczyt urwiska, a to oznacza duże kłopoty!

- Ale jeśli w środku rzeczywiście jest Sungat, to mamy po prostu obowiązek...

- Przede wszystkim mamy obowiązek przeżyć - przerwał mu Taran. - Nie będziemy kusić losu. I tak mieliśmy niezłego farta z tymi... niesporczakami.

- Z czym? - dopytał w biegu Gleb.

Z wąwozu dobiegł niski grzmot armatniego wystrzału. Fontanna żwiru i lodu pokryła powierzchnię śniegu szkaradnymi szarymi plamami. Pochyliwszy się, wędrowcy popędzili do Maleństwa, gdzie czekali już, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, Giennadij i Migalycz.

- Z niesporczakami - powtórzył stalker. - Kiedyś w słodkich wodach żyły takie

mikroskopijne stworki. Strasznie powolne. Mniej niż milimetr długości, ale z wyglądu - kropka w kropkę jak te straszydła. Cztery pary nóg, pozbawiony oczu łeb z takim samym ryjem... Powinieneś pamiętać tę fotkę z encyklopedii Pałycza!

Jak na złość, nie przychodziło mu jednak nic takiego do głowy. Gleb niepewnie wzruszył ramionami.

- Nawiasem mówiąc, były strasznie żywotne - włączył się do rozmowy Migalycz. - Jakich to doświadczeń nie przeprowadzali na niesporczakach! Wrzucali do wrzątku, chłodzili ciekłym helem, a nawet wyrzucali w przestrzeń kosmiczną!

Próbowali je napromieniować... Dawka dziesięć razy większa od śmiertelnej dla człowieka! Można z tym stworem robić, co się chce! Przy niekorzystnych warunkach wchodzi w stan anabiozy i koniec.

- To znaczy, że te żarłoki w wąwozie to dalecy krewni niesporczaków? - uściślił Dym, wciskając cekaem do szafki na broń. - I wy jeszcze mówicie, że to ja jestem przerośnięty!

- No, Giena, w porównaniu z tymi hipopotamami jesteś po prostu nędznym karzełkiem - uspokoił go staruszek. - A w kwestii naszych nowych znajomych zwierzątek... Czuję w wątrobie, że bez modyfikacji genetycznej się tu nie obeszło.

Im szybciej opuścimy ten rejon, tym mniejsza szansa, że złapiemy jakąś zarazę, albo, nie daj Boże, wirusa bojowego.

- Złote słowa, Migalycz!

Taran poklepał kolejarza po plecach i zatraskując luk, wydał rozkaz odjazdu.

Natknął się na pytające spojrzenie Aurory i pokręcił głową przecząco:

- W końcu nie dostaliśmy Sungata, niestety. Ale z oddziałem Psów skończone.

Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe i Taran szybko uściślił:

- To niezupełnie nasze dzieło - miejscowa fauna o to zadbała.

Z zewnątrz dał się słyszeć przytłumiony przez pancerz terkot cekaemu, ale przez zamglone okienka nie udało im się dojrzeć czołgu. Zamiast niego utworzoną przez Maleństwo koleiną pełzną ciężki, niezgrabny stwór będący, jak się przekonali krwiożerczym i bezlitosnym zabójcą.

- Sungat chyba nie ma już szans - podzielił się spostrzeżeniem Giennadij. - W każdym razie nie słyhać już armaty, a z jednym karabinem przeciwko niesporczakom dużo nie zwojuje...

- Szkoda tylko, że nie zobaczymy, jak bydlak zdycha. - Zwykle filuterna twarz Migalycza na moment spowaźniała.

- Możemy zostać i się pogapić. - Taran odrzucił obrzydłą maskę przeciwigazową i otarł

pot z czoła. - Tylko boję się, że wtedy my też staniemy się częścią obiadu.

- No nie! Starczy na dzisiaj egzotycznej fauny! - Kolejarz wziął z półki zdefasonowany hełmofon i zdecydowanym krokiem poszedł do kabiny kierowcy. - Do Jasnego został kawał drogi. Napatrzycie się jeszcze na różne dziwactwa...

Wierne Maleństwo zawarczało na niskich obrotach, rozpoznając swojego pana, i ruszyło w drogę. Ledwie ustąpiła gorączka walki, Gleb nagle zdał sobie sprawę, że ze zmęczenia i napięcia nerwowego ledwo stoi na nogach. Chciał tylko jednego - paść na kolę, zawinąć się w ulubiony koc i chociaż na jakiś czas uciec od przerażającej, wypełnionej bólem i śmiercią rzeczywistości. Ściągając wzmocniony skafander, chłopak nawet nie zauważył, kiedy Aurora bezszelestnie wyszła ze swojego kąta i usiadła obok.

- Chyba nie powinniśmy byli go tam zostawiać... Z tymi strasznymi stworami...

- Mówisz o Sungacie?

Dziewczynka skinęła głową, odwracając wzrok. Potem dodała cichym głosem:

- To nieludzkie.

- A to, co zrobił z Indianinem, było ludzkie? - Gleb dał spokój nieustępliwej podpince pod skafander i cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Nie. - Aurora długo milczała, zagryzając usta. - Ale my przecież nie jesteśmy tacy jak Sungat i nie możemy upodabniać się do bestialców.

- Wiesz, nawet bym się z tobą zgodził... Ale czy zgodzą się ci, których wysłał na tamten świat? Mój prawdziwy ojciec przez długie lata znosił szyderstwa wegan i w końcu zginął z ręki jednego z nich. Zresztą tak samo jak i mama. Czy można nazywać ludźmi tych, którzy czerpią przyjemność z cudzych męczarni? Albo tych, dla których ludzkie życie nie ma żadnej wartości? Myślę, że nie. Trzeba ich wyróżnić jak wściekłe psy. Truć, dusić, unicestwiać, żeby nie narobili jeszcze większego nieszczęścia.

- I sądzisz, że masz prawo oceniać, kto zasługuje na życie, a kto na śmierć?

Chłopiec zająknął się, zastanawiając się nad pytaniem. Potem wspomniawszy miłe sercu twarze rodziców, pochłoniętą przez niebyt drużynę dzielnych stalkerów pod wodzą Kondora, wspomniawszy dobrodusznym mieszkańcom wyspy Moszczny, po której została teraz tylko kupa popiołu i nadtopiona nuklearnym ogniem kamienna płyta...

Niestrudzony administrator Siennej Pantelej Gromow, utalentowany lekarz i dociekliwy uczonec Władlen Kantemirow, zdziwaczały, ale lojalny do końca Indianin, zaprzyjaźniona kulejąca Nata z Moskiewskiej... Z każdym obrazem, który przesuwał mu się przed oczami, gdzieś w środku rosła mroczna pewność, że wybrał prawidłową odpowiedź. Gleb spotkał się wzrokiem z przyjaciółką i powoli skinął głową.

- W takim razie niewiele się różnisz od Sungata.

Z twarzy dziewczynki nie dało się wyczytać, czy mówi na poważnie, ale nieostrożnie rzucone słowa sprawiły, że chłopak zmieszał się i pobladł.

- Tylko się na mnie nie obraż. Tyle dookoła brudu, śmierci, przemocy... Chcę jedynie, żebyś zrozumiał... A raczej przypomniawszy sobie, kim tak naprawdę jesteś.

- Kim? - ponuro i z naciskiem spytał Gleb. - Kim, słyszysz?!

Ale Aurora zdecydowanie przeszła na swoje łóżko, podkuliła nogi pod siebie i obróciła się do ściany, wyraźnie dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Zdawało się, że zmęczony Taran jeszcze sekundę wcześniej drzemał oparty o ścianę, ale czując na sobie wzrok syna, otworzył oczy i uśmiechnął się przelotnie.

- Dzieckiem, Gleb - szepnął, podpowiadając. - I daj Boże, żebyście ty i Aurora jak najdłużej nimi zostali...

Rozdział 15

KOMDYW1

Poszarpane przez zamiecie trawy, wyglądając spomiędzy zasp w postaci uschniętych kęp ostnicy, nadawały śnieżnobiałej równinie lekko musztardowy odcień. Jasnieński step, ponury i przerażająco bezkresny, ciągnął się aż po horyzont, gdzie z woli Stwórcy i dzięki kilku niedbałym maźnięciom jego pędzla jak pełna wody rzeka wlewał się w różowiejące przed świtem niebo.

- Jakie to piękne! - westchnął oczarowany Migałycz. - Nie sądziłem, że na stare lata będę mógł coś takiego zobaczyć...

Stojąc na wzgórzu, wystawieni na swobodne porywy wiatru wędrowcy w niemym zachwycie spoglądali w dal. Skraj nieboskłonu zapłonął już nieśmiałym rumieńcem. Jak iskry wybuchającego pożaru, przez cienką zasłonę pierzastych chmur na śnieg padły pierwsze promienie palącego słońca. Świat wokół powoli budził się do życia, wypełniając się ciepłymi tonami, wychłodzona przez nocne zamiecie ziemia chciwie pochłaniała ciepło.

- Ale gdzie jest Jasnyj? - przerwał przeciągające się milczenie Gleb.

Przed nimi, pół kilometra od miejsca, w którym rozbili obóz, można było dostrzec samotny jednopiętrowy budynek, którego fasada mieściła kilka okien. Nad płaskim dachem domu sterczał walec ceglanej wieżyczki strażniczej.

- Jakież osiem kilometrów stąd... - Stalker w nieokreślony sposób machnął ręką. - Tyle że nie jest nam potrzebne miasto, a jednostka wojskowa.

- Centrum łączności albo stanowisko dowodzenia, z którego sterowało się raketami - uściślił kolejarz, obserwując okolice przez lornetkę.

- Ale tu nie widać żadnych rakiet...

Gleb odwrócił się, słysząc głos. Aurora stała obok nich, zakutana w koc narzucony na skafander ochronny. Ona też chciała się nacieszyć widokiem świtu i Taran zezwolił, by dziewczynka opuściła na chwilę wnętrze Maleństwa.

- I nie powinno być ich widać - mruknął dobrodusznie Migałycz. - Jeśli tu są, to ukryte pod ziemią, w silosach.

- A więc jak odzyskamy tych, którzy nadają przez radio?

Taran podniósł rękę, wskazując na samotną budowlę pośrodku pola.

- To dawna dyżurka. Te słupki, które wystają ze śniegu, to pozostałości ogrodzenia. Gdzieś pośrodku jest zamaskowana konstrukcja ochronna, taka opancerzona pokrywa nad silosem. Takich wyrzutni powinno być w okolicy kilka, ale nas bardziej interesuje bunkier stanowiska bojowego. On też jest gdzieś tam, na dole.

Jeśli nam się poszczęści, to znajdziemy plan jednostki.

- W takim razie na co czekamy? - zapytał niecierpliwie Gleb.

- Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł... - Stalker nie odrywał wzroku od wartowni. - Co tam wypatrzyłeś, Migałycz?

Staruszek odsunął lornetkę od oczu, pospiesznie naciągnął maskę przeciwgazową, złapał oddech...

- A dużo wypatrzysz w takim pośpiechu? - powiedział gderliwie. - Zdaje się, że na kominie jest lód. A jeśli śnieg topnieje, a potem zamarza, to znaczy, że ze środka leci ciepło.

- Czyli gospodarze są w domu... - Giennadij wziął lornetkę i przyłgnął do okularów, na ile to było możliwe przy jego szeroko rozstawionych oczach. - Ciekawe tylko, czy ucieszą się z odwiedzin...

- Cóż, nie przychodzimy przecież z pustymi rękami. - Taran poprawił kałacha.

- Mam nadzieję, że się dogadamy...

Wkrótce uszczuplony oddział ostrożnie ruszył naprzód. Migałycz z Aurorą zostali, by pilnować Maleństwa - ryzykować utratę jedynej dostępnej kryjówki z dala od zamieszkałych terenów byłoby szczytem nierozwagi.

Podejście do budynku nie było łatwe. Pod śniegiem trafili na przeszkodę w postaci zardzewiałego drutu kolczastego. Jednak najbardziej nieprzyjemnym odkryciem była wisząca na ogrodzeniu tabliczka z lakonicznym ostrzeżeniem, że przedpole obiektu specjalnego znaczenia jest zaminowane.

Po krótkiej naradzie postanowili nie ryzykować. Nim podjechali bliżej transporterem, zdemontowali fragment metalowej platformy i skonstruowali coś w rodzaju brony, słońce zdążyło już wysunąć się z za horyzontu. Dalszy pobyt na wolnym powietrzu bez filtrów przyciemniających groził załodze poważnymi problemami. Taran co rusz popędzał pozostałych, spoglądając na cienką warstwę chmur.

Kiedy przygotowania były wreszcie zakończone, Dym zamachnął się i niczym wytrawny młociarz cisnął najeżoną gwoździami i prętami kratownicę daleko za ogrodzenie z drutu kolczastego. Transporter zaryczał i zaczął się cofać, lina naprężyła się i ciężka konstrukcja zaczęła sunąć przez pole minowe, torując w śniegu szeroki, bezpieczny korytarz.

Nie doczekawszy się w końcu detonacji, wędrowcy wyszli z transportera.

- Jakie tam miny... Wszystko dawno zgniło - przypuścił Migalycz. - Albo zaoszczędzili, jak zwykle... A tabliczki pewnie wiszą tylko na postrach. „Żeby nie było”, tak to nazwijmy...

Jednak stalker cały czas był niezwykle ostrożny, miękko krocząc po spulchnionej ziemi i dopiero kiedy dotarł do budynku, nakazał drużynie podążać za nim, stąpając po jego śladach.

Krótkie przeszukanie zimnych pomieszczeń nie przyniosło niczego zasługującego na uwagę: zamarznęte na kość zasypany śniegu, czarne od pleśni ściany i ani śladu ludzkiej obecności. Odkryli za to spodziewane, krótkie liczące osiem stopni zejście z wmurowaną na samym dole hermetyczną zaporą. Woda ze stopionego śniegu dawno temu podmyła fundamenty budynku - potężna warstwa lodu przy samym progu blokowała wejście do bunkra.

- Trzeba będzie się pobawić - mruknął Dym. - Pójdę poszukać czegoś ciężkiego...

Wbrew pesymistycznym prognozom Tarana, dość szybko udało im się rozbić lód, ale naprawdę im się poszczęściło, gdy okazało się, że zasuwę masywnych pancernych drzwi jest otwarta. Sądząc ze śladów, które odkryli w przedsionku, ktoś bezskutecznie starał się otworzyć drzwi od wewnątrz - metalowe okucie było usiane licznymi wgnieceniami, jakby od uderzeń młota.

Pierwsza, bardzo nieprzyjemna niespodzianka spotkała badaczy niedaleko wejścia. Światło latarek wychwyciło bezładną stertę ludzkich kości. Zbutwiałe strzępy ubrań wskazywały na to, że szczątki leżą tu, w ciemności i wilgoci, z pewnością nie pierwszy rok.

- Kanibale? - zaproponował wyjaśnienie Gleb.

Wypad do schronu Zakładu Morskiego na Kronsztadzie na długo utkwił chłopcu w pamięci. Czyżby żołnierzy dywizji raketowej z Jasnego spotkał ten sam los?

- Wygląda to raczej jak kostnica. Ale tak czy inaczej, lepiej bądźmy czujni. - Taran podniósł automat i ruszył ciemnym korytarzem, teraz już znacznie wolniej.

Rozglądając się uważnie, oddział minął kilka zakurzonych pomieszczeń.

Generator prądu, węzeł sanitarny, składzik i sterownia - wszędzie królowało spustoszenie i tylko sadza na suficie wymownie świadczyła o obecności tajemniczego lokatora, który nieraz zachodził do składu żywności z pochodnią, pokonując zawsze tę samą trasę.

- Ten bunkier może być połączony podziemnymi korytarzami z innymi wyrzutniami. Jeśli znajdziemy wejście...

Przytłumiony chrobot przed nimi sprawił, że Taran urwał w pół słowa. Stalker

znieruchomiał, wsłuchując się w napięciu w szmer osypującego się gdzieś kamiennego pyłu. Zupełnie jakby ktoś, kto krył się teraz w ciemnych korytarzach, niechcący otarł się o ścianę z resztkami odpadającego tynku. Ktoś, kto jak dotąd nie chciał zdradzać swojej obecności...

Gleb skulił się i zbliżył do ojca, ale ten nakazał mu gestem, by trzymał się Giennadija, a sam szybko i bezszelestnie pograżył się w mroku. Chłopiec chciał ruszyć za nim, ale mutant przytrzymał go za ramię.

Minuty pełnego napięcia i oczekiwania nagle się skończyły, kiedy stalker równie cicho i niespodziewanie wynurzył się z ciemności, kręcąc głową przecząco.

Fałszywy alarm? Gleba nie opuszczało poczucie czyjejś obecności. Zdawało mu się, że ktoś albo coś już od dawna obserwuje nieproszonych gości, wyraźnie bawiąc się ich niezdarnymi próbami odszukania zagadkowych gospodarzy podziemi.

Kiedy błakali się po niekończących się korytarzach, nieraz alarmująco terkotał dozometr, sygnalizując podwyższone promieniowanie. Teraz to Dym szedł przodem jako zwiadowca i po zbadaniu sytuacji wracał do pozostałych.

Nużąca wędrówka zakończyła się w bunkrze, w którym liczba i rozmiary pomieszczeń znacznie przewyższały odkryte w poprzednim. Radiowęzeł i przylegający do niego składzik wyglądały na zamieszkałe. Niedawno wygaszone palenisko przy wlocie wywietrznika, patelnia z resztkami posiłku - usmażonymi na węgiel kawałkami bezbarwnej galaretowatej substancji, szczyryk z przerdzewiałym praktycznie na wylot ostrzem, okopcony czajnik na starym żelaznym piecyku typu koza, kubek z resztką jakiegoś pachnącego naparu...

Dym wysypał sobie na dłoń szczyptę trawiastej herbaty ze stojącej obok miski, roztarł w palcach, powąchał i skrzywił się.

- To chyba mech. Zalatuje bagnem. Chociaż czego to człowiek nie wymyśli pod wpływem głodu...

- Znalazła się radiostacja... - dobiegł zza sąsiednich drzwi głos Tarana.

Giennadij i Gleb pospiesznie dołączyli do dowódcy, by zobaczyć na własne oczy miejsce, z którego nadawał nieznany żołnierz dywizji raketowej. Na stole zastawionym aparaturą leżały w nieładzie pożółkłe papiery, otwarte koperty, album z kluczami szyfrowania i tabela znaków wywoławczych. Obok leżała upstrzona dziwnymi symbolami mapa świata.

- Ciekaw jestem, co ten gaduła miał zamiar wystrzelić? Smażone ślimaki? - Dym podrapał się ogromnym łapskiem w potylicę. - Może nagranie jest po prostu nadawane automatycznie?

- Wątpię. - Taran poświecił latarką na stojącą w kącie zakurzoną prądnicę z ręcznym napędem. - Nie ma energii. Sprzęt jest odłączony od prądu. Żeby radiostacja ożyła, ktoś musi

cały czas podładowywać akumulator.

- Słusznie. W takim razie może poczekamy tu na gospodarzy?

Ale nie musieli czekać długo. Słyszając głośne trzaski, Gleb z początku nawet nie zorientował się, że z korytarza ktoś strzela. Krzesząc iskry, kule odbijały się rykoszetem od metalowych regałów, a jedna z nich trafiła w moduł przekaźnika, rozbijając na kawałki szybkę panelu sterowania.

Chłopak rzucił się na ziemię, zanim jeszcze Taran zdążył wydać komendę, i wczuł się pod stół, pozostawiając dorosłym swobodę manewrowania. Dym zaklął, łapiąc się za przestrzelone ramię, z rozmachem wpadł na szafę i osuwając się, kopnął w drzwi. Pozbawiony oglądu pola napastnik przestał strzelać i ten ułamek sekundy wystarczył, by Taran puścił przez drzwi długą serię. Przebijając deski na wylot, kule wyleciały w korytarz, ale ten kontratak nie powstrzymał agresora. Wciąż odpowiadał ogniem, chociaż teraz musiał strzelać na oślep.

Ze swojego miejsca Gleb widział wyraźnie, jak poruszały się usta ojca liczącego kolejne strzały.

„Czeka aż wyczerpie się magazynek... - domyślił się chłopiec. - Czyżby dostrzegł, jaką napastnik ma broń? A może rozpoznał model po dźwięku wystrzałów?”

Stalker skończył liczyć, gwałtownie zerwał się z miejsca i wybił drzwi barkiem, jednocześnie naciskając na spust. Huk automatu przetoczył się echem po korytarzu, zagrzechotała przewrócona koza. Giennadij był już na nogach i, przyciskając dłoń do rany, gorączkowo szukał wzrokiem upuszczonej na podłogę broni.

Jeszcze chwila i łoskot wystrzałów ucichł. Przez dziury w posiekanych przez kule drzwiach sączyło się światło pojedynczej latarki.

- Dowódco, to ty? - zawołał Dym.

- Ja! - dobiegło w odpowiedzi. - Możecie wyjść...

Taran stał obok wiadra z wodą, patrząc w zadumie na zgaszoną pochodnię.

- Widziałeś go? - zapytał od razu Gleb.

- W przelocie. Jakiś dzikus... Brudny, zarośnięty... Zwiewał, aż się kurzyło...

- Widząc brunatną strużkę na ręce mutanta, stalker podszedł bliżej. - Daj, niech obejrzę.

Giennadij, krzywiąc się, zabrał dłoń. Z symetrycznego otworu w ramieniu, pulsując, sączyła się krew.

- Przeszła na wylot. Miałeś szczęście... Gleb, wyjmij bandaż.

W czasie gdy czyścili i przewiązywali ranę, chłopak co i rusz rozglądał się z

niepokojem dookoła.

- Możesz się nie denerwować - uspokoił go Taran. - Porządnie go wystraszyliśmy. Do tego głupol nie ma już amunicji. Inaczej nie zostawiłby nam swojej giwery.

Stalker kiwnął głową w stronę leżącego nieopodal pistoletu Makarowa.

Chłopak ostrożnie podniósł broń i obejrzał ją uważnie.

- O rany! Jest podpisany! Z dedykacją. Nie bardzo mogę odczytać...

Dowódcy... szoznamieńsk... wizji...

- A to ci komdyw... - odgadł natychmiast Dym, poruszając ostrożnie zabandażowaną ręką. - Co on tak kropi bez rozpoznania?

- Niedługo się dowiemy... jak tylko go złapiemy. - Taran pogrzebał w plecaku.

- Ale jak mamy go znaleźć? - klasnął w rękę Gleb. - On przez całe te katakumby przejdzie z zamkniętym oczami!

Z mrocznym uśmiechem stalker wyciągnął okulary termowizyjne.

- A więc zabawimy się w chowanego jak równy z równym...

* * *

Ognisko trzaskało wesoło, chciwie pochłaniając poczęstunek w postaci garści węgla, którego niewielki zapas znaleźli porzucony na stercie rupieci w pobliskim pomieszczeniu gospodarczym. Chybotliwe światło pozwalało obejrzeć twarz mieszkańca bunkra ze wszystkimi szczegółami. Na oko nieznamy miał jakieś czterdzieści pięć lat. Zarośnięty, śmierdzący, z długą zmierzwioną brodą i o nieprawdopodobnie bladej, ospowatej twarzy, siedział naprzeciw wędrowców i patrzył z nieobecną miną na płomień. W znoszonych, kompletnie poprzecieranych, za dużych łachmanach, wiszących na wątłym ciele niczym bezkształtny wór, z trudem dało się rozpoznać wojskowy mundur.

Ujęcie agresora nie nastęczyło im problemów. Pozbawiony jedynej przewagi, nieznamy podjął desperacką próbę ukrycia się na powierzchni, ale nie zdążył daleko uciec. Giennadij ze swoim wzrostem olbrzyma i długimi nogami okazał się szybszy w głębokim śniegu, związał opadłego z sił uciekiniera i zaprowadził z powrotem do bunkra.

Po drodze udało im się przyjrzeć kilku pobliskim silosom raketowym.

Otwartych luków trudno było nie zauważyć na białym tle. Szybkie oględziny wnętrza wyrzutni przyniosły spodziewane rezultaty. Silosy zamieniły się w zwyczajne oszronione

studnie, a zamiast rakiet w głębokich żelbetowych walcach stała, pokryta warstewką lodu, czarna radioaktywna woda.

- To twoja giwera? - zapytał Taran, rzucając jeńcowi pistolet.

Ten złapał broń w locie, schował za pazuchę i znów utkwiał wzrok w płomieniach. Jeniec nie miał związanych rąk. Po schwytaniu zachowywał się spokojnie, co chwila zerkając z obawą na Giennadija. Widocznie nie miał wcześniej okazji spotykać mutantów podobnych do Dyma.

- Chociaż wątpię. Coś mi nie wyglądasz na komdywa - za młody. Za to na oficera zmiany bojowej jak najbardziej. Zgadłem?

Stalker zauważył, jak milczącemu jeńcowi drgnęła powieka, ale nie rozwinął tematu.

- Wybacz, że przyszliśmy do twojego domu... jak to się mówi... z mieczem...

Ale to przecież nie my pierwsi zaczęliśmy strzelać.

- Jak ty się w ogóle nazywasz, dziwaku? - wtrącił się mutant.

Ale jeniec nadal uparcie milczał.

- No, jak chcesz. Nam to w zasadzie wisi i powiewa. Zostańmy przy komdywie - Dym pokręcił byczym karkiem i smacznie ziewnął. - Powiedz no lepiej, o jakich rakietach ty tu nadajesz? Silosy są przecież puste!

Wojskowy zignorował również tę próbę nawiązania kontaktu. Zmienił tylko pozycję i oparł się łokciami o chropowatą betonową ścianę.

- Ależ daj mu spokój... Chodźmy lepiej jeszcze raz obejrzyć sterownię.

Musimy się upewnić, że już nikt niczego stąd nie wystrzeli. - Taran podniósł się, niepostrzeżenie puszczając oko do syna. - Gleb, popilnuj przez chwilę wujka. Jak będzie kombinował, strzelaj tak, żeby zabić.

Chłopak poczekał, aż stalkerzy opuszczą pomieszczenie i wyjął z plecaka apetycznie pachnące zawiniątko, pociął kawałek suszonego mięsa na równe plasterki i zaczął niespiesznie żuć.

Oczy jeńca nie mogły się oderwać od stopniowo znikającego ze ściereczki jedzenia. Widząc jego głodne spojrzenie, chłopiec ochoczo podsunął mięso oficerowi:

- Proszę się poczęstować.

Nieznajomy nie wahał się długo. Wyciągnął rękę, wziął kawałek i chciwie połknął.

Nie dojadać, zagłuszając głód gryzoniami i ślimakami... Nikomu nie można życzyć czegoś takiego...

- Proszę brać więcej! Starczy dla wszystkich!

Obserwując, jak jeniec pospiesznie, prawie nie żując, pochłania mięso, chłopak w

końcu się zdecydował:

- Mam na imię Gleb. Chociaż pan już i tak to wie.

Oficer na chwilę przerwał jedzenie i niechętnie burknął w odpowiedzi:

- Nikołaj. Miezencew.

- Sam pan tu mieszka? - poszedł za ciosem chłopiec.

- Mieszkam? - Na twarzy jeńca po raz pierwszy przez cały ten czas pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. - Synek, ja tu odbywam służbę. Wraz ze śmiercią dowódcy dywizji przejąłem jego stanowisko. I jak dotąd nikt mnie z niego nie odwołał! Natomiast co wy robicie w miejscu dyslokacji tajnej jednostki, to jeszcze trzeba sprawdzić! Za coś takiego według prawa stanu wojny...

- Wojny, powiadasz? - jak spod ziemi wyrósł Taran, przyłączając się do rozmowy. - I przeciw komu ty tu wojujesz, koleżko? Dwadzieścia lat z hakiem odkąd wszyscy powymierali, a ciebie do tej pory ręce świerzbią, żeby ponaciskać guziczki?

- Dwadzieścia lat? Niemożliwe... - Zmieszanie na twarzy Miezencewa zmieniło się w niedowierzanie. - Dlaczego nie przysyłają posiłków?! Próbuję połączyć się ze sztabem armii na wszystkich przepisowych częstotliwościach, ale nikt nie odpowiada!

- Z jakim sztabem, do ciężkiej cholery?! Obudź się, chłopie! Wojna dawno się skończyła!

Jeniec ledwie zauważalnie zachwiał się i znów utkwiał wzrok w podłodze. Po jakimś czasie powiedział głuchym, załamującym się głosem:

- To niemożliwe... W takim razie, kto... zwyciężył?

- Stawiasz niewłaściwe pytanie, Nikołaju Jakiś-tam. Bo kiedy takie psychole jak ty naciskają na spust, to zostają tylko przegrani. - Stalker spojrział z niechęcią na rozmówcę i nagle uniósł się, przechodząc w krzyk: - Nikt nie zwyciężył, cholerny świrze! Dlatego, że nie ma już komu zwyciężyć! NIE MA KOMU, SŁYSZYSZ?!

Taran chwycił jeńca za szmaty i przycisnął do ściany, ledwo powstrzymując gotującą się w nim złość. Wzrok Miezencewa, pusty i nieobecny, sprawił jednak, że stalker osłabił uścisk.

- To nieprawda... Nonsens... To jakieś brednie! Przecież w Kaspijsku... - mamrotał tamten, co chwila kiwając lekko głową, jakby próbował przekonać sam siebie co do słuszności własnych wywodów. - Trzeba skontrolować gotowość bojową rakiet... Zgadza się! Drugi i czwarty silos...

Oficer wyminął Tarana i skierował się do sterowni, usiadł na wyliniałym fotelu i zaczął przebierać palcami po wytartych przyciskach, wpatrując się w nieżywy czarny ekran

monitora. Na nabrzmiałym od wilgoci i rdzy pulpicie nie zapaliła się ani jedna lampka, ale Miezenцев wciąż z zapalem czarował nad martwą aparaturą.

- Przecież on kompletnie sfiksował... - skomentował Dym, zaglądając przez otwarte drzwi. - Zachodzę w głowę, jak on się uporał z radiostacją!

- No to spróbuj się wywieźć... - zaproponował bez entuzjazmu stalker.

Obserwując niezgrabne, pozbawione sensu manipulacje Nikołaja Miezenцева, Gleb starał się myśleć o nim jako o uczestniku tamtych strasznych wydarzeń, o wysłanniku zła, współodpowiedzialnym za unicestwienie przyszłości, ale widział tylko nieszczęśliwego, ciężko chorego człowieka.

- Przecież go tu nie zostawimy?

Gleb pociągnął ojca za rękaw, oczekując odpowiedzi.

- Aha - roześmiał się Dym. - I przerobimy transporter na psychiatryk na kółkach. A kiedy znowu coś mu się przestawi w tej durnej łepetynie, to wystrzela nas jak kaczkę...

- No nie - uciął Taran, starając się mówić cicho, żeby nie usłyszał go mieszkaniec bunkra. - Wystarczył mi już Piechur. Nie ma sensu ryzykować.

- Ale...

- Gleb, zamierzasz kwestionować każdą moją decyzję? Zdaje mi się, że już to przerabialiśmy.

Stalker oderwał wzrok od syna, zawahał się chwilę i zawołał do Miezenцева:

- Ej, komdywie! Co ty tam mówiłeś o Kaspijsku?

Ręce szaleńca zawisły nad klawiaturą, oczy na moment przybrały rozumny wyraz.

- Miasto uniknęło ataku rakietowego. Nie mogło tak po prostu zniknąć!

Dawno już postanowiłem, że jak doczekam demobilizacji, wyrwę się nad Morze Kaspijskie...

Miezenцев przymknął rozmarzone oczy, potem nagle zaczął szukać czegoś po całym biurku, przetrząsając papiery.

- Moglibyśmy podrzucić cię do miasta - zaoferował niespodziewanie Taran.

- Teraz nie mogę. - Mieszkaniec bunkra w mgnieniu oka spoważniał i zaczął się krzątać z dawnym zapalem. - Zaraz muszę złożyć meldunek, a raport jeszcze niegotowy... Gdzie się zapodział ten cholerny dziennik?!

Szaleniec przemknął obok drużyny i zniknął w mroku podziemi.

- Zostaw - zatrzymał Giennadija Taran. - Jemu już chyba nikt nie pomoże.

Niech idzie.

- Coś mi się wydaje, że jeszcze tego pożałujemy... - rzekł chłopiec, spoglądając w ślad

za niewidocznym już Miezencewem.

- Pożyjemy, zobaczymy - odparł stalker swoją ulubioną frazą.

Wrócił do piecyka, położył na ziemi kilka konserw, a obok resztek szczyryka zostawił swój nóż desantowy.

- Nie żal ci? - Giennadij zerknął z przykrością na połyskujące stalą ostrze.

- Komdywowi bardziej się przyda - Taran obejrzał się na swoich podopiecznych. - Nie zasiedzieliśmy się trochę?

- Jasne! - poparł go Dym. - W nosie mnie już swędzi od tej tutejszej wilgoci.

Czas wyjść na słończko. Aurora z Migalyczem też zaraz uświerkną od tego czekania!

Taran skinął głową i ruszył do wyjścia z bunkra, zakładając po drodze maskę przeciwgazową.

- Wyobrażam sobie minę staruszka, kiedy się dowie, że będziemy musieli zmienić trasę...

- O czym on gada? - trącił ukradkiem Gleba mutant.

- Jak to o czym? O poszukiwaniu czystych terytoriów oczywiście! Jedziemy nad Morze Kaspijskie!

* * *

Tego dnia, jak wiele dni przedtem, Nikołaj przeszukiwał fale radiowe, starając się wśród szumu tła wychwycić coś, co choć trochę przypominało ludzką mowę.

Cierpliwie kręcąc gałkami strojenia, nie tracił nadziei, że wreszcie usłyszy odpowiedź na swoje uporczywe, powtarzane dzień po dniu zapytania. Głodowe skurcze doskwierały coraz silniej, ale Miezencew za nic nie zdecydowałby się naruszyć ustanowionego kiedyś porządku, uznając to za przejaw słabej woli. Dopiero po przeskanowaniu częstotliwości podstawowych i rezerwowych pozwolił sobie na wyprostowanie pleców, potem przeciągnął się i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku skierował się do urządzonej w sąsiednim pomieszczeniu kuchni.

„Trzeba by coś wykombinować z tym akumulatorem, bo już kompletnie nie trzyma napięcia...” - pomyślał, wprawnie oprawiając wodnistą tuskę złapanego rano ślimaka.

W czasie nużącego seansu w radiowęźle trzeba było nieraz wprawiać w ruch dynamo i za każdym razem coraz trudniej było kręcić nieszczęsną korbą. Nikołaj zdawał sobie sprawę,

że słabnie z każdym przeżytym w podziemiu rokiem, ale zawodowa duma nie pozwalała mu złamać przysięgę i porzucić jednostkę. Odkąd wybuch nieznanej, błyskawicznie przebiegającej infekcji wybił wszystkich gnieźdzących się tu z nim towarzyszy, absurdalnym zrządzeniem losu oszczędzając Miezencewa, który leżał wtedy w izolatce z banalną gripą, osamotniony oficer stracił rachubę czasu. Dni zmieniały się w tygodnie, miesiące - w lata, ale wiara w potężną i niezwyciężoną ojczyznę nie opuszczała żołnierza, pozostając jedyną podporą w przewlekłej walce ze zbliżającym się obłędem.

„Muszę tylko doczekać rozkazu - bez końca, jak modlitwę, powtarzał sobie Nikołaj. - Kontruderzenie... Odpłata... To będzie kropka w tej przeciągającej się wojnie! I wtedy wszystko zmieni się na lepsze... Na pewno się zmieni...”

Co konkretnie miało się zmienić - tego jego zmętniały umysł nie był już sobie w stanie wyobrazić. Marzenia rzadko zabierały Nikołaja dalej niż do Kaspijska.

Częściej widział, jak melduje o pomyślnym wykonaniu zadania bojowego dowódcy armii... A co tam dowódcy! Głównodowodzącemu WRSP!2 Taka to skala!

Brutalny szturchaniec w plecy sprowadził Miezencewa z obłoków na ziemię, do stóp rosłego i barczystego mężczyzny w skafandrze ochronnym i nałożonej na wierzch kamizelce kuloodpornej. Skubiąc w zamyśleniu pozlepianą od potu rudą brodę, nieznajomy przechylił głowę w bok i przyjrzał się sceptycznie czołgającemu się w pyłe Nikołajowi.

- Więc to ty jesteś tym sławetnym „skrytym zagrożeniem”, którego tak się obawiał Pułkownik?

Próbując wstać, Nikołaj otrzymał silny cios w splot słoneczny, wylądował plecami na palenisku z żarzącymi się węglami i zwinął się obok w kłębek.

Rozrywany przez atak kaszlu, nie poczuł nawet, jak przybysz chwycił go za rękę i przeciągnął po betonie z powrotem do kąta z prostym sprzętem kuchennym.

- Wiesz, ilu moich żołnierzy poległo przez te twoje audycje, podczas gdy się tu bawisz w kucharza? Gdyby nie twoje majaczenia, nie musiałbym poświęcać całego oddziału, żeby przebić się przez ten cholerny wąwóz... Nie musiałbym zapieprzać przez step na piechotę po tym, jak skończyło się paliwo! Nie musiałbym stuknąć kierowcy i celowniczego, żeby zaoszczędzić na filtrach i żarciu!

Sungat złapał oddech, podsunął bliżej jeszcze gorącą patelnię, chwycił leżący na desce do krojenia nóż desantowy.

- Ale nic to... Zaraz ci usmażę rarytas, gnido okopowa...

Nikołaj nie zdążył zdać sobie sprawy z tego, co się stało w następnej sekundzie. Usłyszał tylko wyraźny chrzęst, poczuł eksplozję piekielnego bólu w dłoni i wrzasnął.

Przerażonymi oczami zobaczył, jak jego własny palec wylądował na patelni. Zasycała, pieniąc się, rozgrzana krew, pomieszczenie wypełniła woń palonego mięsa.

- Proszę... nie... - wychrypiał Miezenecw, próbując oswobodzić rękę spod buciora oprawcy, ale ten, przyglądając się w zadumie poplamionemu ostrzu, jakby nie słyszał jego jęków.

- Znajoma rzecz... Zdecydowanie już ją kiedyś widziałem. - Sungat pochylił się i wyszczerzył złowieszczo zęby. - A powiedz mi, przyjacielu, dawno był u ciebie w gościnie właściciel tego noża?

Podczas gdy do sparaliżowanej bólem świadomości Miezenecwa docierał sens chytrych słów, Farbowany Lis znów ciachnął po przygniecionej ręce. Kolejny krzyk poniósł się po pustych korytarzach podziemi, zostawiając na wilgotnych ścianach niewidzialną emanację cierpienia i strachu. Jeszcze jeden palec upadł na patelnię, ale Nikołaj już tego nie widział, zaciskając powieki i drżąc na całym ciele.

- Wiesz, moje talenty kulinarne nie ograniczają się do grillowania. I jeśli wciąż jeszcze palisz się do tego, by pojąć wszystkie zawłości tej jakże wykwintnej sztuki, to...

- Oni odjechali! Jakąś dobę temu! - wypalił Miezenecw, walcząc z zawrotami głowy.

Gorąca od krwi ręka bolała niczym jeden rozszarpany nerw.

- Dokąd?

- Do Kaspijska! - wybełkotał Nikołaj, trzęsąc się od szlochów. - Do Kaspijska...

Farbowany Lis zdjął but z okaleczonej dłoni, szczerząc zęby z zadowoleniem:

- Trzeba było tak od razu... Wybacz, ale nie zostanę na kolację. Czas na mnie.

- Sungat zatknął sobie nóż za pasek, zabrał leżące na ziemi konserwy, zerknął z obrzydzeniem na drżące ciało i odwrócił się. - Sam zdechniesz, ścierwo...

Kiedy oprawca opuścił bunkier, Miezenecw zrobił jedyną rzecz, która mogła jeszcze zatrzymać w słabnącym ciele szybko wyciekające życie. Zacisnął zęby i dotknął kikutami palców rozgrzanej patelni, wypalając rany. Nie usłyszał już własnego przeszywającego krzyku, pograżając się na jakiś czas ni to w półśnie, ni w półjawie, balansując na granicy głębokiego omdlenia...

Nikołaj odzyskał przytomność, trzęsąc się z zimna, odkrywając, że stoi po kolana w śniegu, na skraju silosu raketowego. Nagłe odkrycie wprawilo żołnierza w szok. Oderwał się od widoku znieruchomiącej w pozycji otwartej, pięciometrowej pancernej płyty ochronnej, utkwil wzrok w nieprzeniknionym mroku pustej wyrzutni.

Tam, gdzie rozpalona wyobraźnia rysowała zawsze obraz tępo zakończonej, wzbudzającej podziw, ciężkiej międzykontynentalnej rakiety balistycznej „Satan”.

Tam, gdzie nieco ponad dwadzieścia lat temu wielotonowy pocisk wystartował w swój jedyny, śmiertelny lot...

„Nie ma już komu zwyciężać! NIE MA KOMU! - jak dzwony na trwogę rozbrzmiewały mu w głowie słowa przybysza. - Bo kiedy takie psychole jak ty naciskają na spust, to zostają tylko przegrani!”

- Jak to? Ja przecież... tylko wykonywałem rozkazy... Czyżby to naprawdę był... koniec?

Oficer zachwiał się, gwałtownie blednąc. Nogi ugięły się pod nim, nie będąc w stanie utrzymać osłabionego ciała na skraju silosu. Nikołaj Miezencew po raz ostatni spojrzął na połacie śniegu i zapadł w ciemność.

1 Komdyw - w rosyjskiej armii skrótowe określenie dowódcy dywizji
(*komandir diwizji*) (przyp. tłum.).

2 Wojska Raketowe Strategicznego Przeznaczenia (przyp. aut.).

Część II

W STRONĘ POGRANICZA

Rozdział 16

NAKRAPIANE NIEBO

W bezkresnym oceanie śniegu, omijając rzadkie wysepki pokrytych bielą zarośli szczodrzenia i tawuły, ciągnął się na południe poszarpany ślad.

Lute mrozy i przenikliwy wiatr wywiały z powierzchni ziemi wszystko co żywe i wygnały nielicznych mieszkańców równin i pagórków do nor i kryjówek.

Tylko tam, gdzie ogromne koła wyrzutni rakiet pozostawiły w śniegu głębokie bruzdy, po utorowanej w ten sposób drodze sunął uparcie niepozorny z daleka czarny punkt.

Pierwsze drobinki kłującego, zamarniętego śniegu zaczęły nieśmiało padać na drogę, zwiastując nadciągającą niepogodę.

Mężczyzna zatrzymał się, zadarł głowę i wściekle pogroził pięścią niebu:

- Ani się waż zasypywać ślady!!! Słyszysz mnie, durszlaku jeden?!

Sądząc po tym, jak samotny wędrowiec zataczał się i sapał z wysiłkiem pod maską przeciwgazową, spędził w drodze wiele czasu, ale jakiś tylko jemu znany cel sprawiał, że uparcie parł naprzód, posuwając się coraz dalej w głąb głuchej i bezludnej półpustyni północnych terytoriów nadkaspjskich.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że dalszy pościg nie ma sensu, ale rozdarty między żądzą zemsty a wolą przeżycia Sungat za każdym razem znajdował argumenty, by iść dalej i dalej, mimo potu, mimo głodu, mimo ciężkich jak z ołowiu mięśni.

Kto, jak nie on, dowódca naziemnego oddziały Stepowych Psów, miałby lepiej znać okrucieństwo matki natury i jej niszczycielski wpływ na pojazdy kołowe?

Bezdroża, burze piaskowe, kwaśne deszcze... W czasie dawnych rajdów po porzuconych wioskach i osadach awarie pojazdów zdarzały się niemal codziennie, dlatego Sungatowi pozostawała tylko skryta nadzieja, że podobny los dosięgnie też transporter jego śmiertelnego wroga.

Tak czy inaczej, na pieszy powrót do Jamantau nie starczyłoby mu ani prowiantu, ani sił, nie miał też zamiaru koczować na terenie jednostki w oczekiwaniu na haniebny koniec. Choć było to bolesne, musiał przyznać, że Taran i jego wóz ze ściganego zamienił się w jedyną szansę na ocalenie. Innych sposobów, by wrócić do podziemnego miasta, Sungat nie widział.

Zajęty rozmyślaniami, nie od razu zauważył, że nadciąga zamieć. Wiatr zaatakował ukradkiem i zdradziecko pchnął go w plecy, niebo się otworzyło, zasypując ziemię gęstymi płatami śniegu. Pogoda zmieniła się w jednej chwili.

Nadciągnęły chmury i bezlitośnie stłumiły światło, pogrążając świat w granatowym półmroku.

W rezultacie Sungat nie dostrzegł błyskawicznie zbliżającego się cienia, który zasłonił kawał nieba. Dopiero kiedy ziemia, poddając się nieznaney sile, usunęła mu się spod nóg, a w ściśniętych jak w imadle żebrach poczuł straszliwy ból, Farbowany Lis z przerażeniem zorientował się, że stał się ofiarą jakiegoś drapieżnego stwora, który wznosił się teraz, zaciekle machając ogromnymi, nieproporcjonalnie wydłużonymi skrzydłami.

Rozpaczliwie sięgając po automat, bandyta zarzęził, gdy ptaszysko, zaniepokojone miotaniem się krnąbrnej zdobyczy, wzmocniło chwyt. Straszna, uzbrojona w dziób głowa majaczyła gdzieś u góry, złośliwe oczy, okrągłe jak guziki, grafitowoczarne, wypatrywały czegoś wśród przesuwających się w dole jarów i wąwozów. Ostatnim świadomym ruchem Farbowany Lis zerwał w końcu automat z pleców, ale nowy spazm bólu sprawił, że zapomniał o całym świecie. Karabin wyslizgnął się z osłabionych palców i zniknął w śnieżnej zamieci, która majaczyła mu przed oczami, póki nieprzenikniony mrok utraty przytomności nie wybawił Sungata od męczarni...

* * *

Plecy dawno już zdrętwiały mu od niewygodnej pozycji, a oczy łzawiły z wysiłku, ale Gleb wciąż uparcie wpatrywał się przez iluminator w rozpościerający się w dali przestwór Morza Kaspijskiego. Skuwający brzegi szary lód urywał się w odległości około dwudziestu metrów, ustępując miejsca otwartej wodzie. Refleksy świetlne chylące się ku zachodowi słońca i łagodna bryza, od której na powierzchni formowały się zmarszczki i fale, tworzyły iluzję spokoju i błogości. Za solidnym pancerzem Maleństwa rozpoznawczy rajd po opustoszałym wybrzeżu zamienił się w beztróską nadmorską przejażdżkę.

Taran jednak nie podzielał powszechnego zachwyty. Popędzany alarmującym terkotaniem dozymetru, gnał wciąż dalej wzdłuż brzegu, mijając samotne, rozsypujące się chałupy, porośnięte uschłymi drzewami osady, wyłaniające się z mgieł i wyziewów martwe miasta widma. Pędził tak długo, aż po prawej stronie, na tle dalekiego pasma gór, pojawiły się

ponure, przeżarte słonymi wiatrami fasady opustoszałych budynków Kaspijska.

Osnute mgłą nabrzeże, igiełki szronu na zardzewiałych słupach latarni ulicznych, fragmenty zerwanych przez wiatr dachów w gałęziach milczących, bezlistnych drzew, które niemo patrzyły na niespodziewanych gości, trzaskając na mrozie... Ułożone na pierzynie z mchu i burzanów, otulone w kołdrę śnieżnych zasp miasto spało wiecznym snem.

- Widać żołnierz wcisnął nam kit! - oburzył się Miگاłycz, nie wiedzieć czemu mocno zdenerwowany. - Tyle było miast na trasie, a nam się zachciało tłuc tak daleko! Skąd pewność, że nie wpadniemy do kolejnego radioaktywnego ścieku?

- Miezencew nie miał powodu, by kłamać - zaproponował Taran. - Ja mu wierzę. Na pewno odbierał komunikaty radiowe w pierwszych dniach po Katastrofie i rozmawiał z ocalałymi...

- Niby wszystko się zgadza, dowódco. Ale jak się okaże, że na darmo zrobiliśmy taki szmat... - Kolejarz pokręcił głową z bólem. - Samego paliwa ile poszło!

- Nie przeżywaj, ojczulku, nie na darmo... - włączył się do rozmowy Giennadij, obserwując przez lornetkę prześwitujące zza drzew dachy domów. - Widzę jakby jakieś światło. Czy to ognisko, czy latarka...

I zabrzmiało to tak zwyczajnie, że z początku załoga nie zwróciła uwagi na sens tej porażającej nowiny. Zbiorowe odrętwienie nie trwało jednak długo. Taran nacisnął hamulec, pozostali rzucili się do iluminatorów.

- Gdzie? - dobiegło z kilku kabin naraz.

- Widzę! - pisnęła Aurora, klaszcząc w dłonie. - Trzecie piętro! Tam, gdzie jest szyba w oknie! O, znowu!

Oczy całej załogi były skierowane na miasto i tylko Gleb wciąż patrzył jak zaczarowany na pas granatowofioletowej wody i niezwykłą konstrukcję na morzu, około dwóch kilometrów od brzegu. Potężna kilkupiętrowa budowla z cegieł z przysadzistą prostokątną wieżą i wydłużonymi ni to oknami, ni to strzelnicami pośrodku morza przyciągała wzrok. Jak średniowieczna twierdza wyrastająca wprost z wody. W każdym razie pod fundamentami nie było widać twardego lądu, co tworzyło iluzję ogromnej, dryfującej arki.

Z dachu wieżyczki obserwacyjnej ktoś wytrwale dawał sygnały świetlne pochodnią, których odbłask dostrzegł widocznie Giennadij w jednym z okien.

- Starczy wam już tego gapienia się! - nie wytrzymał chłopak.

Teraz znaki kontaktującego się z nimi nieznanego śledzili już wszyscy bez wyjątku. Nastroje błyskawicznie się poprawiły - odnaleźć wreszcie kolonię ocalałych, do której nie

zdołały dotrzeć Stepowe Psy, to nie byle co!

Przechwyciwszy poważne spojrzenie syna, stalker nie podzielał powszechnego zachwytu. Ile to już razy w czasie ich wędrówki przedwczesna radość z dokonanego odkrycia zamieniała się w gorzki rozczarowania...

Wyczuwając nastrój dowódcy, załoga ucichła, krótkotrwałą euforię zastąpiło pełne napięcia oczekiwanie na dalsze rozkazy. Taran jakiś czas obserwował sytuację przez iluminatory, po czym uruchomił silnik, obrócił Maleństwo przodem w stronę wody i włączył reflektory. Dwa ostre snopy światła przecięły powietrze, krótko mrugnęły i znów się zapaliły... Po jakimś czasie światło na wieży zgasło i znów się pokazało. Mieszkańcy wodnej twierdzy odpowiadali, kryjąc na moment pochodnię za występ muru.

- Migalycz, znasz alfabet Morse'a?

- Nie obrażaj mnie, dowódco!

- W takim razie powysyłaj im sygnały. Postaraj się dowiedzieć, kim są i czego chcą. - Taran zwolnił fotel kierowcy, chwycił za SWD i ruszył w stronę wieżyczki karabinu maszynowego. - A ja w tym czasie zerknę przez lunetę, co oni tam mają za fort...

- Powysyłać sygnały można... - Kolejarz usiadł na swoim zwykłym miejscu.

- Ale o forcie sam mogę sporo opowiedzieć. Mój znajomy służył kiedyś w Kaspijsku... Stalker zamarł w pół drogi, czekając na kontynuację.

- To jest tak zwany „ósmo wydział” zakładu Dagdizel - zaczął niespiesznie Migalycz.

- W istocie była to stacja testowa marynarki wojennej, konkretnie torped.

Teraz, jak sądzę, nie muszę objaśniać, dlaczego postawili to tak daleko od miasta?

Jak wspaniała była sama technika budowy! Wyobraźcie sobie czternastometrową pustą w środku platformę żelbetową, odlaną w ogromnym wykopie na brzegu. Kiedy usunięto groblę między dziurą a otwartym morzem, platforma została zwodowana i odholowana na miejsce budowy, gdzie ją ostatecznie zatopiono. A budowa zakładu na takim ogromnym masywie to już kwestia sprzętu...

- To coś takiego jest możliwe? - zdziwił się Gleb.

- Pytanie! - prychnął staruszek. - Kiedyś zawracali bieg rzek, co tam jakaś fabryka na wodzie.

- I kto bidulków tam zapędził? - włączył się Dym. - Poziom radiacji w mieście nieszczęśliwy, różnych piwnic jest pod dostatkiem, można tu mieszkać...

Migalycz wzruszył ramionami:

- A kto zrozumie tych dziwaków? Chociaż dwa kilometry wody z hakiem to, powiem wam, całkiem niezła ochrona przed zwierzętami lądowymi...

- Myślę, że to nie jest najważniejsze, czego powinniśmy się teraz dowiedzieć - wtrącił się Taran. - No, ojczulku, porozmawiaj z tubylcami, póki nie przyładowali w nas jakimś swoim supertajnym złomem. Powiedz, że przychodzimy w pokoju i tak dalej w tym duchu...

- Robi się, dowódco.

W czasie gdy kolejarz wyżywał się na reflektorach, rozmawiając z mieszkańcami wodnej twierdzy, stalker bacznie obserwował wyszczerbione mury przez celownik optyczny - zdążył naliczyć nie mniej niż trzy lufy wielkokalibrowych karabinów snajperskich skierowanych w stronę transportera, kiedy migotanie ognia na wieżycze obserwacyjnej gwałtownie się urwało.

- I co tam? - Stalker wrócił do kabiny. - Jakie nowiny?

- Małomówni z nich goście... - poskarżył się starszy. - Chcą, żebyśmy wynieśli się stąd jak najdalej. Podobno z północnego zachodu nadchodzi śmierć.

Zaraza czy coś... Nie zrozumiałem dokładnie, o jakie zagrożenie chodzi, ale to właśnie ono zapędziło ludzi do torpedowni. Planują tam przeczekać, aż niebezpieczeństwo minie.

- Ciekawe, skąd mają takie wiadomości. - Dym podrapał się z zadumą w mięsisty podbródek. - Wróżka im przepowiedziała?

- A choćby i wróżka. W naszym położeniu nie należy lekceważyć żadnej informacji.

Taran sprawdził mapę, studiując nazwy miast we wspomnianym przez kolonistów kierunku. Krasnodar, Stawropol, Rostów nad Donem... Ale przed czym chcieli ich ostrzec przestraszeni mieszkańcy Kaspijska?...

- Bardziej jednak skłaniam się do wersji z pocztą pantoflową - kontynuował. - Plotki szybko się rozchodzą. Czasem dzięki pieszym wędrowcom, kiedy indziej dzięki karawanom handlowym, ale ocaleni jakoś muszą się kontaktować, przekazywać wiadomości. Dlatego lepiej jednak będzie posłuchać ostrzeżenia.

- I odejdziemy z niczym? - zapytał rozczarowany Gleb. - W takim razie może sensownie byłoby poprosić o nocleg? Przeczekać zagrożenie razem z gospodarzami?

- To od razu odpada - uciął Migalycz. - Kaspijczycy dali do zrozumienia, że nie wpuszczą obcych do fortu. Mówią, że już teraz siedzą sobie na głowach.

- To wszystko, co przekazali? - dopytywał się Taran.

Kolejarz pospiesznie kiwnął w odpowiedzi i fałsz tego nazbyt szybkiego ruchu nie umknął uwagi stalkera:

- Coś ściemniasz, ojczulku... Co jeszcze powiedzieli?

Starszy wahał się i śmiesznie wykrzywił twarz, ale w końcu ustąpił pod uważnym spojrzeniem dowódcy:

- Powiedzieli, że jeśli jest wśród nas lotnik...

- To jego oczywiście wpuszczą - domyślił się mutant.

Migałycz kiwnął głową, tym razem znacznie wolniej.

- Ale ja mam ich zaproszenie w nosie! - szybko wyjaśnił sytuację. - Nie myślcie sobie, że...

- Ależ przestań, ojczulku, przecież to jasne. - Giennadij delikatnie poklepał staruszką po plecach. - Wiemy przecież, że jesteś swój człowiek. W żadnym wypadku nie będziemy się rozdzielać.

Od nadmiaru wzruszeń Migałycz zmieszał się i zrobił czerwony jak rak, a Gleb z Aurorą objęli staruszkę, nadając temu idyllicznemu obrazkowi jeszcze bardziej wzruszający charakter.

- Skończyliście się mazać? - rzucił ponuro Taran, patrząc na załogę. - A teraz pogłówkujmy wspólnie, na co im, u licha, potrzebny pilot?

Zmieszanie na twarzach szybko ustąpiło miejsca ciekawości.

- Proponuję też wyobrazić sobie przez chwilę czysto teoretyczną możliwość, że kaspijczykom udało się skądś wytrzasnąć działający samolot...

- Albo helikopter! - zasugerował Gleb z oczami błyszczącymi z podniecenia.

- Zdajecie sobie sprawę, co to oznacza dla naszej ekspedycji?

Narada trwała krótko. Decyzja wyklarowała się od razu, bez sporów i długich dyskusji. Kiedy Migałycz wysłał mieszkańcom „ósmego wydziału” kolejną serię sygnałów świetlnych, nie trzeba było długo czekać na odpowiedź. Już po kilku minutach zza czarnej od wilgoci płyty fundamentu morskiej twierdzy ukazała się, walcząca z falami, łódź motorowa. Na razie nie można było dostrzec pasażerów, ale nie mogąc się doczekać zbliżającej się rozmowy, Gleb miał wielką nadzieję, że na ich spotkanie wypłynął ktoś z miejscowych przywódców.

Kaspijczycy dali się złapać na lep wiadomości o tym, że do oddziału należy doświadczony specjalista od pilotażu, ale czy będą mieli ochotę słuchać jakiegoś przybłądy i jego bajek o cudotwórczym Alfejosie? Co, jeśli nie zechcą podzielić się z nimi tajemnicami albo po prostu wyśmieją hipotezę o statku powietrznym, tym samym rozbijając ich nadzieje w pył?

Chłopak zerknął ukradkiem na ojca, niecierpliwie zaciskającego pięści, i nagle poczuł, jak bardzo pragnie, żeby tym razem szczęście dopisało ich fantastycznej drużynie.

Lecz wtedy, jakby szydząc z jego próżnych oczekiwań, siedzący na rufie mężczyzna w przestronnej brezentowej pelerynie podniósł się z miejsca, powiedział coś urywanym

głosem i szarpnął za rumpel. Motor zawył na podwyższonych obrotach. Łódź opisała półkole i pomknęła w przeciwnym kierunku.

- Co... Co oni wyprawiają?! - wykrzyknął ze złością stalker. - Widzieliście to? Co to wszystko znaczy? Co, nasze gęby im nie pasują?!

- Nie uogólniaj tak, dowódcu - próbował rozładować sytuację Giennadij. - Ja na przykład za swoją buźkę ręczę.

Ale Taranowi, jak się zdawało, wcale nie było do śmiechu. Nadal nie rozumiejąc powodu nagłej ucieczki łodzi, próbował pozbyć się Aurory, która wciąż uparcie szarpała stalkera za rękaw. I dopiero słysząc zgrzyt otwieranego włazu, zerwał się z miejsca, próbując zatrzymać wyskakującego na zewnątrz Gleba.

Stalker założył aparat oddechowy, zsunął się po drabinie i zamarł z otwartymi ustami, razem z synem gapiąc się na błyskawicznie ciemniejące niebo. Z zachodu, zza odległego pasma górskiego, niczym ohydna, czarna jak węgiel plama, na nizinę wlewał się smolisty gęsty dym. Zaslaniając cały horyzont, ze zdumiewającą prędkością zbliżał się do Kaspijska, wbrew prawom fizyki rozlewając się po nieboskłonie nierównomiernymi, falującymi czarnymi kłębami.

- Snajperka, szybko!

Chłopak wskoczył do transportera i po kilku sekundach podał ojcu ciężki karabin. Taran przyłgnął do lunety, wycelowwał w najbliższą chmurę i w końcu zobaczył... TO. Miriady strasznych skrzydlatych stworów podobnych do roju szarańczy uwijały się w powietrzu, jakby czekając na rozkaz, by rzucić się na bezbronne, pogrążone w niespokojnym śnie miasto. Gdyby nie ledwie dostrzegalne migotanie lekkich skrzydeł, przerośnięte owady można by było łatwo pomylić z mrówkami. Tyle że były to mrówki nieprawdopodobnie wielkie i ich rozmiary wprawiły doświadczonego stalkera w osłupienie.

- Gleb, potrafisz się modlić?

- Nie.

- W takim razie po prostu skrzyżuj palce na szczęście. Dlatego, że będziemy go teraz potrzebować bardziej niż kiedykolwiek...

* * *

Sungat ocknął się, słysząc przeciągły wizg ptaszyska, które wciąż szybowало wysoko

nad ziemią, mocno trzymając zdobycz w szponiastej łapie. Mięśnie mu zdrętwiały, a smagający skafander lodowaty wiatr przenikał jego ciało na wskroś.

Przez filtr maski przeciwgazowej przedostał się drażniący nozdrza zapach, od którego Farbowany Lis ostatecznie oprzytomniał. Orzeźwiający, pełen wilgoci zapach morza...

Pod nogami szybko przesuwiała się migocząca w świetle tafła wody. Kiedy w oczach rozjaśniło mu się na tyle, że dostrzegł daleką linię usianego budynkami brzegu, Sungat nagle poczuł wzbierający w nim powoli gniew. Zdechnąć w łapach jakiegoś bezrozumnego stwora to zbyt głupia śmierć dla niego, Stepowego Psa, przyszłego władcy podziemnego miasta!

Pokonując ból, bandyta obmacał swój pasek w poszukiwaniu broni.

Pozbawione czucia palce namacały żłobkowaną powierzchnię granatu... To akurat nie... Lepiej go oszczędzić na czarną godzinę - lepiej umrzeć szybko i bezboleśnie, niż być pozartym żywcem... Pies przesunął rękę kawałek dalej, aż dłoń dotknęła rękojeści zdobycznego noża.

Całą swoją złość i nienawiść do dzielnego stalkera, jaka gromadziła się w nim w ciągu kilku ostatnich dni, włożył w jeden potężny cios, przebijając łapę bestii nieomal na wylot.

Szponiaste palce rozwarły się odruchowo, ziemia i niebo zawirowały w oszalałym tańcu, nieważkie ciało natychmiast zareagowało na nowe niebezpieczeństwo ostrym atakiem mdłości. Sungat leciał w dół, bezgłośnie otwierając usta z paralizującego strachu i jednocześnie instynktownie majtał nogami, bezowocnie starając się zatrzymać szaleńczy korkociąg swobodnego spadania. Opór powietrza zerwał mu maskę przeciwgazową, wiatr świszczwał w uszach, a w głowie tłukła się jedna paniczna myśl: „ŻYĆ!”.

Pomysł lądowania w wodzie nie wydawał się już Farbowanemu Lisowi tak szczęśliwy. Z takiej wysokości z podobnym sukcesem można było skakać na ląd - tak czy inaczej, rezultat będzie opłakany. W oczekiwaniu na twarde uderzenie Sungat zacisnął powieki i spróbował zwinąć się w kłębek, ale brutalne szarpnięcie sprawiło, że wyciągnął się jak struna.

Pies obrócił się i tuż przed sobą zobaczył wyłupiastooki, porośnięty szczeciną łeb i potężny, spłaszczony dziób, którym skrzydlaty drapieżnik utrzymywał człowieka w powietrzu, wczepiony na amen w taśmę kamizelki kuloodpornej.

Błyskawiczne spadanie znów zamieniło się w kontrolowany lot. Teraz ptak unosił się jakieś półtora metra nad powierzchnią morza, szybkimi machnięciami wielkich płacht skrzydeł starając się nabrać prędkości i wzbić się w przestworza.

Nogi Sungata co rusz dotykały fal i bliskość zapewniającej ratunek wody dodała mu sił. Wydawszy z siebie pierwotny ryk, Pies zarzucił nogi na żylastą szyję mutantą, jedną ręką

wczepił się w pęk twardych piór, a drugą zaczął zadawać wściekłe ciosy w głowę stwora, dopiero teraz uświadamiając sobie, że wciąż jeszcze ściska rękojeść noża desantowego.

Drapieżnik przeciągle ryknął i spróbował strząsnąć z grzbietu człowieka, ale Sungat wpadł w amok bojowy i nie mógł się już zatrzymać, wbijając jak wariat ostrze noża w śliską od krwi szyję ptaka.

Uderzenie o powierzchnię wody zaparło mu dech w piersi, w skórę wbiły mu się tysiące kłujących igiełek, wyrzut adrenaliny zatrzęsł całym ciałem, pomagając w nierównej walce ze straszliwym zimnem. Odepchnąwszy cielsko miotającego się w agonii mutanta, Pies wynurzył się, chciwie odetchnął pełną piersią i najszybciej jak potrafił zaczął płynąć w stronę ośnieżonej linii brzegu. Od śmiertelnego wychłodzenia dzieliły go minuty i Sungat nie miał zamiaru niepotrzebnie tracić czasu.

Krawędź lodu, krucha i niepewna, kilka razy załamywała się pod ciężarem osłabłego ciała, ale człowiek uparcie walczył o życie. Rozpłaszczył się na mieniącej się błękitem śliskiej powierzchni i jakimś cudem wydostał z wody, po czym bardzo wolno zaczął pełznąć w stronę zbawiennego lądu.

Zdawało się, że walka z żywiołem wycisnęła z organizmu ostatnią kroplę życia, ale oto człowiek z głuchym rykiem podniósł się na kolana i wyprostował, jakby nie dostrzegając upstrzonego czarnymi punkcikami nieba... Drżące sine wargi Farbowanego Lisa rozciągnęły się w dziwnym uśmiechu, a potem cały zatrzęsł się w ataku bezgłośnego histerycznego śmiechu, nie odrywając wzroku od niezgrabnej bryły samobieżnej wyrzutni raketowej, która manewrowała w gąszczu zabudowań portowych jakieś pięćset metrów od niego.

- Czy nie czas uwierzyć w przeznaczenie, stalkerze? Czy dalej będziesz uciekał przed swoim losem? - zasyczał ze złością Sungat, czerpiąc siły z palącej mu duszę nienawiści. - Cóż... Biegnij, póki jeszcze możesz... Bo bardzo niedługo nauczysz się pęłzać, gnido...

* * *

Ośmiusetkonny silnik ryczał i jęczał jak ranne zwierzę. Roztrącając zleżały śnieg, Maleństwo uparcie wspinało się pod skute lodem wrota ogromnego hangaru, który prawie dwukrotnie przewyższał rozmiarami tłoczące się obok betonowe pudełka. Chmary niezwyklej insektów wypełniły ulice miasta, zbliżając się do nabrzeża i próbującego znaleźć kryjówkę oddziału Tarana.

- Nie śpimy, bracia! Żywiej! Dym, co z tą bramą? Migalycz, kochany, dodaj gazu! - zdierał gardło stalker, co chwila zerkając na kręcące się między domami skrzydlate mrówki z piekła rodem.

Całe roje tych niestrudzonych, żarłocznych stworów wisały na drzewach, z szokującą zręcznością i łatwością przecinając gałęzie, konary, a nawet grube pnie twardymi jak stal żuwaczkami. „Mrowańcza”... - nazwa tego dziwnego podgatunku gigantycznych owadów z tułowiem mrówki i zwyczajami szarańczy jakby sama pojawiła się w głowie1.

Intuicja podpowiadała, że pas wody i stare ściany „ósmego wydziału” raczej nie uchronią kolonii kaspijczyków przed całkowitą zagładą. Jak dotąd owadom nie było jednak spieszno do badania stojącej osobno morskiej twierdzy, czego nie można było powiedzieć o upatrzonym przez oddział budynku. Pierwsze ciekawskie osobniki wylądowały na wraku wózka widłowego niebezpiecznie blisko pochylni wjazdowej, i wydając straszliwe cykanie, powoli poruszały żuwaczkami.

- Węszą, gady... - Migalycz pojawił się znikąd i klepnął stalkera w ramię. - Wóz jest w środku, dowódco. Można zamykać.

Nie opuszczając broni, Taran ruszył po pochylni w ślad za staruszką. Jedno z ciężkich metalowych skrzydeł bramy było już zamknięte i Dym krzątał się przy drugim, kiedy owady, zwabione hałasem z wnętrza hangaru, w końcu rzuciły się do ataku. Zaterkotał automat, strącając w locie kilka najbardziej natarczywych bestii.

Końcówka długiej serii dosięgła jeszcze kilka insektów drepzczących w stronę wejścia po utworzonej przez transporter koleinie.

- No wchodzi już!

Stalker omal nie poślizgnął się na progu, gdy poczuł na ramieniu ciężką rękę Giennadija, który dosłownie wciągnął go do środka. Brama zatrzasnęła się, szczęknięta zasuwą. Wnętrze hangaru pograżyło się w egipskich ciemnościach i tylko zgrzytanie łapek mrowańczy o metal i przytłumiony przez wrota szum skrzydeł pozwalały orientować się w gęstym mroku. Konstrukcja pozbawionego okien budynku zainteresowała Tarana jeszcze przy pierwszych, pobieżnych oględzinach okolicy, a kiedy pojawiła się konieczność, by jak najszybciej znaleźć kryjówkę, od razu pomyślał o dziwnym hangarze ze ślepyimi ścianami, który wychodził wprost w morze.

- Sprawdziliście poziom radiacji?

- W normie, dowódco - dał się słyszeć głos Dyma. - Zapaszek tylko jak w jakiejś maszynowni, ale możecie śmiało zdjąć namordniki.

- Będziemy tak cały czas po ciemku siedzieć?! - zapytał gderliwie kolejarz.

Chwilę później w oczy uderzyło ich światło reflektorów usłużnie włączonych przez Aurorę. Teraz hala zdawała się jeszcze większa. Pod sam sufit wznosiły się kratownice wielopoziomowych ramp, pochyła podłoga jakieś pięć metrów od bramy znikwała pod wodą, a w głębi hangaru, przycumowany linami do pomostów, na gładkiej jak lustro tafli wody spoczywał ogromny stalowy ptak.

1 Zob. powieść Rusłana Mielnikowa, *Mietro 2033: Murancza* (AST, Astrel, Moskwa 2011) (przyp. aut.).

Rozdział 17

KASPIJSKI POTWÓR

- Samolot! - zawołał z zachwytem chłopak. - Prawdziwy!

Migałycz ruszył naprzód, zatrzymał się na chwilę i patrzył na maszynę, jakby zobaczył zjawę. Płaskie dno, szerokie skrzydła i nieproporcjonalnie wielkie stateczniki na ogonie sprawiły, że wiekowy ekspert zacmokał ze zdziwieniem, a nawet podrapał się w łysinę. Wreszcie staruszek wydał werdykt:

- Faktycznie, prawdziwy... I podejrzanie dobrze wygląda jak na dwudziestoletni złom... Proszę, co znaczy fachowa konserwacja! Tylko prawidłowo będzie nie „samolot”, tylko „ekranoplan”.

- Ekranoplan? - powtórzył za staruszką, obracając nowe słowo w ustach. - Jak to?

- A tak. Słyszałeś kiedyś o „efekcie przypowierzchniowym”? Chociaż skąd miałbyś...
- Kolejny pewnym krokiem ruszył po pomoście w stronę pękatej burty maszyny. - Jeśli leci się nisko nad płaszczyzną działającą jak ekran - powierzchnią wody lub płaskim fragmentem lądu - siła nośna skrzydeł gwałtownie rośnie dzięki naciskowi strumienia powietrza odbitego od ziemi. Innymi słowy, maszyna nie leci, tylko się ślizga, unosi nisko nad powierzchnią. To znacznie zwiększa udźwig i zmniejsza zużycie paliwa.

- Ale to skomplikowane - powiedział przeciągle Dym. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- No chyba! - parsknął Migałycz. - Pierwsze prace badawcze w naszym kraju sięgają jeszcze lat sześćdziesiątych! Program utajniono. A cel był poważny - skonstruowanie największego na świecie statku powietrznego do przerzutu wojsk desantowych i sprzętu w warunkach bojowych, do tego ekranoplan szturmowy z wyrzutniami rakiet na pokładzie... - Staruszek zaczął już wyliczać na palcach, ale rozmyślił się i machnął niedbale ręką. - Ogólnie rzecz biorąc, plany były zakrojone na wielką skalę!... Kiedy stworzono wersję testową, przezwali ją bezpretensjonalnie - „korabl makiet”¹. Amerykańskie służby specjalne, które sfotografowały ekranoplan z satelity, rozszyfrowały litery „KM” na kadłubie na swoją modłę... I to tak, że nazwa przyjęła się także u nas.

- I jaka to nazwa? - Aurora słuchała opowiadania staruszka jak zaczarowana.

- Kaspijski Potwór!²

- Czyli testowano go tutaj, na morzu?

Migałycz skinął głową i z czcią przesunął dłonią po oszronionym poszyciu:

- Ale sobie Amerykańcy łamali głowy nad tą cudowną maszyną! Nie mogli uwierzyć, że naszym konstruktorom udało się obejść efekt kawitacji.

- Kawi... czego? - Giennadij całkiem zwątpił, zagubiony w nieznanym terminach. - Ty już nas, ojczulku, nie męcz tymi swoimi „efektami”. Powiedz po prostu, jak się ta historia skończyła.

Migałycz gorzko westchnął i skrzywił się:

- Po piętnastu latach rozbił się podczas kolejnego lotu testowego. Ale niektóre z późniejszych wersji zaczęto nawet produkować seryjnie i weszły w skład sił Marynarki Wojennej. Na przykład Orlionok albo Łuń... Chociaż, co prawda, w latach dziewięćdziesiątych program został zakończony z powodu niedostatecznego finansowania. I wprawdzie niejednokrotnie powracano do tych planów, jednak, z tego co wiem, bezowocnie...

- Staruszek znów z niedowierzaniem spojrzał na ekranoplan.

- I zdaje się, że nie miałem racji. Oto on, efekt jak się patrzy...

- Zdaje się, że to jakaś nowa wersja? - Taran ostrożnie wszedł na skrzydło, podszedł do kadłuba.

- Zdaje się, że tak. Ale geometria skrzydeł jest podobna do Orlionoka. Silniki startowe i główny... Dysze obrotowe... - mamrotał Migałycz, pochłonięty oględzinami maszyny. - To przecież nie jest zwykły ekranoplan...

- No to pięknie! - zawołał ironicznie Dym, komicznie wybałuszając oczy. - To w takim razie co?

- Ekranolot!

Widząc brak zrozumienia w oczach towarzyszy, staruszek pospieszył z wyjaśnieniami:

- Taki Orlionok, na przykład, może oderwać się od ekranu i odbywać loty na wysokości do trzech tysięcy metrów, jak normalny samolot. Tutaj mamy podobną konstrukcję...

- Czekaj no, ojczulku - zatrzymał go Taran. - Czyli chcesz powiedzieć, że ta maszyna może jednak normalnie latać?

- Może - potaknął z przekonaniem Migałycz. - Zużywając więcej paliwa, ale może. Rozumiem, do czego zmierzasz, ale nawet jeśli przypuścić, że jest zatankowany pod korek... Do Władywostoku jest w prostej linii ponad sześć tysięcy kilometrów! Tyle to i mało który samolot pociągnie!

- Ależ nie musimy do Władywostoku lecieć - oznajmił stalker, chytrze mrużąc oczy. - Machniemy do Zatoki Perskiej, a stamtąd to już w trybie ekranowym, nad wodą...

- Dookoła całego kontynentu? Tak wyjdzie prawie dwa razy dłużej! Bez dodatkowych tankowań żaden bak nie wystarczy do czegoś takiego!

- A z tankowaniami? - nie ustępował Taran. - Wstawimy do ładowni paliwo...

- Ależ o czym ty mówisz, dowódco?! - Kolejarz klasnął w dłonie. - Jakie paliwo?

- A takie! - usłyszał zza pleców głos Gleba.

Migałycz przeniósł wzrok na chłopaka siedzącego na pięćdziesięciolitrowej beczce z dużymi, namalowanymi od szablonu literami „RT” na pękatym boku.

Identyczne zamknięte beczki, w równych rzędach i to na kilku poziomach, stały sobie spokojnie wzdłuż całej długości hangaru.

- A niech mnie trepan porwie! Ile tu tego jest!... - Staruszek próbował objąć ogrom beczek wzrokiem i kurczowo przełknął ślinę. - To nie jest jakiś zwykły olej napędowy, tylko paliwo o podwyższonej stabilności chemicznej! Dolewa się do niego specjalne dodatki antyutleniające, żeby można je było dłużej przechowywać!

- Czyli, jak rozumiem, problem paliwa rozwiązany? - Stalker obrzucił wprawnym okiem wnętrze hali. - Sądząc po tym bajzlu i porozrzucanych narzędziach, ktoś już próbował reanimować to cudo myśli inżynierskiej.

- Nietrudno się domyślić, kto... - dodał Giennadij. - Tylko widocznie zabrakło im doświadczenia. Inaczej nie szukaliby lotnika.

- Pozostaje ustalić, czy maszyna jest na chodzie.

Po otrzymaniu oficjalnego pozwolenia, Migałycz z entuzjazmem wziął się do roboty. Pozostali pomagali, w miarę możliwości, starając się wykonywać polecenia staruszka szybko i bez zbędnych pytań. Cykanie mrowańczy za ścianami nie milkło ani na moment - owady uporczywie szukały sposobu na pokonanie stojącej im na drodze przeszkody.

Zapowiadając nadchodzące nieszczęście, zachwiała się zamknięta na zasuwę brama. Nie potrafiąc przebić się przez żelazo i beton, sprytnie stwory zmieniły taktykę, raz za razem uderzając w masywne wrota wielkim kłębowiskiem ciał. Minął krótki czas i w rozchwianej bramie pojawiła się szczelina wystarczająca, by ruchliwe czarne bestie ze złowieszczym szelestem skrzydeł zaczęły jedna po drugiej przeciskać się do wnętrza hangaru.

Natychmiast głośno zadudnił kord, brama pokryła się brunatnymi plamami krwi, bezkształtne odwłoki i strzępy skrzydeł poleciały na ziemię. Giennadij zajął stanowisko obronne na platformie Maleństwa i walił w kotłujące się w wyrwie cienie krótkimi seriami, ale napór mrowańczy rósł z każdą minutą i wkrótce odgłosy wystrzałów zamieniły się w

nieprzerwany, targający nerwy huk.

- Migalycz, czas nam się kończy! - Taran wturlał do ładowni kolejną beczkę z paliwem, wpadł do głównej części samolotu i omal nie zbił z nóg pracującego nad instalacją elektryczną Gleba. - To w końcu działa to cholerstwo, czy nie?!

Zamiast odpowiedzi dał się słyszeć warkot rozpędzających się śmigieł. Po kadłubie ekranoplanu przeszedł dreszcz, a staruszek odprawiający swoje czary w kokpicie z błogim uśmiechem na twarzy poglądził panel sterowania:

- No, kochanieńki, obudź się...

Z zewnątrz dobiegło wycie karabinu lotniczego. Sądząc po tym, że Dym puścił w ruch ostateczny argument, sytuacja musiała wyglądać niewesoło. Taran wyskoczył na pomost i z przerażeniem zauważył ziejącą obok bramy wyrwę, na tyle szeroką, by armia mrowianczy wlewała się do środka nieprzerwanym potokiem kosmatych ciał, szczękających żuwaczek i powyginanych chitynowych łap. Grad ołowiu z łatwością miał tę straszłą, ruchomą masę na brunatną miazgę, ale na miejsce zabitych diabelskich pomiotów jakby wprost z piekła wyłaziły kolejne.

Ryk turbodrzutowych silników zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

W powietrze wzbiły się kawałki szmat, strzępy pajęczyn, osadzający się przez lata pył. Wielotonowa machina drgnęła, utrzymujące ją w miejscu liny napięły się i zatrzeszczały.

Z okna kabiny pilota wychylił się Migalycz. Staruszek krzyczał coś, szaleńczo gestykułując i wskazując na bramę odgradzającą ich od otwartego morza. Taran skinął głową i popędził po wąłym pomoście w stronę mechanizmu otwierającego bramę, wyrzucając sobie, że nie zatroszczył się o to wcześniej. Zardzewiała korba zrobiła zaledwie pół obrotu i znieruchomiała na amen. Szerokie skrzydło bramy lekko drgnęło, nie ruszając się ostatecznie z miejsca. Czy to szyny, po których przesuwają się wrota, zatkał szlam, czy to przerdzewiały łańcuch spadł z kół zębatach... Nie było już czasu, żeby zastanawiać się nad przyczynami awarii.

Gwizd kul za plecami sprawił, że stalker odruchowo padł na pomost. Obok, bijąc łapkami w agonii, wyrznął ohydny owad rozmiarów dorodnego wilka. Taran rzucił szybkie spojrzenie w stronę ekranoplanu. Gleb dał znak ojcu i skierował krótkiego bizona na kolejny cel, dalej rozwalając bestie, które wdarły się do hangaru.

Sytuacja błyskawicznie wymykała się spod kontroli. Coraz więcej cieni miotało się pod sufitem, szczególnie napastliwe stwory już złaziły po pochylniach do upragnionej zdobyczy.

- Do środka! Biegiem! - ryknął stalker, rzucając się w stronę opuszczonej rampy

załadunkowej w ogonie ekranoplanu. - Dym, rzucaj wszystko w cholere!

Upewniwszy się, że Gleb pomyślnie wszedł na pokład, Taran wskoczył na rampę i zamarł z pochylonym kałachem w oczekiwaniu na Giennadija. Lecz mutant nie wiedzieć czemu zwlekał, mimo że cekaem umilkł już jakąś minutę temu. Na platformie Maleństwa, oblepiwszy ochronną kratę jak pszczoły plaster miodu, uwijały się już dziesiątki latających mrówek. Opona pękła, nie wytrzymując naporu ostrych zuwaczek. Na ziemię opadły płyty przeżartego rdzą metalu. Mrowańcza zabrała się za transporter z pełnym zaangażowaniem, czując, że wewnątrz kryje się przysmak.

- Gdzie jest Dym?!

Gleb ustawił się obok ojca i przeładował bizona.

- Cały czas w transporterze! - Automat w rękach Tarana zadrgał, zmiatając czarne ciała z burt transportera. - Nie wiem, dlaczego się ociąga! Boczny właz wciąż jest wolny. Chociaż teraz lepiej będzie dla Gieny, jeśli zostanie w środku. Jak wyjdzie, to te stwory pożrą go w kilka sekund.

- W takim razie dlaczego nas nie atakują?

- Może woda je odstrasza?

Żywy, ruchliwy dywan pokrył opancerzony korpus praktycznie w całości, kiedy Maleństwo nagle buchnęło dymem, ruszyło z miejsca i zmiatając po drodze kratownice wielopoziomowych rusztowań, pomknęło wzdłuż ściany. Omal nie zaczepiając o skrzydło ekranoplanu, transporter z podniesionym pługiem poszedł przebojem. Krótki rozpęd, bryzgi wody spod kół, straszliwe uderzenie metalu o metal... Wykrzywione skrzydło bramy wyskoczyło z prowadnic i runęło w wodę.

Światło zachodzącego słońca wdarło się do wnętrza hangaru, nadając połyskującym bokom stalowego ptaka i uwijającej się wokół mrowańczy nienaturalny cyklamenoworóżowy odcień. Natychmiast zaryczały zwiększające obroty silniki startowe. Trzasnęły cumy, nie będąc w stanie utrzymać wrywającej się z uwięzi mocy.

- Biegnij do Migałycza! Niech zamyka luk!

- A co z Dymem? - We wzroku chłopaka widać było panikę.

- Biegnij, mówię! - ryknął Taran. - Inaczej utoniemy wszyscy w cholere!

Kiedy rampa zaczęła się powoli podnosić, stalker postanowił nie czekać na zakończenie procedury, przestał strzelać z automatu i pobiegł do włazu położonego nad skrzydłem wyjścia awaryjnego.

Ekranoplan wydostał się na wolną przestrzeń i zaczął sunąć po tafli wody.

Migałycz gorączkowo manewrował, starając się doprowadzić niezgrabnego

olbrzyma do stojącej nieruchomo na płyciźnie ciężarówki. Transporter nie dawał już znaków życia. Z jednostki napędowej buchał dym, koło na przedniej osi było wygięte pod nienaturalnym kątem, a na sfatygowanym nadwoziu, odrywając powyginaną blachę, wciąż jeszcze uwijały się natarczywe skrzydlate stwory.

- Dowódco, dokąd cię niesie?! - dobiegł go krzyk Migałycza. - Rozerwą cię na strzępy! Trzeba zwiewać!

Patrząc na dokonujący żywota transporter, stalker był rozdarty między pragnieniem, by rzucić się przyjacielowi na pomoc, a koniecznością zachowania przy życiu pozostałych. Cienki strumyk mrowiańczy ruszył już w stronę ekranoplanu, przyciągany przez stojącą na skrzydle ludzką figurkę.

Znów szatański dylemat... Okrutny wybór bez prawa do popełnienia błędu...

Serce biło mu jak oszalałe, huk krwi w skroniach zagłuszał pozostałe dźwięki.

Taran obejrzał się w desperacji i napotkał baczny wzrok syna.

„Co ty byś zrobił na moim miejscu, Gleb?”

W wilgotnych od łez oczach chłopaka nagle zabłysło coś jeszcze oprócz przerażenia i przecucia nieuchronnego nieszczęścia... Zdziwienie? Radość? Jakby w zwolnionym tempie podniósł rękę, wskazując coś za plecami ojca, a usta otworzyły mu się w niemym krzyku.

Taranowi wydawało się, że jest gotowy na wszystko, ale kiedy obok transportera ujrzał Czarnego Sanitariusza we własnej osobie, uznał, że zwariował.

Zakopcona zbroja, znów ten sam zamknięty na głucho hełm, podłużny tornister za plecami, dysza miotacza płomieni w stalowych rękawicach...

Zmartwychwstały, zakuty w żelazny pancerz gigant ruszył w stronę ekranoplanu, szczerze polewając napierającą mrowiańczę strugami pożerających wszystko płomieni. Owady zapalały się jak pochodnie i w niezdarnych obrotach ich ciała, kopcające dymem jak wypalone ogarki, spadały do wody.

Stwory, którym przyszło do głowy zbliżyć się i spróbować przegryźć się przez zbroję, rycerz strząsał wolną ręką i wdeptywał w dno. Jednak główna masa napastników krążyła w pewnej odległości, bojąc się żaru straszliwej broni.

Wchodząc coraz głębiej, ciężkozbrojny wojownik odrzucił niepotrzebny już miotacz i w kilku długich krokach dotarł do ekranoplanu.

- Daj rękę!

Stalker wciągnął mutantą na skrzydło, po czym otworzył huraganowy ogień do kłębiących się dookoła cieni, póki ubrany w nietypowy dla siebie strój Dym nie podniósł się niezgrabnie na nogi.

Wpadli do kabiny niemal jednocześnie. Zgrzytnął zamykany właz.

- Startujemy! - wrzasnął przenikliwie Gleb.

Podłoga pod nogami zachwiała się i zaczęła wibrować. Wycie silników wzmogło się i ekranoplan zaczął błyskawicznie nabierać prędkości. Zadzwonił rzucony w kąt, czarny od sadzy hełm.

Uśmiechając się, zmęczony Giennadij zdjął ciężką kolczugę.

- Skąd ty to wszystko wzięłeś? - Taran spojrział z ukosa na zbroję. - Już myślałem, że zacząłem mieć zwidy z niewyspania!

Dym w odpowiedzi puścił mu oko. Z rozkoszą poruszył byczym karkiem, aż zachrzęściły kręgi.

- Wziąłem sobie w charakterze trofeum. Miało się zmarnować? Jakbym przeczuwał, że się przyda!

Poczuli nieprzyjemny skurcz w żołądkach, kiedy maszyna zatrzęsała się na kolejnej fali i wreszcie oderwała się od powierzchni.

- Lecimy! - rozlegały się entuzjastyczne okrzyki Aurory i Gleba.

- Ślizgamy się! - wtórował im Migalycz drżącym z przejęcia głosem.

Dołączywszy do załogi w kokpicie, Taran i Dym stali się świadkami najprawdziwszego cudu. Niezgrabna, wielotonowa maszyna lekko szybowała parę metrów nad wodą, a pędzące pod nimi spienione morskie grzywacze słały im się usłużnie pod kilem aż po horyzont, czerwone od zachodzącego słońca.

- To jak, proszę państwa, kurs na południe? - zapytał zawadiacko staruszek.

- A co z „ósmym wydziałem”? - odezwała się żywo Aurora. - Nie pomożemy kolonistom?

- Jak pamiętasz, im nie było spieszno nam pomóc - odparł twardo Taran. - Poza tym, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że te cwaniaki są w lepszej sytuacji niż my.

Gleb podążył za wzrokiem ojca i dostrzegł rojącą się nad murami wodnej twierdzy mrowianczę. Półkula utworzona przez szybko poruszające się smolście czarne punkciki pulsowała i kołysała się, ale żaden stwór nie zaryzykował, by podlecieć bliżej niż pewna wyobrażona granica, jakby nie był w stanie pokonać niewidzialnej bariery.

- Wynaleźli tam pole siłowe, czy co? - rzekł w zadumie Migalycz, ale widząc zdziwione spojrzenia towarzyszy, od razu się zmieszał. - Ja już nie wiem, w co wierzyć... Najpierw ten Alfejos, potem całe miasto wewnątrz góry... Działający transportowy ekranoplan... Przez całe życie nie widziałem tylu cudów!

- Sądzę, że to nie jest kwestia cudu. - Stalker wodził wzrokiem po przeciwległym

brzegu. - Słyszałem kiedyś bardzo ciekawą historię o ludziach z niezwykłym darem - zdolnością do odstraszenia zwierząt. Mówili, że jeśli w kolonii mieszka taki człowiek, to żaden stwór nie wedrze się na stację. Kto wie, może kaspijczycy mają swojego „szamana”?3

- No to ładnie... Przydałby nam się taki magik... - Migałycz ścisnął wolant sterowy, zerkając na wskazania licznych przyrządów.

- Nawiasem mówiąc, czy ta łajba ma jakąś nazwę?

Mówiąc to, Giennadij popukał pięścią w przepierzenie, jakby sprawdzał wytrzymałość konstrukcji.

- Na burtach nie było żadnych napisów - zauważyła Aurora.

- W takim razie sami wymyślimy nazwę! - uśmiechnął się Dym. - Chociaż chyba się domyślałam, co nam na ten temat powie Migałycz.

- A czego tu się domyślać? Jasna sprawa, Kaspijski Potwór. Na cześć prototypu!

Zmarszczki na twarzy staruszka wygładziły się, oczy błyszcząły mu szczęściem, a na drżących z emocji ustach błąkał się uśmiech.

Wzrok lotnika był utkwiony w dal...

Tam, gdzie jak odbicie ośnieżonych górskich szczytów kłębiły się obłoki...

Tam, gdzie czekał i wołał go dawno utracony i tak niespodziewanie odzyskany ukochany żywioł...

Wzrok lotnika utkwiony był w niebo...

* * *

Chłopiec nie chciał opuszczać kokpitu. Podczas lotu Gleb zdążył niemal przyrosnąć do fotela drugiego pilota i ze wszystkich sił starał się pomagać Migałyczowi przy wytyczaniu kursu, a czasem nawet sterować ekranoplanem.

Staruszek, zadowolony, że może podzielić z kimś swoją fascynację lataniem, chętnie uczył chłopaka podstaw pilotażu, a Gleb z płonącymi oczami chłonał bezcenną wiedzę, odczuwając nieomal religijny lęk przed skrzydlatym olbrzymem i będąc całkowicie pewnym, że ma do czynienia z cudem.

- Gleb, jesteś mi potrzebny!

Z miną niezadowolonego dziecka, które ktoś odrywa od ulubionej zabawy, chłopak popatrzył z nadzieją na Migałyczka, ale ten wzruszył tylko ramionami i wskazał głową w

stronę wyjścia:

- Idź. Ojciec cię woła.

Gleb z żalem spojrział na drążek sterowy i wstał z fotela, na który natychmiast przesiadła się Aurora, żartobliwie pokazując rówieśnikowi język.

- Uważaj, niczego tu nie ruszaj - napomniął ją surowo Gleb, na co dziewczynka i starszerek parsknęli tylko śmiechem.

Chłopak westchnął, wyszedł z kabiny i powlókł się, słysząc głos Tarana:

- Gleb!

- Idę, tato!

Znalazł stalkera przy stercie pustych kanistrów. Taran do spółki z Giennadijem, mimo że zbiorniki były jeszcze pełne, przygotowywali wszystko już teraz, by nie tracić czasu przy następnym tankowaniu.

- Kiedy ostatnio jadłeś? - Stalker popatrzył na syna z wyrzutem.

Ostro zarysowane kości policzkowe, zapadłe policzki, wory pod oczami...

Czując ukłucie wyrzutów sumienia z powodu przeoczenia, wcisnął Glebowi w rękę miskę z kawałkiem peklowanego mięsa i garścią suszonych grzybów, sięgnął po manierkę z wodą.

- Jedz!

- Nie mam ochoty.

- Czyżby? Jedz, mówię!

Gleb zasepił się, ale posłusznie wbił zęby w twarde mięso i dopiero kiedy przeżuł kawałek, poczuł nagle, że rzeczywiście zgłodniał.

- Właśnie to ci cały czas tłumaczę - powiedział Taran, widząc, jak u syna pojawił się apetyt. - Klóć się z ojcem zupełnie niepotrzebnie...

- Naprawdę niepotrzebnie? - Chłopiec uparcie poderwał głowę. - A Piechur?

A Pułkownik? A zasadzka w wąwozie? To wszystko było niepotrzebne? Przecież okazało się, że miałem w końcu rację!

Brzęknęła wisząca na łańcuszku zakrętka od manierki. Gleb głośno łyknął i spojrział wyczekująco na ojca, ale potem nagle opuścił głowę:

- Możesz nie odpowiadać. I tak rozmowa się nie uda...

- Chyba już sobie pójdę, zdrzemnę się godzinę. - Dym wytarł wysmarowane ręce o nogawki spodni i niespiesznie odszedł. - Od waszych sporów mam zawsze straszną zgagę.

Taran odprowadził wzrokiem zielonoskórego giganta i usiadł pod ścianą, z rozkoszą rozprostowując nogi. Miarowe buczenie silników i rozlewające się po podłodze wibracje

usypiały, wprowadzały w stupor. Niezręczne milczenie przeciągało się. Jeszcze chwila i bezpowrotnie straci okazję. Jak już wiele razy, rozejdą się, każdy do swoich spraw, i znów pozostaną sam na sam z czymś niewypowiedzianym. Żal oraz brak zrozumienia wcześniej czy później doprowadzą do obojętności, a lodowate, świdrujące spojrzenia zamrożą w sercach uzbierane kiedyś po okruszynce, wciąż jeszcze delikatne i bezbronne pod naciskiem okoliczności uczucie jedności.

Stalker nieomal fizycznie poczuł, jak z każdą sekundą cegła za cegłą rośnie i umacnia się niewidzialny mur obcości i by zatrzymać ten nieubłagany, bezlitosny proces, zaczął mówić, niejasno i cicho:

- Wiesz przecież, że nie jestem mistrzem gadania... Wybacz, może powiem to niezgrabnie... - Taran przerwał na moment, szarpnął za kołnierz koszuli, łapiąc powietrze, które stało się nagle ciężkie i lepkie jak kisiel. - Całe życie byłem sam, a tu nagle... pojawiaasz się ty... Myślałem, że nauczę cię podstaw przetrwania i koniec... Nie wiedziałem przecież, że to takie trudne - być za kogoś odpowiedzialnym, wychowywać go... Uczyłem cię, jak przeżyć, a nie jak żyć.

Bywało, że machałem ręką, zamiast spróbować wytłumaczyć... Dławiłem cię i łamałem, nie starając się zrozumieć. Wciąż widziałem w tobie tylko małego, nieposłusznego urwisa... Dlatego bo bałem się przyznać przed samym sobą, że nie patrzę już na tego bezradnego chłopczyka siedzącego na peronie Moskiewskiej.

Bałem się, że kiedy przestaniesz być dzieckiem, w końcu staniesz się takim samym nieczułym odludkiem jak ja sam! Brzuch mnie bolał na myśl, że się nie sprawdzę...

Że... nie zdołam... zastąpić ci ojca...

Chaotyczne wyznanie nie przyniosło mu spodziewanej ulgi. Zbyt ciężki kamień przygniatał mu serce i rozdierany przez sprzeczne emocje stalker postanowił iść na całość:

- Gdybym tylko wiedział... Gdybym był pewny, że zdołasz to zrozumieć...

Przeżyć i pogodzić się ze stratą... to powiedziałbym ci o jego śmierci od razu... Ale wtedy się przestraszyłem. Nie chciałem... jak to się... traumatyzować twojej psychiki. A potem... - Taran ciężko westchnął - potem problemy zaczęły rosnać lawinowo i... popełniłem największy błąd...

Stalker zerknął na swoje drżące palce i pospiesznie schował ręce.

- Tak czy inaczej, poznałeś prawdę. Ale jak to się odbyło... Nigdy sobie tych słów nie wybaczę... Nawet jeśli ty to kiedyś zrobisz... - Taran mówił coraz ciszej. - Twój ojciec był silnym człowiekiem. Prawdziwym. Rozmawiałem z nim przez kilka minut, ale na zawsze zapamiętałem jego wzrok. Wola życia i bezgraniczna wolność - właśnie to można było

wyczytać w tym spojrzeniu. Jedyna rzecz, której weganie nigdy nie zdołali mu odebrać...

Stalker zmieszał się i uznał już, że mówi w próżnię, kiedy nagle...

- Dlaczego nie opowiadałeś mi tego wcześniej?

Głos Gleba, nieśmiały i łamiący się, sprawił, że serce Tarana zabiło szybciej.

- Z tego samego powodu. Bałem się, że nie zdołam stać się godnym zastępcą dla twojego ojca. Przecież jestem zupełnie inny... W przeciwieństwie do niego przestałem w cokolwiek wierzyć, przyznałem się do porażki, pogodziłem się z nią.

I dawno już uznałem sam przed sobą, że głupio jest mieć w tym życiu jakąkolwiek nadzieję. A po spotkaniu z tobą - nagle pojawiło się pragnienie. Nadziei i wiary, i...

Znów niezręczna pauza i próba, by w końcu wyznać to najskrytsze i hodowane w tajemnicy przed samym sobą uczucie...

Od strony kabiny pilota dobiegł dźwięczny głos Aurory i w jego głowie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zabrzmiały wypowiedziane kiedyś przez dziewczynkę słowa: „Nie próbuj się usprawiedliwiać. Nie szukaj odpowiednich słów.

Choć raz w życiu przyznaj się do tego, co naprawdę czujesz. Nie duś tego w sobie.

Po prostu powiedz mu, że go kochasz. I Gleb cię usłyszy...”

- Przecież ja nigdy nie mówiłem tego na głos. Brałem to za objaw słabości...

Co za głupota... Zrobiłem w życiu mnóstwo błędów. Nieraz udowadniałeś mi, że dalej je popełniam... Szczególnie kiedy staram się zbudować z tobą bliski związek...

- Taran zamknął oczy, rzucając się głową w otchłań. - I choćbym wiele z tych błędów popełniał pod wpływem emocji... to tylko pokazuje... jak bardzo... Kocham cię, synu.

Zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim stalker odważył się odetchnąć.

Nadal nie decydował się na otwarcie oczu, ale nie było to potrzebne. Z niepojętym zachwytem Taran poczuł nagle, jak w pierś wpada mu coś ciepłego i miękkiego...

Jak jego szyję - szaleńczo i niepoohamowanie - obejmują dziecięce ręce... Jak w bezgłośnym szlochu trzęsie się drobne ciało...

- No już, Gleb... Wszystko będzie dobrze. Przecież jesteś już taki duży.

A dorośli nie płaczą!

Tuląc i nieumiejętnie uspokajając malca, stalker kołysał się powoli, rozkoszując się ogarniającym go poczuciem bezgranicznego szczęścia, a potem, rozbijając w pył wątpliwości i niepokoje, pojawiła się absolutna pewność, że to koniec nieporozumień w ich małej, ale prawdziwej rodzinie...

Kiedy Gleb przestał drżeć i niezręcznie się odsunął, jego wzrok znów emanował pewnością i niezwykłą dla dziecka powagą.

- Mogę cię o coś zapytać? - Chłopiec otarł rękawem zaczerwienione oczy i zabawnie pociągnął nosem.

- Oczywiście. - Taran starał się wyglądać bez trosko.

- Kiedy stałeś tam, na skrzydle... Co byś zrobił, gdyby Dym jednak nie wy dostał się z Maleństwa?

Stalker spochmurniał, a na czole wystąpiły mu głębokie zmarszczki. Widząc zamęt na postarzałej nagle twarzy ojca, Gleb poniewczasie przygryzł wargi i nagle uświadomił sobie, że nie chce poznać odpowiedzi na nurtujące go pytanie, ale Taran znalazł już odpowiednie słowa:

- Wcześniej czy później wszyscy musimy stanąć przed wyborem. Poświęcić jedno, aby zyskać coś innego. W takich chwilach najważniejsze jest nie żałować tego, co tracimy. Bo jakkolwiek wielki będzie ból straty, jest to uzasadniona cena, jaką trzeba zapłacić za dokonany wybór... - Stalker potarł skronie i ciągnął dalej cichym, bezbarwnym głosem: - Zagrożeni byliśmy nie tylko my, ale i cała ekspedycja. Gdyby Giena nie wyszedł... nakazałbym lecieć bez niego.

- Tak jest dla ciebie ważny ten Alfejos? A jeśli to tylko wymysł?

- Może tak... Ale jeśli projekt istnieje, da ludzkości szansę, by zaczęła wszystko od nowa. I nawet jeśli ta szansa jest znikomo mała, nie mamy prawa jej stracić.

1 *Korabl* - (ros.) statek, okręt (przyp. tłum.).

2 Ros. *Kaspijskij Monstr* (przyp. tłum.).

3 Chodzi tu o tzw. apologetów, opisanych w powieści Andrieja Czerniecowa i Walentina Leżendy, *Mietro 2033: Slepiaszczaja pustota* (Astrel, Moskwa 2012) (przyp. aut.).

Rozdział 18

MIASTO Z OBRAZKA

Indie, Tajlandia, Wietnam, Chiny... Tytu nowych nazw Gleb nie miał okazji słyszeć przez całe swoje krótkie życie w podziemiu. A przecież za każdym z tych tajemniczych słów kryła się nie jakaś tam stacja metra, a nawet nie miasto, lecz cały kraj! Rozmiary opisywanych przez Migałyczka terytoriów nie mieściły się w głowie.

Nawet wszytkowiedząca Aurora, spoglądając na ciągnący się w oddali pas brzegu, nie przerywała opowiadającemu, dochodząc do słusznego wniosku, że suche i bezduszne liczby z podręcznika nie mogą się równać z fascynującymi wspomnieniami naocznego świadka bezpowrotnie minionej epoki.

Taran kategorycznie odmawiał wszystkim namowom dzieciarni, żeby choć na moment zajrzeć za zasłonę przybrzeżnej mgły. Jak pies gończy, który złapał trop, stalker godzinami wpatrywał się w linię horyzontu dzielącą świat między dwa żywioły, wodę i niebo, i tylko podczas krótkich wodowań pokład zaczynał tętnić życiem: Taran starał się jak najszybciej przygotować ekranoplan do nowego skoku.

Migałycz, ich jedyny i pozbawiony zmiennika pilot, mógł złapać kilka godzin odpoczynku i zapaść w krótki, niespokojny sen podczas przymusowych postojów na przegląd techniczny i tankowanie. Jednak staruszek ani razu nie poskarżył się na tak napięty grafik, całkowicie pochłonięty swoim podopiecznym, a nawet jakby odmłodził o dobre dziesięć lat - tak żywe i skoncentrowane stało się spojrzenie powleczonego bielmem oczu.

Załoga zdążyła znienawidzić przedpotopową ręczną pompę, za pomocą której trzeba było przetaczać paliwo z beczek do baków żarłocznego Kaspijskiego Potwora, ale nikt nie migał się od roboty - niecierpliwość dowódcy udzieliła się pozostałym.

Nawet Aurora pracowała na równi z pozostałymi, zdając sobie sprawę, że każdy pokonany kilometr nieuchronnie przybliży ekspedycję do ostatniego punktu trasy.

Gleb nauczył się rozpoznawać zejście do lądowania po charakterystycznym huku silników i kiedy ekranoplan po raz kolejny zawibrował, przecinając dnem taflę wody, chłopak tylko pokręcił głową ze znużeniem. Przecież od ostatniego postoju minęło tyle, co nic - ledwie kilka godzin! Czyżby znów musiał turlać puste beczki?!

Nienaturalnie głośny okrzyk Migałyczka sprawił jednak, że chłopiec w mgnieniu oka zapomniał o zmęczeniu, zerwał się z ławki i na łeb na szyję pobiegł do kokpitu. Obłożeni mapami staruszek i Taran w napięciu wypatrywali czegoś przed sobą, a wybrzeże zupełnie nieoczekiwanie przeniosło się z lewej burty na prawą.

- Co się stało, zawróciliśmy? - postanowił zapytać Gleb.

- Nie. Po prostu wpłynęliśmy do Zatoki Amurskiej - rozwiął jego obawy Migałycz. - Teraz miniemy Wyspę Rosyjską i w zasadzie będziemy na miejscu.

Jakkolwiek lotnik starał się mówić spokojnie, głos drżał mu z przejęcia.

Ekranoplan, kołysząc się na falach, wciąż posuwał się na niskich obrotach, aż z mgły zaczęły się wyłaniać zarysy wielopiętrowych domów, gigantycznych stalowych statków, porzrzucanych chaotycznie po całym akwenie, szkielety brunatnych od upływu czasu potężnych mostów przerzuconych przez zatokę Złoty Róg i cieśninę Bosfor Wschodni, których pylony, wznosząc się na niedosiężną wysokość, podpierały zasnuwane chmurami wieczorne niebo.

- Miasto twierdza... Forpoczta nad Oceanem Spokojnym... - wieszczył uroczyście Migałycz. - Pierwotnie planowano go przecież jako placówkę dla wojska.

Forty, baterie artyleryjskie, stanowiska dowodzenia, punkty ogniowe - tyle tu tego nabudowali, że w całej historii żaden przeciwnik nawet się nie zbliżył!

Miasto powoli rosło im w oczach, nie spiesząc się do odkrywania przed gośćmi swoich tajemnic, i dopiero gdy między obłokami zabłysnął świt, stało się wyraźnie widoczne, że co najmniej trzecia część przeżartych słońcą morską bryzą budynków nie stoi na lądzie, ale wyrasta wprost z wody, jak sitowie.

Lawirując między górami śmieci, wypłukanych z ulic i zbitych w całe pływające wyspy, Kaspijski Potwór niespiesznie zbliżał się do nadbrzeżnych dzielnic i z każdą chwilą przed zdumionymi oczami wędrowców odsłaniały się nowe szczegóły rozgrywającej się tu dekady temu tragedii.

Nieznana siła wyrwała z żelbetonowych szkieletów ramy okienne i dachy, rzuciła do morza żurawie portowe, których zardzewiałe wysięgniki sterczały teraz nad powierzchnią wody pod dziwacznymi kątami, jako nieme przypomnienie o zatopionym porcie. Absurdalnie i surrealistycznie wyglądały szczątki statku, który zawisł na dachu wielopiętrowego budynku niemal w samym centrum dzielnicy mieszkalnej. Jak potężny musiał być szalejący tutaj żywioł, aby dokonać czegoś takiego? Straszliwe uderzenie zmiotło część stropów, a sama budowla przechyliła się i zapadła, ale w jakiś niepojęty sposób jej popękane ściany wciąż utrzymywały wielotonową stalową maszynę.

- I to właśnie jest Władywostok? - upewnił się chłopiec smutnym głosem.

Rozbite, poszarpane, zamienione w zwały zasp i oblodzonych kawałów betonu miasto zupełnie nie przypominało zapamiętanego z obrazka raj. Rozświetlona lampami przystań, elegancka promenada, ciepłe światło z tysiąca okien... Choć ta świadomość napełniała go

goryczą, Gleb musiał przyznać, że hołubiony przez niego obraz na zawsze pozostanie tylko w marzeniach. Naiwnych, dziecięcych marzeniach...

Gleb spojrział na zdjęcie po raz ostatni i powoli rozwarł palce. Figlarny wiatr pochwycił je ochoczo, zakręcił i wzniósł w górę, unosząc coraz dalej, aż kawałek papieru zniknął na tle wynurzających się z półmroku wzgórz i gór. Nadzieja na spotkanie ocalałych runęła w jednej chwili i razem z nią niedostrzegalnie ulotniła się też wiara w istnienie wszechmocnego Alfejosa, która dotąd dodawała wędrowcom sił do kontynuowania poszukiwań.

- Zdaje się, że miasto zatopiła wielka fala - powiedział zgaszonym głosem Migalycz.

- Czy takie fale są możliwe? - odparła sceptycznie Aurora. - Na przykład huragany mogą narobić dużo nieszczęścia, ale żeby na taką skalę...

- Jakiś ładunek termojądrowy musiał wybuchnąć w morzu. Widocznie były też wstrząsy sejsmiczne. Dobrze, że cały półwysep nie znalazł się pod wodą!

- Jeszcze czego - powiedział przeciągle Dym. - To byśmy sobie wtedy poszukali tego miasta...

- A jaki z niego pożytek? - Palce na drążku sterowym zbieleły, zdradzając dręczące staruszkę napięcie. - No, znaleźliśmy je... I co dalej? Co będziemy teraz robić, dowódco?

Taran oderwał się od obserwacji ruin miasta, odwrócił się w milczeniu i poszedł do ładowni. Załoga z niemym zdziwieniem patrzyła, jak stalker turla puste beczki, jak rozkłada na podłodze urywki lin cumowniczych. Widząc zdumienie na twarzach przyjaciół, po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się, dzięki czemu chandra i apatia ustąpiły, a w sercu znów zaświtała nadzieja.

- Co tak stoicie? Pomóżcie mi! Zrobimy tratwę. Przecież nie po to tyleśmy tu gnali, żeby teraz się poddać?

* * *

Niełatwo przywyknąć do chybotliwej platformy skleconej z tego, co było pod ręką. Tuż obok przemykały i rozplływały się w nieprzeniknionej dla oczu głębokiej wodzie granatowoczarne bezkształtne cienie. Ryby? Czy tylko gra świateł latarek szperających po okolicy bladymi smugami? Gleb skulił się i odsunął od skraju tratwy, zbliżając się do ojca.

Tratwa kołysała się za każdym razem, kiedy Giennadij roztrzącał drągiem kry i

unoszące się na wodzie kłody, torując drogę ich kruchemu stateczkowi w mulistej i mętnej wodzie. Śliskie, przezarte wilgocią bryły budynków z bezdennymi otworami okiennymi, girlandy sopli na cudem ocalałych wiszących przewodach elektrycznych, okaleczone przez upływający czas fasady z resztkami farby na oszronionych ścianach... Widoki nie zachęcały do rozmów, zresztą nie było komu snuć historycznych dygresji o wspaniałej przeszłości Władystoku. Migający z Aurorą jak zwykle zostali, by pilnować pojazdu.

Pierwotny plan polegał na tym, aby obejrzeć niezatopioną część miasta, ale badacze nie dotarli do suchego lądu. Coś w żelbetowym labiryncie dzielnicy zaniepokoiło Tarana i po minucie ciężkiej szarpaniny z zaimprovizowanymi wiosłami drużyna zacumowała jednak tratwę w ruinach jakiegoś centrum biznesowego czy administracyjnego, które z obnażonymi, na wpół rozwalonymi płytami stropów wyglądało jak kawałek wielowarstwowego ciasta.

Stalker znieruchomiał przy otworze okiennym, przyciągnął bliżej automat i zwykłym dla siebie ruchem strącił z wizjera maski przeciwigazowej nieistniejący pyłek.

- No i co? - szepnął Dym, siadając obok. - Widać coś?

Gleb ze swojego miejsca nie dostrzegał niczego niezwykłego. Wciąż ta sama pełna kry ulica, po wodzie sunie drobna zmarszczka...

Zmarszczka? Skąd? Bryła lodu poruszyła się chwiejnie, po niej kolejna...

A potem wszyscy trzej zobaczyli wynurzającą się spod wody metrowej długości głowę morskiego gada. W ślad za nią, płynnie się wyginając i połyskując oleistymi bokami w promieniach wschodzącego słońca, ciągnął się bez końca, długi jak ciężarówka tułów.

Waż... Ogromny, zwodniczo powolny i pełen przerażającej gracji w swoich niespiesznych ruchach... Ale ten piękniś różnił się od swoich wymarłych przodków nie tylko rozmiarami. Wzdłuż całego tułowia, poczynając od głowy, ciągnął się rząd połączonych cienką błoną kolców, tworząc coś w rodzaju płetwy. Zaś na pysku, budząc obrzydzenie, poruszały się podobne do frędzli różowawe nitki ni to wąsów, ni czułek.

Mutant wynurzył z wody spłaszczoną głowę i zastygł pośrodku ulicy. Czyżby wyczuł ofiarę w kamiennej dżungli porzuczonego miasta?

- Spora gadzina... Wyobrażam sobie, co by było, gdyby ta szkarada trafiła nam się chwilę wcześniej, kiedy pluskaliśmy się na tratwie! - Dym wzdrygnął się. - Może stukniemy zwierzaka na wszelki wypadek?

- Ciszej, Giena! - syknął Taran. - Nie przed tym węzem się tu chowamy.

W odpowiedzi na nieme pytanie przyjaciela stalker skinął w stronę sąsiedniego budynku. Dopiero teraz Dym, a po nim Gleb, zauważyli przytulone do betonowego gzymsu ciało. Jakby człowiek, ale szara, mieniąca się srebrem skóra, gruzłowate narośle na głowie i

brak jakiegokolwiek ubrania oprócz czegoś w rodzaju plecionego kosza na szelkach za plecami kazały w to wątpić. Nieznajomy poruszył się, odczołgując dalej od krawędzi i teraz, w świetle wschodzącego słońca, zaczęły być wyraźnie widoczne całkiem ludzkie ręce i nogi. Jednak nienaturalnie długie i szerokie stopy bardziej przypominały płetwy, a wąska jak u osy talia przesadnie kontrastowała z potężną piersią i długimi rękami - budową ciała urodzonego pływaka.

Ku zdumieniu wędrowców, szary człowiek nagle szybko się odwrócił, jakby wyczuł obecność obcych. Stało się to na tyle gwałtownie, że Dym nie zdążył skryć się za występem ściany i napotkał wzrok nieznajomego. Ten zareagował na widok zielonoskórego mutanta popłochem, wydając coś pomiędzy okrzykiem i przeciągłym gardłowym bulgotem. Wąż natychmiast zamarł, identyfikując wreszcie źródło drażniącego zapachu, a potem powoli ruszył w stronę odkrytej ofiary. Mokra łuski połyskiwały w słońcu, ciało mutanta wynurzyło się z wody i z gracją przeslizgnęło na stopnie wyrastającej z morza klatki schodowej, wijąc się po wilgotnym betonie.

Drapieżnik gotował się do szybkiego i bezlitosnego ataku.

Szaroskóry już się nie krył, tylko cofał, stąpając ostrożnie między kamiennymi odłamkami i wystającymi spod śniegu prętami zbrojeniowymi. W ręku trzymał włócznię z kościanym grotem, na którą wystarczyło popatrzeć, by wysnuć mało optymistyczny wniosek: w starciu z ogromnym morskim gadem prymitywna broń raczej nie będzie ważkim argumentem. Uratować biedaka mogła teraz tylko pospieszna ucieczka i ślamazarność węża, który poza swoim naturalnym żywiołem stał się bardzo niezdarny.

Włócznia złamała się z trzaskiem na pół, kiedy szczęki potwora z zaskakującą szybkością zamknęły się na cienkim drzewcu. Pozbawiony jedynej broni nieznajomy odskoczył od rozwścieczonego morskiego gada i w bardzo nieodpowiednim momencie potknął się o zardzewiałą ramę roweru, po czym poturlał się po połamanej płycie stropu. Wąż ruszył naprzód, otwierając drapieżną paszczę. Gruby ogon młócił niecierpliwie po schodach, wzbijając okruchy betonu. Nie wiadomo, czym skończyłaby się konfrontacja dwóch mieszkańców nowego świata, gdyby z zasadzki nie huknęły wystrzały. Terkot bizona, urywane ujadanie kałasznikowa i miarowe dudnienie utiosa, zlewając się w jedno, jazgocząc w uszach niepohamowanym, ogłuszającym staccato. Tułów mutantu zwinął się w zadziwiający węzeł, kilka razy zazgrzytał o ściany chropowatym, pokrytym łuską brzuchem i kłęb niebiesko-zielonego drgającego mięsa opadł na ziemię jak przedziurawiona dętka i znieruchomiał.

Z głowy potwora, przestrzelonej w kilku miejscach, ciekła wprost na stopnie klatki

schodowej gęsta czarna krew. Ocalony nieznajomy rozglądał się bezradnie, przerażony łoskotem wystrzałów. A z pobliskich dachów, balkonów i wprost z mętnej wody na miejsce zdarzenia przybywali pobratymcy zagadkowego półczłowieka.

Wszyscy, tak jak on, byli barczyści, wysocy, z dwoma pionowymi szczelinami zamiast nosa i różowiejącymi pod policzkami blaszkami skrzeli.

- Cały czas nie kapuję: to są ludzie, czy nie? - Dym przyglądał się uważnie obcym. - Coś strasznie podobni do ryb.

- Sądząc po skrzelach, są raczej ziemno-wodni - Taran zarzucił automat na plecy, wstając i demonstracyjnie pokazując, że ma puste ręce.

- Ziemnowodni? Jak to?

- To znaczy, że potrafią żyć i na lądzie, i w wodzie - Gleb przypomniał sobie „naukowe” dyskusje z Aurorą. - Jak trytony.

- Hmmm... A tak, rzeczywiście, trytony - uśmiechnął się lekko stalker. - Obdarzeni rybimi ogonami synowie starogreckiego boga, posłańca głębin...

- Kogo synowie? - zapytał zagubiony Giennadij, w ślad za przyjacielem opuszczając kryjówkę.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy - machnął ręką Taran. - I na razie nie chowaj broni. Nie wiadomo, jak to się skończy...

Plemię zareagowało na pojawienie się obcych z obawą połączoną z ciekawością, ale nie okazywało wrogości. Uratowany mutant pokuśtykał do dziwnej trójki jako pierwszy, i wydawszy serię bulgoczących dźwięków, wskazał na zabitego potwora.

- A ten co? - burknął nieufnie Dym.

- Zaczekaj, Giena, nie wtrącaj się.

Stalker usłuchał zapraszającego gestu nieznajomego, zbliżył się do cielska węża i sięgnął do pochwy na pasie.

- Cholera, przecież dałem swój nóż komdywowi...

Dym z ochotą wyciągnął w kierunku dowódcy ciężki tasak. Widząc zbliżającego się giganta, trytony odskoczyły z przestachem, ale szybko uspokoiły się, nie widząc w jego ruchach zagrożenia. Taran przymierzył, krótko ciachnął po cielsku i kilkoma celnymi ciosami wyciął solidny kawał śluzowatego mięsa.

- I co ty chcesz zrobić z tym świństwem? - Giennadij szczyrzył całą swoją szczyrbatą głowę. - Zezresz na znak przyjaźni między narodami?

- Mówię ci, ucisz się! - zasyczał stalker. - Bo ciebie dam im do jedzenia, jak nie przestaniesz kłapać dziobem.

Demonstracyjnie kiwnął głową nowo poznanemu rozmówcy i odszedł do swoich, starannie kładąc łup na schodku. Trytony, ostatecznie uspokojone, na jakiś czas straciły zainteresowanie nieznanymi i zaczęły pracowicie oprawiać trupa morskiego gada i wypełniać mięsem pojemne siatkowe torby i noszone na plecach kosze, identycznie do tego, który miał pierwszy napotkany przez wędrowców myśliwy.

Jeden z szaroskórych zbliżył się lekliwie do trójki ludzi, ostrożnie pomacał plecak Gleba, a potem zdjął z pleców swój kosz i wyciągnął do chłopca.

- Plotą je chyba z wodorostów - wywnioskował stalker i przeniósł wzrok na syna. Co tak stoisz? Opróżnij plecak i wymień się z człowiekiem. Patrz, jak biedaczek przytupuje.

- A po co mi to ludowe rzemiosło? - Chłopiec spojrzał z zakłopotaniem na koszyk.

- Zdejmuj plecak, powiedziałem. Jak wrócimy, to oddam ci mój - Taran uśmiechnął się sztucznie do trytona, po czym odwrócił się do syna i zrobił surową minę: - Musimy nawiązać kontakt. Kto wie, może pokażą nam, co i jak. Pomogą w poszukiwaniach.

- Oni? Pomogą? - Dym obrzucił sceptycznym spojrzeniem bulgoczące po swojemu istoty.

- A co? Goście są chyba pokojowo nastawieni. Zachowują się odpowiednio...

- Odpowiednio? Biegać bez gaci to jest według ciebie „odpowiednio”? - Giennadij odskoczył na bok, kiedy inny ciekawski wojownik dotknął długim pazurzystym palcem utiosa. - Może poszukamy kogoś innego, bez skrzeli?

- Widzisz tu kogoś innego? - Stalker wyciągnął z głębi plecaka trzymaną na szczególnie uroczystą okazję puszkę szprotek. - Nie? To popracujemy z tymi tutaj.

Dym z niezadowoleniem pokręcił głową, obserwując, jak przyjaciel rozkłada na schodkach „towar” na wymianę. Potem machnął ręką i usiadł obok Gleba na fragmencie leżącej nieopodal betonowej płyty. Zdawało się, że zamilkł na dłuższy czas, obserwując z ukosa, jak do „straganu” podchodzą trytony, ale nie mógł się jednak powstrzymać od zjadliwego komentarza:

- Spodnie zapomniał zdjąć, parlamentariusz od siedmiu boleści! Żeby się, że tak powiem, całkowicie porozumieli...

* * *

Kiedy ruiny miasta pozostały za nimi i tratwa, popychana jednocześnie przez kilku

szaroskórych sojuszników, wypłynęła na otwarty akwen, drużyna odetchnęła z ulgą. Kaspijski Potwór wciąż unosił się na wodzie, tam gdzie go zostawili. Widząc tę procesję, Migalycz poświecił im z kabiny latarką, sygnalizując gotowość do przyjęcia na pokład zwiadowców. Trytony mądrze pozostały na zewnątrz, czekając na decyzję osobliwych przybyszy.

- Dziwaczne... - podsumował staruszek po wysłuchaniu opowieści o polowaniu na węża. - Wychodzi na to, że ci spryciarze to coś w rodzaju miejscowych stalkerów. Wynajdują w mieście różne przydatne rupiecie, a ludzi to w życiu nie widzieli.

- Może i coś wiedzą, tylko jak tu zrozumieć to ich szwargotanie...

Taran wyjrzał przez iluminator.

Szaroskórzy usadowili się na skrzydle i po kolei wyjmowali z koszy znalezione w ruinach noże, kłębki drutu, pasy zdartej z mebli tapicerki i inne ozdoby, i rozemocjonowanymi głosami dyskutowali nad każdym trofeum, wydając okrzyki i mlaskając z aprobatą. Uratowany przez ludzi tryton, o komicznych sterczących na boki uszach, z zainteresowaniem obmacywał nie wiadomo skąd wytrzaśnięty kij golfowy, a potem zerknął na sąsiada i delikatnie stuknął go po ciemieniu, sprawdzając narzędzie w działaniu.

- W głowie się nie mieści, że te wodne stwory pochodzą od ludzi. - Migalycz pokręcił głową, nie wierząc własnym oczom. - To po prostu łamie wszystkie prawa ewolucji, jakie można sobie wyobrazić! Nawet gdyby założyć, że dotknęła ich poważna wada genetyczna, to jak wyjaśnić pojawienie się tak ukierunkowanej mutacji? Przecież te istoty są doskonale przystosowane do środowiska wodnego!

- Pamiętam, że mówiłeś już o modyfikatorach genetycznych, kiedy spotkaliśmy niesporczaki. Może tu była taka sama historia? - Stalker opróżnił filtr i pedantycznie przebadał maskę przeciwgazową, szukając dziur. - Co to w ogóle za cholerstwo i skąd się bierze?

- Nie za bardzo się orientuję w bioinżynierii. Bo niby skąd?... Tyle że czytałem przed Katastrofą parę artykułów. Tuż przed wojną była akurat moda na nanotechnologię. Nikt do końca nie wiedział, co to za ustrojstwo, ale było o tym głośno... Ośrodki badawcze, granty, wystawy... Zbrojeniówka od razu wykombinowała, jak to wykorzystać wojskowo. Modyfikator genetyczny to w istocie nanorobot, który przebudowuje kod genetyczny w celu wykonywania określonych zadań. Spektrum zastosowań jest bardzo szerokie: macie tu wirusy bojowe i nowe gatunki, czyli superżołnierze przyszłej niezwyciężonej armii. - Staruszek splunął ze złością i przeżegnał się. - Wiem, że brzmi to jak fantastyka. Sam nie bardzo w te bzdety wierzyłem. A tu proszę, jak się to skończyło. Kiedy mutanty zaczęły wlaźić do metra, trzeba było uwierzyć we wszystko. I w wirusy bojowe, i w modyfikatory genetyczne, i w inne

paskudztwa. W końcu człowiek przez całą swoją historię najlepiej nauczył się tworzyć broń. Reszta to takie tam, poboczne odkrycia...

Rozważania staruszka przerwało delikatne stukanie w poszycie kadłuba.

W iluminatorze pokazała się trupioszara, płaska twarz trytona i przestraszona Aurora odskoczyła od drzwi.

- Więc jaka jest decyzja? - Taran powiódł wzrokiem po załodze. - Ci goście usilnie gdzieś nas wzywają. Pójdziemy za nimi, czy będziemy dalej samodzielnie przeczesywać miasto?

Po krótkiej pauzie Dym poruszył się, jak zwykle pokręcił potężną szyją i powiedział:

- Trudno będzie znaleźć laboratorium bez jakichkolwiek punktów zaczepienia.

To jak szukać igły w stogu siana! - Nie mogąc opanować emocji, mutant zabębnił pięścią w przepierzenie. - Wydaje mi się, że należy przyjąć zaproszenie trytonów.

A nuż zaprowadzą nas do normalnych ludzi? - Pod ironicznym spojrzeniem Aurory i przyjaciół mutant zasępił się i zacisnął usta. - No, chciałem powiedzieć, nie takich szarych i mokrych...

- Giena, zawsze chciałem cię o to zapytać. - Stalker jakby mimochodem odsunął się od przyjaciela na kilka kroków. - Czytałeś kiedyś komiksy o Hulku?

Mutant ostatecznie się zmieszał i nie patrząc na Tarana, burknął w odpowiedzi:

- A po co mi one? Przecież nie umiem czytać.

- No, to nie jest w nich najważniejsze... Ale co to ja chciałem... Nie próbowałeś nigdy kontrolować swojego gniewu?

- Że co?

- Zdaje mi się, że kiedy się denerwujesz, to robisz się jeszcze bardziej zielony.

Giennadij popatrzył dziwnie na dowódcę, a potem zauważył rozpaczliwie powstrzymywane uśmiechy na twarzach kolegów.

- A idź ty z tymi twoimi żarcikami!

Dym odwrócił się, zaczepiając ramieniem o wiszącą na ścianie gaśnicę, i poczłapał do ładowni przy akompaniamencie chóralnego rechotu za plecami. Nie potrafił jednak obrazić się na tę zwariowaną czwórkę. W końcu to przyjaciele.

„Jak wrócimy do Pitera, pierwsze, co zrobię, to koniecznie się wywiem, co to za Hulk...” - twardo postanowił mutant.

Rozdział 19

SUBLOKATORZY

- Możesz nie szukać, dowódco. To Zatoka Pawłowskiego.

Migałycz oderwał się od obserwacji skalistego brzegu i przekazał lornetkę stalkerowi. Ten niecierpliwie odsunął mapę i przykleił się do okularów, patrząc na podmyte przez fale przyboju przystanie i zarośnięte fundamenty dawnych koszar w oddali. Pięćdziesiąt kilometrów podążania za trytonami, których szare ciała w wodzie przypominały stado delfinów, zakończyło się we wschodniej części zatoki Striełok, w chronionym przed sztormami i niepogodą porcie poprzecinanym szeregiem betonowych pirsów.

- W czasach Związku Radzieckiego była tu baza Floty Oceanu Spokojnego Marynarki Wojennej - wspominał starszek. - A kiedy skończyła się zimna wojna i zaczęto szybko redukować arsenał broni ofensywnej, obiekt stał się kotwiczowiskiem okrętów podwodnych czekających na utylizację.

- A więc to dlatego jest tu zwiększony poziom radiacji... - Gleb zerknął z obawą na dozometr.

- A kto go tam wie... Może i dlatego. - Migałycz wzruszył ramionami. - A może gdzieś niedaleko walnęło w czasie wojny. Teraz już nie rozstrzygniemy, kto był winien... Najważniejsze, to nie stawać tu bez wyraźnej potrzeby. A najlepiej w ogóle opuścić zatokę, żeby nie kusić losu.

- Dziwny wybór miejsca na kolonię. - Taran odprowadzał wzrokiem płynące do brzegu trytony. - Czyżby nie bały się promieniowania?

Szaroskórzy dotarli już do skraju krótkiej grobli między akwenem a kanałem, minęli ją i poczłapali po lodzie jak kaczki w kierunku umieszczonego w zboczu góry murowanego portalu, gdzie czekała na nich garstka identycznych wysokich stworzeń, wśród których dało się nawet dojrzeć kilkoro cienkonogich dzieci.

Wyrastający ze wzgórza gigantycznych rozmiarów półokrągły żelbetonowy łuk wywoływał zdumienie i pełen czci lęk - w jakim celu starożytni kopali tak ogromne nory?

Co i przed kim chowali w środku? Pytanie nie zdążyło wyrwać się z ust Gleba, kiedy starszek znów się ożywił:

- Niezłą chatę trytony sobie upatrzyły... Zaraz za tą ścianką, która blokuje wrota,

ciągnie się kanał szeroki na prawie dwadzieścia metrów, a długi na ponad sześćset! Wychodzi bezpośrednio na zachodnie nabrzeże - z przeciwnej strony też jest taki portal. Równolegle do niego przebito jeszcze jeden tunel - na pomieszczenia mieszkalne i służbowe. Do obiektu doprowadzono kilka sztolni transportowych. Do tego oczywiście sieć łączników i obejść. I całe to gigantyczne mrowisko miało być...

- Migalycz zrobił efektowną pauzę - przeciwiatomowym schronem dla okrętów podwodnych!

Kiedy staruszek nacieszył się już wywołanym efektem, wrócił do obserwacji cudu techniki i opowiadał dalej:

- Oczywiście budowa nie została nigdy ukończona. Projekt został zamrożony w końcu lat osiemdziesiątych, kiedy wykonano już wszystkie główne roboty górnicze. Ale w kraju zmieniły się priorytety, wrogowie stali się nagle przyjaciółmi i...

Migalycz machnął ręką i umilkł na dłuższy czas, pogrążając się we wspomnieniach. Chore oko na poprzecinanej zmarszczkami twarzy co jakiś czas drgało, zdradzając silne wzruszenie. Pytanie, jak staruszek zdołał zachować w pamięci tyle fascynujących detali i historycznych faktów ponad dwadzieścia lat po Katastrofie, nie miało sensu. Jak zawsze będzie tajemniczo milczał albo zażartuje, zmieniając temat...

- No ładnie... - powiedział przeciągle Dym. - Mieszkanko jak trzeba. W sam raz dla trytonów. Tylko czy powinniśmy się tam pchać? Coś nie ufam tym ziemno-wodnym...

- Nikogo tam siłą nie ciągnę. - Taran wziął z półki automat i torbę z maską przeciwgazową. - Tym bardziej, że radiacja jest całkiem spora. Zerknę jednym okiem i wrócę.

Giennadij prychnął z oburzeniem i zaczął się pakować.

- Właśnie dlatego pójdę z tobą. Czuję, że czas podładować akumulatory.

- Migalycz? - Stalker spojrzał pytająco na pilota.

- A co ja, wody i błota nie widziałem? - zażartował ten. - Jeszcze czego, z moim reumatyzmem łązić po podziemiach! Nie, ja się wypisuję. Starczyło mi Jamantau. Poza tym bardziej się przydam tutaj, na pokładzie. Trzeba w końcu sprawdzić hydraulikę... A Aurora mi pomoże. Prawda, kochana?

Dziewczynka kiwnęła głową, uśmiechając się do staruszka. Po pamiętnym spotkaniu z rojem mrowiańczy całkowicie straciła ochotę, by opuszczać ekranoplan.

Widząc, jak Gleb pospiesznie zakłada skafander, Taran skrzywił się, ale postanowił nie zabraniać chłopcu wyjścia. Za bardzo błyszczały mu oczy w oczekiwaniu na nową przygodę.

Szaroskórzy zademonstrowali godną pozazdrosczenia gościnność i podholowali pod

skrzydło Kaspijskiego Potwora sporą płaskodenkę. Pomimo dość dalekiego pokrewieństwa ze swoimi lądowymi przodkami, trytony, chcąc przewieźć jakiś ładunek, nie stroniły od korzystania ze znalezionych w ludzkich osiedlach łodzi.

Wprawdzie okazało się, że w środku nie ma wiosła, ale nie były one do niczego potrzebne. Kilku barczystych wojowników popchnęło stateczek w stronę wrót, pracując nie gorzej od śruby okrętowej, i po upływie kilku minut potrzebnych na pokonanie grobli wędrowcy znaleźli się w końcu pod sklepieniem ogromnego tunelu.

Tuż nad powierzchnią wody ścieliły się gęste opary. Głowy ciekawskich trytonów co i rusz wynurzały się z nich, aby popatrzeć na gości.

- Właściwie to spodziewałem się zobaczyć lód - podzielił się obserwacją Taran. - Coś utrzymuje temperaturę wody powyżej punktu zamarzania.

- Może chodzi o te świecące rzeczy na dnie? - przypuścił Dym.

I rzeczywiście, po przyjrzeniu się można było zauważyć, że przez warstwę mętnej wody przebijało się zielonkawe światło emitowane przez skupiska dziwacznych kulistych tworów, którymi usiana była podwodna część ścian kanału.

- Jeśli wytwarzają tyle ciepła, to co to w ogóle jest? - Gleb przechylił się przez burłę, żeby przyjrzeć się tej osobliwości z bliska, ale stalker natychmiast pociągnął chłopaka do tyłu.

- Ostrożność nie zawadzi. Jesteśmy oczywiście w gościach, ale kto wie, co gospodarzom strzeli do głowy...

Łódka dotknęła dziobem pomostu cumowniczego przy bocznym korytarzu.

Jeden z trytonów, ten sam energiczny typ z komicznymi uszami, szybko wylał z wody i wezwał ich ruchem ręki. W ślad za przewodnikiem załoga wyszła na betonową platformę i znalazła się pod półkolistym sklepieniem szerokiego tunelu, który, łagodnie zakręcając, prowadził gdzieś w głąb kompleksu.

Pochyłe chodniki, schody, zawilgotniałe korytarze - Gleb szybko stracił orientację w szeregu następujących po sobie zakrętów. Natomiast Taran cały czas kręcił głową, zapamiętując drogę - dawały o sobie znać stalkerskie przyzwyczajenia.

Najgorzej czuł się Dym.

Widząc giganta, napotkane trytony chowały się w bocznych korytarzach, co bardzo przypominało mutantowi reakcję wielu mieszkańców. Giennadij nie okazywał jednak swojego niezadowolenia, pamiętając o instrukcjach dowódcy - nie prowokować konfliktów i w żadnych okolicznościach nie okazywać agresji.

- Mimo wszystko niepotrzebnie tu przyszedliśmy - wycedził przez zęby gigant.

- I czuję w wątrobie, że raczej nie znajdziemy tu niczego sensownego...

I rzeczywiście, oprócz przedstawicieli niezwykłego plemienia i ich skromnych sprzętów w wilgotnych betonowych tunelach nie napotkali jak do tej pory na nic ciekawego. Nie licząc, oczywiście, rybich szkieletów i ekskrementów w ślepych korytarzach.

- Pod warunkiem, że ją w ogóle masz - mruknął Taran w odpowiedzi.

- Że co mam?

- Wątrobę.

Dym z zakłopotaniem podrapał się w głowę i na wszelki wypadek pomacał się po bokach, ale, jako że nie miał nawet przybliżonego pojęcia, gdzie powinien szukać tego wymyślnego organu, ograniczył się do karkołomnego argumentu:

- Jak czuję w niej, że coś nie gra, to znaczy, że ją mam. I w ogóle twoje drwiny z mojej wyjątkowości przestają być oryginalne.

Spod maski stalkera dobiegł stłumiony dźwięk. Gleb wyobraził sobie, jak szeroko ojciec musi się teraz uśmiechać.

- Wyjątkowości? Hm... Jak widzisz - natrząsał się dalej Taran - nie tylko ty jesteś teraz taki unikalny. Palma pierwszeństwa na razie trafiła do trytonów. Po poznaniu miejscowych kolegów jestem nawet gotów oficjalnie uznać cię za *homo sapiens*. I nie mam pojęcia, co będziesz musiał teraz zrobić, żeby zakasować

„pływaków”. Chyba że wyhodujesz ogon...

- Gdzie mi tam do tych szaroch... skórych... - Dym nie zareagował na szyderstwo. - Czasem mi się zdaje, że ktoś ich specjalnie wymyślił. W jakimś ściśle tajnym laboratorium...

Gleb nagle stanął jak wryty i Giennadij omal nie zwalił chłopaka z nóg.

- Co ty?

Jednak sens tego, co powiedział, dotarł do mutanta szybciej niż chłopiec zdążył powiedzieć jedno jedyne słowo:

- Laboratorium!

Teraz obaj znieruchomieli, porażeni nagłym domysłem i tylko Taran rzucił, nie zatrzymując się:

- I właśnie dlatego chcę wycisnąć z trytonów jak najwięcej informacji. Bo moja wątroba, w odróżnieniu od twojej, Giena, wprost krzyczy, że jesteśmy na właściwej drodze.

Nie udało im się dokończyć rozmowy. Spiczastouchy zatrzymał się obok otworu drzwowego z zasłonką z plecionych wodorostów i niecierpliwym gestem zaprosił gości do środka.

Mrok wewnątrz ciasnej klitki rozpraszało słabe światło świeczki na starej, wypaczonej od wilgoci szafce z rozwarstwioną okleiną. Jednak po tym długim błędzeniu po ciemku

wędrowcy cieszyli się, że napotkali tu, w głębi matecznika trytonów, choćby taki przejaw ludzkiego ciepła.

Co najmniej jedną trzecią pomieszczenia zajmowała wciśnięta w kąt wanna, brunatna od wieloletniego użytkowania i z dobywającą się ze środka silną wonią rozkładu. W mętnej, zapleśniałej wodzie, jak w skisłej zupie, leżało nieruchomo nagie ciało szkaradnej istoty z nieproporcjonalnie dużą głową, wątym tułowiem i znajomą błoną między palcami. Jeszcze jeden tryton? Ale jaki dziwaczny...

I dlaczego leży tutaj, w tej ohydnej balii, a nie w przestronnym kanale, razem ze współbraćmi? Może jest tak stary, że potrzebuje specjalnej pielęgnacji i cieplarnianych warunków?

Gleb mimowolnie drgnął, kiedy blada, pokryta śluzem ręka chwyciła za brzeg wanny. Pozbawione warg usta trytona poruszyły się, wydając coś pomiędzy cichym westchnieniem a chrypieniem, powieki podniosły się i na przybyszów popatrzyły dwie ogromne fosforyzujące źrenice.

Spiczastouchy delikatnie pchnął Tarana do krawędzi dziwnego łoża i zmusił go, by zdjął maskę przeciwgazową i kucnął. Kiedy stalker znalazł się na wyciągnięcie ręki, dłoń słabego starca powoli powędrowała się w stronę człowieka.

Drżące lodowate palce, ledwo dotykając skóry, przebiegły mu po twarzy. Taran ze stoickim spokojem zniósł nieprzyjemną procedurę, uważnie oczekując na to, co zrobi szkaradny tryton, ale ten również powoli cofnął rękę i znów ciężko westchnął.

Wtedy przewodnik odprowadził stalkera i zaprosił na jego miejsce Dyma.

Giennadij ledwo zdążył zgiąć się we dwoje, a mieszkaniec wanny odrzucił i jego.

Nadeszła kolej Gleba.

Tym razem tryton długo obmacywał twarz młodego gościa i wreszcie nakrył mu czoło całą dłonią. Chłopiec nie zdążył przestraszyć się nagłej zmiany doznań.

Poczuł tylko, jak w jego głowie tworzą się niezrozumiałe obrazy, zalewając świadomość potokiem cudzych emocji i wspomnień.

* * *

Rozmyte sylwetki ludzi w białych kitlach, zniekształcone przez zasłonę z fibreglassu, ostre światło sali operacyjnej, lodowata powierzchnia stołu chirurgicznego, nużące godziny

ćwiczeń w poligonowym basenie, długie lata zamknięcia i przebrzydłe miny, ładunki wybuchowe, timery...

A przede wszystkim - poczucie strasznej samotności. Kładło się to cieniem na wszystkich wspomnieniach, urywając się nagle, kiedy świat zaczął się trząść i wić w agonii przez kilka niekończących się godzin. Wściekłe trzęsienie ziemi zerwało w końcu mocowania jednej z sekcji podwodnego więzienia i droga na wolność, w nęcące morskie głębiny, stanęła przed nim otworem.

Dopiero wtedy „Osobnik nr 8” dowiedział się, że były też inne króliki doświadczalne. Cały miot wyrwał się z zamknięcia tego fatalnego dnia... Dnia, który stał się końcem dla jednego gatunku i dał początek nowemu. Tak pojawiło się Stado.

Minuty płynęły jedna za drugą, ale Gleb wciąż trwał w bezruchu, pochylony nad dziwnym łóżem Starszego. Oczy chłopca były zamknięte, powieki mu drgały, a usta z rzadka poruszały się, wymawiając po cichu niezrozumiałe słowa. Taran zaczął się już porządnie niepokoić i spojrzał pytająco na przewodnika, ale wtedy syn poruszył się, wychodząc z transu, i omal nie przewracając się na plecy, niepewnie wstał.

Ręka szkaradnego trytona zniknęła pod wodą, a on sam zachrypiał jeszcze okropniej, widocznie spożytkował na kontakt telepatyczny resztkę swych sił.

Spiczastouchy rozkazującym gestem pokazał im wyjście i goście musieli pospiesznie się wycofać.

- No i? Co to było? - zapytał niecierpliwie stalker, kiedy tylko przestąpili próg pokoiku i wyszli na korytarz.

- Rozmawialiśmy - odpowiedział krótko Gleb, który nie zdążył jeszcze do końca dojść do siebie po poznaniu Ósmego.

- W myślach? - uściślił Giennadij. - Hm... Nie zauważyłem u ciebie wcześniej takich talentów...

- Myślę, że Gleb nie ma nic do tego. - Stalker wcisnął zagubionemu chłopakowi latarkę. - Ten obibok w marynacie jest telepatą. I wybrał dziecko, jako najbardziej podatne.

- No jasne, przecież dorosły w życiu nie uwierzy we wszystkie te paranormalne banialuki - mruknął Dym.

- Ósmy jest nie tylko telepatą - odezwał się w końcu chłopiec. - To jeden z pierwszych... itio...

- Ichtioidów? - odgadł Taran.

- Właśnie, ichtioidów - przytaknął Gleb. - Nie rozumiałem dokładnie, co to było za miejsce, w którym się urodził, ale jeszcze przed wojną tresowano tam delfiny.

Przyczepiali im do grzbietów jakieś rzeczy, którymi miały wysadzać w powietrze okręty.

- Słyszałem o tych delfinach bojowych - rzucił stalker. - Ale zawsze uważałem, że to nie ma perspektyw. Każda niestandardowa sytuacja i taki miner spasuje. W końcu myśli, jak zwierzę...

- Dlatego ostatecznie zamienili delfiny na pływaków! Ale nie prawdziwych ludzi, tylko...

-...sztucznie wyhodowanych - skończył Taran. - Cholerna inżynieria genetyczna w działaniu...

- Tak. I w ten sposób pojawił się Ósmy. Był jednym z pierwszych królików doświadczalnych.

- Pierwsze śliwki robaczywki... - mruknął Dym.

- Otóż to. Zostawili go w laboratorium dlatego, że potrafił czytać w myślach.

- Można powiedzieć, że ten efekt uboczny uratował mu życie.

Rozmawiając, wędrowcy pokonali większą część drogi powrotnej. Z przodu, zza zakrętu korytarza o półokrągłym sklepieniu dobiegał plusk wody. Zbliżyli się do głównego kanału.

- Czy ten Ósmy mówił coś jeszcze o laboratorium? Gdzie go szukać?

- Laboratorium już nie istnieje. Dawno temu zaważyło się przez wstrząsy podziemne. - Gleb usłyszał, jak ojciec klnie pod nosem, i szybko go uspokoił: - Ale to nam do niczego niepotrzebne. Spytałem o Alfejosa. Stary nigdy nie słyszał tej nazwy. Opowiedział mi za to o jakimś świętym źródle, z którego trytony regularnie pobierają leczniczą wodę. Która, jak to było... „wypłukuje z ciała brud”.

- Brud? - zapytał z zainteresowaniem Taran. - Czy to nie o promieniowanie mu chodziło?

- Też tak pomyślałem. Ósmy obiecał, że pokażą nam tę świątynię. Jeśli weźmiemy ze sobą podarunek dla Podziemnika.

- Prezent dla ich bożka? Ciekawe... Mam nadzieję, że nie wymagają od nas złożenie ofiary z człowieka? - Dym zrobił krwiozerczą minę, a potem gromko się roześmiał.

Dudniący bas Giennadija sprawił, że przewodnik drgnął z przestachem i skulił się. Mutant uspokajająco podniósł rękę i mrugnął do Spiczastouchego, jakby mówiąc:

„Nie denerwuj się, ja nie gryzę”. Ten przestał nieufnie się oglądać i poczłapał bosymi stopami po kałużach kapiącej z sufitu wody w stronę pirsu cumowniczego.

- A to jest - Gleb wskazał świecące na zielono kule pod wodą - hodowla dzieci! Ósmy

mi powiedział.

- Ikra przyszłych trytonów? - spytał z podziwem Dym. - Coś nieprawdopodobnego! Coś mi się zdaje, że niedługo na naszej matce Ziemi narodzą się nowi panowie.

- Kto wie, może bardziej na to zasługują? - Taran nieobecny wzrokiem patrzył na grę słonecznych refleksów odbitych od powierzchni wody i wyrysowujących na sklepieniu tunelu dziwaczne, zmieniające się co chwila wzory.

- My swoją szansę już dawno zmarnowaliśmy. A to była potężna szansa. Całe kilka tysięcy lat...

Obok łódki na wędrowców czekała już przygotowana przez trytony niespodzianka - cała góra brezentowych worków i obdrapanych butli ze sprężonym powietrzem.

- Sprzęt do nurkowania? - powiedział z niedowierzaniem Taran, przyglądając się maskom, fajkom i pstrykając palcem w manometry tlenowe. - Można z tego zrobić kilka porządnych zestawów! Tylko po co nam one?

- Żeby dostać się do świątyni Podziemnika - wyjaśnił Gleb. - Trytony znają tylko jedną drogę, która tam prowadzi - podwodną. I jeśli będziemy gotowi, by z niej skorzystać, zaprowadzą nas tam. Nie wiem dlaczego, ale spodobaliśmy się Ósmemu.

No i okazał w ten sposób hojność. Okazuje się, że trytony złożyły wzdłuż i wszerz całe wybrzeże wokół Władywostoku. Mają tu magazyny pełne rozmaitych rupieci.

- A nie napotkali gdzieś ocalałych? Chyba o to zapytałeś?

- Oczywiście, że zapytałem. - Gleb zaciął się, zwiesił głowę. - W okolicy nie ma nikogo oprócz stada...

Chłopak ukradkiem podniósł oczy na ojca. Ten błyskawicznie spochmurniał, przybity złą wiadomością. Tym razem nawet obowiązek ciążyący na dowódcy nie pomógł Taranowi zachować optymizmu, w końcu poszukiwania, na które stracili tyle sił, w imię których ponieśli tyle ofiar, nie przyniosły dotąd żadnych rezultatów...

Ileż to razy podczas tej długiej podróży wpatrywali się w linię horyzontu, kuszącą, tajemniczą i obiecującą wybawienie od toczącego świat skażenia? I oto, po przebyciu wielu tysięcy kilometrów śmiertelnie niebezpiecznej drogi, tylko jeden krok, jeden punkt zaczepienia dzielił ekspedycję od całkowitego fiaska. Jedna jedyna nitka, która jeśli nawet nie doprowadzi ich do Alfejosa, to przynajmniej tchnie w dotknięty wieloma porażkami oddział odrobinę nadziei. I tym trudniej było zrobić ten ostatni krok, mając świadomość, że tam, za horyzontem, może nie być absolutnie niczego...

Stalker wciąż jeszcze się ościagał, podczas gdy Gleb zrobił krok naprzód, wyciągnął ze sterty lepiej zachowaną butlę, odkręcił zardzewiały zawór. Rozległ się syk i porcja mieszanki

tlenu i azotu ulotniła się.

- Sądząc ze wskaźnika, półtorej atmosfery. Nada się, prawda? - Chłopak energicznym ruchem odstawił butlę na bok i zabrał się za następną.

Przewyciężając odrętwienie, Taran dołączył do sortowania.

- Giena, nie stój jak kołek! Ładuj towar.

Mutant zerknął sceptycznie na pojemniki z łuszczącą się ze starości farbą, westchnął i podszedł do łódki.

- Co, wątroba znów daje ci znać? - Stalker uśmiechnął się lekko, widząc, jak olbrzym zmarszczył brwi.

- Tym razem po prostu krzyczy, dowódco. Iść pod wodę ze sprzętem, który przeleżał dwadzieścia lat z hakiem, to nie jest zwykła głupota, to szaleństwo.

- I właśnie dlatego wybiorę się tam sam - w głosie Tarana dał się słyszeć chłód. - Gleb, ciebie to dotyczy w pierwszej kolejności. Tym razem zostaniesz w ekranoplanie. I nawet nie próbuj mnie przekonywać.

- Jak każesz - zadziwiająco łatwo zgodził się chłopak, przez co dorośli spojrzeli na niego ze zdumieniem.

* * *

Załadunek i wyjście z portu odbyły się bez przeszkód. Trytony odprowadziły łódkę do Kaspijskiego Potwora i cierpliwie czekały przy burcie, by wypełnić wolę Starszego - popłynąć z gośćmi do świątyni Podziemnika. Kiedy Migałycz i Aurora, ciekawi szczegółów, rzucili się do Gleba z pytaniami, Giennadij wyczuł odpowiedni moment, szturchnął przyjaciela w bok i zapytał konspiracyjnym szeptem:

- Mam nadzieję, że żartowałeś, kiedy mówiłeś, że popłyniesz sam?

- Sam przecież rozumiesz, że to bardzo ryzykowne. - Taran ściągnął obrzydłą maskę przeciwgazową, otarł mokrą od potu twarz.

- Jeszcze większe ryzyko to pchać się tam bez zabezpieczenia - zaproponował mutant.

- Ale...

- Wiesz co? - nie dał mu skończyć Dym. - Gdybym tak się bał o własną skórę, to zostałbym w metrze! Idę z tobą. I koniec! I zakończmy ten temat raz na zawsze.

- Dobra, byku - poddał się Taran. - Nurkowałeś chociaż kiedyś?

- A jakże! Co prawda, bez akwalungu... Pamiętasz przecież, jak pływałem przy grobli...

- Nie było to zbyt przydatne doświadczenie - uśmiechnął się krzywo stalker. - Z butlą będzie trochę trudniej. No, ale trudno. Dam ci parę lekcji.

Nowina o planowanym wypadzie nie ucieszyła Migałycza. Staruszek sucho skinął głową i kazał stalkerowi dać słowo, że zachowa pełną ostrożność, a sam z kolei obiecał zaopiekować się dziećmi.

Z cichym pluskiem łódka odbiła od skrzydła ekranoplanu, popychana przez zwinne ciała trytonów. Jeszcze chwila i sylwetki stalkerów rozplynęły się w gęstej mgle. Gleb oderwał się od iluminatora i zamarł niezdecydowany. Ojcu starczyło odwagi, by zajrzeć za horyzont. A czy starczy śmiałości jemu samemu?

- Migałyczu, Auroro - zawołał chłopak. - Musimy poważnie porozmawiać.

Zaintrygowana dziewczynka w mgnieniu oka była obok, zagryzając usta w oczekiwaniu na wyjawienie jakiejś tajemnicy.

Staruszek podszedł bez pośpiechu, szurającym krokiem zmęczonego życiem człowieka, ale nie udało mu się ukryć ciekawości.

- Słuchamy cię, Glebuszka.

Chłopiec wahał się jeszcze przez jakiś czas, ale opanował w końcu emocje i twardo powiedział:

- Musimy lecieć dalej. I to teraz...

* * *

Szum fal przyboju... Plusk wody na zewnątrz... Przeszywający, aż zgrzytał zębami, huk silników... Łoskot turlających się po podłodze pustych beczek...

Niezrozumiałe, przytłumione przez odległość mamrotanie za przepierzeniem...

Najpierw to były tylko dźwięki. Potem, kiedy świadomość zaczęła rozpaczliwie szukać wyjścia z nieprzeniknionych ciemności otaczającej go Pustki, przez zasłonę omdlenia pokazała się mozaika niezrozumiałych obrazów. Najpierw ledwie dostrzegalne na tle panującego wokół mroku szare cienie. Stopniowo nabierając barw, układały się w znajome kształty. Zmieniając się z przerażającą szybkością, sprawiały, że to, co się działo, wydawało się nierealne, ale niezmienny pozostawał jeden jedyny kadr, zbyt realistyczny jak na twór

sparaliżowanego strachem umysłu. Obraz, który zapadł mu w pamięć na krótko przed utratą przytomności. Ten sam, który palił go od środka rozpalonym żelazem, wzbudzając fale bólu i wszechogarniającego strachu przed śmiercią.

„Umieram? Czy już umarłem?”

Kosmata bestia, która wskoczyła do ładowni odpływającego ekranoplanu w ślad za Sungatem, okazała się szybsza niż spodziewał się zaprawiony w bojach Stepowy Pies. Wydając złowieszczy szelest, latająca mrówka od razu rzuciła się do ataku, i zanim ostrze noża przecięło głowę stwora, ostre żądło zdążyło wstrzyknąć jad pod skórę człowieka.

Sungat z nienawiścią wypchnął nieżywego owada przez szczelinę w podnoszącej się rampie, ale piekielny eliksir zaczął już płynąć mu w żyłach, zapierając dech w piersiach, rozlewając się po ciele falami żaru, tumaniąc umysł.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał po wylocie z Kaspijska, był pełen rupieci kął ładowni, do którego Farbowany lis wczłogał się w nadziei, że nie znajdzie go jego główny wróg.

Kiedy zdolność orientacji powróciła do odurzonego mózgu, w oczy rzuciło mu się koryto, z którego załoga korzystała przy myciu naczyń. A obok - kociołek z reszką mięsnej zupy, o którym widocznie zapomnieli w pośpiechu. I to on uratował Sungata przed śmiercią głodową i dodał organizmowi sił w dalszej walce z trucizną.

Po wylizaniu naczyń do czysta, wyczerpany pościgiem, obolały po walce z ptakiem, udreńczony atakującym mięśnie paraliżem, Pies schował się w swojej kryjówce i zapadł w długi sen. Poturbowany, ale niepokonany...

Rozdział 20

ZAJRZEĆ ZA HORYZONT

Ostatni odcinek drogi do świętego miejsca „morskich ludzi” musieli pokonać na piechotę, ostrożnie stąpając po lodzie, który skuwał kamieniste wybrzeże.

Oświetła od wiatru i śniegu przez otaczające ją ze wszystkich stron skały, w głębi wąwozu otwierała się przytulna grotta o niskim sklepieniu i dnie wyłożonym śliskimi otoczakami. Z daleka nieregularne, zwieńczone łukiem wejście przypominało zastygłe w niemym krzyku usta skamieniałego tytana - milczącego strażnika patrzącego na krzątanie żalosnych stworzeń na brzegu.

Wydeptana stopami trytonów ścieżka ciągnęła się od samej wody i ginęła między dwoma dziwnymi stożkowatymi głazami wytyczającymi niewidzialną granicę, za którą zaczynała się wilgoć, mrok i niespokojna cisza, z rzadka zakłócana przez odgłos spadających kropel.

Światło słoneczne, które ukośnymi promieniami przecinało przestrzeń jaskini, wystarczało, żeby dostrzec źródło bijące z wnęki w ścianie. Ściekając po oszlifowanej na wysoki połysk kamiennej rynnie, woda skapywała do szerokiej, ozdobionej wymyślnymi wzorami ceremonialnej misy. Szaroskórzy zrobili ją z najzwyklejszej w świecie anteny satelitarnej. Przy naczyniu zgromadziło się od razu kilka trytonów. Z ożywieniem nabierały wody muszlami i powoli, długimi łykami piły, co i rusz zadzierając głowy jak żurawie zlatujące się do wodopoju.

Mniej więcej na środku grotty czerniało pokryte cienkim lodem jeziorko.

Zebrani nad brzegiem plemienni myśliwi gorliwie kruszyli cienką białą pokrywą przy pomocy włóczni, wykuwając obszerny przeręb.

- To tam? - zapytał nieswoim głosem Dym.

- Na to wygląda - odburknął Taran, spoglądając na usianą kawałkami lodu ciemną wodę.

- Popatrz no... - Giennadij lekko trącił przyjaciela w ramię. - Takie to święte źródło...

Woda nie ciekła już do misy, bijący ze ściany strumyk nagle wysechł. Wtedy jeden z trytonów wspiął się po głazach do wnęki i zadzwonił w coś metalowego.

Podchodząc bliżej, stalkerzy ze zdziwieniem odkryli, że przez wyrwę w skale widać kawałek starej rury wodociągowej, która wychodzi gdzieś spod ziemi i ginie pod sklepieniem

groty, prowadząc przez warstwę kamienistego gruntu w stronę powierzchni. Sądząc z osadów rdzy, właśnie tutaj, przez pęknięcie w metalu „święta woda” sączyła się na zewnątrz, dając początek źródelku. Uwijający się obok tryton pracowicie stukał w rurę swoją włócznią, ale w odpowiedzi dobiegało z niej tylko syczenie i bulgotanie sunących przez wodociąg pęcherzyków powietrza, co nieco przypominało przedziwny język szaroskórych.

- Masz jakiś pomysł? Co może być pod ziemią? - rozmawiając z towarzyszem, Dym nie spuszczał wzroku z trytonów.

Ci, po osuszeniu misy do dna, cierpliwie czekali na coś, czego stalkerzy mogli się na razie tylko domyślać.

Taran wzruszył ramionami i dla pewności popatrzył na mapę.

- Mam, oczywiście, co do tego pewne domysły... Ale lepiej, żeby pozostały tylko domysłami. Jesteśmy w Zatoce Sysojewa. Gdzieś tutaj przed wojną mieścił się oddział Dalekowschodniego Centrum Gospodarki Odpadami Jądrowymi.

A dokładniej, cmentarzysko zużytych reaktorów nuklearnych z okrętów podwodnych. Tak więc można tylko przypuszczać, że jest tu jakieś głębinowe składowisko OP. Tam, pod nami - stalker wieloznacznie wskazał w dół.

- No to ładnie... - powiedział mutant z zadumą. - A co to jest „OP”?

- Odpady promieniotwórcze.

Obydwaj skulili się na dźwięk tych dwóch złowieszczych słów, a Taran nie mógł się przemóc i po raz nie wiadomo który zerknął na wydający niepokojące trzaski dozymetr.

- Szaleje... - mruknął, stukając w szkiełko.

- Czyli tam, głęboko - Giennadij wskazał na przerębel - powinna być radiacja, jak u diabła w piecu?

- Barwne określenie. Ale dobrze oddaje sens.

- A jednak z rury - ciągnął Dym, przenosząc wzrok na „święte źródło” - co jakiś czas leci sobie zupełnie czysta woda. Inaczej ci spryciarze nie chłęptaliby jej tak gorliwie.

Wciąż jeszcze wąpiąc, Taran podszedł do ceremonialnej misy, podniósł dozymetr, a ten grzecznie zamilkł.

- Giena, nie uwierzysz... - Stalker wyprostował plecy i z zakłopotaniem ściągnął maskę, objawiając trytonom mokrą twarz. - Wskazania są niższe od promieniowania naturalnego. Praktycznie zero!

- Czyli albo źródło jest naprawdę święte, albo...

- Nie zapieszaj - przerwał mu Taran. - Nie ma potrzeby. Nie będziemy zgadywać. Przepłynijmy już do tej cholernej świątyni Podziemnika i wyjaśnijmy wszystko raz na zawsze.

Widząc ożywienie na twarzach stalkerów, Spiczastouchy zaprosił ich ruchem ręki i wślizgnął się do przerębla jako pierwszy. Po chwili jego błyszcząca głowa pojawiła się na powierzchni. Niemrugające oczy z ciekawością śledziły człowieka zakładającego skafander do nurkowania. Nie znalazł się ostatecznie odpowiedni rozmiar dla Giennadija, dlatego gigant ograniczył się do akwalungu, oznajmiając, że zimno jest mu niestraszne zarówno na lądzie, jak i w wodzie.

Taran założył płetwy i powoli wsunął nogi do czarnej wody, po czym zamarł na chwilę, przyglądając się swojemu kołyszącemu się odbiciu.

- Co, bracie, boisz się? - cicho spytał Dym, wyjąwszy ustnik.

Stalker skinął głową, nic nie mówiąc. Niech już lepiej Giennadij myśli, że przeraziło go nurkowanie. Taran nawet przed sobą samym nie przyznałby się za nic, że bardziej od czegokolwiek na świecie boi się, że trop po raz kolejny okaże się fałszywy.

* * *

- Bądź łaskaw to wyjaśnić, młody człowieku! - rzekł surowo starszek i wziął się pod boki. - Bo ta deklaracja pachnie mi kompletną bzdurą! Dokąd mamy lecieć?

Po co? A w końcu: co to za pośpiech?!

Gleb cierpliwie policzył w duchu do trzech, nabrał powietrza i niechętnie wydusił z siebie:

- Ósmy powiedział mi coś jeszcze...

-...o czym nie wspomniałeś Taranowi? - domyślił się Migałycz.

- Tak.

- Jeśli nie możesz tego zdradzić własnemu ojcu, to dlaczego mówisz to nam? - zdziwiła się Aurora.

- W tym rzecz. Chcę was poprosić, żebyście o nic nie pytali. Na razie. Po prostu proszę, żebyście mi zaufali. To tylko krótki lot! Niedaleko stąd! Proszę! - Gleb zastygł przed starszkiem, spoglądając na niego błagalnie.

- Nie ma mowy! Mamy mało paliwa. Dobrze, jeśli starczy na drogę powrotną!

- Zaschnięte usta Migałycza drżały ze zdenerwowania. - I obiecałem twojemu ojcu nie spuszczać was z oczu!

- No i nie będziesz! Po prostu zabierz nas tam, gdzie powiem. Albo... - Gleb urwał,

desperacko zaciskając pięści.

- Albo co? - Migałycz skrzyżował ręce na wątlej piersi.

- Albo to!

Szczęknięt sucho odciągnięty zamek automatu. Ręce ściskające bizona zaczęły się podnosić, ale w połowie drogi zadrżały, zatrzymały się, powoli opadając. Chłopak położył pistolet maszynowy na ławce, odwrócił się, i krztusząc się łzami, uciekł do ładowni.

- Co go ugryzło?!

Staruszek odprowadził Gleba wzrokiem i spojrzał na Aurorę, szukając wsparcia. Ale dziewczynka zadziwiła go równie mocno, cicho mówiąc:

- Ja też uważam, że powinniśmy polecieć...

- Ale dlaczego?! - wykrzyknął Migałycz.

Aurora długo nie odpowiadała, nie rozumiejąc, jak dorosły może nie rozumieć takich prostych rzeczy.

- Dlatego, że wierzę Glebowi. Wszyscy powinniśmy ufać sobie nawzajem.

Inaczej taka przyjaźń nie jest warta funta kłaków...

Teraz umilkł staruszek, myśląc nad słowami dziecka - zdawałoby się naiwnymi, ale jednocześnie zbyt prawdziwymi, żeby je kwestionować.

- Funta kłaków... - odezwał się w końcu jak echo i poczłapał do ładowni.

Migałycz znalazł chłopaka siedzącego przy iluminatorze. Gleb, wpatrzony w dal, nieprzerwanie śledził grę spienionych bałwanów na niespokojnej powierzchni morza. To samo spojrzenie, pełne zdecydowania i niepojętej wewnętrznej siły, padło na staruszka, zbijając go z tropu. Zmęczony pilot oparł się o przegródkę i konspiracyjnie mrugnął zdrowym okiem:

- To mówisz, że dokąd mamy lecieć?

Gleb rozpląnął się w uśmiechu i jak strzała przemknął obok staruszka do kabiny pilota, skąd do uszu dorosłego dobiegł dźwięczny chłopięcy głos:

- Uwielbiam cię, Migałycz! Poczekaj, zaraz przyniosę mapę!

* * *

Pod wodą, w królestwie wiecznego mroku i otulającej wszystko niczym wata ciszy, własna znikomość daje się odczuć tak wyraźnie, jak obcość przestrzeni dookoła. Przestrzeni

praktycznie pozbawionej grawitacji i znajomego poczucia góry i dołu, wypełnionej niewyraźnymi, przytłumionymi odgłosami, ruchem amorficznych cieni gdzieś na granicy pola widzenia, falowaniem tuż przed oczami mętnej zawiesiny, którą wciąż ma się ochotę zetrzeć z plastikowego wizjera.

W takich chwilach znany świat kurczy się do rozmiarów ściśle przylegającej do twarzy maski i huku własnego wyężonego oddechu w uszach. Ukryty strach ogarnia cię na myśl, że każdy kolejny wdech jest nieco płytszy od poprzedniego; sprawia, że zaczynasz z obawą wsłuchiwać się w siebie, i wywołuje nieodparte pragnienie, aby bez końca wpatrywać się we wskazania manometru. Czy w butlach jest wystarczająco dużo życiodajnego powietrza? Tysiące ton wody przytłaczają duszę i ciało, robiąc organizmowi złośliwe psikusy, sprawiając, że serce miota się jak złapany w sidła ptak, a niekontrolowany dreszcz przebiega po ciele za każdym razem, kiedy przez piankę kombinezonu czujesz dotyk przerażającej i niepojętej otchłani otaczającej cię zewsząd - czy to przez zbyt ciekawską rybę, występ skalny, czy też inną przeszkodę.

Przez moment z ciemności wychynęła błoniasta stopa płynącego przodem trytona. Taran szybko popracował płetwami, kierując się głębiej w ślad za przewodnikiem. Długie zejście przez system zatopionych pieczar, jak się okazało, połączonych z grotą na powierzchni, zakończyło się w gigantycznym kamiennym cyrku. Woda była tu na tyle przejrzysta, że strach było patrzeć w dół. Ich ciała jakby unosiły się w nieważkości i w dowolnym momencie mogły spaść na ostro zakończone skały pokrywające nierówne dno jaskini.

Spiczastouchy pomachał do nich niecierpliwie i wskazał palcem w górę.

Światło latarki padło na wyłom w suficie. Taran odnalazł wzrokiem szamoczącego się nieopodal Dyma, powtórzył gest przewodnika i ruszył w górę jako pierwszy.

Nadeszła pora, żeby przypomnieć sobie przedwojenne zainteresowanie nurkowaniem i liczby z tabel dekompresyjnych, na których wkuwanie stalker stracił w swoim czasie niejeden miesiąc treningu. Wypływanie wzdłuż usianych ostrymi występami ścian zakończyło się przy szerokiej, o średnicy co najmniej paru metrów, rurze poboru wody. A oto i pierwsza oznaka cywilizacji... A więc świątynia jest jednak dziełem człowieka?

Wędrówka przez ciasny, zardzewiały tunel sprawiła, że obaj stalkerzy najedli się strachu, szczególnie Giennadij ze swoimi gabarytami, i gdyby nie obecność szaroskórych, którzy na przestrzeni całej podwodnej trasy pomagali wędrowcom przedzierać się przez szereg jaskiń i wąskich szczelin, pokonanie ostatniego odcinka drogi mogłoby się zakończyć w opłakany sposób - mając mało miejsca, Dym omal nie zerwał rurki aparatu oddechowego,

zaczepiając o skraj połamanej, pokrytej gęstym mułem kraty, osłaniającej niedziałającą od dawna śrubę.

W końcu gdzieś w górze ukazało się światło. Długie wynurzenie dobiegło końca. Taran wypłynął na powierzchnię i przede wszystkim sprawdził wskazania dozymetru - niezbyt, zresztą, optymistyczne - i rozejrzał się dookoła. Miejsce, w którym się znaleźli, bardziej przypominało podziemny rezerwuuar wody niż świątynię. Jedyna działająca świetlówka, migocząc co jakiś czas, oświetlała średniej wielkości salę o betonowych ścianach, z pomostami z metalowej kraty ciągnącymi się wzdłuż zbiornika, z którego się wynurzyli. Drzwi w najodleglejszej ścianie pozostawały zamknięte. Łuszcząca się farba przeszkadzała w odczytaniu namalowanych od szablonu białych liter, ale znak zagrożenia radiologicznego był wciąż jeszcze wyraźny.

Trytony jeden po drugim podpływały do skraju basenu i zostawiały na pomostach jakieś zawiniątka z plecionych wodorostów, koszyki z muszelkami, jeszcze żywymi krabami i innymi darami morza.

„Ofiary...” - domyślił się stalker.

Obok, głośno prychając, wynurzył się Dym. Mutant wypluł ustnik akwalungu, zerwał maskę i soczyście zaklął, po czym zmęczonym ruchem złapał obiema wielkimi rękami brzeg rezerwuaru i głęboko odetchnął.

- Wiesz co, przyjacielu? - Mutant odwrócił w stronę towarzysza mokrą i bladą od przeżytego stresu twarz. - Oczywiście pójdę za tobą wszędzie - w ogień i wodę, ale od dziś nie będziemy tego rozumieć tak dosłownie!

Taran przeprasząc wzruszył ramionami, uśmiechnął się i pokiwał głową w stronę szaroskórych:

- Patrz, jacy gorliwi.

Po wyłożeniu darów trytony jak jeden mąż pobożnie biły pokłony do samej ziemi i bulgotały na wszelkie sposoby. Potem niemal jednocześnie cofnęły się do zbiornika i starannie, bez jednego pluśnięcia, wślizgnęły do wody.

- Zauważ, że jednak ktoś potem te skarby stąd zabiera.

- Grzech tyle żarcia transportować na darmo - zgodził się Dym.

- Myślisz, że to ktoś od nich je podkrada? - zaproponował rozwiązanie Taran.

- Co tu zgadywać, niedługo wszystkiego się dowiemy.

- Oby jak najszybciej. Nie mam już siły moknąć.

Stalker drgnął, czując, że dotknął go jeden z mutantów. Okazał się nim być Spiczastouchy. Biedak długo i zaciekle gestykulował, z czego stalkerzy wspólnymi siłami

zrozumieli, że żąda od nich, by zostawili Podziemnikowi swój podarunek i płynęli do domu.

Przygotowany zawczasu kapciuch z machorką został uroczyście wyjęty z nieprzemakalnego foliowego woreczka i przy akompaniamencie zdumionych spojrzeń trytonów przeniesiony na „ołtarz”. Szaroskórzy nie sprzeciwiali się jednak nietypowej ofierze. Ich łyse głowy szybko zniknęły pod wodą - pielgrzymi ruszali w drogę powrotną.

Tym razem Taran zignorował wszystkie błagania Spiczastouchego, by natychmiast opuścili święte miejsce. Tryton po raz ostatni spojrzął na upartych płucodysznych i dał nurka w głębinę. Parę minut później wygładziła się ostatni zmarszczka na wodzie i w pustym pomieszczeniu z pokrytym pleśnią sufitem zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Ani pluśnięcia wody, która zastygła jak kiesel, ani szumu wiatru... I gdyby nie migotanie lampy nad drzwiami, można by było uznać, że świat wokół na zawsze znieruchomiał w tym statycznym obrazku.

Szczękając zębami, stalkerzy przyczaili się przy poręczy w nadziei, że tajemniczy gospodarz podziemi jednak pokaże się bezceremonialnym gościom.

* * *

Dotykając powierzchni morza, Kaspijski Potwór zadrżał całym kadłubem, przeciął spienione grzebienie fal i zwalniając, osiadł na wodzie. Wytrenowany w pilotażu Migałycz z zegarmistrzowską precyzją dociągnął ekranoplan niemal do samego brzegu. Wprost przed nimi, łamiąc łagodną linię brzegową, pod ołowianym niebem wznosił się skalisty cypel, z którego wierzchołka porywisty morski wiatr zdmuchiwał chmury śnieżnego pyłu.

Potyając się na kruchej warstwie lodu, samotna figurka oddalała się od znieruchomiałego na płyciźnie stalowego giganta. Chwilę później na błękitnawej powierzchni pojawił się jeszcze jeden piechur. Kiedy tylko dogonił towarzysza, ten zamachał rękami, odganiając niechcianego partnera. Wywiązała się między nimi krótka i pełna emocji dyskusja, w wyniku której dalszą drogę kontynuowali oboje.

Zarzucone na maski przeciwgazowe kaptury kurtek niewiele pomagały w walce z lecącymi z przeciwka płatami mokrego śniegu. Co jakiś czas wędrowcy zatrzymywali się, by zetrzeć lepką białą masę z wizjerów, ale za każdym razem uparcie ruszali dalej, wspinając się coraz wyżej po zaśnieżonym skalistym zboczu.

- Powiesz mi wreszcie, dokąd idziemy? - zapytała po raz nie wiadomo który Aurora,

przekrzykując wycie wiatru.

- Zobaczysz - odparł niejasno Gleb, wciąż jeszcze zagniewany na dziewczynkę, że ta, wbrew umowie, przyczepiła się do niego. - Ale że Migalycz pozwolił ci iść... - dodał z niedowierzaniem chłopak.

- Nawet nie zauważył, że wyszłam - oznajmiła niefrasobliwie dziewczynka. - Znów naprawia hydraulikę. Coś tam ciągle nawala.

Gleb już chciał się odwrócić i nakazać uciekinierce, żeby wróciła do ekranoplanu, ale Aurora uspokoiła rówieśnika:

- Oj, już tak nie przeżywaj! Zostawiłam mu kartkę.

- Dostanie ci się, jak wrócimy - mruknął chłopiec, podając towarzyszce rękę.

- Daj, pomogę ci.

Ubezpieczając się wzajemnie, ciągle grzęznąc w zaspach i co chwila zjeżdżając w dół razem z płatami zamarzniętego śniegu, dzieci powoli, ale nieuchronnie zbliżały się do szczytu wysokiego nadbrzeżnego wzgórza. Kiedy zaczęło im już brakować sił, podejście stało się łagodniejsze. Po kilku krokach przed Glebem i Aurorą odkryła się wreszcie panorama zacisznej zatoczki i...

- A więc jednak Ósmy nie kłamał... - chłopak ściągnął maskę przeciwgazową i wystawił twarz na huraganowy wicher, zacisnął powieki i znów szeroko otworzył oczy, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Na przeciwległym brzegu zatoki, przycumowany oblodzonymi linami do starego pirsu, widniał przypominający cygaro stalowy relikwiarz - najprawdziwszy atomowy okręt podwodny! Sądząc z obfitości drewnianych pomostów i dobudówek, unieruchomiony przez lód gigant stał tu niejedną dekadę i raczej nie był w stanie wyruszyć w żaden rejs. Plamy rdzy pokrywały większą część poszycia, a w kilku miejscach na rufie w ogóle go brakowało.

Ale stojący na wiecznej wachcie świadek minionej epoki nie był tak pozbawiony życia, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Po jego garbatym grzbiecie kręciły się ledwie dostrzegalne figurki ludzi, słychać było zgrzyt metalu. Co jakiś czas kadłub okrętu podwodnego rozświetlały błyski elektrycznej spawarki.

Przez wycięte w burtach otwory do brzegu ciągnęły się kable energetyczne. Tam zaś, na starannie wzmocnionym palami nabrzeżu, przycupnęły przysadziste budowle.

Baraki, spichlerze, oczyszczone i podświetlone reflektorami uliczki, produkujące energię wiatraki, wały fortyfikacji... Nieco dalej, w kilku odchodzących promieniście od brzegu szeregach stały solidne jedno i dwupiętrowe domy mieszkalne.

Ciepłe światło płynące z licznych okien natychmiast przywołało z pamięci głęboko

ukryty, jednak niedający się zapomnieć obraz - miasto marzeń z utraconej na zawsze fotografii. Rozciągający się w dole skrawek zamieszkałego raj, chociaż niezbyt schludny, pogrążony w bieli wszechobecnego śniegu, budził w sercu emocje, które zdążyły już przygasnąć - radość i ukojenie. Zupełnie jak wtedy, kiedy patrzył na przedwojenny Władywostok na pocztówce. Była tylko jedna niemała różnica - teraz całe to piękno, niedające się nijak porównać ze stęchłymi norami metra, można było oglądać na jawie.

Gleb ogarnęło uczucie bezgranicznego szczęścia. Szczęścia, które zdawało się bezpowrotnie utracone wraz z zagładą wyspy Moszczny. Szczęścia z odkrycia, że w zgotowanej sobie przez człowieka niesławnej przyszłości jest jednak miejsce na cud. A nazywa się on... Gleb zapomniał w końcu spytać trytona pustelnika o nazwę osady.

- Mieszka tu załoga atomowej łodzi podwodnej i ocaleni, których udało się odnaleźć w okolicy - zaczął mówić Gleb, uprzedzając pytania towarzyszek. - Kiedy marynarze wrócili do portu macierzystego i zobaczyli, co stało się z Władywostokiem, postanowili zamieszkać tutaj, w porzuconej wiosce rybackiej.

Odbudowali, co mogli. Prąd dociągnęli z okrętu. I tak sobie żyją...

- Wszystko to usłyszałaś od Ósmego? - upewniła się dziewczynka. - Wynika z tego, że trytony wiedziały o osadzie i miały już kontakt z ludźmi! To dlatego tak spokojnie zareagowały na nasze przybycie do miasta...

Gleb potwierdził skinieniem.

- Nie tylko wiedzieli, ale też zawarli pewną umowę. Żeby sobie nawzajem nie przeszkadzać. Nie przekraczać granicy swoich terytoriów.

- To dziwne, że postanowili obejść się bez współpracy. Mogliby na przykład handlować...

- Za bardzo różni się od trytonów, żeby współistnieć - chłopak gorzko westchnął. - Może marynarze patrzą na nich tylko jak na kolejny rodzaj mutantów.

- Może. Tak czy owak, nie poznamy prawdy, jeśli nie zejdziemy do wioski.

- Nie idziemy tam - uciął Gleb. - Lepiej będzie, jeśli oni też nie dowiedzą się niczego o naszej ekspedycji.

Aurora milczała, zastanawiając się nad słowami rówieśnika. Z początku jego decyzja wydała się dziewczynce absurdalna. Przecież tak bardzo chciał znaleźć nieskażone tereny! Ale potem...

- To właśnie dlatego postanowiłaś, żeby nie mówić o kolonii Taranowi? - Aurora sprawdziła wskazania dozymetru i też ściągnęła maskę, wdychając mroźne, pachnące morzem powietrze. - Chcesz utrzymać jej istnienie w tajemnicy przed wszystkimi?

- Tak, chcę. - Chłopak obrzucił długim spojrzeniem rój świateł w dole. - Póki ekranoplan działa, ewakuacja ludzi z Pitera tutaj to wcale nie taki niedorzeczny pomysł. Problem paliwa jest do rozwiązania. Ale nie mamy prawa zapominać o weganach. Po imperium można się spodziewać wszystkiego. Być może zdobyli już całe metro i teraz, jak Stepowe Psy, plądrują inne kolonie ocalałych!

- A jeśli jest na odwrót? - zaproponowała dziewczynka. - Zieloni zajmą oswobodzone stacje metra i na tym poprzestaną? Jeśli to właśnie przesiedlenie Aliansu Primorskiego położy kres wojnie?

- Jeśli... - powtórzył Gleb w zadumie. - Obawiam się, że nie mamy prawa do żadnego „jeśli”. Kiedyś w Piterze dowiedziano się o Moszcznym... Nie chcę, żeby coś podobnego powtórzyło się tutaj. Niech chociaż w tej osadzie przetrwa życie.

Przenikliwy wiatr co i rusz chciał zwalić z nóg dwie maleńkie figurki, zakłócające swoją obecnością majestat i surowe piękno skalistego cypla, ale dzieci nawet się nie poruszyły, nie mogąc oderwać wzroku od wzruszającej panoramy miniaturowego, ale jednocześnie idyllicznego świata. Świata, któremu sążone było pozostać dla nich obcym.

- I jesteś gotów zrezygnować ze swojego marzenia? - przerwała milczenie dziewczynka. - Powiedz mi, Gleb, w takim razie dlaczego tu jesteśmy?

- Musiałem się upewnić, że kolonia naprawdę istnieje. Ja... muszę wiedzieć, że jeśli... Alfejos nie wypali, to...

-...to chociaż kilka osób będzie miało szansę zacząć wszystko od nowa. - Aurora skończyła zdanie za rówieśnika i nieśmiało wzięła go za rękę.

- Obiecujesz, że nikomu nie powiesz, co tu zobaczyłaś? - Chłopak ścisnął podaną mu rękę.

Spojrzenia dzieci spotkały się. Oczy Aurory odpowiedziały za nią.

- Obiecuję. Ale co powiemy Migałyczowi? Myślisz, że uwierzy, że niczego nie znaleźliśmy?

- Może i uwierzy. Albo uda, że uwierzył. Ale na pewno nie będziemy musieli nic mówić. Prosiłem go przecież, żeby nie zadawał żadnych pytań.

- W takim razie pospieszmy się. - Dziewczynka delikatnie zabrała rękę i założyła maskę. - Powinniśmy przylecieć, zanim wróci Taran.

- Tak. Czas na nas. - Gleb drgnął, wychodząc z odrętwienia, ale jego wzrok wciąż przykuwała osada podwodniaków i drapieżne kształty drzemiącego przy brzegu okrętu. - Tylko popatrzę jeszcze przez chwilę, na koniec...

Rozdział 21

NOSICIEL

Pogwizdując jakąś nieskomplikowaną melodię, nieznajomy strasznie fałszował. Błąkające się między ścianami echo nadawało tej i tak absurdalnej sytuacji posmak farsy. Te niefrasobliwe wprawki muzyczne jakoś nie pasowały do modłów i rytuałów odprawianych przez trytony kilka minut wcześniej.

Kiedy ciężkie drzwi otworzyły się ze zgrzytem i do pomieszczenia tanecznym krokiem wszedł wąły kudłaty mężczyzna w dziurawym, poźółkłym od upływu czasu i wielokrotnego prania lekarskim kitlu, Taran uznał z początku, że od wychłodzenia organizmu umysł płata mu figle.

Ale dziwny typ w okularach z popękkanymi szklami okazał się tak realny, jak prawdziwy był odór niemytego ciała, który roztaczał. Nie przestając gwizdać, wszedł na pomost, i jakby robił to codziennie, zaczął grzebać w przyniesionych przez trytony „darach”.

- Co my tu dzisiaj mamy? - wymamrotał nieznajomy, kończąc muzykowanie.

- Znów ryby? Bardzo oryginalnie! A tutaj?

Roztrącając zawiniątko i ciągnąc niespieszną rozmowę z samym sobą, nagle zauważył leżący z boku kapciuch, podszedł do niego, wsunął do środka haczykowaty, garbaty nos i wtem gromko kichnął.

- Tytoń, niech mnie piorun trzaśnie! Prawdziwy tytoń!

Mężczyzna w kitlu z drogocennym woreczkiem w rękach odbył dziwaczny taniec radości. Potem wyciągnął z kieszeni notatnik, wyrwał stronę, przykucnął obok kapciucha i zaczął niecierpliwie robić skręta.

Nie mogąc już znieść ostrego odoru potu, Taran chwycił za sterczący nad wodą żelazny pręt i jednym ruchem wyskoczył na brzeg zbiornika.

Zaskoczony okularnik omal nie poleciał na plecy. Podwinął nogi i odczołgał się w kąt pomieszczenia, skąd obserwował z przerażeniem, jak w ślad za pierwszym przybyszem z wody niespiesznie wylazi zielonoskóry gigant wyglądający, jakby składał się z samych mięśni.

- K...k...kim pan jest?! - wyjąkał nieznajomy.

- A więc to ty jesteś Podziemnikiem? - odparł Taran pytaniem na pytanie. - Widzę, że nasz prezent przypadł ci do gustu.

Cherlawy typ dalej gapił się to na ogromnego, sapiącego z niezadowoleniem mutanta, to na mężczyznę z wygoloną głową i świdrującym, przenikliwym wzrokiem, to znów na kapciuch z drogocenną machorką porzucony na wilgotnej posadzce. Zdrowy rozsądek w końcu wziął górę nad emocjami i człowiek w okularach mruknął z niedowierzaniem:

- To wy jesteście razem?

Giennadij skinął głową, szczerząc zęby w okropnym uśmiechu, co jeszcze bardziej przestraszyło nieznajomego.

- To jest Dym, ja nazywam się Taran - przedstawił ich obu stalker.

- Wychodzi na to, że ja jestem Podziemnik. Jeśli się nie mylę, to „kijanki” tak mnie nazywają? Hm... Podziemnik... Nieźle! Podoba mi się. - Oberwaniec po raz pierwszy od początku rozmowy wy dobył z siebie słaby uśmiech.

Sytuacja stopniowo się uspokoiła. Gospodarz „świątyni” okazał się całkiem przyjazny, a do tego był naukowcem, co wzbudziło pewne domysły co do natury skrytego głęboko pod ziemią kompleksu. Dość trudno było odgadnąć wiek ich nowego znajomego z powodu nieczesanych, paskudnych kołtunów, które ciągle odgarniał z umorusanej twarzy.

Podziemnik, wydając okrzyki i klaszcząc w dłonie, zrobił kilka kółek wokół Dyma, zachwycając się, jakby zobaczył świąteczną choinkę. Ułomność Giennadija obudziła w uczonym zawodową ciekawość i mógłby jeszcze długo perorować o przyczynach „takiej interesującej” mutacji, gdyby nie subtelne kasznięcie Tarana, które przyciągnęło uwagę mieszkańca „świątyni”.

- Szanowny panie, chcielibyśmy się jednak dowiedzieć, co to za miejsce i dlaczego trytony uważają je za święte.

Podziemnik spojrział na stalkera, jakby zobaczył go pierwszy raz w życiu, potem zreflektował się i uprzejmym gestem wyciągnął rękę w stronę drzwi.

- Proszę wybaczyć mój brak taktu - powiedział z przesadną grzecznością, śmiesznie marszcząc nos. - W ostatnich latach stałem się nieco roztargniony.

Powinienem być od razu zaprosić was do domu. Wejdźcie, drodzy goście, a po drodze oczywiście wyłożę wam historię mojego, w sumie niczym się niewyróżniającego życia i odpowiem na wszystkie pytania!

Historia bożka szaroskórych nie okazała się wcale taka szara i nudna. Domysł Tarana co do związku podziemnego kompleksu z infrastrukturą Dalekowschodniego Centrum

Gospodarki Odpadami Jądrowymi okazały się w stu procentach trafne.

Wszystko zaczęło się na długo przed Katastrofą, kiedy w przenikniętym radiacją składowisku przypadkowo odkryto życie - kolonię bakterii mających właściwość pochłaniania pierwiastków superciężkich. Badaniem tego zjawiska, znanego nauce jako „biosorpcja radionuklidów przez mikroorganizmy”, zajmowano się aktywnie jeszcze w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku, ale skok jakościowy w eksperymentach stał się możliwy tylko dzięki ciągowi przypadkowych wydarzeń, które doprowadziły do nieprzewidzianych skutków...

Na bazie Dalekowschodniego Centrum szybko zorganizowano obóz badawczy - filię laboratorium Ministerstwa Obrony znajdującego się pod Nogińskiem-23. Tego samego, w którym przeprowadzano eksperymenty z dziedziny odporności na promieniowanie¹. Prace posuwały się powoli, dopóki na polecenie Ministerstwa z pewnego, tym razem moskiewskiego laboratorium² nie przysłano pierwszych próbek rewolucyjnej nanotechnologii - tak zwanych modyfikatorów genetycznych.

Z ich pomocą dokonano prawdziwego przełomu - wyhodowano szczep bakterii zdolny nie tylko do absorpcji, czyli związywania radionuklidów, ale też pobudzający ich jądra do szybszego rozpadu i żywiący się wydzielaną przy tym energią.

- Nie wiem, jak by to prosto wyjaśnić... - łamał sobie głowę uczoney, prowadząc stalkerów wzdłuż amfilady zakurzonych gabinetów wypełnionych wymyślną aparaturą. - Ogólnie rzecz biorąc: istnieje teoria zakładająca możliwość destabilizacji jąder radionuklidów przy użyciu przemiennego pola magnetycznego o szczególnej konfiguracji. Innymi słowy, jeśli osiągniemy zwiększenie chaotyczności jąder promieniotwórczych pierwiastków, to niewątpliwie doprowadzi to do skrócenia ich okresu rozpadu! Z początku panował pogląd, że problem będzie można rozwiązać przy pomocy elektromagnesów o ogromnej mocy, jednak użycie doświadczalnej instalacji do przeróbki odpadów jądrowych wykazało nieskuteczność tej metody. I rzecz nie polegała wcale na mocy pola elektromagnetycznego, jak wszyscy błędnie przypuszczaliśmy, tylko na gwałtownych zmianach jego konfiguracji! Właśnie ten specyficzny rytm zmian powoduje, że jądro się rozpada!

Widząc znudzenie na twarzy mutanta, Podziemnik z nadzieją przeniósł wzrok na Tarana.

- Brzmi to oczywiście jak urywek z jakiegoś podrzędnego serialu fantastycznego, ale mów dalej - zachęcił go stalker. - Ciekawi mnie, co do tego mają modyfikatory genetyczne.

- Właśnie tutaj - palec wskazujący naukowca wznosił się triumfalnie - zbliżamy się do sedna odkrycia, któremu poświęciłem większą część życia!

Słyszeliście kiedyś o mikroorganizmach obdarzonych biogennym magnetyzmem?

Widzę po waszych minach, że nie. A więc kolonia takich bakterii może nie tylko reagować na pole magnetyczne z zewnątrz, ale też potrafi generować własne!

W wyniku żmudnej pracy z genomem udało nam się stworzyć szczep posiadający jednocześnie obie właściwości - zdolność biosorpcji pierwiastków ciężkich i magnetyzm!

- Zaczekaj - zatrzymał rozgorączkowanego uczonego Taran. - To znaczy, że w rezultacie otrzymaliście jakieś biologiczne coś, co akumuluje radionuklidy i przyspiesza ich rozpad, tak?

Podziemnik żarliwie pokiwał głową i zaczął zawzięcie przecierać zaparowane okulary.

- Oczywiście to nie takie schematycznie proste... W rzeczywistości proces jest znacznie bardziej skomplikowany, jest w nim mnóstwo niuansów, o których można opowiadać bez końca, ale chyba zrozumiał pan istotę sprawy. To „coś”, jak się pan wyraził, nie tylko pochłania promieniowanie. - Uczony zrobił efektowną pauzę, uśmiechając się tajemniczo. - Wydzielana przy rozpadzie energia pozwala bakteriom się rozmnażać! Czy pan sobie wyobraża, co to znaczy dla całej światowej nauki?

Substancja, która może usunąć skażenie promieniotwórcze na całej planecie!

Oczyścić tę stajnię Augiasza raz na zawsze!

- Alfejos... - Giennadij wypuścił powietrze, puszczając oko do towarzysza.

Podziemnik spojrział na mutanta dziwnym wzrokiem:

- Tak, Alfejos. A pan to, przepraszam, skąd zna nazwę projektu?

- Długo by opowiadać - odpowiedział za przyjaciela Taran. - Co się teraz dzieje z projektem? Ocalał?

- Widzi pan... To nie tak... - Uczony westchnął. - Nie udało nam się w końcu osiągnąć stabilnej próbki. Szczep przez jakiś czas pracuje, ale tylko dopóki ma co

„trawić”. Krótco po tym, jak zmienią się warunki - określony poziom radiacji - bakterie umierają. Giną też zresztą od zbyt dużego promieniowania. To właśnie o zwiększenie wytrzymałości szczepu walczę przez wszystkie te lata. Ale na razie, niestety, nie udało mi się nadać mu zdolności do przechodzenia w fazę bierną albo chociaż uchronić przed wpływem zbyt wysokiego poziomu radiacji...

Kiedy Podziemnik umilkł i opuścił głowę, w oczach Tarana dało się wyczytać szacunek. Ten z pozoru żaloszny, lecz bardzo zdeterminowany przedstawiciel społeczności naukowej miał dość odwagi, żeby przyznać się do bezsilności w obliczu problemu, którego rozwiązaniu poświęcił ponad dwie dekady życia w dobrowolnym zamknięciu.

- Jak to się stało, że tylko ty przeżyłeś? Gdzie są pozostali?

- Personel laboratorium został zawczasu ewakuowany. Na kilka godzin przed Uderzeniem. - Podziemnik opadł ze zmęczeniem na wytarty fotel i gestem zaprosił stalkerów, by usiedli na kanapie naprzeciwko.

- Ale ty zostałeś? - domyślił się Giennadij.

- Oczywiście. Mój eksperyment był w fazie kulminacyjnej. Po prostu nie mogłem rzucić wszystkiego, kiedy na szali... - uczony zaciął się, szukając efektownych słów, ale szybko ochłonął i machnął ręką z goryczą. - Potem urwała się łączność z głównymi ośrodkami badawczymi w Moskwie i innych miastach... Ech, trzeba było spadać stąd razem ze wszystkimi! Młody byłem. Wciąż w coś wierzyłem.

Miałem nadzieję...

- A więc dlaczego nie uciekłeś aż do tej pory?

- Na początku nawet bym nie mógł. Kompleks ma dwa wyjścia - główne i awaryjne. Oba szyby wind zostały zasypane, kiedy... no... wszystko poszło w diabły. I zobaczyłem w tym znak. Cały czas wyobrażałem sobie, jak doprowadzam projekt do końca, jak mnie znajdują i noszą na rękach... - Podziemnik urwał i komicznie pokręcił głową, wracając do tematu. - Po jakichś pięciu latach mojej

„odsiadki” pojawiły się „kijanki”.

- Trytony - szepnął Taran do przyjaciela.

- Nie wiem tylko, jak te hultaje przedostały się do rezerwuaru. Ale zaczęły mnie dokarmiać i zasypywać różnymi prezentami. Z ich punktu widzenia przydatnymi. Raz nawet przyniosły mi akwalung. Muszę przyznać, że myślałem, żeby z niego skorzystać, ale potem przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że siedząc w laboratorium pociągnę znacznie dłużej niż na powierzchni...

- I co z tymi trytonami?

- Przyznaję, że nie od razu zauważyłem związek przyczynowo-skutkowy między ich prezentami i moimi badaniami. Po każdym eksperymencie wypompowuję oczyszczoną z promieniowania wodę na powierzchnię. Wykorzystuję do tego wodociąg.

- Dlaczego na powierzchnię? - nie mógł powstrzymać ciekawości Dym.

- Dla czystości eksperymentu. Co mam z nią tu robić? Przecież przez jakiś czas utrzymują się w niej bakterie.

- I szaroskórzy zaczęli pić tę wodę dla zdrowia?

- Tak sędzę. Resztki efektu pochłaniania pozwalają myśliwym z plemienia zakradać się w miejsca, w które lepiej się nie pchać nawet w skafandrze ochronnym.

- Taran upił wody z wysokiej, podobnej do próbki szklanki, którą poczęstował go uprzejmy gospodarz..

- Proszę, niech pan pije - uśmiechnął się Podziemnik. - Oczyszczona. Chociaż nie ma już w niej bakterii. A jeśli chcą panowie zerknąć na „aktywną” wodę, to serdecznie zapraszam!

Uczony zerwał się z fotela i energicznym krokiem ruszył do sąsiedniego pomieszczenia, skąd dobiegały trzaski i popiskiwanie pracującej aparatury.

- Zrobiłem tu sobie autoklaw, w którym, ogólnie mówiąc, próbki szczepów bakterii wchodzą w reakcje z radioaktywnym środowiskiem.

Stalkerzy podążyli za gospodarzem laboratorium i weszli do przestronnej izolatki, pośrodku której stała dziwaczna instalacja i ostrożnie zbliżyli się do szerokiej kadzi o grubych metalowych ścianach i równie masywnym wieku, które w tym momencie było otwarte, co pozwalało spojrzeć na chlupoczącą wewnątrz bioreaktora wodę.

- Kolejne niepowodzenie... - rzucił Podziemnik bez szczególnych emocji, aktywując na panelu kontrolnym niepozorny przycisk z napisem: „System wypompowujący”.

Na srebrnej tafli utworzył się lej i woda radośnie zabulgotała w rurach, płynąc w stronę powierzchni.

- I tak to - uczony mrugnął do gości. - Niech się biedaki cieszą. A ja tymczasem wypełnię autoklaw nową porcją skażonej wody.

Porządnie wymęczony przez rozmowę i nadmiar nieznanymi terminów, Dym postanowił kontynuować zwiedzanie kompleksu na własną rękę i chciał już przejść przez kolejne drzwi, kiedy Podziemnik zawołał do niego surowo:

- Ej... Bardzo bym prosił, żeby pan nie wchodził do bloku energetycznego.

Sprzęt jest stary, tylko patrzeć, jak padnie. Nie chciałbym, żeby pan tam przypadkiem nacisnął nie to, co trzeba. Jeśli nastąpi przeciążenie generatora, to stropy mogą nie wytrzymać wibracji. Tu od dawna wszystko się trzyma na słowo honoru...

Jakby na potwierdzenie słów naukowca, dał się słyszeć daleki łoskot. Wyraźnie odczuwalne drżenie przetoczyło się po pomieszczeniach, ale szybko ustało. Jak echo zaszeleścił sypiący się tynk.

- Tak, tak, oczywiście... - Giennadij szybko odskoczył od drzwi. - To ja już lepiej pospaceruję gdzieś w pobliżu...

Przechadzając się wzdłuż baterii próbek, kolb i szafek z flakonikami najrozmaitszych kolorów i rozmiarów, mutant jednym uchem przysłuchiwał się trwającej dalej rozmowie.

- Nic z tego... - utyskiwał Podziemnik. - Pomimo wszelkich wysiłków, w obecnym kształcie projekt nie nadaje się do bioremediacji...

- Bio... czego? - nie zrozumiał Taran.

- Bioremediacji. Biologicznego oczyszczania terenu.

- I nic się nie da zrobić?

Dym usłyszał w głosie przyjaciela smutek.

- A co tu robić? Nie da się zaprogramować modyfikatorów, nie znając potrzebnego kodu genetycznego! Można tylko miotać się po omacku, przebierać w nieskończonej liczbie kombinacji w nadziei, że kiedyś trafimy na taką, która nada szczepowi żywotność... Czego my tu nie robiliśmy... Próbowano nawet wszczepiać bakterie do systemu immunologicznego żywych organizmów. Ale gdzie tam! Kolonia niby przyjmowała się w zwierzęciu doświadczalnym, ale na pewnym etapie szczepy po prostu przestawały pochłaniać radionuklidy i mnożyć się!

- Zaraz - zatrzymał go stalker. - Nie tak szybko. Jakie zwierzęta doświadczalne?

- Różne małe stworzonka. Króliki, świnki morskie... Chociaż słyszałem, że w innych ośrodkach próbowali nawet zwiększać odporność na radiację u ludzi. Ale niewiele osiągnęli. Ta zdolność powinna być wrodzona, a nie nabyta. Ale niestety nie mieliśmy wtedy do dyspozycji takiego materiału biologicznego.

- Dlaczego „wtedy”? Co się od tamtej pory zmieniło?

- Bardzo dużo... „Kijanki” przynoszą mi czasem na obiad takie potworki, że nie mogę się nadziwić! A to znaczy, że co najmniej jedno z laboratoriów wykorzystujących modyfikatory genetyczne zostało zniszczone w czasie wojny i niebezpieczne szczepy uciekły na wolność. Stąd te niekontrolowane mutacje i zwierzaki, które bez problemu żyją w ogniskach promieniowania... Bez Alfejosa się tu nie obeszło. Jak i bez tego szatańskiego wynalazku Ministerstwa Obrony - modyfikatorów genetycznych... - Podziemnik podrapał się w zadumie w nieogolony podbródek. - Parę razy, badając ciała złowionych przez „kijanki” morskich gadów, natykałem się nawet na zmutowane formy naszego szczepu. Ale, niestety, ich przeżywalność nie była wystarczająco wysoka. Potrzeba wielu lat selekcji...

Starając się nie zgubić wątku rozmowy, Dym zagapił się na moment i zawadził ręką o jeden ze stojaków z próbkami. Przewrócone naczynia z głośnym brzękiem poleciały na stół. Mutant próbował je zatrzymać, ale tylko pogorszył sprawę. Pod wielką dłonią trzasnęło szkło. Migoczący deszcz odłamków spadł na podłogę. Tam też rozbiły się w drobny mak te próbki, których Giennadij nie zdążył złapać.

- Cholera jasna! - Dym potrząsnął skaleczoną ręką.

Szkarłatne bryzgi poleciały na stojące w równym rzędku szalki Petriego z posiewami.

Naukowiec umilkł, złapał się za głowę i rzucił do naprawiania wyrządzonych przez niezgrabnego mutanta szkód.

- Moje próbki! - lamentował. - Co pan narobił! Przecież każda z tych modyfikacji szczepu mogła stać się kluczem...

Podziemnik zastygł naprzeciw stołu laboratoryjnego, zaciekle mrugając i marszcząc czoło. Podniósł naczynko z jedną z zanieczyszczonych próbek, pokręcił nim w rękach, podniósł do oczu i przyjrzał mu się pod światło. Krople krwi na szkle nabrały pięknego rubinowego odcienia.

- Chwileczkę, kochanieńki. - Uczony odwrócił się nagle do Giennadija. - A pan przypadkiem nie odznacza się rezystancją na promieniowanie?

- Eee... Że co? - nie zrozumiał Dym. - Przepraszam, że narobiłem bałaganu, doktorku. Jak Bożię kocham, sam nie wiem, jak to się stało.

- Ależ chrzanić te próbki! - machnął ręką Podziemnik, poprawiając okulary. - Proszę mi lepiej powiedzieć...

- To nie jest zwykła odporność - wciął się Taran. - Dymowi promieniowanie wręcz dobrze robi. W rozsądnych dawkach oczywiście. Po takim ładowaniu baterii zasuwa jak mały samochódzik.

- Hm... - Naukowiec na chwilę znieruchomiał, potem zaczął biegać po laboratorium, zbierając w roztargnieniu walające się w bezładzie kartki z notatkami.

- Proszę mi wybaczyć, ale opuszczę panów na chwilę. Muszę natychmiast przebadąć próbkę. Mam wszelkie podstawy przypuszczać, że w pańskiej krwi, mój niezdarny przyjacielu, jest obecna zdziczała odmiana naszego szczepu. Dlatego będą panowie musieli chwilę się ponudzić. Proszę się czuć, jak u siebie w domu!

Nie mówiąc więcej ani słowa, Podziemnik wyszedł. Trzasnęły drzwi.

W pomieszczeniu zapadła cisza, z rzadka tylko przerywana przez głucho dudnienie dochodzące gdzieś z głębi kompleksu. Mutant obwiązał rękę bandażem i opadł na kanapę. Zeschnięty mebel niebezpiecznie zatrzeszczał, ale Dym tylko machnął ręką.

Teraz bardziej go martwiły przypuszczenia Podziemnika.

- Wychodzi na to, że to przez Alfejosa się taki urodziłem?

- Bakterie nie mają nic do tego. - Taran obrócił w rękach mikroskop i ostrożnie odstawił go na miejsce. - Przegapiłeś część rozmowy. Z objaśnień doktorka zrozumiałem, że Alfejos jest całkowicie nieszkodliwy dla człowieka.

Inaczej projekt traci sens. Przecież to nie jest broń, tylko sposób na oczyszczenie

skażonych terenów. Natomiast niekontrolowane modyfikatory genetyczne, które nazywają też „zdziczałymi”... Całkiem możliwe, że twoja matka była nimi zainfekowana i uległaś nieodwracalnym zmianom jeszcze w jej łonie.

- Czyli mam w sobie miks całego możliwego syfu wymyślonego przez jajogłowych? - podsumował mutant, wpadając we wściekłość. - To mi się trafił fart... Przynajmniej teraz wiem, komu mam dziękować za swoją szpetotę...

Taran przysiadł na stole naprzeciwko przyjaciela i przez chwilę milczał, szukając odpowiednich słów.

- Wiesz, Giena, we wszystkim trzeba znajdować pozytywy. Tak, różnisz się od innych ludzi, nie przeczę. Ale przecież nie tylko wyglądem. Nie musisz się cały czas kryć przed promieniowaniem i zwierzętami. Co tu dużo gadać, wiele drapieżników na powierzchni omija cię szerokim łukiem!

- Ehe... Tak jak i wielu ludzi - mruknął Dym. - Już wolę być jak wszyscy, bać się i chować. Niż być odszczepieńcem. Dlaczego oni mnie tak nienawidzą? Za co?

Napotkawszy wzrok Giennadija, Taran mimowolnie drgnął. Czy mu się wydawało, czy w oczach mutantu zalśniła zdradziecka łza?

Kiedy rozsądek przegrywa z emocjami, żadne słowa pociechy nie mają sensu.

A litość boli jeszcze bardziej. W takich sytuacjach pomaga tylko złość. To właśnie ona dodaje sił, by pokonać chandrę i przygnębienie. Klin klinem.

- Przecież wiesz, za co - odparł wreszcie stalker, pochylając się nad Dymem i zbliżając twarz do jego twarzy. - Za to, że jesteś inny. Za to, że jesteś mutem.

I pozostaniesz mutem bez względu na wszystko. I żadne zasługi tu nie pomogą. Ani pokonanie Exodusu, ani schwywanie Czarnego Sanitariusza, ani Alfejos!

W dzwoniącej ciszy słyszeć było, jak trzeszczą napięte ścięgna mutantu.

Mięśnie na ogromnym ciele nabrzmiały, żyły wystąpiły pod skórę, podobne do pulsujących niebieskich wężyków, policzki drżały jak szalone. Lecz emocje osiągnęły swój szczyt i opadły. Po przelotnym wybuchu wściekłości chwilowe załamanie zniknęło na dobre. Pozostał tylko nieprzyjemny osad. Coś, co już dawno weszło mu w krew - ból, że niczego nie można zmienić...

Giennadij przerwał pojedynek na spojrzenia, pochylił się, poklepał przyjaciela po ramieniu i uśmiechnął się krzywo:

- Umiesz człowieka pocieszyć, Taranow...

- Zawsze do usług! - mruknął stalker, błyskawicznie odwracając się na cichy dźwięk za plecami.

Drzwi, przez które wyszedł Podziemnik, były teraz rozwarte na oścież, a sam uczoney stał nieruchomo na progu z dziwnym, owiniętym przewodami przedmiotem w dłoni. Szeroki metalowy kielich urządzenia był wycelowany w gości.

- Hej, doktorku, co ty robisz? - Dym zaczął się podnosić. - Odsuń no szybko tę...

W uszy uderzył ich przenikliwy pisk. Urządzenie rozbłysło purpurowo i zgasło na zawsze. Po krótkim spięciu ze środka zaczął unosić się dym. Podziemnik odrzucił martwe urządzenie, podnosząc drugą rękę, w której ścisnął zwykły pistolet.

Egzotyczna broń podziałała na gości jak eksplozja bomby. Mutant nie zdążył jeszcze niczego zrobić, kiedy runął jak ścięty i znieruchomiał na szczątkach kanapy ogarnięty całkowitym paralizem. Taran ucierpiał mniej. Wiązka promieniowania tylko zahaczyła o stalkera, pozbawiając go czucia w jednej ręce.

Wyciągnął z kabury makarowa, kiedy jeszcze padał na ziemię. Poturlał się za fotel i usłyszał huk wystrzałów. Drzazga z drewnianej nogi mebla przeszła niebezpiecznie blisko jego twarzy. Taran zaklął, zrobił jeszcze jeden obrót i dwa razy strzelił do postaci, która mignęła za progiem.

Trudno mu było stwierdzić, czy trafił. Podziemnik wycofał się w głąb sąsiedniego pomieszczenia. Jeszcze przez jakiś czas słychać było jego pospieszne kroki, potem ucichły i one. Naukowiec się ukrył.

Taran podniósł się, pojękując i spróbował poruszyć ręką, ale ogarnięta skurczem kończyna była jak z drewna. Pochylił się nad towarzyszem i z ulgą wyczuł nieregularny oddech. Zwężone źrenice, słabe dreszcze, pot na czole... Mutant był w szoku.

- To nic, bracie. Poleż sobie chwilę. Dojdź do siebie.

Stalker przewrócił potwornie ciężkie ciało Dyma na bok i podłożył mu pod głowę walek z kanapy, po czym wstał i rozmasował unieruchomioną rękę. Wraz z wolno powracającym czuciem mięśnie zapłonęły mu bólem.

- Doktorku, porozmawiajmy! - zawołał, wbiegając truchtem do sali pełnej generatorów prądu, i schował się za wielkim prostownikiem. - Może mi wyjaśnisz, co tu się dzieje?!

Jednocześnie z hukiem wystrzału, o metalową belkę stropu zadzwoniła wystrzelona na oślep kula.

- To głupota, doktorku! Załatwię cię nawet jedną ręką! Po co ten cały cyrk?!

W odpowiedzi jeszcze raz rozległy się liczne strzały, po których znów słychać było tylko szum skrytych na niższych poziomach agregatów.

Wreszcie dobiegł go drżący głos naukowca, w którym wyraźnie słychać było nuty

histerii:

- Nie rozumiesz!.. Wy wszyscy nic nie rozumiecie! Pracowałem nad Alfejosem ponad dwadzieścia lat! I jestem teraz o krok od odkrycia, które może zmienić cały świat!

- Możesz to normalnie wyjaśnić? Bez patetycznych przemówień! - Stalker przemieścił się za kolejny generator i znieruchomiał, nasłuchując.

- Twój kolega jest kluczem do wszystkiego! Posiew, do którego skapnęła jego krew... To nieprawdopodobne, ale dwie różne odmiany szczepu zaczęły na siebie oddziaływać! A otrzymana hybryda... Ta hybryda ma wprost fantastyczne wskaźniki!

Jest stabilna, rozumiesz to?! Przepis znaleziony! Przygotowałem już wszystko do eksperymentu i napełniłem autoklaw! Pozostało tylko dodać odpowiednią ilość krwi i proces zostanie uruchomiony!

- W takim razie o co chodzi? Po co było walić do nas z tej giwery?

- To tylko paralizator falowy! Jeden z wynalazków zamówionych przez Ministerstwo Obrony.

- No co ty! Od razu kamień spadł mi z serca! - zawołał sarkastycznie stalker, skanując wzrokiem całą salę.

- Standardowe pobranie krwi to za mało, żeby zagwarantować rozpoczęcie procesu! - Podziemnik męczył się jak na spowiedzi. - Żeby pole generowane przez bakterie było odpowiednio silne, potrzeba znacznie więcej!

- To w czym problem? Można byłoby pobrać konieczną ilość w ciągu kilku dni!

- Pudło, stalkerze! Tak się nie uda. Zapominasz, że w organizmie bakterie zbyt szybko tracą zdolność do rozmnażania. Potrzeba mi całej krwi tego mutant! Naraz!

I nawet wtedy nie będzie gwarancji sukcesu, ale mam obowiązek spróbować!

Wśród nagromadzenia szaf z aparaturą i podwieszonych kabli wzrok Taran wciąż nie mógł znaleźć tego jednego, kluczowego elementu, który pomógłby mu przełamać patową sytuację.

- W takim razie obawiam się, że będziesz musiał poszukać innego sposobu! - zawołał, podnosząc broń.

Pistolet w jego dłoni drgnął trzy razy, posyłając kule przez całe pomieszczenie.

Brzęk... Szczęk... Trafiony przerdzewiały zawór odpadł razem z fragmentem starej rury. Klęby gorącej pary trysnęły z sykiem i w mgnieniu oka zasnuły większą część sali białą mgłą. Rozległ się przenikliwy krzyk Podziemnika.

Okryta mgłą sylwetka wybiegła w przejście między generatorami, wpadła na rozdzielnię, zachwiała się w przeciwną stronę. Machając rękami na oślep w poszukiwaniu

oparcia, uczony nie utrzymał się na nogach i padł całym ciałem na pulpit sterowania blokiem energetycznym. Lampki na tablicy przyrządów alarmująco zamigotały na czerwono, a parę sekund później zawyła syrena.

- O cholera! O cholera! - nie zwracając już uwagi na stalkera, krzyczał Podziemnik.

Sądząc z wszelkich oznak, próbował po omacku uspokoić buntującą się aparaturę i odejmując dłonie od oparzonej twarzy, kolejno walił w klawisze w nadziei, że uruchomi procedurę awaryjnego wyłączenia elektrowni.

Podłoga zaczęła wibrować. Drżenie, z początku ledwo wyczuwalne, nasiliło się, zamieniając się w głuchy łoskot, który nie zwiastował nic dobrego. Zadzwończyły liczne butelki i flakoniki, dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła.

Taran odwrócił się, pobiegł do wyjścia ze sterowni i w tym momencie ziemia zatrzęsła się tak, że nie zdołał ustać na nogach. Pamięć usłużnie podrzuciła mu epizod z zasypaniem Czerwonego Szlaku i z mimowolnym krzykiem stalker zasłonił sobie głowę rękami.

Zgrzyt łamiących się belek stropowych, trzask zapadających się sufitów, huk lawiny kamieni... Kakofonia dźwięków natarła na jego uszy, obezwładniając umysł.

Ziemia trzęsła się jeszcze przez jakiś czas, potem łoskot ucichł, ustępując miejsca przenikliwemu dzwonieniu w głowie.

Stalker otworzył oczy, przyzwyczajając się do ciemności. Betonowy pył wypełnił mu usta i nos - zaczął kaszleć, wypluwając szary śluz. W końcu złapał dech i wstał, natychmiast uderzając głową w osiadły sufit.

- O w mordę... Ale miałem szczęście...

Kulejąc na jedną nogę, trafioną w łydkę kawałkiem betonu, powłókł się do wyjścia, z pomocą latarki starając się ocenić skalę zniszczeń. Sterownia była zasypana na amen. Podziemnik nie miał żadnych szans na przeżycie.

- Przestał się męczyć, bidulek... - rzucił ochryple stalker.

Język jakby spuchł mu od unoszącego się w powietrzu pyłu, przez co ledwo mógł mówić.

Główny blok laboratorium także ucierpiał, ale nie w takim stopniu jak część energetyczna. Taran wpadł do sąsiedniego pomieszczenia i omal nie wyłożył się na rozsypanych po podłodze próbkach, znów soczyście zaklął i nagle zamarł, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami. Zamiast kanapy, obok której zostawił bezsilnego Giennadija, z wgłębienia w podłodze sterczały szczątki masywnego stropu, a przez wyrwę w suficie widniały odbłyски szalejącego piętro wyżej pożaru.

- Dym? - Taran podszedł bliżej, omiatając smugą światła kawały żelbetonu. - Dym?

Gdzie jesteś, braciszku?... Dym!

Stalker nie zdążył wpaść w panikę. Gdzieś z daleka dobiegł go dobrze znany przytłumiony bas:

- Wszystko w porządku! Jestem tutaj!

- Czyli gdzie, niech cię trepan porwie! - Taran rozejrzał się dookoła i wreszcie dojrzał znajomą sylwetkę przez wyrwę w pękniętej ścianie.

Mutant stał pośrodku sali z autoklawem ze zwieszoną głową i patrzył nieobecny wzrokiem na mieniącą się srebrem powierzchnię wody.

- Poprawiło ci się? No i dobrze. - Stalker otarł pot z czoła. - Co tak tam stoisz jak wmurowany? Chodź już i zabierajmy się stąd. Zaraz wszystko się tu spali.

I rzeczywiście, mimo pyłu, w powietrzu czuć było swąd palonej gumy.

Z transformatorów leciały iskry. Pod sufitem zaczął zbierać się dym.

Mutant jakby nie słyszał wołania przyjaciela, ale po chwili do Tarana doleciały jego ciche słowa:

- Wybacz, bracie. Zasypało nas tutaj. Nie ma jak wyjść, już sprawdzałem.

- Jak to nie ma? Przestań, coś wymyślimy!

Stalker podniósł ciężki kawał pręta zbrojeniowego, przymierzył i uderzył w krawędź betonowej płyty. I jeszcze raz. Wsunął pręt w szczelinę i nacisnął, wciąż jeszcze odpędzając czarne myśli, ale daremne próby przebicia się do przyjaciela sprawiły, że musiał pogodzić się z okrutną prawdą - Dym znalazł się w pułapce.

- Dawaj no, spróbujemy razem! - nie ustawał stalker, manewrując prętem. - Musi być jakieś słabsze miejsce!

Lecz Giennadij w żaden sposób nie reagował na namowy przyjaciela. Obejrzał się, skinął głową na pożegnanie i poszedł do autoklawu. W dłoni mutantu błysnęło ostrze skalpela.

- Eeej! Co ci wpadło do tego pustego łba? - zaniepokoił się Taran. - Gdzie ty wlałeś?

- Wszystko słyszałem... O rezultacie eksperymentu... Wprawdzie żaden ze mnie mistrz kuchni, ale ten „przepis” trudno zepsuć.

- Dobra, natychmiast rzuć ten skalpel! Powiedziałem coś!

- Masz całkowitą rację, Taranow - cicho odparł Dym. - Jestem zbyt inny.

I zmuszanie ludzi, by godzili się żyć obok mnie... to głupota.

- Przestań! Tak, nie jesteś taki, jak oni! Jesteś od nich lepszy! Słyszysz?! Nie waż się tego robić, to rozkaz!

- Wybacz, bracie. Misja zakończona. Nie jesteś już dla mnie dowódcą.

Dwa krótkie cięcia wypolerowanej jak lustro stali... Dwie szkarłatne linie na nadgarstkach potężnych rąk... Torując sobie na skórze kręte ścieżki, gęsta krew zaczęła kapać do wody.

- Dlaczego?... - jęknął stalker, w rozpaczy bijąc pięściami w ścianę.

- Dlatego, Taranow, że to jest jednak wasz świat. Świat ludzi, a nie mutantów.

I on powinien mieć przyszłość, czy ci się to podoba, czy nie.

Kaszłąc od wypełniającego mu płuca tlenu węgla, stalker poczuł ciepło przybierającego na sile pożaru, ale uparcie stał w miejscu.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości! Uciekaj! Będę czekał, póki będę miał siłę. Potem włączę pompę.

- Giena!

- Uciekaj, mówię! Nie każ mi myśleć, że to wszystko na próżno...

Mutant odwrócił się i powoli zanurzył w wodzie, opierając zmęczoną głowę o brzeg autoklawu. Taran usiłował jeszcze znaleźć słowa, które potrafiłyby przemówić przyjacielowi do rozsądku, ale Giennadij nie reagował już na jego krzyki.

Widząc bezsens swoich wysiłków, stalker w końcu się poddał. Odskoczył od ściany, zmuszając się, by odwrócić wzrok, i przez szarą zasłonę dymu rzucił się w kierunku zbiornika. Ściany wokół się chwiały - kompleks konał, obracając się w gruzy. Nie mógł powstrzymać lecących mu z oczu łez - i nie była to raczej wina pożaru...

Poczuł powiew wilgoci przed sobą. Oto i zbiornik z rozrzuconymi po pomoście koszykami trytonów! Zakładając akwalung i neoprenową piankę do nurkowania, Taran pobił osobisty rekord szybkości. Skok... Plusk... I znów lodowata woda zamknęła mu się nad głową.

Snop światła czołówki rozjaśnił szarozieloną zawiesinę, wynurzając z ciemności zarys odpływu. Drogę powrotną musiał pokonać na pamięć, ale strach przed otchłanią ustąpił, wyparty przez ból z powodu ginącego na górze przyjaciela.

W głowie tłukła mu się jedna myśl: „Czy naprawdę nic nie dało się zrobić?!”.

Potem nagle pojawiło się silne uczucie niepokoju. Coś poszło nie tak...

Kolejny raz zerkając na manometr, Taran zdał sobie sprawę, że życiodajna mieszanka zbyt szybko się wyczerpuje. Wystarczyło jedno spojrzenie przez ramię, żeby wykryć dlaczego - pęcherzyki powietrza nieprzerwaną cienką strużką leciały w stronę powierzchni, ulatniając się z dziurawej butli. Zmurszały akwalung odmówił jednak posłuszeństwa i to w najmniej odpowiednim momencie!

Każdy, kto kiedykolwiek schodził pod wodę, czy to doświadczony nurek czy

żółtodziób, zna jedną nienaruszalną zasadę - wynurzenie nie znosi pośpiechu. Żeby pozbyć się z organizmu nadmiaru azotu, trzeba bezwzględnie przestrzegać szeregu reguł. Zgodnie z jedną z nich, w drodze na powierzchnię, należy obowiązkowo kilka razy się zatrzymać.

Wszystko to wymagało czasu, ale po jeszcze jednym niespokojnym spojrzeniu na manometr stalker doszedł do zabójczego wniosku: pozostałego zapasu mieszanki oddechowej nie starczy na przepisowy powrót na powierzchnię. A to znaczy, że będzie trzeba plunąć na tabele dekompresyjne i liczyć na to, że się uda. Taran popracował mocniej płetwami i ruszył w górę, w stronę zbawczego i dalekiego światła. Nie miał prawa przegrać teraz, o krok od zwycięstwa. Tak jak nie miał prawa stchórzyć.

Stalker wiedział, że ból utraty dopiero nadejdzie. Nieraz musiał borykać się z tym dręczącym, rozdzierającym serce uczuciem. Ale teraz ważniejsze od wszystkiego na świecie było nie dopuścić, żeby śmierć Dyma okazała się daremna.

I dlatego trzeba było przynajmniej samemu przeżyć.

1 Mowa tu o laboratorium opisanym w powieści Siergieja Kuzniecowa, *Mietro 2033: Mramornyj raj* (AST, Astrel, Moskwa 2010) (przyp. aut.).

2 Zob. powieść Andrieja Jerpylewa, *Mietro 2033: Wychod siłoj* (AST, Astrel, Moskwa 2010) (przyp. aut.).

Rozdział 22

WYBÓR

Wodowanie w Zatoce Pawłowskiego odbyło się planowo, tyle tylko, że Tarana i Dyma nie było na miejscu spotkania. Wysłannik plemienia, który wypłynął obok ekranoplanu przyniósł niespodziewane wieści: stalkerzy postanowili zostać w „świątyni”, pomimo namawiania przez trytony, które jak najszybciej wyniosły się na swoje terytorium, aby nie ściągnąć na siebie gniewu potężnego Podziemnika. By porozumieć się z uszczuploną załogą, Spiczastouchy musiał odegrać całą pantomimę, po czym, machnąwszy w końcu ręką, dołączył do współplemieńców. Po tym wybryku stalkerów stosunki między szaroskórymi a niesfornymi gośćmi wyraźnie się ochłodziły. Ichtioidy z daleka omijały żelaznego ptaka i jego pasażerów.

Nie było sensu stać w miejscu i silniki Kaspijskiego Potwora znów zaryczały.

- Jak znajdziemy tę grootę? - zapytał Migałycz, skręcając w stronę Zatoki Sysojewa.

- Pamiętam, jak wygląda. - Chłopiec wpatrywał się niespokojnie w łamaną linię nadbrzeżnych wzgórz. - Ósmy bardzo żywo mi ją przedstawił.

- A może trytony nas oszukały? - przypuściła Aurora. - Co, jeśli...

- Nie ma żadnego „jeśli”... - szybko zaoponował Gleb. - Starszy nie mógł kłamać. Trudno mi to wyjaśnić, ale kiedy rozmawialiśmy, widziałem wszystkie jego myśli, jakbym czytał w otwartej księdze.

- W takim razie proponuję uzbroić się w cierpliwość i nie panikować przedwcześnie - podsumował staruszek. - Taran i Dym to starzy wyjadacze. Nie dadzą sobie zrobić krzywdy...

Nie od razu udało im się znaleźć wejście do pieczary wśród oszronionych skał.

Pusty, pozbawiony punktów orientacyjnych brzeg nie wzbudził podejrzeń u nikogo z trójki wytrwałych wędrowców. Nie dostrzegli na śniegu żadnych innych śladów oprócz tych należących do trytonów, więc nagłego ataku drapieżników można się było nie obawiać. Migałycz pogderał dla formalności i pozwolił Glebowi i Aurorze poczekać na stalkerów.

- Weźcie przy okazji parę kanistrów - zatrzymał dzieci staruszek. - Jeśli przy gruncie nie będzie radiacji, nabierzcie śniegu. Inaczej już niedługo będziemy musieli żyć samym Duchem Świętym.

Nieporęczne blaszane pojemniki boleśnie uderzały w nogi, ale dziewczynka wytrwale szła za rówieśnikiem, który skradał się przodem z bizonem przygotowanym do strzału. Snop

światła latarki, tworząc złowieszcze cienie, niespokojnie przeskakiwał między głazami, powodując dodatkowe napięcie w i tak nerwowej sytuacji. Stukot spadających gdzieś przy wejściu do groty kamieni sprawił, że chłopak znieruchomiał. Gleb dał znać towarzysze, ukląkł na jedno kolano i czekał cierpliwie przez minutę, ale dźwięk jednak się nie powtórzył.

Echo niosło odgłos kroków po całym wnętrzu groty, tak że środki ostrożności nie miały już sensu. Krótki zwiad przyniósł spodziewane rezultaty - pieczara była pusta. Wykuty w lodzie przerębel i pozostawiony obok plecak wskazywały na miejsce, w którym stalkerzy rozpoczęli nurkowanie w drodze do „świątyni”.

- Jak sobie pomyślę, że oni cały czas są tam, na dole... - Aurora wzdrygnęła się. - Co będziemy teraz robić?

- Jak to co? Czekać.

Chłopak przysiadł na najbliższym kamieniu, z zadumą wpatrując się w wodę.

Dziewczynka usadowiła się obok i poprawiła przyciśnięte przez gumową maskę włosy.

Niespokojne milczenie trwało ledwie kilka minut, ale czas się dłużył i Gleb się odezwał:

- Dawno chciałem cię zapytać...

Rówieśniczka obróciła głowę i lekko skinęła, zamieniając się w słuch.

- Wtedy... Po tym, co stało się w Obserwatorium w Pułkowie... Dlaczego postanowiłaś z nami zostać? Dlaczego nie wróciłaś do Edenu?

Jeśli nawet pytanie wydało się Aurorze zaskakujące, nie dała tego po sobie poznać. Zwykłym dla siebie ruchem opatulając się w zarzucony na skafander ciepły kożuch, odparła:

- Wiesz przecież, że nie miałam do kogo wracać. Nic mnie już z Edenem nie łączy.

- Ale zostali tam twoi znajomi, koledzy z klasy - dopytywał Gleb. - A mimo to wolałaś towarzystwo dwóch mało ci znanych ludzi... To dziwny wybór.

- Nie wiem - spod maski dobiegło głośne westchnienie. - Widocznie serce mi tak odpowiedziało. Jak to inaczej wyjaśnić?

Dziewczynka zmieszała się, ciesząc się, jednocześnie, że ma zasłoniętą twarz.

- I co? Nie żałujesz?

W odpowiedzi usłyszał stłumiony śmiech.

- Mówię śmieszne rzeczy? - zasepił się chłopak.

- Nie, Gleb, zupełnie normalne. Po prostu... czasem... tak zabawnie jest obserwować waszą dwójkę... Byliście razem... tacy szczęśliwi... Od razu to zauważyłam - głos Aurory nie brzmiał już filuternie. - Chcę być bliżej ludzi, którzy są jeszcze zdolni do prawdziwej miłości.

- Miłości... - głośno powtórzył Gleb w zadumie. - Czy w Edenie...

- W Edenie ludzie nie starają się przeżyć każdego dnia, jakby był ostatni. Jego mieszkańcy przestali się cieszyć z drobnych rzeczy. Przypominają marionetki poruszane i kontrolowane przez jedną siłę - w miarę możliwości przedłużyć to dobrowolne uwięzienie, zostawić wszystko tak, jak jest... A kiedy brak chęci, by zmieniać cokolwiek na lepsze, to człowiek sam też nigdy się nie zmieni... W jednej pięknej chwili zrozumiałam po prostu, że nie chcę mieć z tymi sybarytami nic wspólnego. Ich życie nie ma celu. Nie mają powołania.

- A twoje życie? Wiesz już, jakie masz powołanie?

- Jeszcze nie, ale na pewno się dowiem. - Oczy przyjaciółki, przyćmione przez szybką wizjera, lśniły zdecydowaniem. - Poszukiwania Alfejosa to wartościowy cel i cieszę się, że w nich uczestniczę... Ale to jest krzyż Tarana. Czuję w środku, że moja szansa jeszcze przede mną. Tak jak i twoja, Gleb...

Aurora przyjaźnie szturchnęła rówieśnika pięścią w ramię, ten zachwiał się i chciał już żartobliwie jej oddać, gdy nagle, przerywając idyllę, w głębi wody pokazało się słabe światło.

- Wracają! - Chłopak zerwał się na nogi i ostrożnie zbliżył do przerębła.

Światło było coraz jaśniejsze i oto, roztrząsając drobinki lodu, na powierzchni ukazała się głowa w gumowanym kapturze.

- Tata!

Gleb westchnął z ulgą i kucnął przy przeręblu, gotowy by pomóc, ale Taran po wyrzuceniu rąk na lód zaczął bezgłośnie znów zsuwać się do wody.

- Tato? - Chłopiec chwycił ojca za rękę i odwrócił się do Aurory: - No, co tak stoisz? Pomóż mi!

Wspólnymi siłami dzieciom udało się jakoś wyciągnąć stalkera na lód. Kiedy ściągnęli mu maskę i kaptur, oboje jęknęli.

Twarz Tarana, blada i pokryta krwią, która leciała mu z nosa i uszu, nie wyrażała żadnych emocji. Oczy, czerwone od popękanych naczynek, zapadały się, głowa co chwila bezwolnie opadała na bok.

- Tato, co z tobą?! Gdzie jest Dym?! Tato!!!

W odpowiedzi dobiegł tylko stłumiony bełkot. Stalker był zbyt słaby, żeby mówić.

- I co my teraz zrobimy? - w głosie chłopaka słychać było panikę.

- Jak to co? Trzeba go zabrać do samolotu! Inaczej tu zamarznie! - krzyknęła zdecydowanie Aurora. - Łap za drugą rękę!

Zdążyli powlec ciężkie ciało tylko kilka metrów. Potem stalker doszedł do siebie. Przewrócił się z wielkim trudem na brzuch i podniósł się na kolana. Oparł się o troskliwie

podstawione ramię chłopca i wstał.

- Tato, co się stało? Gdzie Dym?

- Dym... - wydusił ochryple Taran, patrząc dookoła mętym wzrokiem. - Dym... odszedł.

Chłopiec zerwał z twarzy maskę, stanął przed ojcem i złapał go za kłapy:

- Jak to odszedł? Jak to odszedł?! Odpowiadaj! Czemu milczysz?!

Aurora wmieszała się i odsunęła Gleba na bok, podtrzymując chwiejącego się na nogach stalkera.

- Słyszałeś! Potem będzie czas na łyzy! Twój ojciec ma objawy choroby kesonowej. To bardzo poważna sprawa! Dlatego weź się w garść i pomóż!

Chłopak pociągnął nosem, umilkł i stanął obok ojca, zarzucając sobie jego rękę na szyję. Aurora podeszła od drugiej strony, ale Taran potrząsnął głową i nawet nie zaczął iść do wyjścia.

- Nie. To wszystko potem. Teraz najważniejsze... - wzrok stalkera zatrzymał się na kanistrach. - Bierzcie je... I żywo za mną... Póki nie jest za późno...

Dzieci usłuchały dziwnego polecenia, podniosły pojemniki i w ślad za wlokącym się z trudem Taranem podeszły do „świętego źródła”.

- Co to jest? - zapytał Gleb, przyglądając się szmerzącej w rynnie różowawej wodzie.

- To... - Stalker przełknął ślinę, walcząc z zawrotami głowy. - To jest Alfejos.

* * *

Droga powrotna ciągnęła się bez końca. Kanistry musiał nieść Gleb, na szczęście na udeptanym przez trytony śniegu nie było to takie trudne. Dziewczynka podtrzymywała Tarana, który z trudem przestawiał nogi, garbiąc się i ochryple dysząc. Po drodze dzieci usłyszały dramatyczną historię śmierci Giennadija, który nie bał się oddać własnego życia dla dobra tych, którzy tak go nienawidzili.

Kaspijski Potwór stał na płyciźnie nieruchomo jak posąg i wiernie czekał na swoich panów z opuszczoną na lód rampą ładowni. W progu stał już, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę Migalycz. W gęstniejącym zmroku nie od razu udało im się dojrzeć staruszkę. Ale kiedy z ciemności wychynęła znajoma sylwetka, Gleb, i bez tego targany sprzecznymi emocjami, poczuł, jak serce ścisnął mu niepokój.

Nienaturalne, urywane ruchy, niezrozumiałe mamrotanie... Czyżby nabrał wody w usta?

I dopiero kiedy od ekranoplanu dzieliło ich nie więcej niż kilkadziesiąt metrów, dostrzegli rękę, która zatykała Migalyczowi usta. Z ciemności za plecami staruszka wyrosła sylwetka wysokiego mężczyzny. Nieznajomy mocno przytrzymując pilota jedną ręką, w drugiej ścisnął nóż desantowy. Szerokie ostrze drgało kilka centymetrów od pomarszczonej szyi zakładnika, gotowe jednym błyskawicznym ruchem przeciąć miękkie ciało.

- Poznajesz ten nożyk, stalkerze? - warknął dryblas.

- Poznaje. - Taran łagodnie odsunął dzieci i wystąpił naprzód. - Zresztą tak, jak i ciebie, szakalu. Wciąż chowasz się za czymiś plecami... Złaż, porozmawiamy od serca.

- Szakalu... Hm... Widzę, że jeszcze raz chciałeś poniżyć mnie, Stepowego Psa... Ale chyba daruję ci tę drobną impertynencję. W końcu ten nożyk nieraz uratował mi życie.

Sungat obrócił ostrze i zadrasnął skórę na szyi Migalycza. Drapieżny uśmiech białych zębów zniknął jednak z twarzy Farbowanego Lisa, gdy tylko Gleb sięgnął po swojego bizona.

- Powiedz swojemu szczeniakowi, żeby rzucił giwerę! Inaczej pošlę waszego dziadziunia - brodacz brutalnie potrząsnął staruszką - tam, dokąd pošlę Indianina i Bezbożnika!

Na twarzy Tarana zagrały mięśnie i Sungat skinął z zadowoleniem, ponownie się uśmiechając:

- Niestety, konował nie przesłał wam pozdrowień. Z przestreloną czaszką byłoby to bardzo trudne! - Farbowany Lis głośno zarechotał, cały czas nie spuszczać wzroku ze znieawidzonej trójki.

- Widzisz te kanistry? - zapytał głucho stalker. - W środku może być klucz do ocalenia ludzkości. Środek, z którego pomocą uda się oczyścić planetę z radiacji!

Rudobrody jakby się zdziwił, ale zjadliwy uśmieszek szybko wrócił na wykrzywioną nienawiścią twarz.

- Nawet jeśli nie kłamiesz, to co z tego? Widzisz... W pełni rozumiem twoje dążenia. Co tu dużo mówić, szlachetny cel... Ale każdy ma swoją moralność, stalkerze. - Sungat przydusił wierzgającego staruszka. - Pewnie zabrzmiało to bluźnierczo, ale obecna sytuacja całkiem mnie urządza. Jeśli stanie się cud i skażenie zostanie usunięte, wszyscy po prostu rozpełzną się jak karaluchy! Schrony staną się niepotrzebne! Ale dopóki wszystko pozostaje tak jak jest, Jamantau to wpływy i władza! Władza i sposób na dostatnie życie dla wybranych. Tak długo pracowałem na to, żeby do nich dołączyć, że nie pozwolę przeszkodzić sobie, ani nikomu innemu!

I kiedy wrócę do miasta, które słusznie mi się należy, to zamierzam w pełni nacieszyć się swoim nowym statusem!

- Wąskie horyzonty, Sungat...

- Nie będziesz mi prawić morałów, żołdaku! - Farbowany Lis błysnął skrzącymi się złością oczami i niecierpliwie spojrzał na Gleba. - Ej, mały! Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił dziurkę w tym szanownym panu! Bo zaraz narobi w spodnie ze strachu! Czego milczysz, dziadku? Nie wykitowałeś przypadkiem?

Sungat odsunął rękę od twarzy zakładnika i jeszcze raz nim potrząsnął.

Mamrocząc rozbitymi do krwi ustami, Migalycz wydusił z siebie tylko kilka słów:

- Ja już swoje wylatałem. Pora na lądowanie... Strzelaj, Glebuszka! Zabij tego ga...

Staruszek otrzymał silny cios w zęby i obwisł w ramionach oprawcy. Chłopiec wciąż się nie ruszał, w popłochu starając się znaleźć wyjście z sytuacji. W końcu zacisnął w bezsilności zęby i rzucił bizona w śnieg.

- Wiedziałem, że z ciebie mięczak. Tak samo jak twój tatulek... - Brodacz skinął z zadowoleniem. - A teraz kopnij do mnie broń. Szybciej!

Glebowi nie pozostało nic innego, jak tylko posłuchać rozkazu. Pistolet maszynowy przejechał po zamarzniętym śniegu i zatrzymał się na buciorze bandyty.

- Dostałeś, czego chciałeś. Teraz wypuść...

- Niczego jeszcze nie dostałem! - ostro przerwał Taranowi bandyta. - Stałeś mi kością w gardle, stalkerze! Pozbawiłeś mnie wszystkiego - reputacji, ciepłej posadki, przybocznego oddziału! O mało nie zdechłem po tym, jak przeleżałem kilka dni w tej śmierdzącej ładowni! I teraz za to wszystko zapłacisz...

Ciało staruszka w rękach Farbowanego Lisa drgnęło raz... drugi... i bezszelestnie zsunęło się po rampie. Szkarłatne krople, spływając z ostrza, jedna za drugą kapały na czubek żołnierskiego buciora. Zabójca wytarł nóż z krwi, odrzucił z obrzydzeniem umazany na czerwono hełmofon Migalycza, po czym podniósł pistolet maszynowy i pospiesznie wycelował w zbliżającą się postać.

- Stój tam, gdzie stoisz, stalkerze! Inaczej twoje chucherka będą następne!

Groźba podziałała. Taran opanował palący go od środka gniew i znieruchomiał na kilka metrów przed ekranoplanem. Po jego ciele przebiegały dreszcze - skutki zbyt szybkiej dekompresji były coraz bardziej odczuwalne. Zasnęta krew na skroniach i podbródku oszpeciła mu twarz, zamieniając ją w przerażającą maskę.

Zmącony bólem wzrok próbował świdrować wroga.

- Nie wystrzelisz. Ani we mnie, ani w dzieci. Inaczej będziesz przegrany. - Taran

zaciśniętą pięści, przyjmując postawę bojową. - Chciałeś przecież rewanzu?

Jestem tutaj, widzowie też. Chodź, Psie. Skończmy z tym raz na zawsze.

- Tato, nie rób tego! - zakrzyknął chłopiec. - Jesteś bardzo osłabiony! On cię zabije!

- Cofnij się, Gleb! - Taran machnął ostrzegawczo ręką. - Oboje nie ważcie się mieszać! I nie spuszczaście wzroku z kanistrów! Najważniejsze teraz to ocalić bakterie!

- A wiesz, że twój dzieciak ma rację. - Brodacz niespiesznie zszedł po pochylni, zrobił krok nad martwym ciałem Migałycza, wyjął magazynek i odrzucił bezużytecznego bizona na bok. - Naprawdę zamierzam cię wykończyć, stalkerze.

Cała ta historia za bardzo się przeciągnęła i gdyby nie uządlenie tej przerośniętej mrówki już dawno rozszarpałbym na strzępy ciebie i całą tę żalosną menażerię!

Trzymając nóż ostrzem w dół, Sungat zakołysał się na nogach, przymierzając się, po czym z rykiem rzucił się na przeciwnika. Taran niezgrabnie odskoczył w bok, ledwo utrzymując się na nogach. Udo natychmiast zapłonęło ogniskiem bólu. Na przeciętym materiale pojawiła się ciemna plama.

Wszystko mu się rozpląwało i dwoiło przed oczami. Nieposłuszne, miękkie niczym z waty ręce były jak przyłączone do ciała. Stalker nagle zrozumiał, że w takim stanie nie ma najmniejszych szans, by założyć dźwignię.

- To dopiero początek, stalkerze! - Rudobrody zatańczył wokół niego, szczerząc się krwiożerczo. - Zbyt długo czeka...

Wbrew wszelkim zasadom walki wręcz Taran nie czekał na kolejny wypad przeciwnika; ufając instynktowi, wbił się w Sungata całym ciężarem. Rywale zwalili się w śnieg i zaczęli się mocować, wyłamując sobie nawzajem ręce. Światło księżyca błysnęło w ostrzu noża, podeszwy butów, wzbijając drobinki śniegu, zazgrzytały o lód, dał się słyszeć głuchy ryk. Stalker i bandyta szepieni tarzali się po ziemi jak dwa wściekłe psy i żaden z nich nie był w stanie zdobyć przewagi.

Wpatrując się z przejęciem w sylwetki miotające się na nienaturalnie niebieskim, oświetlonym przez widmowe światło śniegu, Gleb z trudem powstrzymywał się, żeby nie rzucić się na pomoc, ale przestroga ojca za każdym razem go hamowała.

Chłopak rzucił niespokojne spojrzenie na kanistry. Na mrozie metalowe zbiorniki pokryły się nalotem szronu. Co, jeśli zamrożony płyn straci swoje cudowne właściwości?!

Głośny jęk od strony walczących sprawił, że Gleb drgnął. Obok westchnęła Aurora. Zawył wiatr i na krótką chwilę zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Tymczasem ciężkie chrypienie przeszło w cichnące przedśmiertne rżenie. Bojąc się prawdy, chłopiec podniósł wzrok.

W rozkopanym przez walczących śniegu ktoś słabo się poruszał... Ojciec, czy Sungat?
W świetle księżycy mignęła nienawistna broda...

Podnosząc się znad pokonanego wroga, bandyta zamarł na sekundę, wypuścił obłoczek pary i jak bezwolny worek zsunął się z zamarzniętej zasy i legł na kamieniach. Z pleców Farbowanego Lisa sterczała rękojeść desantowego noża.

- Tato!

Gleb rzucił się przed siebie, grzęznąc w śniegu. Aurora biegła obok. Chłopak opadł na kolana, troskliwie podniósł głowę leżącego nieruchomo ojca i z niepokojem wpatrywał się w bladą twarz.

- Tato?

Powieki stalkera drgnęły i podniosły się. W pokrytych bielmem oczach malował się ból.

- Kanistry... na pokład... Startujemy... - wychrypiął Taran, będąc na granicy omdlenia.

- Startujemy? - zapytał Gleb z przejęciem. - Ale ja nie dam rady!

- Musisz... dać radę...

Ślizgając się i potykając, dzieci zaciągnęły stalkera do ładowni. Taran ze wszystkich sił, które mu jeszcze zostały, starał się ułatwić dzieciom podejście po rampie, odpychając się nogami od żłobkowanego podłoża.

Wicher zdążył wystudzić stalowe wnętrze Kaspijskiego Potwora, ale po tym, jak oparł się plecami o przepierzenie, stalker poczuł jednak pewną ulgę. Dreszcze ustąpiły, pozostawiając po sobie tylko ból, który powoli, lecz nieubłagane rozdzierał go od środka.

Podążając wzrokiem za dziećmi wlekącymi po podłodze drogocenne kanistry, Taran w końcu słabo machnął ręką, wzywając syna do siebie.

- Co, tato?

- Posłuchaj mnie, Gleb... - Stalker zaniósł się kaszlem, przełknął przeszkadzającą mu w mówieniu krew. - Mój czas się kończy. Będziesz musiał się z tym pogodzić.

Chłopiec rozpaczliwie potrząsnął głową, strąsając z rzęs łzy. Nie mógł zaakceptować takiej prawdy.

- Zachowaj te bakterie, choćby nie wiem co - ciągnął Taran, ściskając dłoń chłopaka zimnymi palcami. - Są znacznie ważniejsze niż ja, ty czy Aurora...

Ważniejsze od wszystkiego. To szansa na nowe życie... Wykorzystaj ją...

Usta poruszyły się, próbując powiedzieć coś jeszcze, ale kolejny atak słabości sprawił, że stalker zamknął oczy. Chłopak słuchał nierównego oddechu ojca, potem odwrócił się, mimowolnie szukając wsparcia u Aurory.

- Musimy go zabrać do osady marynarzy. - Pomimo dławiących dziewczynkę łez, jej głos był wciąż twardy. - Przecież to całkiem blisko! Muszą mieć jakichś lekarzy!

Chłopiec natychmiast pokiwał głową, czepiając się szansy na uratowanie ojca.

W tym momencie wierzył bezwarunkowo w każde słowo przyjaciółki. Znajdą lekarza i wszystko będzie dobrze. Inaczej być nie może!

Gleb zerwał się na nogi i pobiegł do kabiny pilota.

- Aurora, jesteś mi potrzebna! Siadaj w fotelu drugiego pilota! Będziesz mi pomagała.

Chłopiec przymknął na chwilę oczy, próbując się rozluźnić i przypomnieć sobie te procedury, które zdążył mu wytłumaczyć i pokazać Migałycz, gdy pilotował ekranoplan. Zadanie wydawało się niewykonalne, ale lęk o Tarana zmuszał go, by wciąż dotykać przycisków, przełączników, manometrów, starannie powtarzając w głowie skomplikowane terminy i kolejność działań przed startem.

Szum fal i wycie wiatru przez wiele lat były wyłącznymi władcami w tej ustronnej zatoczce na końcu świata. Ale oto w monotonnej melodii pojawiły się nowe, niespokojne nuty. Głuchy mechaniczny warkot gwałtownym crescendo wyparł wszystkie inne dźwięki. Zostawiając za sobą długi ogon słonych morskich bryzgów, stalowy ptak pomknął po płyciźnie i ociężale oderwał się od lustra wody.

Triumfalne okrzyki dzieci, które zdołały jednak unieść kadłub w powietrze, wyrwały stalkera z omdlenia. Ekranoplan trząsł się i zgrzytał, ale jednak leciał.

Leciał, pomimo niedomkniętego luku ładowni. Wystarczyło spojrzeć na wibrującą niebezpiecznie rampę, żeby zrozumieć przyczynę awarii. Trzymając się lin asekuracyjnych, po pochylni chwiejnym krokiem wchodził ranny bandyta.

- Jeszcze nie skończyliśmy, stalkerze!

Farbowany Lis splunął na pokład krwią. Tylko straszliwa nienawiść do zawziętego wroga trzymała go na nogach. Nienawiść zmuszająca udreńczony organizm do walki do końca. Z granatem w ręku, Sungat uśmiechnął się krwiożerczo i zaczął iść przez ładownię.

- Trzymałem go dla siebie, ale pomyślałem, że podzielę się z godnym towarzystwem. Jak myślisz, ładne z tego będą fajerwerki, jeśli wybuchną zbiorniki z paliwem?

Widząc, że na tablicy przyrządów panicznie zamigła lampka, Gleb wstał z fotela.

- Trzymaj drążek równo! - rzucił w pośpiechu przyjaciółce. - Luk się nie zamknął! Zerknę tylko w czym problem i zaraz wrócę!

Euforia wywołana sterowaniem ogromną maszyną tak bardzo owładnęła chłopca, że kiedy wbiegł do ładowni, nie od razu zdał sobie sprawę, jak przerażające jest to, co widzi. Sczepieni w śmiertelnym boju, Taran i Sungat niebezpiecznie balansowali na skraju rampy.

Gleb nie zdążył niczego zrobić. Jeszcze przed sekundą walczyli, próbując wyrwać sobie nawzajem granat, potem rudobrody zachwiał się i zniknął w pędzących pod nimi falach, pociągając stalkera za sobą. Po chwili gdzieś na zewnątrz rozległ się wybuch.

* * *

Gleb słabo pamiętał chwile potwornej rozpacz, która objęła jego umysł.

Pogrążony w bólu, wył na cały głos, wyciągając bezsilnie ręce ku kotłującej się niebezpiecznie blisko otchłani, lecz ta pozostawała obojętna na ludzkie cierpienie.

Jakiś czas później chłopiec znalazł w sobie siły, aby podnieść się z kolan i wrócić do kokpitu. Poddając się woli młodego pilota, Kaspijski Potwór zatoczył szeroki łuk i zawrócił...

Wielokrotne przeloty nad miejscem tragedii nie przyniosły rezultatów.

Dzieciom nie udało się dojrzeć ciała Tarana wśród spienionych bałwanów, podczas gdy każdy spalony przez maszynę litr bezcennego paliwa zmniejszał ich i tak niewielkie szanse na pomyślne zakończenie misji.

Zaciskając palce na drążku, Gleb nagle z porażającą jasnością uświadomił sobie, że czas gwałtownych, nieprzemyślanych czynów minął. Stawka była zbyt wielka, by ulegać emocjom. I jakakolwiek będzie decyzja, którą musiał podjąć w najbliższych minutach, nie miał prawa się pomylić.

„Wcześniej czy później wszyscy musimy stanąć przed wyborem. Poświęcić jedno, aby zyskać coś innego. W takich chwilach najważniejsze jest nie żałować tego, co tracimy. Bo jakkolwiek wielki będzie ból straty, jest to uzasadniona cena, jaką trzeba zapłacić za dokonany wybór...”

- Dziękuję, tato... Będę pamiętał - szepnął samymi ustami Gleb.

Chłopiec odwrócił głowę i napotkał wzrok Aurory.

- Możemy kontynuować poszukiwania rano - zaproponowała, chociaż zdawała sobie sprawę, jak absurdalny to pomysł.

- Nie - odparł Gleb tak cicho, że przyjaciółka zrozumiała odpowiedź tylko z ledwie zauważalnego ruchu ust.

Słowa przychodziły mu z potwornym trudem, ale chłopiec jednak je wypowiedział. Wypowiedział je bardziej dla siebie, czerpiąc z nich siły i pewność, że zrealizuje to, co sobie zamierzył.

- Nie możemy dalej tracić czasu. Musimy doprowadzić do końca sprawę, w którą wierzył ojciec. Sprawę, za którą zginęli nasi przyjaciele. I dlatego zawieziemy Alfejosa do Petersburga. Za wszelką cenę.

Ryk wzmógł się, główne silniki nabrały obrotów, rozpędzając ciężką maszynę.

Kaspijski Potwór wzniósł się na wysokość przelotową i ruszył w drogę powrotną, w stronę majaczącej w oddali, ledwie dostrzegalnej linii, która na zawsze podzieliła świat na pół.

Ku nieosiągalnej, lecz kuszącej granicy, która, wciąż się oddalając, raz za razem testuje ludzką wytrzymałość, pomaga poznać kres własnych możliwości.

W stronę nieuchwytniej krawędzi, za którą można zajrzeć tylko, gdy uwierzy się we własne siły.

Tam, gdzie spełniają się marzenia.

Za horyzont.

EPILOG

Leśna ścieżka słała mu się usłużnie pod nogami, starannie omijając rozpadliny i wijące się po ziemi grube sękate korzenie. Starzec niespiesznym krokiem brnął przez gęstwinię. Wycięty z leszczyny kostur w żylastej ręce miarowo podnosił się i opadał, odliczając kilometry niekończącej się drogi. Drogi, która zajęła wyczerpanemu wędrowkowi piechurowi niemal rok. Umęczone nogi bolały, błagając o zasłużony odpoczynek, ale zatrzymać się teraz, kiedy do upragnionego celu pozostawało tak niewiele... Lepiej już oderwać się i nie myśleć o zmęczeniu. Oddać się wspomnieniom. To, wcześniej, pomagało wiele razy. Pomoże i teraz...

Wydarzenia minionych lat zatarły się w pamięci, stały się kruche i wiotkie jak stronicy przedwojennych ksiązek. Ale moment własnego ocalenia, wciąż jeszcze świeży i wyraźny, stał mu przed oczami jak nieme przypomnienie o popełnionej przez trytony głupocie.

Niesprawiedliwie byłoby winić „morskich ludzi” za chęć pomocy rannemu, tonącemu w otchłani człowiekowi. Tym bardziej, jeśli człowiek ten ocalał wcześniej życie jednemu z nich...

Taran pamiętał wszystko w najdrobniejszych szczegółach. To, jak czyjeś ręce chwyciły jego bezwładne w wodzie ciało i wyciągnęły na powierzchnię, jak założyły mu na twarz maskę akwalungu i ponownie pociągnęły w dół. Jak pomogły mu przejść dekompresję, odbywając wspólnie powolne wynurzenie z samego dna.

Dzięki staraniom trytonów stalker przeżył. Wprawdzie nie obyło się bez konsekwencji dla zdrowia, ichtioidy okazały się jednak troskliwymi opiekunami i skutecznie zajęły się człowiekiem, zapewniając mu jedzenie i dach nad głową.

Od tej pamiętnej nocy, gdy po raz pierwszy udało mu się samodzielnie podnieść z łoża bóleści, minęło osiemnaście długich lat. Wieczorami całymi godzinami Taran stał na brzegu, wpatrując się w dal. Gdzieś tam, za horyzontem, były odpowiedzi na dręczące go pytania. Czy Glebowi i Aurorze udało się dotrzeć do Pitera na resztkach paliwa? Czy Alfejos zadziałał? Co stało się ze światem?

A potem, w jeden z takich cichych, kojących wieczorów, nagle to poczuł.

Zrozumiał, że czas wyruszyć w drogę. Nie zważając na podeszły wiek, pomimo dojmującego bólu w zniszczonych stawach, Taran wyruszył na zachód. Intuicja bezbłędnie wiodła go coraz dalej, a czyhające na drodze niebezpieczeństwa i nieszczęścia usłużnie omijały samotnego wędrowca, jakby w nagrodę za upór i przywróconą nagle wolę życia.

W dawnych czasach mówiło się „koniec języka za przewodnika”. I taki właśnie przewodnik zaprowadził go do zagubionego w leśnej głuszy jeziora. Jeziora Alfejos, jak nazywali je spotykani po drodze uchodźcy. Taran pamiętał to miejsce, które omal kosztowało życie całą załogę Maleństwa przez wyjątkowo wysoki poziom promieniowania. Pamiętał i wiedział, dokąd iść.

Pogłoski o cudownej mocy skrytego w gęstym lesie jeziora rozeszły się w promieniu wielu kilometrów, przekazywane przez ocalałych z ust do ust. Kiedy wędrowiec dotarł do wyrosłej nad brzegiem osady, znał już niemal całą historię. Jak pewnego dnia na skażonym jeziorze wodował ogromny ekranoplan z dymiącymi silnikami. Jak z maszyny, na zawsze unieruchomionej na mieliźnie, wysiedli przyszli założyciele osiedla. Stalker znał nawet ich imiona - Gleb i Aurora. Wraz z pojawieniem się tej dwójki woda w jeziorze przestała być promieniotwórcza, a potem cała okolica też zaczęła nadawać się do zamieszkania. Promieniowanie ustępowało coraz dalej, a zewsząd płynęła nieustająca rzeka ocalałych.

Lecz czy powierzchnia nieskażonych terenów rozszerza się po dziś dzień? Czy Alfejos wciąż działa, czy też praca Podziemnika poszła na marne? Odpowiedzi na te pytania miał chyba usłyszeć dopiero od syna...

Pogrążony w rozmyślaniach staruszek nie zauważył nawet, jak las przeszedł w wielką łąkę udekorowaną rzędami starannie ułożonych stogów. Od oszałamiającego zapachu świeżo skoszonej trawy stalkerowi zakręciło się w głowie.

Tylko patrzeć, jak będzie trzeba zrobić przymusowy postój, żeby złapać oddech i dojść do siebie...

Taran stanowczo odegnał kuszącą myśl, przeciął szeroki pas przygraniczny i nieśmiało przeszedł przez gościnnie otwartą bramę. Wysoka palisada z zastrzonych pni ciągnęła się po obu stronach wioski i pełniła, jak się wydawało, funkcję ochrony przed dziką zwierzyną, w którą wciąż jeszcze obfitowały skażone radiacją tereny.

Jednak w okolicy jeziora Alfejos mutanty trafiały się rzadko. Widać nie spodobała im się oczyszczona ziemia oraz jej nowi gospodarze, niepokorni i sprytni dwunodzy...

Nad samo jezioro staruszek w końcu nie dotarł. Przechadzając się po osadzie i zachwycając solidnymi, jakby bajkowymi domkami ze ślicznymi rzeźbionymi okiennicami, zatrzymał się, widząc przestronną drewnianą budowlę. Zawieszony na ganku dzwonek i sterta teczek z kory brzozej bezładnie zwalonych obok ławki nie pozostawiały wątpliwości - była to miejscowa szkoła.

Staruszek okrążył budynek i znalazł się na uroczym placu zabaw. Biegające dookoła dzieci sprawiły, że mimowolnie się uśmiechnął - tylu szczęśliwych małych twarzyczek naraz

nie widział od bardzo, bardzo dawna. Chyba jeszcze od przedwojnia...

Było jednak w tym królestwie radości i beztroski coś, co wyłamywało się z ogólnego obrazu. Taran pokuśtykał bliżej i jego niedowidzącym oczom ukazał się niezbyt przyjemny widok, który natychmiast ożywił skrywane w głębi serca wspomnienia.

W otoczeniu grupki podrostków kulił się na ziemi chłopiec. Umorusany, z ubłoconymi, rozczochranymi włosami i do bólu znajomym, poważnym jak u dorosłego spojrzeniem. Zaciskając w dłoni zapalniczkę z dwugłowym orłem na boku, biedak rozmazywał sobie po twarzy sączącą się z rozbitej wargi krew.

Serce zamarło Taranowi w piersi, gdy zaczął się domyślać, kogo widzi, a potem zaczęło bić szybciej. Historia się powtarzała.

- Wstań i otrzyj twarz! - przemówił starzec, starając się wydać surowym.

Na widok nieznajomego łobuziaki natychmiast zostawiły chłopca w spokoju, przechodząc do gry w berka. Chłopak oblizał usta z krwi i podniósł oczy na niespodziewanego wybawcę. Spojrzenie Gleba. Nie mogło być wątpliwości...

Taran usiłował jeszcze coś powiedzieć malcowi, ale ten nagle wstał i bez cienia strachu zbliżył się do nieznajomego.

- Jesteś moim dziadkiem? - Oczy chłopca, promienne i głębokie, zaglądały jakby w samą duszę.

Taran zebrał siły i słabo skinął głową w odpowiedzi. Nie był w stanie mówić.

Ogarniające go emocje stanęły mu wielką gulą w gardle, usta mu się trzęsły, a nogi zrobił się miękkie niczym z waty, jak zawsze, gdy serce biło mu szybciej.

- Tata mówił, że nie żyjesz, ale ja nigdy w to nie wierzyłem. Prawdziwego stalkera nie da się tak po prostu zabić.

- Gleb? Gdzie on jest?

Chłopiec przytulił się do starca, a ten ostrożnie, jak wielki skarb, przycisnął wnuka do piersi.

- Bo tata też jest prawdziwym stalkerem. A to znaczy, że żyje - ciągnął chłopiec, unikając odpowiedzi. - Powtarzałem to mamie sto razy, a ona nie słuchała...

- Aurora? - domyślił się Taran. - Ona tu jest? To co tak stoimy?! Zaprowadź mnie do niej!

- Mama umarła rok temu - powiedział cicho chłopiec.

- Jak to?... Dlaczego?

- Czas mijał, a tata wciąż nie wracał. I mama nie wytrzymała. Lekarze powiedzieli, że to serce...

- A ojciec?... Dawno... zniknął? - wypytywał dalej starzec, pod wrażeniem opanowania dziecka, które przeżyło takie nieszczęście.

- Kiedy skończyłem osiem lat. Tata zebrał ekspedycję. Całą karawanę.

I cysterne z wodą z jeziora.

- Żeby dojść do Pitera?

- Tak. Często powtarzał, że ma obowiązek zakończyć to, co nie udało się tobie - chłopak spojrzał z nadzieją na dziadka. - Teraz, kiedy jest nas dwóch, moglibyśmy...

- To zbyt niebezpieczne, synku. - Taran zrozumiał wszystko w pół słowa. - Jeszcze jesteś za mały, a ja za stary i nie zdołam cię obronić, gdyby zdarzyło się coś po drodze... Ale nauczę cię wszystkiego, co sam kiedyś umiałem.

Chłopak spokojnie skinął głową, przyjmując argumenty dorosłego. Przez jakiś czas milczeli, ciesząc się swoim ciepłem i nagle osiągniętym stanem spokoju ducha.

- Dziadku, ale tata żyje, prawda? - powiedział w końcu malec.

- Twój ojciec nigdy się nie poddawał. I nigdy nie cofał się przed trudnościami.

A więc trzeba w to wierzyć.

- Kiedy dorosnę, znajdę go.

- Oczywiście, synku... Oczywiście. Najważniejsze to mieć nadzieję.

* * *

Ósmy odsunął błoniastą dłoń od głowy człowieka i wyczerpany oparł się o brzeg wanny, zachrypiał rozpalonymi skrzelami. Spiczastouchy ocknął się po drugiej stronie dziwaczego łoża, zamrugnął i wreszcie przyszedł do siebie, wydając serię optymistycznych skrzeków.

„Wszystko widziałeś, uczniu. Co ty na to?” - w jego głowie rozległ się głos Starszego.

„To był dziwny sen. Nie wiedziałem, że potrafisz zaglądać w tak odległą przyszłość, Ósmy”.

„Nie jestem wieszczem, ani jasnowidzem. Wykorzystałem po prostu wspomnienia tego człowieka i stworzyłem z nich wizję tego, jak wszystko może przebiec”.

„A więc to wszystko może się też nie wydarzyć?”

„Pokazałem mu, a zarazem i tobie, tylko jedną z wielu wersji rozwoju wydarzeń - cierpliwie wyjaśnił stary tryton. - A co się wydarzy w rzeczywistości, zależy tylko od nich

samych - tych fascynujących i bardzo do siebie przywiązanych ludzi: Tarana, Gleba i Aurory”.

„W takim razie dlaczego wszystko w tym śnie było takie... straszne i... smutne?” - Spiczastouchy skulił się, zerkając na człowieka leżącego nieruchomo na plecionych noszach.

„Aby obudzić w tym człowieku wolę życia. Musi poczuć, że wciąż jest komuś potrzebny. Inaczej nie wydobędzie się ze świata snów. Jego ciało jest już w pełni zdrowe, ale dusza... Dusza wciąż jeszcze śpi”.

„Kiedy się obudzi, zażądaś od niego zapłaty za uzdrowienie?”

„Wystarczającą zapłatą są jego wspomnienia. Z historii tego człowieka dowiedziałem się o ludziach wielu niezwykłych rzeczy i chyba zacząłem rozumieć pociąg tego gatunku do samozniszczenia. Jestem nawet w stanie wybaczyć im zburzenie siedziby Podziemnika...”

„Czy powinniśmy żałować Podziemnika? Przecież on też okazał się w końcu człowiekiem!”

„Miał udział w powstaniu naszego rodu. I dawał nam lekarstwo przeciwko niewidzialnej śmierci. Teraz, kiedy nie możemy już się jej przeciwstawić, plemię będzie musiało poszukać innego, nieskażonego miejsca. W każdym razie, dopóki ludzie nie oczyszczą świata”.

„A jeśli im się nie uda? Jeśli Alfejos nie zadziała? Albo Gleb i Aurora rozbiją się w stalowym ptaku?”

„Nie ma sensu zgadywać. Mówiłem już, że nie potrafię zaglądać w przyszłość.

- Ósmy niespokojnie poruszył się w swojej wannie, chlapiąc cuchnącą wodą po podłodze. - Ale coś mi mówi, że losy tej trójki jeszcze się splotą...”

Document Outline

PROLOG

Część I ZA LINIĄ POGRANICZA

Rozdział 1 HUCZNE POŻEGNANIE

Rozdział 2 ALFEJOS

Rozdział 3 CHMURA

Rozdział 4 MIM

Rozdział 5 PIERWSZY KONTAKT

Rozdział 6 NAFCIARZE

Rozdział 7 WOŁŻAŃSKI SZLAK

Część II PRZEDURALE

Rozdział 8 R-243

Rozdział 9 STEPOWE PSY

Rozdział 10 AUTODAFE

Rozdział 11 JAMANTAU

Rozdział 12 STRATEGIA PRZETRWANIA

Rozdział 13 OKUP

Rozdział 14 NIESPORCZAKI

Rozdział 15 KOMDYW1

Część III W STRONĘ POGRANICZA

Rozdział 16 NAKRAPIANE NIEBO

Rozdział 17 KASPIJSKI POTWÓR

Rozdział 18 MIASTO Z OBRAZKA

Rozdział 19 SUBLOKATORZY

Rozdział 20 ZAJRZEĆ ZA HORYZONT

Rozdział 21 NOSICIEL

Rozdział 22 WYBÓR

EPILOG

